

ZDANIE

"Trzech na jednego"
Z JACKIEM MAJCHROWSKIM

W numerze m.in.: Tomasz Goban-Klas * Adam Komorowski * Beata Kowalska * Hieronim Kubiak
Marcin Kula * Andrzej Kurz * Władysław Markiewicz * Krzysztof Mroziewicz * Jan Pieszcachowicz
Andrzej Romanowski * Marian Stępień * Janusz Tazbir * Olga Tokarczuk * Andrzej Walicki

KOWADŁO "Kuźnicy" dla Henryka Markiewicza

1-2 (140-141) 2009





Small signature or mark at the bottom center.

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1-2 (140-141) 2009

OD REDAKTORA

Czytelnicy, którzy są z nami od początku, a jest ich niemało, muszą mi wybaczyć, że przypomnę najważniejsze fakty z już przeszło 30-letniej historii „ZDANIA”. Winien to jestem tym Czytelnikom, którzy wezmą po raz pierwszy nasze pismo do ręki. Mam prawo przypuszczać, że z każdym kolejnym numerem Czytelników nam przybywało, ale tym razem sytuacja jest zupełnie nowa, bowiem po długiej przerwie wracamy do kolporterskiego obiegu. Od tego numeru będzie można kupić „ZDANIE” w wybranych Empikach w kilkudziesięciu miastach Polski. To dla nas wielka szansa, a zarazem wyzwanie, wychodzimy bowiem z zamkniętego kręgu dystrybucji wewnętrznej na rynek prasowy. Mamy nadzieję, że sprostamy jego wymogom, także konkurencji, choć pozostaniemy nadal niskonakładowym periodykiem opiniotwórczym.

Takim „ZDANIE” było od początku, czyli od 1978 roku, kiedy w formie zeszytowej zaczęło się ukazywać jako publikacja

Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”. W burzliwym 1981 roku wydawnictwo przekształciło się w miesięcznik, którego pierwszy numer, z powodu ogłoszenia stanu wojennego, ukazał się w kwietniu roku następnego. Pismo wychodziło regularnie i nieprzerwanie do marca 1990 roku. Po czterech latach przerwy wróciło do obiegu czytelniczego nominalnie jako kwartalnik, ale *de facto* w latach 1994-2008 ukazywało się od 1 do 3 numerów w roku.

Numer 1-2/2009, który oddajemy do rąk Czytelników, zapoczątkowuje stabilizację wydawniczą „ZDANIA”. Odtąd będą ukazywały się, wiosną i jesienią, dwa łączone numery periodyku, który mam przyjemność rekomendować. Zapraszam do jego lektury i do salonów Empiku, gdzie będzie przez trzy miesiące (V-VII) w sprzedaży.

EDWARD CHUDZIŃSKI

JACEK MAJCHROWSKI WSZYSTKIE RZĄDY OD 1989 ROKU PODCHODZĄ DO SAMORZĄDÓW JAK PIES DO JEZA („Trzech na jednego”)	3
Andrzej Walicki POLSKA DROGA OD KOMUNIZMU	12
Hieronim Kubiak STUDENCKI PAŹDZIERNIK '56 W KRAKOWIE	19
Zbigniew Bauer OPIR I WIELKA ZMIANA	28
Krystyn Dąbrowa KRAKÓW. PRÓBY POROZUMIENIA 1980-1981	31
Marcin Kula UNIwersytet - Instytucja nie na te czasy?	35
Andrzej W. Nowak CO ROBIĆ? RUCHY ANTYSYSTEMOWE W KONCEPCJI WALLERSTEINA	41
Ryszard Sitek PRZYJACIEL HIOBA. O BRONISŁAWIE BACZCE	44
Beata Kowalska O ZDERZENIU CYWILIZACJI, ISLAMIE I DEMOKRACJI	48
Helena Szczodry KOBIECY W KOŚCIELE KATOLICKIM (NA PRZYKŁADZIE POLSKI)	51
Krzysztof Mroziwicz FIDEL CASTRO I SOWIECI	56
Andrzej Kurz MIECZYSLAW RAKOWSKI. SPOTKANIE TRWAŁO 60 LAT	59
Adam Komorowski GÓRA, KTÓREJ NIE DA SIĘ OBEJŚĆ	64
Jerzy Piątkowski WIERZYSZE	69
Jan Polewka KAPITAŁ I RÓŻE (fragment scenariusza)	72
KOWADŁO DLA HENRYKA MARKIEWICZA	80
Marian Stepień LAUDACJA	81

82	Andrzej Romanowski OBLICZA OTWARTOŚCI
85	Jan Pieszcachowicz HENRYK WSPANIAŁY, CZYLI ŻYWOT CZŁOWIEKA ROZWAŻNEGO
90	Jan Güntner OCZYMA BEANA
96	Marian Stepień CÓŻ TO ZA KAWIOR!?
100	Krzysztof Woźniakowski HENRYK STEIN-KAMIEŃSKI
105	Janusz Tazbir BRONIE WIERZBOWSKIEGO PRZED ŻEROMSKIM
108	Władysław Markiewicz INTELIGENCJA W ODMIENIONYM SPOŁECZEŃSTWIE
110	Tomasz Goban-Kłás DZIENNIKARZ WŚRÓD SKORPIONÓW
112	Urszula Chowaniec APETYT BADACZA LITERATURY
114	Adam Komorowski HENRYK HALKOWSKI
115	Krzysztof Komornicki PAKIET SUDECKI (list z Wójtowic)
117	Sergiusz Najar GRANICA I POGRANICZE
118	Ludwik Lewin BYSTRZYCKA FIKCJA
119	Ryszard Malarski KOTLINA – OSTRYM PIÓRKIEM
121	Olga Tokarczuk PAŁEC, KTÓRY WSKAZUJE NA KSIĘŻYC
124	Jerzy Piekarczyk GRABIE A SPRAWA POLSKA
125	Sceptyk PROPAGANDA WIECZNIE ŻYWA



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:
JACEK MAJCHROWSKI
TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
STEFAN CIEPŁY
FILIP RATKOWSKI

Uważam, że wszystkie rządy od początku transformacji podchodzą do samorządów jak pies do jeża

EDWARD CHUDZIŃSKI: **Nie jest Pan pierwszym „chłopakiem z Sosnowca”, który zrobił karierę?**

JACEK MAJCHROWSKI: Kiepusza rzeczywiście był chyba pierwszy. No tak, ale ja słabo śpiewam...

CHUDZIŃSKI: **Stamtąd wywodzili się też znani towarzysze.**

MAJCHROWSKI: Pierwsze nazwisko, które przychodzi mi na myśl, to towarzysz Edward G. Może w związku z tym powinienem włożyć marynarkę?

CHUDZIŃSKI: **Niekoniecznie. Prezydent w koszu też się dobrze prezentuje. Czy Pan jest rodowitym Zagłębiakiem?**

MAJCHROWSKI: Ja tak. Ale moja babcia była spod Lidy i Oszmiany, a więc z terenów dzisiejszej Białorusi, a dziadek z okolic Przedborza.

CHUDZIŃSKI: **Ale i Lida i Sosnowiec, i Przedborz były pod tym samym berłem.**

MAJCHROWSKI: Tak. Jestem zaskoczony, jak te zaborcze podziały tkwią w mentalności i kulturze do tej pory. Nie tylko między Śląskiem a Zagłębiem, ale na przykład między Kongresówką a Galicją. Podczas swojej ostatniej wizyty w Krakowie, Lech Kaczyński specjalnie poprosił o herbatę w szklance. Tak piło się w zaborze rosyjskim, w Galicji natomiast w filiżankach.

FILIP RATKOWSKI: **Ale wróćmy do genealogii...**

MAJCHROWSKI: Rodzice mieli średnie wykształcenie, a przedwojenna matura to było coś ważnego.

RATKOWSKI: **Nadawała prawo do odpowiedzialności honorowej. Tak to ujmował kodeks Bożewicza.**

MAJCHROWSKI: Nawet jak ktoś miał tak zwaną „małą maturę” to już był kimś.

STEFAN CIEPŁY: **Na tle milionów analfabetów w międzywojennej Polsce.**

MAJCHROWSKI: Naturalnie. W każdym razie moi rodzice byli urzędnikami. Matka od początku pracowała w różnych spółdzielczych instytucjach, ojciec po wojnie najpierw miał własny sklep, a potem, zgnębiony domiarąmi, pracował jako urzędnik.

CHUDZIŃSKI: **A orientacja polityczna?**

MAJCHROWSKI: Babcia była zawziętą zwolenniczką Piłsudskiego, dziadka nie znałem i nie znała go też moja mama, bo zginął w czasie wojny bolszewickiej, gdy miała rok. Ojciec o polityce nie mówił prawie wcale.

RATKOWSKI: **A jakie panowały nastroje wokół? No bo o rzut kamieniem był Śląsk z legendą powstań, z legendą Korfantego.**

MAJCHROWSKI: To rzeczywiście działało na wyobraźnię. Ja na przykład nie rozumiem tych animozji śląsko-zagłębiackich, bo przecież Zagłębie było bezpośrednim zapleczem dla powstań śląskich. W Sosnowcu był bardzo silny ośrodek wspierający powstania. Natomiast chłopaki rzucali do siebie kamieniami przez Brynicę, która dawniej była rzeką graniczną.

CIEPŁY: **A czy te nastroje pozostawiły w Panu jakieś ślady, powiedzmy charakterologiczne?**

MAJCHROWSKI: Nie. Wyjechałem stamtąd tuż po maturze, a więc jako nastolatek. Zawsze zresztą podziwiam tych, którzy opowiadają, jakie to oni od małego mieli skryzalizowane poglądy, jak wiedzieli co jest dobre, a co złe, z czym trzeba walczyć... Ja tego nie wiedziałem. Nie żyłem tym.

RATKOWSKI: **Uniwersytetu Śląskiego jeszcze wtedy nie było, więc wybór był oczywisty.**

MAJCHROWSKI: Tak, wiadomo że Kraków. Nie miałem natomiast pewności czy ma to być prawo, czy historia. Ostatecznie zdecydowała narada rodzinna, bo prawo dawało lepsze możliwości pracy młodemu człowiekowi bez poważniejszego zaplecza finansowego. Poszedłem więc na prawo i uprawiam historię! Oceniam, że bardzo dobrze zrobiłem, bo gdybym poszedł wówczas na historię, w tamtym okresie musiałbym zajmować się historią regionalną... No, na przykład tematem *Wpływ związków zawodowych na kulturę* w jakimś tam okresie albo reformą rolną w Małopolsce. Ostatecznie mógłbym, jak prof. Buszko, zajmować się Galicją. A mnie interesowały inne problemy.

CHUDZIŃSKI: **Na przykład polityka. Na pierwszym roku wstąpił Pan do PZPR? Czy to była samodzielna decyzja?**

MAJCHROWSKI: Tak, nikt mną nie kierował.

RATKOWSKI: **To wynikało chyba z Pańskich związków z organizacją młodzieżową. Była wówczas taka moda „przekazywania” członków od partii. Należał pan do ZMS?**

MAJCHROWSKI: Należałem. Zresztą do dziś mam przyjaciół i kolegów wywodzących się z tej organizacji.

CIEPŁY: **Czy wiązało się to z myśleniem popaździernikowym?**

MAJCHROWSKI: Nie. Dla mnie już to nie było czyste.

RATKOWSKI: **A jednak w uniwersyteckim ZMS takie popaździernikowe nastroje istniały. Z ZMS-em blisko związani byli na przykład Marek Waldenberg, Jan Kozłowski czy Jan Pawlica. Każdy inny, ale wszyscy byli bardzo aktywni w okresie Października '56.**

MAJCHROWSKI: Waldenberg był bardzo lubianym, szanowanym człowiekiem, z którym miałem wykłady na pierwszym roku, a Pawlica wówczas jeszcze nie znałem.

RATKOWSKI: **Na prawie było wówczas wiele ciekawych postaci. Marek Sobolewski na przykład.**

MAJCHROWSKI: Sobolewski był osobą, którą uważałem wówczas i uważam do dziś za swego mistrza. Dokładnie pamiętam jego wykłady z prawa konstytucyjnego, gdy zastępował prof. Zakrzewskiego. Potem, po śmierci Konstantego Grzybowskiego, gdy objął kierownictwo katedry historii doktryn politycznych, znalazłem się na życiowym rozdrożu między prawem konstytucyjnym a doktrynami. Wszystko udało się pogodzić, a to

dzięki mądrości i wyrozumiałości Sobolewskiego. Był człowiekiem, który miał rzadką dla tamtego pokolenia uczonych cechę, to znaczy nie ingerował w pracę naukową. Dawał swobodę. Jeżeli u Zakrzewskiego każdy rozdział, każdy znak był wiele razy konsultowany, to u Marka była pełna swoboda pisania i własnych poglądów.

RATKOWSKI: **Czyżby w Pana głosie pojawiało się to głębokie rozróżnienie między „uczonym” a „naukowcem”?**

MAJCHROWSKI: A jakże. Wtedy pomyślałem, że jeśli mam się zajmować czymś konkretnym, to dobrze wybrać sobie fragment historii wyraźnie zdefiniowany, określony ramami czasowymi. Tu cezura jest jasna: 1918-1939 i w tym obszarze poruszam się przez całe życie naukowe, nieczęsto wychodząc poza jego ramy. Są ludzie, którzy skupiają się na określonych środowiskach czy formacjach politycznych. Piszą o endekach albo o ziemiaństwie, albo o czymś innym. Ja pisałem zawsze o różnych zjawiskach. Mnie zainteresował okres dwudziestolecia międzywojennego, bo tam była różnorodność.

CHUDZIŃSKI: **A jednak Pan, choć dość wcześnie określił się politycznie jako człowiek lewicy, zajmuje się głównie formacjami prawicowymi, tymi bardziej radykalnymi.**

MAJCHROWSKI: Starłem się pisać o tym, o czym nie pisali inni. Pisałem o monarchistach, o neopoganach, bo o tym nikt nie pisał. O środowiskach, odpryskach „młodoendekich”, o pewnych kręgach piłsudczykowskich... Starłem się dokumentować tematy niezbyt często lub w ogóle nieopisywane.

CIEPŁY: **Pisano o Panu, że zajmuje się „białymi plamami”.**

MAJCHROWSKI: To nie były „białe plamy”, o których nie wolno było pisać. Nie aspiruję do takiej chwały. Były to jednak tematy, które leżały odłogiem.

CHUDZIŃSKI: **Tak czy inaczej, mimo przynależności do partii nie ma w Pana pracach choćby śladu zainteresowania myślą lewicową!**

MAJCHROWSKI: Przepraszam. Pisałem o lewicy piłsudczykowskiej, o grupie Jutro Pracy. Natomiast nie pisałem ani o KPP, ani o socjalistach, bo to był temat tak ograny, że nie chciałem się w to angażować. Zresztą niewiele tam można było od siebie dodać.

CHUDZIŃSKI: **To prawda, że więcej można było wtedy napisać o prawicy niż o lewicy. A i dostęp do archiwaliów był łatwiejszy!**

MAJCHROWSKI: Oczywiście!

CHUDZIŃSKI: **I dawało to satysfakcję?**

MAJCHROWSKI: Mnie dawało.

CHUDZIŃSKI: **A jak to przyjmowało środowisko?**

MAJCHROWSKI: W porządku. Nigdy nie miałem z tego powodu problemów.

CHUDZIŃSKI: **A przecież niektórzy w Pańskich publikacjach o prawicy narodowej widzą trudną do ukrycia sympatię.**

MAJCHROWSKI: Starłem się zawsze pisać rzetelnie. I mam parę wyznaczników tej rzetelności. Dowiedziałem się na przykład od kilku działaczy Młodzieży Wszechpolskiej, że wychowywali się na mojej książce *Szkice z historii polskiej prawicy politycznej*. Moja książka o Obozie Zjednoczenia Narodowego była je-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

dyną przed 1989 rokiem książką o sanacji, pozytywnie ocenioną w nowojorskiej „Niepodległości”, wydawnictwie Instytutu Piłsudskiego. Różne ugrupowania monarchistyczne przyznawały mi honorowe odznaczenia. Miałem nawet odebrać tytuł książe, ale odmówiłem, ponieważ ślubowanie wymagało złożenia deklaracji, iż będę walczył o wprowadzenie w Polsce monarchii.

CIEPŁY: Czy ma Pan własną ocenę ideologii obozu piłsudczyków z okresu międzywojennego?

MAJCHROWSKI: Obóz piłsudczykowski miał program w kilku dziedzinach. Na przykład – głównie Stanisław Car w okresie zaborów i w czasie wojny pracował nad koncepcją ustrojową. Faktem jest, że obóz piłsudczykowski był bardzo ideowo rozbity. Z jednej strony była lewicująca grupa Jutro Pracy...

CIEPŁY: ...czy Bunt Młodych...

MAJCHROWSKI: ...czy Adam Skwarczyński.

CHUDZIŃSKI: Młody Giedroyc?

MAJCHROWSKI: Tak, tu nie było jedności, a po śmierci Piłsudskiego wszystko się rozpadło.

RATKOWSKI: I posterowało na prawo!

MAJCHROWSKI: Następowало dość szybko przemówienie ideologii endeckiej.

CHUDZIŃSKI: Skąd my to znamy! Przecież dziś jest podobnie. Z tą różnicą, że PiS czerpie z prawa i z lewa.

CIEPŁY: Jednak o Piłsudskim pisze Pan, że był to „suwerenny polityk”. I mam wrażenie, że Jacek Majchrowski jako prezydent Krakowa to też „suwerenny polityk”, który od dawna próbuje taką własną ścieżką chodzić!

MAJCHROWSKI: Uważam, że polityk, jeśli ma uprawiać politykę, musi być suwerenny. Niektórzy politycy czują się dobrze w grupie, bo to ich racja bytu. Przecież partia desygnuje ich na różne stanowiska. Tymczasem by polityk był suwerenny, musi być niezależny finansowo! A przecież większość z nich, by normalnie w świecie z czegoś żyć, musi być posłami, ministrami czy wojewodami. Stąd dziwne ruchy, prze-

plywy z jednej partii do tej, która daje większe szanse dobrego miejsca na liście.

RATKOWSKI: No właśnie! Jak wyglądała droga młodego pracownika naukowego do człowieka niezależnego finansowo.

MAJCHROWSKI: Zawsze po skończeniu studiów pracowałem co najmniej na dwóch etatach. Robiłem tak po to, aby moja rodzina mogła żyć na przyzwoitym poziomie. A tak też się złożyło, że w krytycznych momentach nadchodziła pomoc ze strony rodziny.

CIEPŁY: Pamiętam Pańskie małe mieszkanie gdzieś w Prokocimiu.

MAJCHROWSKI: To był ostatni blok osiedla. Zajęcie biegały pod oknami. Byłem najpierw na studiach doktorskich, potem zwolnił się etat i prof. Sobolewski zaproponował mi asysturę. Pochłonęła mnie całkowicie. Przez pierwsze cztery lata po studiach w ogóle nie wyjeżdżałem na wakacje. Cały czas pisałem doktorat. Ciężko pracowałem i w przeciwieństwie do wielu moich kolegów nie chałturzyłem. Nie prowadziłem zajęć na różnych WUML-ach, koncentrowałem się na zrobieniu doktoratu i na pomnażaniu dorobku naukowego. I choć koledzy patrzyli na mnie wówczas z politowaniem, bo finansowo powodziło im się znacznie lepiej, to dziś wiem, że wybrałem dobrze. Efekt był taki, że ja zrobiłem w cztery lata doktorat, w cztery habilitację, a potem zostałem profesorem...

CHUDZIŃSKI: Najmłodszym na Wydziale Prawa! Pogratulować!

MAJCHROWSKI: Dziękuję!

CHUDZIŃSKI: A więc kariera rozwijała się więcej niż obiecująco.

MAJCHROWSKI: Ale miało to swoje konsekwencje, jeżeli chodzi o sprawy rodzinne. Gdy w 1975 roku urodził się mój starszy syn, mieszkaliśmy w hotelu asystenckim w pokoju o powierzchni czterech łóżek. Żona musiała pojechać do rodziców, do Wrocławia, bo nie było gdzie postawić łóżeczka. Wróciła dopiero, gdy dostałem mieszkanie, właśnie to w Prokocimiu. Natomiast

ja przez kilka lat byłem zwolniony od bezpośredniej opieki nad dzieckiem i mogłem napisać habilitację.

CHUDZIŃSKI: Czy kariera naukowa nie wymagała żadnych koncesji politycznych?

MAJCHROWSKI: Nie, w żadnym wypadku! Jeśli nawet w coś się angażowałem, to nie była żadna koncepcja, ale moja dobra wola. Było na odwrót: w 1973 roku zacząłem pisywać do „Tygodnika Powszechnego”.

CHUDZIŃSKI: Łagowski pisał tam pod pseudonimem, a Majchrowski pod nazwiskiem. Miał Pan z tego powodu jakieś kłopoty?

MAJCHROWSKI: W końcu lat 70. odbyło się zebranie partyjne, na którym zastanawiano się, czy jestem prawomyślnym towarzyszem. Moje teksty w „Tygodniku Powszechnym” były tekstami historycznymi, prezentowałem sylwetki polityków międzywojnia bardzo różnych opcji. Zawsze podkreślałem, że były to pierwsze teksty w „Tygodniku”, które przedstawiały sylwetki Stanisława Dubois czy Mieczysława Niedziałkowskiego. Było tam też sporo legionowych polityków, bo chciałem przedstawić pełną panoramę. I w końcu powstała z tego książka o politykach II Rzeczypospolitej, wydana zresztą przez Znak.

RATKOWSKI: A sam „Tygodnik” nie miał oporów przed udostępnieniem łamów lewicowemu w końcu historykowi?

MAJCHROWSKI: Nie. Miałem tam kontakt z dwoma osobami. Najważniejszy z Mieczysławem Pszonem, którego bardzo sobie cenę i z którym później, mimo różnicy wieku, mogliśmy uważać się za przyjaciół...

CHUDZIŃSKI: Musiał coś w sobie mieć, bo inny nasz niedawny rozmówca, prof. Romanowski też deklarował fascynację jego osobowością.

RATKOWSKI: Był to jednak ostry endek!

MAJCHROWSKI: A tak. Był w jakimś momencie delegatem rządu emigracyjnego na region krakowski, a co mnie u niego urzekło, to fakt, że umiał analizować i patrzył na to, co się dzieje, z dystansem. Powiedział mi kiedyś, że aby mieć taki dystans, trzeba kilka lat posiedzieć w celi śmierci. Natomiast drugą osobą, z którą miałem kontakt, był Krzysztof Kozłowski. I jedno muszę podkreślić – nigdy nie ingerowano w żaden z moich tekstów. Nawet cenzura, która w różnych okresach różnie się zachowywała, nie była zbyt aktywna.

CHUDZIŃSKI: Cenzura niektóre teksty masakrowała, a innych specjalnie się nie czepiała. Nawet jeśli drukowane były w „Tygodniku”.

MAJCHROWSKI: Pamiętam, że dałem kiedyś tekst do „Studenta” i pewien nasz nieżyjący już znajomy, wówczas cenzor stwierdził, że taki artykuł w socjalistycznej prasie ukazać się może. Więc ukazał się w „Tygodniku Powszechnym”.

CHUDZIŃSKI: Była wówczas cała grupa młodych badaczy doktryn politycznych, która do „Studenta” pisywała. Dlatego na tych łamach udawało się przemycać teksty niekoniecznie mile widziane, np. w cyklu *Drogi i bezdroża współczesnej ideologii*. Wiem coś o tym jako jeden z założycieli pisma i jego zastępca redaktora naczelnego.

MAJCHROWSKI: Uważam, że dziś zbyt mało pisze się o „Studencie” jako grupie ideowej. Była to przecież swego rodzaju oaza wolności w latach 70. Wracając do pytania o konsekwencje. W zasadzie spotkała mnie jedna przykrość – po habilitacji należał mi się etat docenta.

Takie były wtedy obyczaje. Jednak decyzją ministerstwa trzymano mnie przez dwa lata na etacie adiunkta. Co prawda, proponowano mi docenturę w Wyższej Szkole Pedagogicznej, co wiązało się z przeniesieniem jednego z profesorów z WSP na UJ, ale na to się nie zgodziłem. Połączone to było z pomysłem rozbudowy ideologicznego w zamyśle Instytutu Religioznawstwa. Ostatecznie to ja zostałem jego szefem i zrobiłem z tego religioznawstwo autentyczne, bez ideologicznego odchylenia.

RATKOWSKI: A był Pan religioznawstwem zainteresowany?

MAJCHROWSKI: Owszem, napisałem kilka tekstów na temat stosunków państwo-Kościół. Przyjąłem jednak założenia, że gdy instytut osiągnie wystarczającą liczbę sześciu samodzielnych pracowników nauki, to wracam do siebie.

RATKOWSKI: To znaczy?

MAJCHROWSKI: Na Wydział Prawa.

CHUDZIŃSKI: W Pańskim dorobku wyróżnia się nurt biografistyki. Z czego to się bierze? Interesują Pana silne osobowości, postacie nietuzinkowe, skandaliści? Na przykład Wieniawa-Długoszowski?

MAJCHROWSKI: Owszem. Próbowałem pisać o nim do „Polityki”. Ówczesna redakcja nie zdecydowała się jednak wydrukować tekstu o Wieniawie, więc ukazał się on w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, a po zmianach w 1989 roku w „Tygodniku Powszechnym”. Pisząc ten artykuł zorientowałem się, że Wieniawa jest zupełnie inną postacią, niż przedstawia go legenda.

RATKOWSKI: Generał z literatami, literaci z generałem.

MAJCHROWSKI: Pisano o nim z przymrużeniem oka jako o pijaku, bawidamku, a przecież to całkiem inna osobowość. Kilka lat szperałem w jego biografii i wyszła z tego książka. To zresztą postać fascynująca. Urzekł mnie fakt, że on myślał kategoriami państwa, a nie swojego obozu politycznego. Zaprzyjaźniłem się nawet z rodziną Wieniawy, a jednemu z jego kuzynów pomogłem odzyskać rodzinny dworek.

RATKOWSKI: Dowodem na sposób jego myślenia są choćby losy jego prezydentury. Oddał nominację bez słowa.

MAJCHROWSKI: Toteż piśsudzczyca na emigracji odsunęli się od niego. Mieli swoje partyjne interesy, a z nim wiązali poważne nadzieje. Uznali, że ich zdradził.

CIEPŁY: To była zapewne skomplikowana biografia, ale także Pańska kryje tajemnice. Na przykład oddał Pan legitymację partyjną w 1981 roku, by w 1990 roku wstąpić do SdRP! Gdzie tu logika?

MAJCHROWSKI: Jeśli ma się poglądy ideowe, serce po lewej stronie, to nie wolno udawać idioty. Ja złożyłem legitymację 14 grudnia, w poniedziałek, po wprowadzeniu stanu wojennego. Zapłaciłem zaległe składki i oddałem legitymację. Dziś mam inną ocenę tej sytuacji, ale wówczas tak się zachowałem.

RATKOWSKI: Wtedy oddała legitymację nawet tak „czerwona” osoba jak Celina Bobińska.... Choć może to było już po Wujku.

MAJCHROWSKI: Po latach sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej.

RATKOWSKI: Chodziło, jak sądzę, o autentycznie lewicową opcję. W 1989 roku była już całkowicie wolna Polska, politycznie pluralistyczna, można więc było dokonać autentycznego wyboru.

MAJCHROWSKI: Dlatego tak irytują mnie ludzie, którzy mają „zaliczone” sześć i więcej partii o różnych odcieniach. To oznacza, że są kompletnie bezideowi.

CHUDZIŃSKI: I tu się pojawia możliwość pytania o bardzo poważne sprawy – o tożsamość ideową. Bo jest w Pańskiej biografii sporo spraw zastanawiających. Wybrał Pan lewicę w bardzo młodym wieku. Potem, jeśli śledzić książki i zainteresowania naukowe, to można by usytuować Pana wszędzie, tylko nie na lewicy. I oto sytuacja powtarza się. Na początku transformacji ustrojowej znów zgłasza Pan akces do lewicy.

MAJCHROWSKI: Ale ja nigdy nie zgłaszałem akcesu do czegoś innego niż do lewicy.

CHUDZIŃSKI: Ale tej lewicowości jakoś nie było widać ani w Pana działalności, ani zwłaszcza w publikacjach.

MAJCHROWSKI: To nie jest tak. Zawsze bardzo wyraźnie oddzielałem własne poglądy od rzetelności naukowej.

CHUDZIŃSKI: A partia nie miała pretensji, że opuścił Pan jej szeregi? Pytam, bo ja znalazłem się w podobnej sytuacji. Też oddałem legitymację, ale dwa dni później.

MAJCHROWSKI: Nie, ja nie odczuwałem jakiegoś ostracyzmu. Więcej problemów miała ze mną Kuźnica, do której, jako osoba niepewna ideowo, w latach 70. nie zostałem przyjęty. To było chyba wtedy, gdy pisywałem w „Tygodniku Powszechnym”. Inna rzecz, dla równowagi przypomnę, że miałem też kilka tekstów w „Rzeczywistości”.

CHUDZIŃSKI: Pamiętam, że to nas bulwersowało, bo na tych łamach atakowano Kubiaka pod hasłem „krakowiczek CIA”?

MAJCHROWSKI: Nie, ja na tych łamach pojawiłem się później, kiedy Pani Bożena Krzywobłocka nie była już redaktorem naczelnym. Został nim krakowianin Jerzy Pardus.

RATKOWSKI: Znałem go wówczas i na swój sposób ceniłem, choć wydawał mi się reprezentantem endeckiego skrzydła w PZPR. W tej partii mieściły się zresztą wszystkie siły polityczne. Było miejsce dla piłsudczyków, endeków, socjaldemokratów, trafił się i klerykał. Niewiele było chyba komunistów.

MAJCHROWSKI: Dlatego pisałem tam o Sławku, Korfantym. Uprawiałem rodzaj działalności dydaktycznej. Uważałem, że środowiska partyjne powinny zapoznać się także z tymi postaciami. A skoro mam mówić o swej tożsamości, to zawsze uważałem się za socjalistę z prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniem!

RATKOWSKI: Ale to też nie jest jednoznaczne, choć efektowne. To odchylenie może – w zależności od rozumienia pojęcia naród – prowadzić w stronę Dmowskiego albo w stronę Piłsudskiego, a to dość różne sprawy.

MAJCHROWSKI: Trudno mi to oceniać.

CHUDZIŃSKI: Skoro dotykamy tych problemów zapytam, jak młody Majchrowski przeszedł Marzec 1968? Bo przecie nie ukrywajmy, „Rzeczywistość” lat 80. jakieś zakotwiczenie w tamtym marcu miała.

MAJCHROWSKI: Nie bardzo pamiętam. Jakoś nie utkwilo to we mnie głęboko, bo chyba nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. W Krakowie nie wyglądało to jednoznacznie. Z jednej strony w radiu i telewizji słyszano się hasła antysemickie, z drugiej strony odbywały się wiece studenckie. Ja nie mieszkalem w akademiku, dlatego stałem trochę z boku.

CHUDZIŃSKI: My w „Studencie” wiedzieliśmy, czemu nie należy przyklasnąć.

MAJCHROWSKI: Ja nie musiałem artykułować swojego „za” czy „przeciw”, bo też niewiele ode mnie zależało, a poza tym nie bardzo wiedziałem, w czym się poruszam.

CHUDZIŃSKI: ZMS praktycznie przestał wówczas istnieć na uczelniach. Pięciotysięczna organizacja na AGH rozpadła się w ciągu paru dni marca 1968 roku, co nie nastąpiło wówczas w ZSP.

RATKOWSKI: Bo „centrala” próbowała wykorzystać ZMS jako aktyw „antysyjonistyczny”. I to m.in. spowodowało odwrócenie się studentów od tej organizacji.

MAJCHROWSKI: Wynajmowałem wtedy mieszkanie przy ulicy Daszyńskiego i byłem praktycznie odcięty od tego, co działo się w środowisku studenckim. Pamiętam tylko jakieś spotkanie z Janem Szewczykiem i Julianem Wielgoszem, którzy przekonywali o słuszności linii partii.

CHUDZIŃSKI: Tak czy inaczej, po latach wraca Pan do polityki. Lewica dochodzi w 1993 roku do władzy i profesor Majchrowski zostaje wojewodą krakowskim.

MAJCHROWSKI: Wojewodą zostałem w lutym 1996 roku, ale wcześniej w latach 1987-1993 byłem dziekanem Wydziału Prawa na Uniwersytecie, gdzie w 1993 roku przegrałem wybory rektorskie. Startowało nas kilku i pamiętam, że brakło mi dwóch głosów. Ale wybory te zapamiętałem też z innego powodu. Odbyły się świeżo po połączeniu UJ z Akademią Medyczną, na której miałem wielu sympatyków wśród studentów i mogłem liczyć na ich głosy. Tymczasem od znanego autorytetu moralnego studenckiej elektorzy otrzymali jasny sygnał, że jeśli będą głosowali na mnie, to będą mieli kłopoty z ukończeniem studiów. Nie bardzo chciałem w to wierzyć, ale rzeczywiście na sali siedział z nimi wówczas pan doktor, a dziś profesor, któremu studenci musieli pokazywać swoje kartki do głosowania. Od tego czasu jestem uczulony na autorytety moralne.

CIEPŁY: I po tych nieudanych wyborach zatęsknił Pan za władzą, najpierw wojewody, a potem prezydenta w Krakowie?

MAJCHROWSKI: To był 1993 rok i nagle okazało się, że w Krakowie, ostoi opozycji solidarnościowej i konserwatyzmu, facet związany z lewicą o mały włos nie zostaje rektorem UJ. W pamięci wielu osób to pozostało. Ale na urząd wojewody nie zaproponowała mnie lewica! Tym odważnym był koalicjant z PSL.

CHUDZIŃSKI: Rekomendacja, nie powiem, jak się patrzy!

CIEPŁY: Co więcej, tej nominacji towarzyszyła dezaprobatą lokalnych struktur lewicy.

MAJCHROWSKI: Struktur na pewno! Mówiłem tym strukturom zresztą otwarcie, by sobie nie wyobrażały, że będę promował czy obsadzał urzędy wskazanymi przez nich ludźmi. Jest w tym może pewne nawiąza-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

nie do piłsudczyków, ale mam głębokie przekonanie, że państwem i jego organami powinni kierować ludzie, którzy się na tym znają, mają odpowiednie kwalifikacje. To nie są stanowiska polityczne, tu się podejmuje decyzje merytoryczne i każdy musi brać odpowiedzialność za swój podpis. A skutki to pieniądze i losy ludzi. Więc nigdy nie mianowałem nikogo ze względu na jego poglądy polityczne czy bliskość ideową. Nigdy! Mówiłem to moim politycznym sojusznikom od początku. Na przykład moim wiceprezydentem do spraw edukacji była osoba związana z LPR-em, mająca długoletnie fachowe przygotowanie do tej funkcji. Inna rzecz, że ostatecznie się nie sprawdziła.

RATKOWSKI: Był fachowym człowiekiem Pański doradca do spraw bezpieczeństwa, generał Tadeusz Rusak, pojawił się też w Pańskim kręgu Janusz Sepioł.

MAJCHROWSKI: Rusak to rzeczywiście fachowiec od spraw bezpieczeństwa, a z Sepiołem była inna sprawa. Miałem z nim kontakty, kiedy byłem wojewodą, a on dyrektorem wydziału w Urzędzie Wojewódzkim. Kiedy był marszałkiem, ścieraliśmy się nieraz, bo zdarzało mu się postępować nie całkiem *fair*. Zatrudniłem go dlatego, że w pewnej chwili po prostu nie miał z czego żyć. A jest to człowiek niezwykle inteligentny i twórczy.

CHUDZIŃSKI: Ma Pan szczęśliwą rękę w obsadzaniu stanowisk, bo różnie się o tym mówi?

MAJCHROWSKI: I tak, i nie! Nie znam takiego człowieka, który podejmowałby wyłącznie dobre decyzje kadrowe.

CHUDZIŃSKI: W kampaniach medialnych przeciwko Panu argumenty natury kadrowej są najczęściej wykorzystywane. Choćby sprawa dyrektora Tajstera.

MAJCHROWSKI: Tajstera przyjął do pracy w Urzędzie Miasta prezydent Lassota na prośbę posta Rokity! Ja go odziedziczyłem.

CHUDZIŃSKI: Ale jako dyrektora od cmentarzy. I Pan go potem awansował.

MAJCHROWSKI: Nie awansowałem, lecz przeniostałem na równoległe stanowisko. Zawsze wydawał mi się impulsywny, ale wymagający wobec podwładnych, a w Zarządzie Dróg i Komunikacji potrzebny był ktoś z silną ręką. Jego zadaniem było zrobienie tam porządku. I porządek zrobił. A ile w tym było niestosownego zachowania wobec pracowników i osobistego interesu – to się okaże po procesie.

RATKOWSKI: Bywa Pan zresztą sam przedmiotem różnych niewybrednych ataków, na przykład zasłużonej na tym polu „Gazety Polskiej”.

MAJCHROWSKI: Pamiętam. To była taka podła zagrywka przed wyborami. Artykuły w tej gazecie przepełnione były różnymi oskarżeniami, a teksty formułowane tak pokrętnie, że praktycznie uniemożliwiały złożenie sprawy w sądzie. Pisanych sprostowań gazeta nie drukowała. Z jednego tekstu wynikało, że jestem tajnym agentem i donosicielem, ale było w nim też zdanie, że – cytuję za „Gazetą Polską” – „służby nie uważały mnie za współpracownika”. I co robić z czymś takim? Każdy po przeczytaniu takiego artykułu ma o mnie negatywną opinię, choć prawda jest inna, a tej nawet w sądzie nie można dociec właśnie przez to jedno zdanie, stanowiące zabezpieczenie gazety przed niekorzystnym dla niej wyrokiem.

RATKOWSKI: Albo formułuje się zarzut, że spotyka się Pan w kawiarni z redaktorem „Tygodnika Powszechnego”, byłym ministrem Kozłowskim. A przecież znacie się panowie od lat.

MAJCHROWSKI: I dodaje się tu sformułowanie o spotkaniach „suto zakrapianych”. Jak z takim czymś walczyć? I jeszcze wymyśla się do tego określenie „familia”, które ma w domyśle dezawuować całe grono moich bliższych czy dalszych znajomych! Włącza się też do tego grona osoby, które widziałem 2-3 razy w życiu i to oficjalnie.

CHUDZIŃSKI: **A więc jak Pan został wojewodą?**

MAJCHROWSKI: Mówiłem już że zaproponował mnie PSL. Najpierw rozmawiałem na ten temat chyba z Markiem Borowskim, potem mianował mnie nowy wówczas premier Włodzimierz Cimoszewicz. Ja zresztą zawsze traktowałem swoją rolę jako administracyjną, a nie polityczną.

CIEPŁY: **I na ten okres przypadło rozwiązanie problemu pomnika żołnierzy radzieckich na Plantach.**

MAJCHROWSKI: Zawsze uważałem, że Planty to miejsce niedobre na cmentarz, ale też sądziłem i sądzę nadal, że ludziom, którzy zginęli za Kraków, coś się od nas należy. Musiałem przeprowadzić rozmowy ze wszystkimi ambasadorami państw, które wchodziły w skład ZSRR, bo było już po rozpadzie tego imperium. Oczywiście konsul Cybulkow miał pretensje, ale wszystko potoczyło się zgodnie z planem: pogrzeb odbył się z udziałem popów, księży, z wojskowymi honorami, został też przeniesiony pomnik. Najbardziej wzruszające były podziękowania członków rodzin po uroczystości.

RATKOWSKI: **A prezydent Majchrowski, wbrew różnym kołtunom, kultuwyuje obyczaj organizowania uroczystości 18 stycznia – w rocznicę wyzwolenia Krakowa. I traktuje tę datę jako wyzwolenie!**

MAJCHROWSKI: Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej.

CHUDZIŃSKI: **Pełniąc funkcję wojewody i prezydenta miasta ma Pan wyjątkową szansę obejrzeć funkcjonowanie naszego systemu polityczno-ustrojowego z różnych stron. Chodzi mi o podział władzy między rząd i samorządy.**

MAJCHROWSKI: Uważam, że wszystkie rządy od samego początku transformacji podchodzą do samorządów jak pies do jeża. Nie mają do nich zaufania, zawsze myślą, że wiedzą lepiej. Ten podział powinien być wyrazisty, powinno być jasno określone co jest czyje, żeby każda ze stron mogła powiedzieć: nie wtrącajcie się, ja za to odpowiadam.

RATKOWSKI: **Ta nieufność datuje się zresztą od czasów przedwojennych. Wtedy też rząd nasyłał swoich komisarzy. Choć nawiasem mówiąc i ten z Warszawy i ten z Krakowa mają dziś swoje ulice.**

CHUDZIŃSKI: **A więc co można powiedzieć na temat tego modelu?**

MAJCHROWSKI: To kwestia na dłuższy wywód, ale na przykład, jeśli się mówi o powszechnych wyborach prezydentów miast, to inaczej powinny być ustawione relacje między radą a prezydentem. Dziś rada udziela prezydentowi absolutorium, choć w tej sprawie ostatnie słowo powinna mieć wyłącznie Regionalna Izba Obrahunkowa. Rada Miasta podejmuje bowiem decyzje o charakterze politycznym, nawet jeśli nie jest to wielka polityka. I jeszcze jedna sprawa. Samorząd realizuje zadania zlecone przez rząd, ale nie dostaje na to wystarczających pieniędzy. Do edukacji i szkolnictwa od kilku lat dopłacamy prawie 200 mln złotych rocznie.

CHUDZIŃSKI: **Czy nie należałoby więc przejść na model samorządowy, z dużą autonomią regionów?**

MAJCHROWSKI: Ale wtedy powstanie wiele księstewek. Bo przecież obok administracji centralnej i samorządowej mamy jeszcze tak zwaną administrację zespoloną: straż pożarną, policję, nadzór budowlany... Są więc trzy nurty niezależne, a powiatowy inspektor nadzoru budowlanego podlega w części ministrowi, w części samorządowi.

RATKOWSKI: **A wojewódzki inspektor z przyjemnością podkłada nogę samorządowi, co na przykład widać było przy okazji bojów o podziemia Rynku.**

CIEPŁY: **Do tego skomplikowane stosunki własnościowe pomiędzy różnymi szczeblami władzy.**

MAJCHROWSKI: No tak, ja mam trzy teatry, marszałek dwa, a mister kultury jeden. To dotyczy także służby zdrowia... I uporządkowanie tego wymaga całościowej koncepcji państwa. Ale my, Polacy, mamy to do siebie, że każdy patrzy, czy zmiana nie naruszy jego interesu. Poseł będzie się obawiał, że w wyniku nowego podziału kompetencji straci wpływ na obsadę stanowisk w regionie, inni powiedzą podobnie.

RATKOWSKI: **Ale po sześciu latach zarządzania Krakowem, po funkcji wojewody, po merytorycznym przygotowaniu w dziedzinie doktryn politycznych... Czy nie korci Pana, by zabrać się za porządkowanie tej stajni Augiasza?**

MAJCHROWSKI: Zrobiłem co mogłem, przygotowałem pewne propozycje zmian w ustawie samorządowej i wysłałem do różnych osób na najwyższych szczeblach. I cisza.

RATKOWSKI: **Może to oznacza, że pora, by Pan ruszył do wielkiej polityki?**

MAJCHROWSKI: Aby cokolwiek w polityce załatwić, trzeba mieć większość w parlamencie. A ja się nie nadaję do pracy partyjnej.

CIEPŁY: **I działa Pan bez partyjnego zaplecza w Krakowie. W dodatku przy raczej niechętnej prasie, bo wiadomo, że dla gazety dobra wiadomość to żadna wiadomość. A jest Pan lepiej oceniany w rankingach zewnętrznych.**

MAJCHROWSKI: Cieszę się bardzo, że o tym, gdzie będzie odbywało się Euro, zadecyduje ostatecznie UEFA, a nie instytucje krajowe, bo to będzie ocena bezstronna. W rankingach innych instytucji fachowych oceniających rzetelnie, Kraków wypada bardzo dobrze. Mamy np. ranking Standard and Poors, w którym Kraków wypadł najlepiej spośród polskich miast, a w gazetach czytam, że miasto dopadł krach finansowy i jest coraz gorzej. Tymczasem wszystko jest pod kontrolą.

CHUDZIŃSKI: **Jest w tym pewien fenomen Pańskiej prezydentury. Jako człowiek lewicy, która w ostatnich wyborach samorządowych poniosła klęskę, Pan wygrywa z liderami prawicy i to dwukrotnie, mając za przeciwnika m.in. Rokitę.**

MAJCHROWSKI: Bo decydują o tym ludzie, którzy chodzą po ulicach, widzą, co się w mieście zmienia na lepsze i potrafią to docenić, choć czytają niechętnie mi gazety. Jeśli prasa rozdziera szaty nad stanem krakowskiej kultury, a nasze festiwale zyskują miano najlepszych w Polsce, to co ma o tym myśleć zwykły obywatel? Musi oceniać sam, nie polegać na błędnych odpowiedziach dziennikarzy. Do negatywnej wypowiedzi zawsze jest gotowych kilku dyżurnych eksper-

tów, tyle że ich oceny i ekspertyzy nie sprawdzają się od lat! A przecież jest tyle ważnych i potrzebnych zawodów... W ostatnich wyborach startowałem sam. Nie miałem żadnego komitetu honorowego, nie zabiegałem o względy żadnej partii, dystansowałem się od wszystkich. Miałem przeciw sobie media z telewizją wildsteińską na czele, miałem przeciw sobie władze centralne, bo premier Kaczyński przyjeżdżał tu osobiście kilka razy i podlegał przeciw mnie bardzo energicznie.

CHUDZIŃSKI: Przyjechał też osobiście wspierać kandydata PiS-u prezydent Wrocławia.

MAJCHROWSKI: Uczynił to na prośbę Jana Rokity. Zdaje się, że się tego teraz wstydzi.

CHUDZIŃSKI: Więc na czym polega ten fenomen?

MAJCHROWSKI: Chyba na tym, że rządzenie takim miastem jak Kraków, a zresztą każdym miastem nie powinno być polityczne czy ideologiczne, lecz pragmatyczne. Powinien na czele miasta stać ktoś, kto coś robi, na czymś się zna i ma efekty. Nie wszystko idzie tak jak sobie zamierzałem. Na przykład chciałem wybudować jeden duży stadion miejski. Znalazł się nawet inwestor, który zamierzał wybudować go za własne pieniądze. Chciał tylko, żeby grały na nim oba największe krakowskie kluby. I to okazało się niemożliwe, bo i Wisła, i Cracovia mają swoje stadiony! W Radzie Miasta pomysł z jednym stadionem też się nie spodobał, a głównym motorem niepowodzenia był obecny kandydat PO na prezydenta Krakowa. Chciał też stordynować budowę centrum młodzieżowego w Nowej Hucie, ale to mu się nie udało. Za to nam się udało przebudować całkowicie dwa ronda – Grzegórzeckie i Mogiłskie, uruchomiłyśmy jedyny w Polsce tunel tramwajowy...

CHUDZIŃSKI: A sprawa z Turkami?

MAJCHROWSKI: No tak. Byliśmy wtedy postawieni w sytuacji bez wyjścia, bo przepisy preferowały firmę, która będzie najtańsza, a na dodatek braliśmy pieniądze unijne, z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Pamiętam, odwiedził mnie wtedy ambasador Turcji, który zwrócił uwagę na wiszący u mnie obraz *Bitwa pod Wiedniem*. Spojrzał na niego i powiedział, że ma nadzieję, iż tym razem tak nie będzie.

CHUDZIŃSKI: A teraz atakują Pana także za *vicio-rię wiedeńską* na Błoniach.

MAJCHROWSKI: To nie był mój pomysł, tylko radnych. Nie widziałem zresztą tego widowiska, bo nie było mnie wtedy w Krakowie. Za sukces uważam pawilon Wyspiańskiego. Faktem jest, że w Krakowie trzeba koniecznie udoskonalić „przestrzenie publiczne”: place w rejonie Plant, place Wolnica, Bohaterów Getta. Teraz modernizujemy ulice w obrębie Plant i tworzymy rodzaj salonu. To też się wielu osobom nie podoba, woleliby kocie łby. Może więc porozmawiają ze swoimi żonami, które wybierają się w szpilkach do centrum. Dynamicznie rozwijają się również prace przy Centrum Kongresowym, w maju będzie pozwolenie na budowę hali w Czyżynach na 15 tysięcy miejsc. Mamy połowę stadionu Wisły, w maju zaczynamy budowę nowego stadionu Cracovii, rozstrzygnięto przetarg na muzeum sztuki współczesnej na Zabłociu, jest przystosowana do nowych funkcji fabryka Schindlera, oba szpitale miejskie doprowadziliśmy do przyzwoitego stanu. Tego może z zewnątrz nie widać, ale jeżeli ktoś chce, zobaczy. Mam też przykład dotyczący mojej polityki kadrowej.

Na czele szpitala im. Narutowicza stoi pani związana z PiS-em, szpitalem im. Żeromskiego kieruje dyrektor z nominacji Platformy. Oboje się sprawdzają w tej roli, a mnie zupełnie nie interesuje, jakie mają poglądy.

CHUDZIŃSKI: W zarządzaniu miastem, choć to może zabrzmieć paradoksalnie, pomagają Panu takie cechy osobowości jak spokój, pewna powolność w podejmowaniu decyzji, niewdawanie się w polityczne bijatyki.

MAJCHROWSKI: Cóż, taki mam rzeczywiście charakter.

CIEPŁY: Ale jednak zdarzały się Panu polityczne czy ideologiczne wybory, które wywoływały sensację. Nie umknie Pan od incydentu z wizytą Busha w Krakowie.

MAJCHROWSKI: Nie zamierzam od niego umykać, choć trzeba opowiedzieć wyraźnie jak to było, bo sporo jest przekłamań wokół tej sprawy. Otóż napisałem artykuł *Pax Americana*, bo wściekłem się na sytuację, jaką nam i innym sojusznikom zgotowali Amerykanie w Iraku.

RATKOWSKI: Ostatnio, jak się wydaje, także oni sami mają podobny pogląd na te sprawy.

MAJCHROWSKI: No właśnie, ale wtedy było to politycznie niepoprawnie i wbrew decyzjom lewicowego rządu. Nasze wejście do Iraku firmowała niestety lewica.

RATKOWSKI: Bo też nie bardzo miała szanse wyboru. Właśnie dlatego, że była obciążona zaszczołami sojusznictwami.

MAJCHROWSKI: A wszystko wyglądało tak, że gdy przylatywał do Krakowa prezydent Bush, dano mi wyraźnie do zrozumienia, że Amerykanie zażyli sobie, bym nie był obecny podczas powitania. Byli natomiast marszałek i wojewoda, których i tak do „ucałowania pańskiej ręki” nie dopuszczono. A ja, skoro nie mogłem pełnić roli gospodarza przy powitaniu, postanowiłem nie uczestniczyć w uroczystościach na Wawelu, choć zaproszenie na nie dostałem. Potem kilka osób przyszło do mnie i na znak solidarności oddało swoje zaproszenia, co – nie ukrywam – ucieszyło mnie.

CHUDZIŃSKI: Ale przy tych niepoprawnie politycznych wyborach pojawiają się różne niebezpieczeństwa, na przykład restrykcji finansowych wobec miasta. W kryzysie to może być bardzo dolegliwe.

MAJCHROWSKI: Na razie nie odczuwamy żadnego tąpnięcia, jeśli idzie o finanse miasta. Swoje dochody oceniliśmy bardzo ostrożnie, a gdy chodzi o pieniądze z dotacji centralnych, pan minister finansów zapewnił, że nie będzie żadnych cięć funduszy dla samorządów. To są pieniądze na konkretne zadania związane z konkretnymi potrzebami społeczności lokalnych. Stoję na stanowisku, że nie wolno nam ograniczać inwestycji, bo w większości mamy zaangażowane środki unijne, albo są one związane z Euro 2012. Wstrzymanie każdej inwestycji to niebezpieczeństwo wzrostu bezrobocia...

RATKOWSKI: Jak Pan widzi szanse rozwoju terytorialnego miasta? Bo Kraków robi się jakby za mały i firmy szukają miejsca poza nim.

MAJCHROWSKI: Szukają miejsca poza miastem, bo tam jest taniej. I bardzo dobrze. Nie widzę także potrzeby, przynajmniej na razie, żeby Kraków sięgał gdzieś dalej, bo wtedy takie inwestycje będą jeszcze

bardziej odległe. Włączenie do Krakowa nowych terenów spowoduje niepotrzebne śrubowanie cen.

RATKOWSKI: A pomysły na krakowską metropolię? Myślę o przygotowywanej ustawie metropolitalnej.

MAJCHROWSKI: Propozycje profesorów Kuleszy i Izdebskiego to, moim zdaniem, projekty złe. Nie możemy sobie pozwolić na tworzenie czwartego szczebla administracji samorządowej. Nie ma projektów jego finansowania ani modelu zarządzania. My poszliśmy inną drogą. Nie czekając na żadne pomysły zawarliśmy porozumienia z sąsiednimi gminami w sprawach komunikacji, a niekiedy także w sprawach dotyczących usług komunalnych. Jeśli się promujemy, to też wspólnie. W praktyce są to ważne cechy metropolii.

CHUDZIŃSKI: A takie cechy metropolitalne to także naturalne dążenie do organizowania tu właśnie ważnych wydarzeń. Podobno przenosi się do Krakowa „polskie Davos”, czyli doroczne krynickie spotkania prezydentów?

MAJCHROWSKI: Tak, bo Krynica z czasem okazała się po prostu za mała. Aby podnieść rangę imprezy i rozszerzyć jej zasięg, należy przenieść ją do Krakowa, co zamierzają w najbliższych latach zrobić organizatorzy.

CIEPŁY: Pan należy chyba do ludzi, którzy mogą ominąć największe niebezpieczeństwo czyhające na polityka, tzn. uzależnienia się od partii, biznesu itp. Pan umiał zbudować sobie materialną niezależność.

MAJCHROWSKI: Ja zawsze byłem człowiekiem, który musiał na siebie i na rodzinę zarabiać. Jakiś czas jeździłem do niepublicznej wyższej szkoły w Warszawie, gdzie rektorem był profesor Lech Falandysz. Wtedy zacząłem myśleć o zbudowaniu podobnej w Krakowie. Zawsze irytował mnie też stosunek moich kolegów z Wydziału Prawa do studentów. Traktowali ich jak zło konieczne. Do realizacji mojego projektu zaprosiłem Klemensa Budzowskiego, który znał się na finansach, Zbyszka Maciąga, który był przez wiele lat w komisji akredytacyjnej i Andrzeja Kapiszewskiego, który miał twórczy umysł i kontakty międzynarodowe. Przez półtora roku harowaliśmy pisząc programy i projekty, musieliśmy też stworzyć kapitał założycielski w wysokości 100 tys. złotych. W tym celu musiałem sprzedać większość swoich zbiorów falerystycznych. W 2000 roku ówczesny minister wydał pozytywną decyzję. I tak się zaczęło. Za pierwsze zarobione pieniądze szkoła kupiła działkę. Potem, za pomocą kredytów, wybudowaliśmy kampus, w którym dziś studiuje ponad 16 tysięcy studentów.

RATKOWSKI: Stoi szkoła w sensie fizycznym. A czy ma Pan też swoją w sensie szkoły naukowej?

MAJCHROWSKI: Mam piętnastu czy szesnastu wypromowanych doktorów, niektórzy są już profesorami. Mam kilku uczniów, którzy kontynuują moje zainteresowania. Mam jednego bardzo znanego ucznia, ale nie wiem, czy się do niego przyznawać. To Antoni Dudek. Pisał u mnie magisterium, potem doktorat, ale dalej odpowiedzialności za niego nie biorę. Są jeszcze Olgierd Grot, Anna Kargul, czyli osoby, którymi warto się poszczycić. Może oddaliłem się trochę od nauki, zaczyna mi brakować pisania.

RATKOWSKI: Za dwa lata będzie się Pan dalej męczył w tym gmachu, czy może wróci do pracy naukowej? A może do polityki?

CHUDZIŃSKI: Myśli Pan o trzeciej kadencji, czy może o pierwszej?

MAJCHROWSKI: Rok przed zakończeniem tej kadencji podejmę decyzję, czy będę startował ponownie czy nie, mam więc na to jeszcze parę miesięcy. W tej chwili sam nie jestem pewien. Z jednej strony szkoda mi zadań, które realizuję, bo chciałbym zobaczyć ich zwieńczenie.

CHUDZIŃSKI: I mistrzostwa Europy chciałoby się zobaczyć w charakterze gospodarza.

MAJCHROWSKI: Też! Gdy skończę tę kadencję, będę miał 64 lata, a średnia wieku mężczyzn w Polsce to 73 lata. Zostaje mi więc 9 lat i chciałbym ten okres przeżyć nie wstając o szóstej i nie wracając późnym wieczorem do domu, łącznie z sobotami i niedzielami.

CHUDZIŃSKI: Ale po drodze zdarzyła się impreza w Warszawie.

MAJCHROWSKI: Mówi pan o Rzeczypospolitej Obywatelskiej? Nie! Zapowiedziałem wyraźnie, że jeśli to przybierze charakter partyjny, polityczny, ja się wypisuję. Inicjatywa ma służyć poprawianiu kondycji samorządów.

CHUDZIŃSKI: Ale w podtekście jest przymiotnik „lewicowy”.

MAJCHROWSKI: Naturalnie, bo nie widzę autentycznej samorządności w porozumieniu z PiS-em. Mówię to wyraźnie i zdecydowanie. Zresztą samorządność ma w sobie element lewicowości.

RATKOWSKI: „Komuna” to przecież po francusku ni mniej ni więcej jak „gmina”.

MAJCHROWSKI: Przy tym musimy sobie odpowiedzieć, czy idziemy w kierunku regionalizmu rozumianego jako podział „landowy”, czy dbamy o nasze państwo.

CHUDZIŃSKI: Widać zresztą, że model wspólnej Europy pod wpływem kryzysu trzeszczy w szwach. Nawet Sarkozy daje pieniądze przemysłowi samochodowemu pod warunkiem, że zatrzyma fabryki we Francji i nie przeniesie do Czech. Gdy zaczyna się trwoga, każdy myśli o sobie.

CIEPŁY: A co w takim razie z tą ewentualną pierwszą kadencją? Mówi się, że byłby Pan dobrym kandydatem na prezydenta kraju.

MAJCHROWSKI: Słyszałem takie głosy, ale nigdy o tym poważnie nie myślałem. Nie widzę w tym nic specjalnie atrakcyjnego. Przerostu ambicji nie mam, kompetencje prezydenta są średnie; wymaga to również przeniesienia się do Warszawy, a pałac namiestnikowski nie podoba mi się za bardzo. No i jest jeszcze istotny feler. Do końca życia za człowiekiem będą się wlekli faceci z BOR-u.

CHUDZIŃSKI: Mimo wszystko ma Pan o czym rozmyślać w wolnych chwilach. Dziękujemy za rozmowę i gościnę w prezydenckim gabinecie.

Rozmawiali:

EDWARD CHUDZIŃSKI

STEFAN CIEPŁY

FILIP RATKOWSKI

Kraków, 6 marca 2009 r.

ANDRZEJ WALICKI

POLSKA DROGA OD KOMUNIZMU

9 X 2007

Na konferencji Fundacji im. Stefana Batorego na temat *Państwo i społeczeństwo wg PiS* (8 października 2007 roku) wiele uwagi poświęcono problemom rzekomego „braku zerwania z komunistyczną przeszłością”. W rzeczywistości zerwanie takie nastąpiło i to nie tylko przez zmianę nazwy państwa i nowelizację konstytucji, lecz również w bardzo kontrowersyjnej formie symbolicznej: przez zaproszenie prezydenta Jaruzelskiego na inauguracyjną ceremonię Wąłęsy (22 XII 1990) przejścia insygniów władzy z rąk emigracyjnego prezydenta, Ryszarda Kaczorowskiego (niemal zupełnie nieznanego w kraju) oraz ogłoszenie narodzin III RP, czyli symboliczny powrót do 1939 roku oraz uznanie dziejów PRL za „czarną dziurę”. Nie było to gestem w stronę narodowego pojednania! Było świadomym poniżeniem rządowej strony Okrągłego Stołu oraz delegalizacją PRL, czyli (co nie od razu zostało zauważone) potrak-

towaniem patriotów PRL-owskich jako kolaborantów z nielegalną władzą. Znamienne, że niewłaściwość tego triumfalistycznego gestu odnotował również Jerzy Giedroyc.

Sprawiedliwość historyczna, jak śmiem sądzić, wymagała raczej gestu pojednawczego, pozwalającego uczciwym patriotom PRL-owskim zachować poczucie godności. Nowe władze powinny były zdawać sobie sprawę, że PRL była najsłabszym ogniwem między-narodowego komunizmu, że PZPR po roku 1956 nie „budowała” komunizmu, lecz różnymi sposobami wymigiwała się od tego, przywracając świadomie lub nie-świadomie polską narodową „tożsamość”, łącznie z jej przywarami. IPN-owski historyk Maciej Korkuć głęboko myli się twierdząc, że „wszystkie kolejne ekipy kierownicze partii były faktycznie ideowymi dziećmi Stalina” (*Patriotyzm Polaków*, Kraków 2006, s. 198) i że istniała ciągłość między Polską Gomułkowską a interwencjo-

nalizmem KPP. W rzeczywistości Gomułka postawił na n a r o d o w ą legitymizację partii krytykując stanowisko KPP w kwestii narodowej punkt po punkcie, od początku do końca.

Konsekwencją postanowienia znaku równości między PRL a „komunizmem” było świadome dążenie do wykluczenia „komunistów” ze wspólnoty narodowej, s t y g m a t y z o w a n i e ich jako „nominalnych” jedynie Polaków oraz zakaz współdziałania partii „postsolidarnościowych” z SdRP, a następnie SLD. Była to więc polityka ideowej dyskryminacji, całkowicie sprzeczna z zasadą, iż nikogo nie wolno dyskryminować ze względu na „światopogląd, opinie polityczne lub wszelkie inne” (Karta Praw Podstawowych UE). Więcej nawet: niejednokrotnie wyrażano przekonanie (m.in. w polemikach ze mną), że mniejszościami podlegającymi prawnej ochronie są tylko mniejszości etniczne i wyznaniowe, „komuniści” natomiast mniejszością taką nie są, a więc p o w i n n i b e z w a r u n k o w o podporządkować się narodowej większości, wyrzekając się prawa do obrony własnej tożsamości i własnej pamięci. Powinni nawet zgodzić się, że mają „gorsze biografie” i pokornie akceptować wynikające stąd konsekwencje. Nawet „Gazeta Wyborcza” nie zawahała się stwierdzić, że ekskomunistom „mniej wolno”.

Łatwość, z jaką wiele osób zaakceptowało te wyobrażenia o „moralno-politycznej jedności narodu” (świadomie używam sformułowania z czasów PRL) świadczy moim zdaniem o sile odruchów kolektywistycznych i niedostatecznym przygotowaniu do akceptacji liberalnego pluralizmu. Z drugiej strony zjawisko to zmusiło osoby p r z y w i ą z a n e d o z a s a d l i b e r a l n y c h do przeciwstawienia się wojującemu „antykommunizmowi” w imię elementarnej politycznej przyzwoitości. W tych warunkach nie było możliwe zbudowanie społeczeństwa liberalno-demokratycznego opartego na podziałach wedle programów politycznych i racjonalnie rozumianych interesów.

Wedle ideologii PiS w obronie „komunistów” wystąpiły inteligenckie „salony”, co było ceną za porozumienie elit zawarte przy Okrągłym Stole. Nie jest to prawdą, aczkolwiek prawdą jest niestety, że „salony towarzyskie” odgrywały w III RP nienaturalnie wielką rolę opiniotwórczą.

Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przywołać konkretny przykład. W końcu 2000 roku (12 XI 2000) na łamach „TP” pojawił się programowy artykuł Piotra Wojciechowskiego pt. *Między bunkrem a salonami*. Przeczytaliśmy w nim, że „salon”, czyli „nieformalna struktura stojąca na straży cnót obywatelskich” w poufnych rozmowach ustalająca role i reputacje, jest jedynym środkiem obrony przeciwko „bunkrowi”, czyli nieformalnej strukturze SLD kierującej z ukrycia wszystkim, co złe. Trudno w to uwierzyć, ale można to przeczytać. O tym zaś, że „salon” traktował swą misję bardzo serio świadczą takie fakty, jak odmowa udzielania łamów wymienionego tygodnika takim osobom, jak Andrzej Drawicz lub Bronisław Łagowski – pierwszemu za nazbyt przyjazny stosunek do Rosji (co uchodziło za politycznie niepoprawne), drugiemu za obronę państwowości PRL-owskiej.

Myślę, że po upływie dziesięciu lat mogę już pozwolić sobie na odnotowanie faktu zabawnego wprost w swej małościowości. Otóż dodatek kulturalny do wymienionego tygodnika pt. „Kontrapunkt” odnotowywał

wszystkie, najmniejsze nawet wyróżnienia (a nawet urodziny) zaprzyjaźnionych ludzi kultury i humanistów, ale całkowicie przemilczał międzynarodową nagrodę im. Eugenio Balzana, wręczoną polskiemu uczonemu za „wyjątkowe osiągnięcia w dziedzinie badań nad myślą narodów słowiańskich”, mimo że przy wręczaniu tej nagrody, przyznanej uprzednio też ludziom tej miary co Emmanuel Levinas, następnie zaś Paul Ricoeur, obecny był ambasador RP oraz osoby bliskie redakcji „TP”. Czy było to niedopatrzaniem? Nie – było to zastosowaniem reguły, że reputację polskich humanistów powinno się ustalać po konsultacjach z odpowiednimi gwiazdami w Polsce.

O tym, że było to regułą właśnie, a nie wyjątkiem świadczy dobitnie fakt, że w ogóle nie odnotowała tej nagrody „Rzeczpospolita”, mimo że dziennikarze z tej gazety obecni byli na uroczystości jej wręczenia. „Gazeta Wyborcza” zaś drastycznie zmarginalizowała tę nagrodę, nie podając nawet za co ją otrzymałem i umieszczając małą notę na ten temat obok takiej samej noty informującej, że Hanna Gronkiewicz-Waltz otrzymała nagrodę im. S. Kisielewskiego. „Polityka” z kolei, która nieco wcześniej wyróżniła mnie nagrodą za książkę *Marksizm i skok do królestwa wolności*, otrzymała ode mnie faks z informacją o nagrodzie Balzana, ale – o czym powiedział mi dyskretnie jeden z jej redaktorów – świadomie zrezygnowała z podania tego faktu do wiadomości publicznej.

To przemilczenie lub totalne zmarginalizowanie prestiżowej nagrody międzynarodowej, nazywanej „włosko-szwajcarskim Noblem” i wręczanej w pałacu Kwirynalskim przez prezydenta Włoch, było tak drastyczne, że parę osób (Bronisław Łagowski, Andrzej de Lazari) ze zdziwieniem odnotowało to w prasie. Jak z tego widać, elity nie były skłonne do pochopnego brania się. Przeciwnie: bano się „grzesznych związków” nie tylko z „komunistami”, lecz również z ludźmi nazbyt niezależnymi, a więc nie poddającymi się sterowaniu przez „salony”.

Ów lęk postsolidarnościowych elit (używam słowa „elita” z niechęcią, w krajach demokratycznych bowiem nikt sam siebie do elity nie zalicza) przed posądzaniem o „grzeszne związki” był tak wielki, że prowadzić mógł prostą drogą do o d r z u c e n i a potencjalnych sojuszników i do politycznego samobójstwa. Tak właśnie stało się z Unią Wolności, która po uchwaleniu w roku 1997 r., przy współudziale SLD liberalno-demokratycznej konstytucji zawarła sojusz z antykomunistyczną prawicą Mariana Krzaklewskiego, czyli pośrednio z księdzem Rydzykiem.

Polityka III RP określana była więc na wszystkich szczeblach, z kulturą włącznie, nie przez „grzeszne związki”, ale przez p a n i c z n y lęk przed takimi związkami.

5 XII 2007

W dniu wczorajszym, w sali Lustrzanej pałacu Staszica odbywała się promocja zbioru artykułów Zbigniewa Pełczyńskiego opublikowanego przez Wydawnictwo Naukowe „Scholar” pod tytułem *Polska droga od komunizmu. Refleksje nad historią i polityką 1956-2006*. Miałem przyjemność zagać dyskusję nad tą książką mojego starego przyjaciela, wybitnego naukowca z Oksfordu, a zarazem zastępczego or-

ganizatora współpracy naukowej między Oksfordem a uniwersytetami polskimi oraz założyciela pionierskiej szkoły liderów w Warszawie.

Poznałem Zbigniewa Pełczyńskiego jesienią 1960 roku jako stypendysta Fundacji Forda w oksfordzkim St. Anthony's College. Przeczytałem wówczas (w maszynopisie) jego rozprawę doktorską o pismach politycznych Hegla, polemizującą z błędną interpretacją heglizmu w słynnej książce K. Poppera *The Open Society and its Enemies*. W swej dysertacji habilitacyjnej o rosyjskim słowianofilstwie pt. *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa* (PWN 1964) odnotowałem (na s. 259), że w interpretacji sporu słowianofilów z heglizującymi okcydentalistami dużą pomoc okazała mi „analiza rozpraw politycznych Hegla w nieopublikowanej pracy doktorskiej Zbigniewa Pełczyńskiego *Hegel's Minor Political Writings* (July 1956)”.
 Było to ważne dlatego, że Hegel traktowany był jako główny inspirator konserwatywno-romantycznego historyzmu słowianofilów, czyli kierunku krytykującego racjonalizm i liberalizm jako zjawisko swoiście zachodnie, obce wartościom wspólnotowym reprezentowanym ponoć przez chrześcijańską Rosję. W rzeczywistości było na odwrót: Hegel był oczywiście sojusznikiem rosyjskich liberalnych okcydentalistów, a nie romantycznych, antyzachodnich konserwatystów. Antycypował Weberowską koncepcję rozwoju jako racjonalizacji stosunków społecznych, racjonalnej biurokracji i więzi społecznej typu kontraktualnego, bronił więc (używając kategorii F. Tönnies'a) zracjonalizowanego *Gesellschaft*, a nie organicznego *Gemeinschaft*. W świetle analiz Pełczyńskiego było zupełnie oczywiste, że reprezentował szeroko rozumianą tradycję liberalną, a nie tradycję „myślenia konserwatywnego” w sensie Mannheim'a, lub w sensie Popperowskiego „trybalizmu”. Inna rzecz, że był to liberalizm etatystyczny kładący nacisk na rolę państwa w procesie racjonalizacji stosunków społecznych.

Moje późniejsze badania nad myślą rosyjską, m.in. nad Borysem Cziczerinem oraz tzw. „szkołą państwową” w rosyjskiej historiografii potwierdzały na każdym kroku, że w sporze o Hegla rację miał Pełczyński właśnie, a nie Popper, i że tradycji liberalnej nie można utożsamiać z liberalizmem anglosaskim. W krajach Europy kontynentalnej, zwłaszcza w Prusach i w Rosji ważną rolę odgrywał liberalizm etatystyczny, mogący nawiązywać do idei racjonalnego państwa w tradycji heglowskiej.

Bezpośrednią współpracę ze Zbyszkim nawiązałem z okazji ważnej pracy zbiorowej pt. *Conceptions of Liberty in Political Philosophy* (pod red. Z. Pełczyńskiego i J. Gray'a, Athlone Press, Londyn 1984). Z inicjatywy Pełczyńskiego, który rozmawiał ze mną na ten temat w Warszawie jesienią 1981 roku, napisałem do niej rozdział o koncepcji wolności u Marksa. Przedyskutowałem ten tekst z Leszkiem Kołakowskim w Canberze (z okazji jego *Tanner Lecture* wygłoszonego na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w 1982 roku), a następnie posłałem go Izajaszowi Berlinowi, który ocenił go entuzjastycznie. Niestety, wbrew początkowym ustaleniom, książka ukazała się bez przedmowy Berlina, nie chciał on bowiem firmować swym nazwiskiem rozdziału o Hannie Arendt, której nie cierpiał. Pełczyńskiemu bardzo zależało oczywiście na przedmowie

Berlina, którego uważał za jednego ze swych mistrzów, ale nie chciał płacić za to uleganiem prywatnym fobiom wielkiego skądinąd człowieka. Sądzę, że to wierność standardom bezstronności cechowała Pełczyńskiego na wszystkich etapach jego działalności.

Najważniejszym punktem styczniowym między moimi zainteresowaniami a badaniami Pełczyńskiego stała się sprawa polska w okresie kryzysu „realnego socjalizmu”. W przeddzień stanu wojennego wyjechałem do Australii na zaproszenie Australijskiego Uniwersytetu Narodowego (ANU). Nieco później, do tego samego Zakładu Historii Idei Eugeniusza Kamenki przyjechał na kilka miesięcy Pełczyński jako *visiting Fellow*. Widywaliśmy się wówczas codziennie, a sprawy polskie były głównym tematem naszych rozmów. Już wtedy stało się dla mnie jasne, że łączy nas duża zbieżność poglądów. Obaj nie ulegaliśmy zjawisku, które Leon Petrażycki nazywał „zarażaniem się emocjonalno-intelektualnym”, czyli spontaniczną uległością wobec dominujących emocji grupowych. Pozwalało nam to dystansować się od środowisk, które zareagowały na wprowadzenie stanu wojennego demonizacją PRL-u, interpretowaniem rzeczywistości PRL-owskiej w kategoriach manichejskiej walki „dobra” (opozycji) ze „złem” (władzą), a więc w rezultacie pseudoantykomunistyczną histerią (używam słowa „pseudo”, ponieważ za prawdziwy „antykomunizm” uważam walkę z komunizmem autentycznym, ofensywnym i pewnym siebie, a nie walkę z geopolitycznym realizmem reżymu Jaruzelskiego). Dlatego już wówczas uświadomiłem sobie istotną zbieżność między poglądami mojego przyjaciela z Pembroke College a własnym postrzeganiem tego, co stało się w Polsce.

Uroczyście promowana wczoraj książka Zbyszka poświęcona jest „polskiej drodze o d k o m u n i z m u”. Zgodnie z obowiązującym schematem ideologicznym należało się spodziewać, że autor rozpocznie drogę odwrotu od komunizmu od narodzin „Solidarności” oraz od ukształtowania się w PRL wielonurtowego ruchu opozycji zewnątrzsystemowej. W rzeczywistości jednak Pełczyński dowodzi, że proces dekomunizacji Polski rozpoczął się w roku 1956! Zacytujmy:

„Twierdzę, że »polska droga do komunizmu« stała się, od roku 1956, drogą o d k o m u n i z m u. Stało się to nader oczywiste podczas piętnastu nadzwyczajnych miesięcy pomiędzy sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku. Wierzę, jednak, i będę próbować wykazać, iż Polska weszła na drogę od komunizmu na długo przed narodzinami „Solidarności” i że wydarzenia lat 1980-1981 rozwijały się w tak dramatycznym tempie właśnie ze względu na ten tak długi okres przygotowawczy” (s. 152, podkr. AW).

Cytat ten pochodzi z wykładu Pełczyńskiego pt. *Poland: The Road from Communism*, wygłoszonego w Oksfordzie w roku 1982. Uzasadniając ten pogląd uczony oksfordzki nie zawahał się przed sformułowaniem tezy, że „wkład Gomułki w rozwój komunizmu, jeśli oceniać go obiektywnie, był ogromny” (s. 157). Rozwinął ją w punktach, które uważam za właściwe powtórzyć jego własnymi słowami, aczkolwiek z wprowadzeniem maksymalnych skrótów. A więc:

„Po pierwsze, system komunistyczny utracił piętno sowieckiego pochodzenia i sowieckiej dominacji (...). Po drugie, Gomułka uczynił system akceptowalnym,

utrzymując przymus na minimalnym poziomie (...). Po trzecie, Gomułka zniósł wiele dokuczliwych środków kontroli osobistej, zwłaszcza kontaktów z Zachodem (...). Po czwarte, zaprzestano urabiania kultury wedle kanonów z socrealizmu czy innych oficjalnych dogmatów. Uniwersytety i instytucje badawcze zyskały pewną samorządność, marksizm-leninizm był teraz traktowany jako jedno z wielu możliwych stanowisk, co prawda nadal popierane przez partię rządzącą i silnie subsydiowane (...). Stowarzyszenia zawodowe i kulturalne cieszyły się szeroką autonomią (...), jedno czy dwa spośród nich, jak na przykład Związek Literatów Polskich, zupełnie wyzbyły się charakteru ideologicznego”.

„Wreszcie, również w ramach PZPR Gomułka wprowadził znaczny zakres wolności. Marksizm-leninizm pozostał oficjalną doktryną, nie wolno go było kwestionować publicznie, ale władze partyjne nie wnikały zbyt głęboko w stan umysłu członków partii – liczyło się tylko zewnętrzne zachowanie. Agnostycyzm ideologiczny był powszechny, nawet praktyki religijne były tolerowane. Partia stała się raczej szeroko otwartym kościołem politycznym niż fanatyczną sektą – jej celem nie było wybawienie dusz z okowów przesądów religijnych, lecz skuteczne zarządzanie państwem i rozwojem gospodarczym. Nie wynikało to z wewnętrznej przemiany duchowej – partia naprawdę nie miała w tej sprawie wyboru. Po roku 1956 mogła znaleźć kandydatów tylko nie kładąc nacisku na ideologiczną ortodoksję. Inaczej niż partia stalinowska, która próbowała dostosować do siebie kraj, partia dostosowywała się teraz do kraju”.

Rozszerzenie zakresu wolności, o którym tu mowa, polegało przede wszystkim (co dodaję od siebie) na uznaniu, że obok płaszczyzny „preferencji” i „ingerencji”, czyli obok poglądów narzucanych lub zakazanych, może istnieć „płaszczyzna tolerancji”, czyli poglądów, których partia ani nie zakazuje, ani nie narzuca. Wedle wspomnień Jerzego Putramenta, była to polityka „wprowadzana odgórnie, z całą świadomością” już od wiosny 1956 roku (J. Putrament, *Pół wieku. Poślizg*, KiW, Warszawa 1987, s. 156-157). W praktyce okazało się to ustępstwem zasadniczym, umożliwiającym kształtowanie niezależnej kultury i myśli humanistycznej, a w dalszej konsekwencji również elementów bezpośredniej debaty nad stanem kraju.

Na krótką metę innowacje te walczyły przyczyniły się do stabilizacji systemu, ale w skali historycznej oznaczały w istocie początek generalnego odwrotu od komunistycznej ofensywy – rezygnację z legitymizowania systemu komunistycznym ideałem, głęboką erozję ideologicznej wiary, zatrzymanie „budownictwa komunizmu” na etapie tego, co już osiągnięto i co należy reformować pragmatycznie, a więc w praktyce w kierunku przeciwnym obowiązującej do niedawna wizji przyszłości. W kilkanaście lat później Leonid Breżniew ujął to w formule stania na gruncie „realnie istniejącego socjalizmu”, przeciwstawiając ten postulat zaangażowaniu Chruszczowa w „przyspieszone budownictwo komunizmu”.

W Polsce jednak ów proces deideologizacji komunistycznej *de momine* władzy, a więc faktycznego porzucania komunizmu, był nie tylko chronologicznie wcześniejszy, lecz również znacznie głębszy i dalej idący. Po krótkotrwałej próbie zastąpienia komunistycznej legitymizacji władzy jawnym nacjonalizmem

nastał czas pragmatycznego modelu Gierka, następnie zaś (w roku 1980) próba modelu konsultacyjnego, a po stanie wojennym eksperymentowanie z pluralizmem w ramach ustroju autorytarnego wciąż, ale nie próbującego restaurować ideologicznej więzi z tradycją komunizmu. Negocjacyjna forma zmiany ustroju w roku 1989 była więc zakończeniem, a nie początkiem, długiego procesu faktycznej dekomunizacji.

W moim *magnum opus* pt. *Marksizm i skok do królestwa wolności* (Stanford 1995, przekł. pol. Warszawa 1996), a także w artykułach pisanych w latach 1980. i 1990. zebranych w tomie *Polskie zmagania z wolnością. Widziane z boku* („Universitas”, Kraków 2000), rozwinąłem identyczne niemal poglądy na ewolucję „realnego socjalizmu”. W roku 1993 pisałem więc na łamach pisma „Res Publica Nowa”, że popaździernikowy „realny socjalizm” PRL nie przybliżał się do komunizmu, lecz od niego oddalał. A skoro tak, to nazywanie go komunizmem jest jedynie manipulacją negatywnymi konotacjami słowa komunizm. Ustrój PRL nie był komunizmem ani z punktu widzenia doktryny marksistowskiej, ani z punktu widzenia kierownictwa PZPR lub KPZR, ani wreszcie z punktu widzenia zwykłego zdrowego rozsądku. Społeczeństwo polskie było antykomunistyczne nawet wtedy, gdy udzielało poparcia kolejnej ekipie rządowej (np. ekipie Gierka). Przytłaczająca większość członków PZPR dystansowała się od komunizmu i bardzo nie lubiła komunistycznego rodowodu swej partii. Stawianie znaku równości między realnym socjalizmem a komunizmem, lub między partyjnymi a komunistami, jest dowodem złej woli lub elementarnego niezrozumienia PRL jako rzeczywistości społecznej, psychologicznej i ideologicznej” (patrz *Polskie zmagania z wolnością*, s. 121).

Paweł Śpiewak w książce *Pamięć po komunizmie* (Gdańsk, 2005) poddał te moje poglądy dewastującej w swym mniemaniu krytyce, wyrażającej obiegowe opinie „obozu postsolidarnościowego”. Jeszcze surowiej odniósł się do nich Tomasz Wołek, zarzucając Śpiewakowi, że potraktował moje poglądy poważnie, podczas gdy wystarczyłoby rozprawić się z nimi „w krótkich abugach” i wykluczyć mnie z grona uczestników debaty politycznej jako głosiciela absurdów (patrz „Przegląd Polityczny”, nr 73-74, 2005, s. 68-69).

Obaj autorzy odrzucili więc rozróżnienie między komunizmem we właściwym sensie tego terminu, określającym pewną wizję przyszłości, a „komunizmem” w żargonie dziennikarskim, jako określeniem wszelkich systemów, w których władzę sprawuje partia uważająca się (bądź w jakimkolwiek sensie, choćby tylko „genetycznym”) za komunistyczną. Za absurdalny uznali opis popaździernikowej Polski Ludowej jako kraju, w którym ledwie zaczęto budować fundamenty komunizmu i w którym partia rządząca nie chciała kończyć tej budowy w imię własnej wygody, ustępliwości wobec opinii oraz, *last not least*, z powodu uwolnienia się od mentalności komunistyczno-totalitarnej. A przecież tak właśnie było – wbrew iluzjom antykomunistycznej opozycji pragnącej widzieć się w roli heroicznych zwycięzców komunistyczno-totalitarnego smoka.

Na poglądy sformułowane tak mocno jak w wypadku Wołka, do którego nie mam żadnych osobistych uprzedzeń, odpowiedzieć muszę również stanowczo. Ideologowie „obozu postsolidarnościowego”, postrzegający

zmianę ustrojową jako swoją własną wyłączną zasługę, ulegając kombatanckiemu zaczadzeniu, a więc nie potrafia formułować ani rozumieć diagnoz z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora, jakim był oczywiście Pełczyński. Ja zaś świadomie broniłem się przed emocjonalno-intelektualnym zarażeniem się ideologią antykomunistycznej opozycji, widziałem w niej bowiem symplifikatorstwo, którego nie byłem w stanie akceptować. Dlatego też opatrzyłem swój zbiór artykułów uczciwym podtytułem *Widziane z boku*. To „patrzenie z boku” okazało się zbieżne z perspektywą oksfordczyka.

Jest rzeczą oczywistą, że to, co dostrzega się „z boku” inne jest od tego, co widzi się „od środka”. To pierwsze wydłuża dystans, co dla ludzi zaangażowanych w walkę bywa bolesne, a czasem krzywdzące, ale to drugie, czyli spojrzenie wyłącznie „od środka”, zakłada z reguły jakiś zbiorowy egocentryzm, niebezpiecznie absolutyzujący własne racje. Kombatancki syndrom „obozu posierpniowego”, koncentrujący się na krzywdach doznanych od komunizmu, gloryfikujący własne zwycięstwa i jednocześnie obsesyjnie tropiący we własnych szeregach przejawy słabości utożsamiane ze zdradą, zbyt mocno zaciążył nad życiem umysłowym odrodzonej Polski, zainstalował w niej klimat opresyjności, podejrzliwości i szantażu. Dlatego właśnie tak cenne jest, moim zdaniem, uzupełnienie spojrzenia od wewnątrz na polskie zmagania z komunizmem spojrzeniem z zewnątrz, pozwalającym lepiej zrozumieć złożoność rzeczywistości PRL-owskiej, wyodrębnić w niej różne etapy i zobaczyć je w perspektywie porównawczej.

Należy mocno podkreślić, że błędu absolutyzowania własnych zaangażowań ideowych nie należy rozumieć wąsko, przypisując go jedynie zwolennikom odwetowej, skrajnie lustracyjnej ideologii tzw. „IV Rzeczypospolitej”. „Manichejskim” uproszczeniem w ocenie przeciwnika grzeszyli w tej czy innej mierze wszyscy przedstawiciele opozycji antysystemowej, a następnie „obozu posierpniowego”. Typowym tego przykładem było i jest do dziś uporczywe ignorowanie znaczenia przełomu październikowego 1956, a więc tego właśnie wydarzenia, w którym Pełczyński (wraz z niżej podpisanym) dostrzegł początek wychodzenia Polski z komunizmu. Anna Bikont i Joanna Szczepańska dobitnie wyraziły to stanowisko w swej książce *Lawina i kamienie* (Prószyński i S-ka, Warszawa 2006, s. 310) stwierdzając obcesowo: „Z dzisiejszej perspektywy nie ulega wątpliwości, że Październik '56 skończył się od razu w październiku”. Co gorsza, analogiczny pogląd znajdziemy w monumentalnym dziele L. Kołakowskiego *Główne nurty marksizmu* („Aneks”, Londyn 1988, s. 1151), w którym czytamy: „Tak zwany »październik polski«, czyli objęcie władzy przez Gomułkę i jego ekipę, nie był bynajmniej początkiem społecznej czy kulturalnej odnowy albo »liberalizacji«, ale przeciwnie, początkiem jej końca”.

W świetle świetnego rozwoju kultury i nauki polskiej w pierwszej dekadzie po Październiku, w tym również wspaniałego rozkwitu myśli samego Kołakowskiego są to, w mojej ocenie słowa bulwersująco niesprawiedliwe, jaskrawo kontrastujące z przedstawionymi wyżej poglądami Pełczyńskiego.

Przyczyną tej skrajnej jednostronności autora *Głównych nurtów marksizmu* była „niecierpliwość w spra-

wach narodowych”, przed którą przestrzegał Norwid. Polegała ona na nadziei, że partia zdemokratyzuje się od wewnątrz, dopuszczając do procesów decyzyjnych swe skrzydło „rewizjonistyczne”, to zaś było ewidentnie niebezpieczną utopią, nie mogącą liczyć na tolerancję ZSRR i innych naszych sąsiadów. Realną „mądrością etapu” (wyrażenie St. Stommy) była liberalizacja bez politycznej demokratyzacji, tego jedynie oczekiwało od partii społeczeństwo polskie – w odróżnieniu od ambitnych „rewizjonistów” partyjnych, niemniej wyobcowanych społecznie niż partyjni „dogmatycy”. Ja osobiście, jako młody człowiek nie należący do PZPR i powiązany (podobnie jak Pełczyński) ze środowiskami AK-owskimi, nie myślałem nawet o politycznej demokratyzacji partii, a więc nie przeżyłem rozczarowania, które stało się udziałem Kołakowskiego. Oczekiwałem od partii tego jedynie, aby ograniczyła *z a k r e s* swej władzy i aby nie przestając być partią autorytarną (bo tylko taka partia mogła spełniać rolę klosza ochraniającego odrębności polskie), zrezygnowała z aspiracji totalitarnych i z pryzmatu ideologii nad celami ogólnonarodowymi. Sądzę, że na tym właśnie polegał niepisany kontrakt między władzą a społeczeństwem polskim zawarty w roku 1956. Mimo klęski poniesionej przez wewnątrzpartyjnych rewizjonistów, Gomułka w gruncie rzeczy dotrzymał tej umowy: Polska po roku 1956 była przecież krajem *w y c h o d z ą c y m* już z ortodoksyjnego komunizmu, zupełnie innym niż w czasach stalinowskich.

W omawianej książce Pełczyńskiego znajdujemy bardzo ciekawe potwierdzenie tezy, iż liberalizacja kulturalna była z punktu widzenia reżymu Gomułkowskiego czymś zupełnie różnym od jawnej opozycji politycznej. Cytuję:

„W 1966 roku Kołakowski został w końcu wyrzucony z partii za wygłoszenie do audytorium złożonego ze studentów krytycznej mowy w dziesiątą rocznicę polskiego Października. Jednak w rok później Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało zbiór jego esejów filozoficznych pod tytułem *Kultura i fetysze*. Wyglądało to tak, jak gdyby partia usiłowała rozróżnić Kołakowskiego – niepoprawnego kolegę partyjnego – od sławnego myśliciela marksistowskiego i profesora filozofii. Pierwszego należało doprowadzić do porządku, nie miało to jednak wpływu na traktowanie drugiego. Dopiero po marcu 1968 nałożono totalną blokadę na publikacje jakichkolwiek tekstów Kołakowskiego” (s. 79).

Cytat ten chciałbym opatrzyć drobnym uściśleniem: *Kultura i fetysze* (1967) nie były już dziełem marksistowskim, ale znakomitą dokumentacją rozstawiania się Kołakowskiego z marksizmem. Ale w ogólnej ocenie omawianego okresu całkowicie zgadzam się z Pełczyńskim. W wyniku przełomu październikowego Polska definitywnie zerwała z ideologicznym monopolem marksizmu-leninizmu. Marksizm, zarówno w filozofii, jak i w socjologii (zwłaszcza w szkole Juliana Hochfelda) rozwijał się twórczo i coraz swobodniej, współistniejąc z kierunkami niemarksistowskimi. Wydział Filozofii UW z Leszkiem Kołakowskim i Bronisławem Baczko przeżywał złoty okres swego rozwoju. Ja osobiście wykorzystałem te możliwości w sposób maksymalny, dzięki czemu zaliczony zostałem w latach 1964-65 (wraz z L. Kołakowskim, B. Baczko i J. Szackim) do współtwórców tzw. „warszawskiej szkoły historii idei”.

Nic dziwnego więc, że zareagowałem na pojawienie się *Głównych nurtów marksizmu* obszernym listem do Kołakowskiego, pisanym w Genewie w dniach 27 lutego – 3 marca 1979 r. Wyraziłem w nim m.in. stanowczy sprzeciw wobec tezy, iż Październik 1956 był „początkiem końca kulturalnej odnowy”, pisząc, iż był to tylko „początek końca politycznych aspiracji rewizjonizmu”. „Odnowa kulturalna” stała się natomiast faktem niewątpliwym.

Było tak w samej rzeczy. Wystarczy przypomnieć samorzutne zniknięcie socrealizmu (wciąż duszącego rozwój literatury i sztuki w krajach sąsiedzkich), wspaniałe osiągnięcia kinematografii i teatru, triumfalny powrót i świetny rozwój socjologii oraz wytrwałą pracę historyków, cierpliwie demontujących, cegiełka po cegiełce, fundamenty historycznej indoktrynacji zbudowane przez stalinowską konferencję otwocką 1952 roku.

Zjawisk tych nie da się wyjaśnić przy traktowaniu dziejów PRL jako „czarnej dziury”. Studia Pełczyńskiego, ukazujące dzieje popaździernikowej PRL jako historię wychodzenia z komunistycznej zapaści, rzucają natomiast wiele światła na procesy tak bardzo dziś ignorowane lub zniekształcane.

23 III 2008, Nieborów

W tygodniku „Europa” z dn. 23 marca znajduję wywiad B. Łozińskiego z Leszkiem Kołakowskim pt. *Wiara fundamentem istnienia*. Leszek stwierdza w nim m.in., że nie wie, co to dziś lewica! Bo w równość wobec prawa wierzą ponoć wszyscy i nawet państwo laickie „nie jest monopolem ruchów lewicowych”. Co do liberalizmu, to „zawsze, przynajmniej w Europie, liberalizm oznaczał wolny rynek” (s. 4), a Kościół ponoć „akceptuje liberalizm ekonomiczny”.

Zdziwiłem się. Po pierwsze (o czym pisałem wielokrotnie), liberalizm wcale nie zawsze utożsamiał się z ideologią wolnorynkową, a nauka społeczna Kościoła (zwłaszcza w wykładni Jana Pawła II) liberalizmu ekonomicznego nie akceptuje. Ale mniejsza o to. Co z tą lewicą?

Moim zdaniem, spoiwem lewicy są dziś następujące postulaty:

- Nieodwracalność podstawowych zdobyczy *welfare state* (ubezpieczenia społeczne, publiczna służba zdrowia, darmowa edukacja. Domaganie się ich anulacji jest klasycznym wstecznictwem).

- Niezgoda na „świętość” i aksjologiczną nadrzędność prawa własności prywatnej. Prywatyzacja tylko ze względów pragmatycznych, repywatyzacja jako absolutny wyjątek. Niedopuszczalność ekspropriacji na rzecz właścicieli sprzed wielu lat. Zasada „grubej kreski” w tych sprawach, bo przywracaniu „prawowitych właścicieli” nie będzie końca.

- Horyzontalna i wertykalna (pokoleniowa) solidarność społeczna.

- Etyczny indywidualizm. Odrzucenie dyktatury wspólnoty, narodu, państwa. Dyktatura w imię wartości kolektywistycznych to śmiertelny grzech komunizmu, od którego lewica musi się odżegnać.

W warunkach polskich:

- Niezgoda na etnocentryzm i politykę nienawiści. W tym bezwarunkowe odrzucenie żądań pozasądowej lustracji i pomysłów dyskryminowania ekskomunistów.

- Niezgoda na wszelkie formy instytucjonalizacji rządów, a także nieformalnej władzy tzw. elit, zwłaszcza zaś tych, które skompromitowały przez nadużycie sztandar „postsolidarności” (co nie łączyłoby się z jakąkolwiek dyskryminacją jednostek).

- Krytyka mitotwórstwa służącego tym elitom, zwłaszcza mitów „kombatanckich”.

- Odrzucenie orwellowskiej nowomowy, czyli prób zdominowania społeczeństwa przez narzucenie języka (np. „roszczenia” zamiast „uprawnienia”, „dziecko” lub nawet „Polak” jako określenie embrionu itp.).

- Protest przeciwko próbom monopolizacji wartości narodowych, w tym zwłaszcza przeciwko próbom konstruowania i narzucania „jednej pamięci narodowej”, wykluczającej tradycję polskiej lewicy.

- Maksymalny obiektywizm w ocenie Polski Ludowej, z szacunkiem dla ludzi dobrze ją wspominających oraz w trosce o to, aby jej zaczerpiony obraz nie stał się narzędziem prawicowej indoktrynacji.

- Obrona cywilizowanych zasad państwa prawa. W związku z tym stanowczy sprzeciw wobec zawłaszczania zasług i czynienia z tego specjalnych uprawnień („nam więcej wolno”) oraz wobec polityki traktowania kogokolwiek jako „obywatela drugiej kategorii”.

- Niezgoda na rusofobię, odrzucenie, rzecz jasna, wszelkich form antysemityzmu.

- Odrzucenie pseudoantykomunizmu, tj. antykomunizmu bez komunistów, służącego dyskryminacji postpeerelowskiej lewicy, przy jednoczesnym antykomunizmie we właściwym sensie tego terminu. Wiedza o tym, czym był komunizm, umiejętność odróżniania jego odmian i faz, aby nie być bezbronnym wobec antykomunistycznej prawicy. Umiejętność przeciwstawienia się pogładowi L. Kołakowskiego (patrz wspomniany wyżej wywiad, s. 3), że słowo „socjalizm” zostało „zmopolizowane przez leninowską wiarę i praktykę”.

- Czy również sprawy obyczajowe i moralne? Tak, w zakresie rzeczywistego równouprawnienia kobiet, kontroli urodzin, kontracepcji. Swoboda obyczajowa w rozsądnych granicach, bo przesada pod tym względem to nie lewicowość, lecz kontrkulturowy liberynizm.

W nawiązaniu do Leszka Kołakowskiego przypomnieć należy również „postawę nieustannej czujności wobec wszelkich absolutów”, z którą tak mocno identyfikował się w młodości. Programowy antyfundamentalizm, antydogmatyzm, niezależność myśli. Na lewicę dogmatyczną, fundamentalistyczną, miejsca już nie ma.

Post scriptum (styczeń 2009):

W książce Tony Judta *Reappraisals. Reflections on the Forgotten Twentieth Century* (W. Heinemann, Londyn 2008) jeden z rozdziałów, opublikowany pierwotnie w „The New York Review of Books” (31 X 1996), poświęcony został drugiemu anglojęzycznemu wydaniu dzieła Kołakowskiego *Główne nurty marksizmu*. Szczególną uwagę autora zwróciła nowa przedmowa do tej książki, ostrzegająca czytelników przed próbami reanimacji marksizmu – przy jednoczesnym podtrzymywaniu tezy, że marksizm stracił wszelką aktualność we współczesnym świecie („ta czaszka już się nie uśmiechnie!”). Judt zgadza się, że myśl o wskrzeszaniu marksistowskiego komunizmu jest fantazją – tak samo nierealną jak wiara

w wiecznotrwałość panującego dziś konsensusu co do „demokracji rynkowej” (s. 142-143).

Nic jednak (dodaje) nie jest tak potężne jak fantazja, „której czas nadszedł”. Komunistyczna eschatologia jest dziś martwa, ale marksizm może ożyć jako narzędzie analizy i krytyki bezwzględnej dominacji kapitalistycznego rynku i jego liberalnych apologetów. Od samego początku bowiem z tego właśnie czerpał swą siłę, o czym dziś niestety skłonniśmy zapominać (w tej kwestii autor powołuje się na s. 140 na moją książkę *Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom*). Kołakowski głosi, że kwestia społeczna w swym groźnym wymiarze przestała istnieć, co zdemontowało prawomocność lewicy. Było tak, przynajmniej w jakiejś mierze, w zachodniej Europie okresu triumfów *welfare state*, ale to już przeszłość. Dziś kwestia społeczna odrodziła się jako centralna sprawa świata, a wraz z nią, czy chcemy tego, czy też nie, znów pojawiła się szansa dla marksizmu. Nieprzypadkowo w sondażu BBC z 2005 roku Marks uznany został „za największego filozofa wszystkich czasów” (s. 142 i przyp. 20 na s. 146).

Ostatni rozdział *Reappraisals*, opublikowany w roku 1997 w „Foreign Affairs” i formujący poglądy, które zdaniem autora całkowicie się potwierdziły, nosi tytuł *The Social Question Redivivus*. Jest to diagnoza pisana z pozycji lewicowego liberalizmu, a nie klasycznej lewicy, zawiera bardzo mocne sformułowanie tezy, że lewica musi przezwyciężyć swój kryzys, ponieważ jej istnienie niezbędne jest dla współczesnego świata, aczkolwiek w zupełnie nowej roli: w roli siły konserwatywnej, broniącej osiągnięć liberalnego państwa opiekuńczego. Doświadczenie zapomnianego dziś XX wieku wykazało wprawdzie, że państwo nie może być organizatorem produkcji, ale dowiodło jednocześnie, że jest nie do zastąpienia w ubezpieczeniach społecznych, służbie zdrowia, edukacji, a nawet w zabezpieczeniu transportu i organizacji wypoczynku. We wszystkich tych dziedzinach państwo nie może być wyeliminowane przez rynek lub spontaniczne siły „społeczeństwa obywatelskiego”. Zadaniem lewicy jest więc obrona wspólnego dobra przez wytyczanie racjonalnych granic urynkwienia i prywatyzacji.

Jak łatwo zauważyć program ten, uwiarygodniony autorytetem człowieka uważanego za najwybitniejszego historyka powojennej Europy (autora słynnej syntezy pt. *Postwar. A History of Europe Since 1945*, opublikowanej niedawno w przekładzie polskim) zbieżny jest całkowicie z pierwszym punktem nakreślonej wyżej listy postulatów lewicy. Uważam tę zbieżność za ważką i krępującą.

Styczeń 2009

W październiku ubiegłego roku zawiadomiono mnie, że w związku z proklamowanym przez UNESCO 16 listopada Światowym Dniem Tolerancji Ekumeniczna Fundacja „Tolerancja” przyznała mi medal „za wybitne osiągnięcia w krzewieniu idei tolerancji”. Przyjąłem to wyróżnienie z wielką satysfakcją – tym bardziej że w poprzednich latach odznaczono tym medalem wiele osób dobrze mi znanych i bardzo przeze mnie szanowanych, a wraz ze mną przyznano go również prof. Andrzejowi Romanowskiemu.

Z powodu wyjazdu do Australii nie mogłem niestety osobiście uczestniczyć w listopadowej uroczystości, napisałem jednak do Fundacji list, który odczytał w mo-

im imieniu mój przyjaciel, Paweł Kozłowski. Oto tekst tego listu:

Fundacja Ekumeniczna „Tolerancja”
ul. Ogrodowa 37, 00-873 Warszawa

Szanowni Państwo, Panie i Panowie –

Czuję się prawdziwie zaszczycony przyznaniem mi medalu „Zasłużonego dla Tolerancji” – przez tak znaczne grono i w tak doskonałym towarzystwie. Żałuję, że z powodu wyjazdu za granicę nie będę mógł odebrać go osobiście.

Z pewnością zgodzimy się, że nie wystarczy nam dziś tolerancja w wąskim, historycznym sensie tego słowa – jako „tolerowanie” czegoś, co trudno byłoby usunąć lub zmienić, ale czego nie musi się szanować. Nie wystarczy też tolerancja dla grup wyodrębnionych na zasadzie etnicznej lub wyznaniowej, choć jest to oczywiście ABC wszelkiej tolerancji. Tolerancja w znaczeniu najszerszym, a o to przecież chodzi, to aprobatą dla aksjologicznego pluralizmu, szacunek dla wszystkich uczciwych opcji życiowych i wyborów światopoglądowych, zgoda na to, że nie można dzielić ludzi według kryteriów „genealogicznych”, upokarzać i marginalizować kogokolwiek z powodu różnic politycznych, nie mówiąc już o publicznym piętnowaniu za cokolwiek bez prawnego przeprowadzenia dowodu winy.

W tym sensie – kłaniam się w tym momencie prof. Andrzejowi Romanowskiemu – spora popularność, jaką zyskał u nas horrendalny program powszechnej lustracji, jest niestety dowodem, że zasady tolerancji, wraz z nieodłącznym od nich domniemaniem niewinności, nie są bliskie znacznej części polskiego społeczeństwa – mimo że w świecie nowoczesnych wartości europejskich, do którego aspirujemy, uważane są za niezbędny warunek cywilizowanego współżycia ludzi.

Mało tego! Polska jest krajem, w którym od samego początku wychodzenia z „realnego socjalizmu” ujawniły się, głównie na prawicy, ale nie tylko, bardzo silne postawy antytolerancyjne. Jednym z głównych wątków naszego szczególnego „antykomunizmu bez komunistów” stało się utożsamianie tolerancji z relatywizmem, a w konsekwencji z nihilizmem. Rezultaty tego okazały się oplakane nie tylko w relacjach międzyosobowych (np. zrywanie przyjaźni z powodów ideologicznych), lecz również na poziomie życia ogólnonarodowego. Hurtowe potraktowanie okresu PRL jako „czarnej dziury” skutecznie odcięło młode pokolenie Polaków od niedawnej przeszłości, zrywając łańcuch pokoleń, co jest przecież istotą ciągłości życia narodowego i rodząc kuriozalne wręcz niezrozumienie realnych dylematów, przed którymi stała starsza część społeczeństwa. Po drugie, zawłaszczenie pojęcia patriotyzm przez tzw. obóz postsolidarnościowy zrodziło tendencję do utożsamiania elity narodu ze stowarzyszeniem skłóconych kombatanów, legitymując jednocześnie piętnowanie krytyków tego stowarzyszenia mianem „postkomunistów” lub metrykalnych tylko Polaków.

W tych warunkach promowanie zasad najszerzej pojętej tolerancji uważam za priorytet nie tylko moralny, lecz również narodowy. Nowoczesny naród bowiem, w odróżnieniu od plemienia, musi być wspólnotą maksymalnie pojemną, inkluzywną i pluralistyczną, a warunkiem tego jest tolerancja właśnie.

Raz jeszcze dziękuję za zaszczytne wyróżnienie –

ANDRZEJ WALICKI

Kraków 1945-1989. Dzieje, społeczeństwo, kultura (doroczne sympozjum „Kuźnicy”)

14 czerwca 2008 r. odbyło się w gościnnej Sali Fontany Muzeum Historycznego Miasta Krakowa przy Rynku Głównym doroczne sympozjum „Kuźnicy” i zaprzyjaźnionych stowarzyszeń inteligencji z Warszawy i Wrocławia. Tym razem tematem spotkania był: *Kraków 1945-1989. Dzieje, społeczeństwo, kultura*.

Referaty przygotowali: Andrzej Kurz (*Głos w sporze o powojenne dzieje Krakowa*), Stanisław Piwoński (*Podziemie niepodległościowe w drugiej połowie lat czterdziestych*), Irena Paczyńska (*Początki Nowej Huty*), Andrzej Kozanecki (*Środowiska opiniotwórcze wobec polskich granic zachodnich i północnych 1942-1948*), Hieronim Kubiak (*Uczelnia i ruch studencki w Październiku'56*), Zbigniew Bauer (*Wielka zmiana 1976-1989*), Krystyna Dąbrowa (*1980-1981 – krakowska próba porozumienia*).

Wystąpienia Andrzeja Kurza, Andrzeja Kozaneckiego i Ireny Paczyńskiej opublikowaliśmy w „Zdaniu” 1-2 (138-139) 2008, zaś w tym numerze publikujemy teksty Hieronima Kubiaka, Zbigniewa Bauera i Krystyny Dąbrowy.

REDAKCJA

HIERONIM KUBIAK

Studencki Październik '56 w Krakowie

Zamiast wstępu

Wiosna. Szliśmy środkiem jezdni wokół Plant i wołaliśmy „Chodźcie z nami”. Ruch uliczny zatrzymywał się, ale na twarzach pasażerów i przechodniów nie widać było napięcia lecz zaciekawienie. Tego pochodu nie zapowiadały przecież lokalne media. Nie było też, jak wielokrotnie przedtem, powszechnie widocznych przygotowań, zbiorów w wyznaczonych miejscach czy okolicznościowych dekoracji. Zatem kim są ci młodzi – bez transparentów, swobodni, zapraszający? Z pewnością studenci, bo tych rozpoznawali krakowianie zawsze. Ale dlaczego iść z nimi? Dokąd i po co?

My, ci zapraszający, też jeszcze nie do końca wiedzieliśmy. Urodzeni tuż przed lub w czasie wojny, mieliśmy wtedy po dwadzieścia lat. Jedni spośród nas, podobnie jak przed laty Stanisław Pigoń, wędrówkę w świat rozpoczynali gdzieś w Komborni. Inni szli do krakowskich szkół wyższych np. ze śląskich

familioków czy Reymontowskiej ziemi obiecanej. Jednak własną podmiotowość odnajdowaliśmy nie tylko w salach wykładowych i seminarijnych, lecz także (a może nawet przede wszystkim?) w akademikach, zagęszczonych ponad miarę dawnych bursach bratniańskich i w związanych z nimi klubach, m. in. w Starym Żaczku i Rotundzie. Tu wystandaryzowana przedmaturalna wiedza o świecie i współczesnej Polsce przegrywała z codziennym doświadczeniem i z imperatywami wynikającymi z lektury międzywojennych tekstów, a także z przypadkowo zdobytymi numerami paryskiej „Kultury” oraz literackimi spełnieniami – agnostycznego, ateistycznego, chrześcijańskiego – egzystencjalizmu czy personalizmu. Potem przyszły zdarzenia związane już bezpośrednio ze zmieniającą się po śmierci Stalina i XX Zjeździe KPZR rzeczywistością „realnego socjalizmu”. Zaczynaliśmy pytać starszych od nas, także profesorów:

nie wiedzieliście? Nasze pierwsze, nawet jeśli jeszcze żywiołowe, nie kierowane wyraźną wizją pożądanego stanu rzeczy, jednak samodzielne kroki wyprzedzały ich odpowiedzi.

Oto krótka charakterystyka tych kroków.

Pierwsze powojenne lata

23 krakowskie szkoły wyższe kształcą obecnie, jak podaje ostatni Rocznik Statystyczny GUS, ponad 192 tys. studentów. Z prostego porównania tej liczby z danymi dla całego kraju (do 448 uczelni, w tym 130 publicznych, uczęszcza 1 941 400 słuchaczy) wynika, że ok. 10 proc. wszystkich polskich studentów studiuje w Krakowie. Zważywszy że liczba mieszkańców Krakowa nie przekracza 800 tysięcy, oznacza to, iż – zwłaszcza w soboty i niedziele, gdy zjeżdżają tu studenci zaoczeni – co czwarty mieszkaniec miasta jest studentem. Zaiste, nawet w obecnej fazie przejścia od społeczeństwa przemysłowego do społeczeństwa informacyjnego i właściwej jej wszędzie rewolucji edukacyjnej, niewiele ośrodków akademickich świata zlokalizowanych w wielkich aglomeracjach miejskich charakteryzują analogiczne proporcje!

Kraków, do którego przybywało po naukę pokolenie z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku był jednak inny, choć także, na sobie tylko właściwy sposób niezwykły. I nie tylko dlatego, że tramwajem można było jeszcze wtedy przejechać z Dworca Głównego PKP, przez bramę Floriańską i Rynek Główny prawie pod Collegium Maius, lecz także ze względu na symboliczną funkcję Uniwersytetu Jagiellońskiego w świadomości narodowej Polaków, gdy w wyniku zmian terytorialnych państwa po II wojnie światowej brakło już dwu innych symboli I Rzeczypospolitej: Uniwersytetu Jana Kazimierza i Uniwersytetu Stefana Batorego.

Oprócz UJ, krakowskie środowisko szkół wyższych tworzyły wtedy jeszcze dwie uczelnie powstałe w II RP: Akademia Górnicza (utworzona w 1919 r.) i Akademia Handlowa (istniejąca od 1925 r. jako Wyższe Studium Handlowe) oraz kontynuująca działalność od 1900 r. Akademia Sztuk Pięknych. W ostatnim roku akademickim przed wybuchem wojny liczyły one odpowiednio: UJ – 6 110 studentów, AG – 604, AH – 1 582 i ASP – 154. Gdy po 1945 r. szkoły te wznowiły zajęcia, brakowało wszystkiego oprócz studentów. Brakowało zwłaszcza kadry nauczającej, bo ta w nieproporcjonalnie większym stopniu niż przedstawiciele innych warstw społecznych zginęła w obozach koncentracyjnych i na frontach lub, nie godząc się na zmiany polityczne i terytorialne w kraju, pozostała na emigracji. Nie brakowało studentów, bo w bramy uczelni zaczęli wkraczać nie tylko ci, którym wojna uniemożliwiła lub przerwała studia, lecz także pokolenie o chłopskim i robotniczym rodowodzie, które awansowało w wyniku zmian ustrojowych. Sam należałem do tego pokolenia, więc pamiętam jego problemy. W wyniku akcji oświatowych, w początku lat pięćdziesiątych doprowadzono do likwidacji alfabetyzmu. Otwarto także studia przygotowawcze dla tych, którzy wcześniej z różnych powodów nie posiadali matury. W efekcie liczba studentów w całym kraju zwiększyła się z 86 tysięcy w 1946 r. (ok. 50 tys. w 1937/1938 r.) do 160 tys. w 1956 r.

W samym Krakowie w pierwszym powojennym roku akademickim liczba studentów wynosiła ok. 10 tys., w tym zdecydowana większość studiowała na uniwersytecie. W dziesięć lat później, w 1956 r. sytuacja uległa radykalnej zmianie. Liczba szkół wyższych zwiększyła się do 11. Poza UJ były: WSE (d. AH, przemianowana w 1950 r.), AGH (pierwotnie AG, nowa nazwa od 1949 r.), AM (powst. w 1950 r.), PWSM (od. 1946 r.), WSR (utw. w 1953 r.), ASP (w latach 1950-1957 pod nazwą Akademia Sztuk Plastycznych), WSWF (utw. 1950 r.), PWST (istnieje od 1946 r. kolejno pod nazwami Państwowa Szkoła Dramatyczna i w latach 1948-1955 – Wyższa Szkoła Aktorska), PK (utw. w 1954 r.) oraz WSP (utw. w 1946 r. pocz. jako Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna). Ogólna liczba studentów w Krakowie przekroczyła wtedy 20 tysięcy.

Jednak żaden proces zmian nie był w tamtych latach wolny od skutków ubocznych. W przypadku szkolnictwa wyższego pożądanemu wzrostowi ilościowemu towarzyszyły (lub wynikały wprost z intencji władz państwowych, choć te ostatnie nie zawsze były znane opinii publicznej) decyzje administracyjne brzemienne w skutkach, bo zmierzające do poddania całego środowiska akademickiego: szkół wyższych, programów badań, działalności dydaktycznej, samorządu akademickiego i polityki kadrowej (w tym procesu zdobywania stopni i tytułów naukowych), współpracy zagranicznej, publikacji naukowych oraz dostępu do księgozbiorów i archiwów, nie mówiąc już o ruchach społecznych i organizacjach studenckich – represyjnej kontroli politycznej.

Stalinizacja

Nie wszystkie fakty były nam od razu znane, a jeśli nawet, to i tak nie do końca rozumieliśmy ich sens. Pozornie przecież nie dotyczyły bezpośrednio naszego studenckiego środowiska. Czasami wydawały się nawet bezbłędne jako pragmatyczna rachuba. Iluminacja przyszła dopiero później, a nieznane dotychczas (czy nawet z pozoru obojętne) zdarzenia zaczęły się gwałtownie kumulować w ciągu przyczynowo-skutkowe, które skłaniały do działań zgodnych z formułą dużo późniejszych ruchów: jeśli nie my, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Nowy porządek zaczyna się od usunięcia z uniwersytetu w 1948 r. prof. Władysława Konopczyńskiego. Przestają wyklądać profesorowie Adam Krzyżanowski, Tadeusz Dziurzyński, Kazimierz Buczek. Rok później w ogniu politycznej krytyki znajdują się: Juliusz Kleiner, Stanisław Pigoń, Zenon Klemensiewicz, Kazimierz Nitsch, Roman Ingarden. Marginalizacji zostają poddani również profesorowie związani czy nawet tylko sympatyzujący z przedwojenną PPS (m. in. Zygmunt K. Mysłakowski, Kazimierz Dobrowolski, Konstanty i Stefan Grzybowski; niektórzy uczeni z tego kręgu, np. Feliks Gross, zostają na emigracji). Pod presją tzw. radzieckich wzorów z programów studiów i naukowej refleksji skreślono fenomenologię, a także socjologię jako samodzielny kierunek studiów. W 1951 r. zawieszono Polską Akademię Umiejętności, a na jej miejsce powołano oddział Polskiej Akademii Nauk. Z PAN łączono nadzieje, że, rozdzielając badania i dydaktykę, do jej placówek uda się przesunąć ze

szkolnictwa wyższego „politycznie niepewnych” pracowników naukowo-dydaktycznych, wywierających „zły wpływ wychowawczy na studentów”.

Zdecydowano się na podział uniwersytetu; wyodrębniając z niego w styczniu 1950 r. wydział lekarski i stomatologię utworzono Akademię Medyczną. Od września 1953 r. wydziały rolniczy i leśny stają się zaczątkiem Wyższej Szkoły Rolniczej. Z dawnego Studium Wychowania Fizycznego wchodzącego przez pierwszą połowę 1950 r. w skład AM powstaje samodzielna Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego. Ze struktury uniwersytetu wyłączono Wydział Teologiczny. Wydziały, które w UJ pozostały, reorganizowano. Z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego wydzielono Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii, a z Wydziału Humanistycznego – wydziały: Historyczny, Filozoficzno-Społeczny i Filologiczny. Doprowadzono do rozmontowania złożonych mechanizmów akademickiego samorządu.

W bibliotekach wprowadzono tzw. resy, utrudniając w ten sposób dostęp studentów do książek alternatywnych wobec obowiązujących doktryn. Wreszcie, studentów wszystkich kierunków poddano, wprowadzając w tym celu obowiązkowe wykłady i ćwiczenia zakończone egzaminem, politycznej indoktrynacji. Przez kilka lat poza zasięgiem większości studentów znalazły się książki tworzące wkrótce kanon powojennej europejskiej i światowej humanistyki, w tym m. in. Ericha Fromma, Theodora Adorno, Jacques’a Maritaina, Raymonda Arona, C. Wright’a Milesa, Handleya Cantrila, Zbigniewa Brzezińskiego, Carla Friedricha, Milovana Djilasa.

Przez pierwsze powojenne lata działały jeszcze krakowskie pozauniwersyteckie instytucje skupiające inteligencję katolicką. Jednak wkrótce i one poddały się rygorystycznej kontroli. W 1953 r. doprowadzono do przesilenia w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, a sam „Tygodnik” przekazano PAX-owi. Ponadto w tym samym roku, zlikwidowano „Znak”. Ówczesnym władzom partyjnym i państwowym wdało się teraz, że wszystko jest już pod skutecznym nadzorem i efektywną kontrolą. A jednak rzeczywisty bieg wypadków podważył tę pewność.

Odwilż

Drogi krakowskich studentów do wybuchu wolności wczesną jesienią 1956 r. z całą pewnością nie były proste i nie dla wszystkich jednakie. Niewielu znało Jana Strzeleckiego i Juliana Hochfelda spór o socjalistyczny humanizm. Nie wszyscy rozumieliśmy rzeczywisty sens likwidacji w 1948 roku „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego Władysława Gomułka” i następnie jego aresztowania, nie mówiąc już o praskim przewrocie lutowym 1948 r. czy w tym samym roku bukareszteńskich decyzjach Kominteru potępiających jugosłowiańskich komunistów i Titę osobiście. Raczej obcy był nam również berliński czerwiec 1953. Sytuacja zasadniczo zmieniła się dopiero po śmierci Stalina.

Marzec 1953 roku pociągnął za sobą, jak kula śniegowa, lawinę zdarzeń. Lata 1954-1955 przyniosły rosyjskie *Ottiepiel* i polskie wydanie *Odwilży* I. G. Erenburga pokazując inną twarz radzieckiego systemu. Wkrótce tytuł ten staje się synonimem wczesne-

go politycznego przebudzenia. Odwilż. 28 wrześniu 1954 r. radio Wolna Europa rozpoczyna emisję raportów płk. Józefa Światła, wprowadzonego w wiele tajemnych spraw Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Te interesują nas szczególnie, bo pozwalają zajrzeć, jak głosi tytuł cyklu audycji WR *Za kulisami bezpieki i partii*. W połowie grudnia tegoż roku dowiadujemy się, że Władysław Gomułka wychodzi z więzienia. 19 sierpnia 1955 r. „Nowa Kultura” publikuje Adama Ważyka *Poemat dla dorosłych*. To jeszcze bliżej nas, bo ujawnia ciemne strony procesów zachodzących w Nowej Hucie. Odradza się, choć jeszcze nieśmiało, krytyczna publicystka. Dorosłujemy.

Czas biegnie coraz szybciej. XX Zjazd KPZR i Nikita S. Chruszczow, wtedy ikona nie tylko ZSRR, lecz także – choć na krótko – zwolenników „socjalistycznej odnowy”. Noc z 24 na 25 lutego 1956 r. przynosi jego utajniony referat odsłaniający kulis „kultu jednostki” i przygotowujący do poznania prawdy – jeszcze przed Sołżenicynem – o *gulagach*, radzieckiej wersji obozów koncentracyjnych. 12 marca 1956 r. umiera w Moskwie Bolesław Bierut, gość tego Zjazdu. Na kilka miesięcy (od drugiej połowy marca do października 1956) zastępuje go Edward Ochab.

Ci spośród nas, którzy byli członkami PZPR, zapoznają się w maju 1956 r. na zebraniach partyjnych z całym referatem Chruszczowa. Na zebraniu uniwersyteckiej organizacji partyjnej w auli Collegium Novum czyta go na głos Marian Stępień. Na AM – Tadeusz Popieła. Uczestniczyłem w zebraniu uniwersyteckim i do dziś pamiętam atmosferę grozy, jaka mi wtedy towarzyszyła. I te pozornie naiwne pytania kierowane wtedy do wieloletnich członków partii: „nie wiedzieliście? A jeśli wiedzieliście, to dlaczego się na to wszystko godziliście?” Mielśmy tylko po jednym egzemplarzu tego niecodziennego tekstu, każdy opatrzone był gryfem tajności i numerem. Przekazano je z KC PZPR, a w Krakowie zebrania nadzorował miejscowy komitet wojewódzki. To pewne. Ale do dziś nie wiadomo kto oryginalny egzemplarz referatu, napisany po rosyjsku, przywiózł do Polski. Może Matwin należący do grupy tzw. młodych sekretarzy PZPR? Wchodził w skład polskiej delegacji zaproszonej na XX Zjazd KPZR. Podobno po prostu zabrał go ze sobą.

Poznański Czerwiec '56. Teraz już nie tylko każdy dzień, ale i każda godzina miała swoją historię. Ci spośród nas, którzy zgodnie z obowiązującym wtedy regulaminem studiów byli na wojskowych poligonach, np. na poligonie 6 pomorskiej dywizji pod Mielcem, wiedzieli, że poligony nie miały tego lata innych – poza nami – użytkowników, bo regularna armia wypełniała inne zadania. 6 pomorska dywizja była gdzieś pod Poznaniem. Od płk. Tadeusza Cynkina, szefa Studium Wojskowego UJ, dowiedzieliśmy się także o czym później myśleli dowódcy doborowych jednostek WP, gdy rozeszły się wieści, że stacjonujące w Polsce oddziały wojsk radzieckich podobno przemieszczają się w kierunku Warszawy...

Studenckie „tam” i „wtedy”

Spośród trzech istniejących latem 1956 r. masowych organizacji młodzieżowych – ZMP, ZHP i ZSP – szczególną rolę spełniła ta ostatnia. Głównie dla-

tego, że od chwili powstania (1950 r.) Zrzeszenie Studentów Polskich było przez PZPR traktowane, jak później mówiono, jako „organizacja po przecinku”. Zrzeszenie miało, z partyjnego punktu widzenia, złe widzianą bratniakowską przeszłość i skupiało pod swoim znakiem tylko jedno środowisko. Ponadto było bez wyraźnego „oblicza ideowego”, ponieważ należeli do niego (należeli, bo musieli!) praktycznie wszyscy studenci. Co więcej, nie spełniało wobec partii żadnej istotnej funkcji ideowej ani organizacyjnej (bo te zastrzeżone zostały wyłącznie dla ZMP). Jednym słowem, przypominało coś pośredniego pomiędzy samorządem szkolnym a złe pojętym związkiem zawodowym – niewykraczającym swymi ambicjami poza krąg codziennych spraw socjalnych i rekreacyjnych.

Latem 1956 r. ZMP nie potrafiło sobie poradzić z nowymi wyzwaniem i milowymi krokami zmierzało do samorozwiązania. Nastąpiło ono w Krakowie już w październiku, a w całym kraju 1 listopada 1956 r. Jak powie po latach Jerzy Michalski, rozwiązanie ZMP nastąpiło „na zebraniu umarłych w dniu umarłych”. ZSP przeciwnie – stawało się coraz bardziej widoczne, wielobarwne i jednocześnie otwarte na nowych aktorów politycznej sceny: wyrwane z letargu przez bieg zdarzeń i demonstrowane na ulicach swoją obecność tłumy młodych ludzi, przez Studencki Komitet Rewolucyjny, a także nieformalne kręgi profesorskie zmierzające do odtworzenia akademickiego samorządu i, wreszcie, odradzające się środowiska twórców kultury symbolicznej, w tym tych stawiających dopiero pierwsze kroki.

Niezwykły to był czas. Kardynał Stefan Wyszyński wraca z klasztornej odosobnienia. Rewizjoniści wychodzą z uczelnianych katedr podstaw marksizmu-leninizmu bez mała tak, jak kiedyś protestanci z katolickich kościołów w Wittenberdze. Otwierają się bramy więzienne. Czasami także tak, jak w zrewoltowanym Poznaniu, pod naporem demonstrantów. Wyjeżdżają radzieccy doradcy i specjaliści – z wojska oraz służb podległych Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Napiętnowani wcześniej profesorowie ponownie podejmują swe obowiązki. Zakazane katedry i kierunki studiów ulegają reanimacji. Znowu będzie można studiować socjologię. Zygmunt Grodzki, a po nim Stefan Grzybowski zostają rektorami uniwersytetu i symbolizują odtąd ruch na rzecz przywrócenia akademickiego samorządu.

Jednak nie wszystko, co pod presją siły ulega zniszczeniu, może równie szybko zostać odtworzone. Proces zapoczątkowany w 1956 r. zostaje po siedmiu latach zablokowany przez władze partyjno-państwowe. Realny socjalizm zgadza się na pewną formułę samorządu szkół wyższych dopiero po 26 latach, a więc już w po wprowadzeniu stanu wojennego. Stosowną ustawę przyjmuje Sejm w dniu 3 maja 1982 r. Inicjatorem społecznym kluczowych wtedy rozwiązań ustawowych była grupa ludzi nauki wyłoniona w 1980 r. w wolnych wyborach przez rady wydziałowe największych krakowskich uczelni. Jej *spiritus movens* stał się Józef Andrzej Gierowski.

W listopadzie 1956 r. profesorowie: Karol Estreicher, Adam Vetulani, Stefan Grzybowski, Jan Gwiazdomorski, Juliusz Kleiner, Adam Krzyżanowski, Stanisław Pigoń i Władysław Wolter składają wniosek o re-

aktywowanie Polskiej Akademii Umiejętności. W kilka miesięcy później, 16 lutego 1957 r. na zebraniu członków czynnych, PAU wznowia działalność (choć nie na długo). Na stanowisku prezesa prof. Kazimierza Nitscha zastępuje prof. Adam Krzyżanowski.

W czerwcu 1957 r. pojawił się w kioskach po czteroletniej przerwie miesięcznik „Znak” redagowany przez Jacka Woźniakowskiego. Po wyborach parlamentarnych 1957 r. postawie wspierani przez ten miesięcznik utworzą w Sejmie własne koło poselskie. Odrodzony „Tygodnik Powszechny” ukazuje się ponownie 25 grudnia 1956 r. po spotkaniu dawnej redakcji z Władysławem Gomułą. Redagują go wtedy: Jerzy Turowicz, Antoni Gołubiew, Józefa Hannelowa, Stefan Kisielewski, Zygmunt Kubiak, Hanna Malewska, Irena Słowińska, Stanisław Stomma, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski, Czesław Zgorzelisk i ks. Andrzej Bardecki.

Podjmują przerwana działalność stowarzyszenia twórcze, m. in. Grupa Krakowska i kluby. W kwietniu 1956 r. klub utworzony przed rokiem w piwnicach pałacu Pod Baranami przekształca się w Piwnicę pod Baranami. Wśród jego animatorów są: Andrzej Bursa, Bronisław Chromy, Janina Garycka, Jan Güntner, Barbara Nawratowicz, Krzysztof Penderecki, Piotr Skrzynecki, Mieczysław Świącicki, Kazimierz Wiśniak i Krystyna Zachwatowicz. Mniej więcej w tym samym czasie Cricot 2 Tadeusza Kantora otrzymuje do swej dyspozycji piwnicę w pałacu Pod Krzysztoforami. Z prywatnych mieszkań do sfery publicznej przechodzą grupy jazzowe. Tak uczyniają swą drogę m. in. Kurylewicz, Trzaskowski i Dąbrowski. Czy warto w krótkim eseju o studenckim Październiku '56 przypominać te wszystkie nazwiska? Tak, jeśli chce się zrozumieć, jaki potencjał intelektualny tworzył wtedy społeczną otulinę wokół studenckich działań, podtrzymywał ich na duchu w chwilach zwątpienia czy nawet, wspierał racjonalnymi argumentami, zwłaszcza gdy wkraczali na jeszcze nieprzetarte szlaki.

Oczywiście studenci wiedzą, że nie są jedyną siłą sprawczą procesu odnowy, ale czują również swoją moc. Chcą przecież już nie tylko zrozumieć swój społeczny *habitat*, lecz przede wszystkim go zmienić. Najwyraźniej widać te dążenia w inicjatywach podejmowanych przez Studencki Komitet Rewolucyjny. Ale przecież nie tylko. Odzyskuje dawny blask ZHP, w Krakowie inspirowany przez harcmistrza Romana Neya. Reaktywuje się Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici” (istniał samodzielnie do 1948 r., tj. do powstania ZMP). W przestrzeni zwolnionej przez ZMP powstają tworzony z inspiracji SKR-u, wspólnie przez krakowskich studentów i robotników Nowej Huty (gdzie szczególnie aktywni są Ludwik Mikrut i Zbigniew Jakus, późniejszy poseł na Sejm) Rewolucyjny Związek Młodzieży oraz Związek Młodzieży Robotniczej (zakładany przez Juliana Wielgośa). Nieudaną próbę zbudowania od podstaw Stowarzyszenia Młodej Inteligencji „Rzeczywistość” podejmuje Stanisław Waltoś. Niepowodzeniem kończy się również próba Gwidona Rysiaka zmierzającego do wznowienia Związku Młodych Demokratów (rozwiązanego w 1948 r.). Radzie Okręgowej ZSP przewodniczy w 1956 r. Stanisław Gugala. Jego następca,

Zbigniew Sikora jest zdania, że członkom Zrzeszenia chodziło wtedy głównie o „otwarcie drogi ku życiu po nowemu”.

Niewątpliwie jednak w przededniu VIII Plenum KC PZPR i niezależnie od wymienionych wyżej inicjatyw innych ruchów społecznych i organizacji, sercem i mózgiem krakowskich studentów w najważniejszej fazie październikowych zmian stał się Studencki Komitet Rewolucyjny. Powstał w dniu 20 października 1956 r. wieczorem w tzw. Domu Śląskim AGH, tuż po rozwiązaniu uczelnianego ZMP i istniał do czasu, gdy po wyborach sejmowych 1957 r. Władysław Gomułka hasło „socjalistycznej odnowy” zastąpił wezwaniem do „walki z rewizjonizmem”. Wtedy jednak, w trakcie wieczornego wiecu w Domu Śląskim i po wysłuchaniu przemówienia Władysława Gomułka transmitowanego przez Polskie Radio, to on właśnie stał się dla krakowskich studentów główną postacią nie tylko politycznego, lecz także narodowego dramatu. Wiedzieliśmy już, że do Warszawy przybyła bez polskiego zaproszenia radziecka delegacja złożona z Nikity Chruszczowa, Anastasa Mikojana, Łazara Kaganowicza i Wiaczesława Mołotowa. I domyślaliśmy się także, po co. Rośnie napięcie. Kolejna wiadomość rozładowuje jednak nasz gniew i lęk. Gomułka się nie ugiął. Nie ma zdrajców. Nieproszeni goście wracają, skąd przybyli. A więc, w co wierzyliśmy, bo tego chcieliśmy, zaczyna się naprawdę polska droga do socjalizmu!

Czytamy „Po prostu” wychodzące w nowej szacie. To ten tygodnik nie tylko informuje nas o tym, co dzieje się w kraju, lecz również animuje przemiany polityczne. „Po prostu” i studenci. Dla polskiej inteligencji (a pewnie nie tylko dla niej) w latach 1956-1957 są to synonimy. Jestem studentem. I to toruje drogę do wielu dotąd zamkniętych w sobie środowisk, także robotniczych. Jestem studentem, więc z uwagą słuchają tego, co mówię. Jestem studentem. To brzmi dumnie!

Przypominając o dniu, w którym Kazimierz Wielki podpisał akt fundacyjny Akademii Krakowskiej, a będzie to już odtąd stała data Juwenaliów, powtarzamy za Adamem Polewką (*Igrce w gród wałą*) – krzyczymy „chodźcie z nami” i „prasa kłamie”. Na ul. Reymonta, przed wejściem do „Jedności” (tak się wtedy nazywała „Nawojka”) ktoś podpala stos złożony z wyniesionych z bibliotek egzemplarzy *Historii WKP(b)* ...

Twarze Studenckiego Komitetu Rewolucyjnego

Im bliżej było do zapowiedzianego VIII Plenum KC PZPR (19-21 X 1956), tym bardziej napięcie rosło. Plenum miało przecież nie tylko doprowadzić do zmiany kierownictwa i programu rządzącej partii, lecz także, jak gorąco wierzono, potwierdzić nieodwracalność październikowych reform.

SKR, za zgodą rektora uniwersytetu, tworzy w Collegium Novum swój lokal kontaktowy otwarty dla wszystkich. Tu spotkać można członków władz komitetu i jego najbardziej wtedy znane twarze: Stefana Bratkowskiego (od roku asystenta Marka Waldenberga w Katedrze Podstaw Marksizmu-Leninizmu UJ), Władysława Fietka, Zofię Gerlach, Jerzego Grotowskiego, Jerzego Huczковского, Jana Kozłowskiego, Bolesława Kordasa, Emila Kornasia, Jerzego Micha-

skiego Adama Ogorzałka, Aleksandra Szymanka, Bernarda (tak wtedy miał na imię) Tejkowskiego i Jerzego Vetulaniego. Szczególnie często przychodzą tu studenci UJ, PK (zwłaszcza związani wcześniej z istniejącym na politechnice od 1955 r. Klubem Czerwonego Pomidora, m. in. Bernard Tejkowski i Zbigniew Sikora), Akademii Medycznej oraz Akademii Sztuk Plastycznych (której niespokojne środowisko studenckie, po rozwiązaniu ZMP, reprezentuje Stanisław Wiśniewski, wtedy student II r. malarstwa). Ale nie tylko studenci, lecz także profesorowie oraz delegaci różnych instytucji i zakładów przemysłowych z Krakowa i z innych miast. Z SKR nawiązują kontakty także kluby dyskusyjne powstałe już wcześniej z inicjatywy uczelnianych organizacji PZPR, a zwłaszcza uniwersytecki klub kierowany przez Stefana Bratkowskiego, Wiesława Langa i Ryszarda Nowakowskiego oraz klub Akademii Medycznej, w którym znaczące role odegrali Jerzy Michalski, Bolesław Skarżyński, Maciej Dąbrowski, Rudolf Klimek i Tadeusz Popieła.

Aby powstrzymać możliwe prowokacje, SKR tworzy własną milicję kierowaną przez Adama Kreislera. Ponadto zostają nawiązane kontakty z paryską „Kulturą”, która w marcu 1957 r., już na adres Politycznego Ośrodka Lewicy Akademickiej i jego lidera Jerzego Grotowskiego przesyła książki Orwella, Burnhama, Korbońskiego, Arona, Hersch i cztery najnowsze numery „Kultury”, warszawskimi ikonami tamtych lat: Lesławem Goździkiem („Lechem Wałęsą tamtego czasu”, choć, jak w czerwcowej „Polityce” z 2008 r. napisze Passent: „Pierwszy miał w rodowodzie socjalizm – drugi różaniec”) i grupą „październikowców” z Uniwersytetu Warszawskiego: Jackiem Kuroniem, Krzysztofem Pomianem, Karolem Modzelewskim, Bonawenturą Chojnackim, Bogdanem Jankowskim i Andrzejem Garlickim oraz Oskarem Lange.

Zapoznajemy się z opracowanym przez niego w 1956 r. zarysem modelu polskiej gospodarki i czytamy różne analizy sporządzane przez Włodzimierza Brusa, Czesława Bobrowskiego, Michała Kaleckiego, Edwarda Lipińskiego i Kazimierza Secomskiego (kilka miesięcy później złożą się one na głośne *Tezy Rady Ekonomicznej*). O środowisku, które stworzyło te *Tezy*, już wtedy mówiono w Zachodniej Europie, że to „socjalistyczny Cambridge”. Słuchamy komentarzy Leszka Kołakowskiego. Dyskutujemy o artykułach Józefa Chałasińskiego oraz Jerzego Andrzejewskiego (zwłaszcza o jego rozważaniach nt. przyczyn „immanentnego zła tkwiącego w socjalizmie”). Chodzimy na robotnicze zebrania. Publikujemy nasze oświadczenia w lokalnej prasie (np. 31 października w „Gazecie Krakowskiej” zwracające uwagę na niedostatek przemian demokratycznych i jednocześnie wyzywające do „obrony młodej demokracji”, m.in. przez tworzenie milicji studenckiej). Niektórzy członkowie i sympatycy SKR debatują o poprawkach do Konstytucji PRL, nad rekonstrukcją polskiego Sejmu (dodanie Izby Samorządowej), modyfikacją procesu legislacyjnego, ustawą o radach robotniczych oraz projektami instytucjonalnych zabezpieczeń socjalistycznej demokracji w państwie i partii.

Zdecydowanie odmienne reakcje wywołuje radziecka interwencja na Węgrzech. Dla nas była to wtedy dostojna godzina prawdy. I nie chodziło już o to, jak

uchronić własny kraj przed analogicznym biegiem wypadków, lecz o poczucie braterstwa i sprawdzian zwykłej ludzkiej rzetelności. 23 października przeżyliśmy moment niezwykłego uniesienia: Węgrzy demonstrowali, by poprzeć Polaków! Gdy wkrótce dowiedzieliśmy się o radzieckiej interwencji w ich kraju, prawie słyszeliśmy chrzęst gąsienic wjeżdżających w tłum manifestantów. I strzały.

Co robić? Jak tym braciom pomóc? Gdzie jest granica pomiędzy rozważą a cynizmem? Do tego jeszcze część z nas była świeżo, bo w ostatnie wakacje, wypromowanymi oficerami Wojska Polskiego, a ci młodszy koledzy też opanowali już w swoim Studium Wojskowym podstawowe umiejętności posługiwania się bronią. Zdecydowaliśmy się na przesłanie Węgrom naszej krwi. 29 października od ponad stu kilkudziesięciu dawców mamy pierwsze 20 litrów, 30 X zaczyna się zbiórka darów pieniężnych. Miejskie władze godzą się na 5-groszowy dodatek do tramwajowych i autobusowych biletów. Nikt nie protestuje. Zgromadzone w ten sposób pieniądze zostaną przeznaczone na zakup potrzebnych Węgrom środków. 5 listopada, gdy na Węgrzech rozpoczyna się druga faza radzieckiej interwencji, organizujemy w Krakowie wielotysięczny pochód solidarności, by uczcić poległych na ulicach Budapesztu. 26 listopada wyjeżdża pierwszy zorganizowany przy współudziale SKR transport 55 ton żywności i leków. W ochronie transportu w imieniu SKR jedzie m. in. Jan Kozłowski. Jadą również trzej krakowscy dziennikarze: Brunon Rajca („Dziennik Polski”), Czesław Berenda (reporter krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia) i Adam Żarnowski („Echo Krakowa”).

Najdalej idącą polityczną emanacją SKR staje się Polityczny Ośrodek Lewicy Akademickiej (POLA). Jego twórcą i ideowym przywódcą zostaje Jerzy Grotowski. Czym POLA różni się od SKR? Jeżeli SKR powstawał i działał raczej żywiołowo, częściej reagując na bieg wypadków i nowe możliwości niż je inspirując, POLA od początku wyrasta z politycznych ambicji i to ogólnopolskich. Wszystko zaczęło się 4 grudnia 1956 r. od wiecu w Rotundzie, w wyniku którego powstaje w Krakowie wspomniany już wcześniej Rewolucyjny Związek Młodzieży. Dalej droga wiedzie do Warszawy do Krajowego Ośrodka Pierwszego Kongresu Delegatów Młodzieży Rewolucyjnej. Zasadniczy problem zawiera się w pytaniu: jaka ma być nowa ogólnopolska organizacja młodzieżowa, która przejmie część funkcji ZMP? Podobna ideowo do krakowskiego RZM czy do jego antytezy w postaci katowickiego Związku Młodzieży Robotniczej?

Rzecz całą ma rozstrzygnąć kongres. Potrzebny jest wyrazisty ideowo zbiorowy podmiot, który mógłby skutecznie wpływać na delegatów wyłanianych w różnych ośrodkach kraju. Jak wspomina po pół wieku Jerzy Huczkowski, POLA uzyskuje na kongresie istotne wpływy. Gdy powstanie już ta nowa organizacja, Związek Młodzieży Socjalistycznej, POLA doda do swej nazwy jej akronim i zbiera kilka tysięcy deklaracji członkowskich. Ale ta przygoda krakowskich studentów też trwa krótko. Decyzją władz POLA ZMS zostaje rozwiązana w dniu 5 czerwca.

Na podstawie zachowanych notatek sprzed pół wieku, dokumentów i informacji w lokalnej prasie, a także odwołując się do pamięci wstecznej, własnej

i przyjaciół z tamtych lat, w programie SKR można wskazać na dwie płaszczyzny. W pierwszej znajdowały się żądania, które władze powinny spełnić *hic et nunc*, w tym m. in. natychmiastowego usunięcia stalinowców ze wszystkich stanowisk państwowych, zaprzestania zagłuszania Wolnej Europy, swobodnego dostępu do środków przekazu, wycofania się ze zmian wprowadzonych w latach 1947-1955 w szkolnictwie wyższym (np. ponownego połączenia Akademii Medycznej z Uniwersytetem Jagiellońskim; warto tu przypomnieć, że ten całkowicie apolityczny postulat doczekał się pełnej realizacji dopiero po 37 latach!).

W płaszczyźnie drugiej najczęściej pojawiało się pięć żądań. Podkreślano, że ich spełnienie wymaga konsekwentnie realizowanych polityk w dłuższej perspektywie czasu. Czego dotyczyły te żądania? Po pierwsze, liberalizacji przepisów i technik zarządzania na wszystkich szczeblach i w każdym zakresie stosunków społeczno-politycznych. Po drugie, ustanowienia samorządu robotniczego w każdym zakładzie pracy. Po trzecie, zasadniczej zmiany polityki wobec wsi. Po czwarte, zwiększenia nakładów na przemysł lekki i podjęcia działań zorientowanych na poprawę warunków bytowych ludności. Wreszcie po piąte, pełnej podmiotowości państwa polskiego w stosunkach międzynarodowych.

W ostatnich miesiącach 1956 r. krakowski SKR staje się „instytucją zaufania publicznego przywoływaną do rozstrzygania różnych konfliktów”. Najbardziej przekonującym dowodem, czym była wtedy ta niezwykła wspólnota młodości i idei oraz jak daleko sięgały jej rzeczywiste wpływy, a może nawet władza?, jest zakres zmian wywołanych pod jej wpływem w krakowskim Komitecie Wojewódzkim PZPR oraz w Radzie Narodowej m. Krakowa.

Wszystko zaczęło się jednak od radykalnych zmian w kierownictwie uczelnianych organizacji partyjnych. W największych z nich eksperymentowano z pierwszymi próbami tajnego głosowania i procedurami autentycznych wyborów. Na uniwersytecie inspirował te inicjatywy m. in. Marian Stępień.

Później przyszła kolej na władze wojewódzkie. Tu z pomocą SKR-owi przychodzą dawni działacze Polskiej Partii Socjalistycznej i to ten właśnie krąg stworzy zaczątek liczącego się później przez lata (nie tylko w Krakowie!) liberalnego skrzydła PZPR. 27 października usunięto z funkcji I sekretarza Stanisława Brodzińskiego, a na jego miejsce wybrano Bolesława Drobnera. W niecałe cztery miesiące później, 14 lutego 1957 r. zastąpi go Lucjan Motyka i będzie I sekretarzem do grudnia 1964 r. Do egzekutywy KW wchodził, wraz z Drobnerem, Bernard Tejkowski i Marek Waldenberg.

Partyjna grupa liberalna jest na tyle silna, że inspirowała zmiany kadrowe w mieście nawet wtedy, gdy w kraju nasila się już odwrót od październikowej wizji polskiej drogi do socjalizmu. Z jej inicjatywy w 1957 r. przewodniczącym Rady Narodowej m. Krakowa zostaje prof. Wiktor Boniecki, kierujący wcześniej na PK katedrą ekonomii politycznej. W 1959 r. na stanowisko przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej zostaje wybrany Zbigniew Skolicki. Jeszcze później, bo w 1961 r. stanowisko I sekretarza krakowskie-

go Komitetu Miejskiego PZPR obejmuje wracający z Warszawy Andrzej Kurz. Ten wychowanek Liceum Nowodworskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego ma wtedy 29 lat i zna Kraków oraz jego ambicje wyjątkowo dobrze. Wspierany przez Lucjana Motykę i Zbigniewa Skolickiego kontynuuje modernizację krakowskich elit władzy. Rozumie doskonale potrzeby zabytkowego Krakowa. Wie, że bez rozwoju miejskiej infrastruktury nie jest możliwe pogodzenie symbolicznych i użytkowych funkcji współczesnego Krakowa. Ponadto umie słuchać opinii krakowskich środowisk twórczych i jest syntoniczny wobec ich postulatów: wspiera budowę telewizyjnego centrum na Krzemionkach, a także podstawy programowe, organizacyjne i finansowe Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych oraz Międzynarodowego Biennale Grafiki. Wreszcie, potrafi współpracować z odrodzonym w 1956 r., prężnym krakowskim środowiskiem inteligencji katolickiej.

Październikowe krakowskie klimaty ulegają zasadniczej zmianie po przeniesieniu Lucjana Motyki do Warszawy i śmierci Zbigniewa Skolickiego. Krakowski Komitet Miejski PZPR zostaje zlikwidowany. Cała władza polityczna przechodzi od 1965 r. w ręce Czesława Domagały, człowieka nie znającego Krakowa. To pół biedy. Cała bieda tkwiła dopiero w tym, że krakowskie dziedzictwo polityczne PPS było mu nie tylko obce, ale i wrogie. Interpretatorom pozbawionym zmysłu analitycznej obserwacji wydawało się wtedy, że po ośmiu latach proces zmian zatoczył pełne koło i wrócił do punktu wyjścia. Rzeczywistość jednak, na szczęście, zasadniczo odbiegała od tej diagnozy. Zasadnicze rezultaty zmian zakorzeniły się już bowiem w ludzkiej świadomości, ich wiedzy o życiu społecznym, systemach wartości, ambicjach i stylach życia, w tym pragmatycznych umiejętnościach radzenia sobie z przeciwnościami losu. Kraków pod wieloma względami był już innym miastem niż to, które terroryzował Brodziński. I tego nie był w stanie zmienić nawet Domagała.

Depozytariusze

Wśród studenckich organizacji oraz klubów w 1956--1957 roku były i takie, które istniały krótko, bo nie przetrwały próby czasu i zniknęły, niejako z własnej woli, ze sfery publicznej, i takie, które były rozwiązywane przez służby bezpieczeństwa (już od roku 1957, a ze szczególnym nasileniem wiosną roku 1958, po serii przesłuchań w gmachu SB na placu Wolności), czy nawet, jak w przypadku SKR, na podstawie decyzji najwyższych władz partyjnych. Były jednak także jeszcze inne. Choć rzadziej ich nazwy pojawiały się na pierwszych stronach gazet, miały one przyciągać do siebie różne, czasami nawet efemeryczne inicjatywy, rozwiązywać codzienne problemy egzystencjalne i z tego powodu skupiać ludzi o różnych światopoglądach oraz postawach politycznych, ale o tej samej potrzebie działania w imię dobra wspólnego. Lub jeszcze inaczej: po prostu czynienia rzeczy użytecznych w każdych warunkach, czy nawet na przekór owym warunkom. Czasami wynikało to z atawistycznej potrzeby bycia we wspólnocie. Często z ekstrawertycznych cech osobowości. Czasami, czego się nie da wykluczyć, z przypadkowego kon-

taktu z charyzmatycznym kolegą lub nawet prostego wyrachowania. Do kategorii tych innych należało niewątpliwie, w każdym razie w Krakowie, Zrzeszenie Studentów Polskich.

ZSP nie było wśród organizatorów dwu pierwszych październikowych wieców w Rotundzie ani też późniejszych demonstracji i marszów protestacyjnych ulicami Krakowa. Na każdym z tych zgromadzeń byli jednak członkowie Zrzeszenia. Na pierwszym z nich, 18 października, studenci dopominali się o jawność życia politycznego, powrotu do władzy Władysława Gomułki, a także, co zaskoczyło wielu późniejszych komentatorów, przywrócenia Katowicom ich dawnej nazwy (niewielu dziś pamięta, że od 1953 do 1956 r. ten symbol polskiego Śląska władze PRL nazywały Stalinogrodem). Na drugim, wieczorem 21 października przewodniczył Bernard Tejkowski. W wymianie zdań dominowała problematyka stosunków polsko-radzieckich. To wtedy Bolesław Drobner (kto nie pamięta z tamtych dni jego sumiastych wąsów?) wypowiedział zdanie przypominane przez wielu do dziś. Zapytany przez jednego z mówców czy możemy być wreszcie suwerenni, po prostu stwierdził: „Tak. Bo my już sami są z wami”.

Emocje studentów, delegatów kilkudziesięciu zakładów pracy, prof. Teodora Marchlewskiego, wieloletniego rektora UJ, a także dowódcy Krakowskiego Garnizonu Wojskowego i dziennikarzy sięgały zenitu. Uczestniczyłem w trakcie swego publicznego życia w wielu niezwykłych i brzemiennych w konsekwencje zgromadzeniach. Ale atmosfery tego wiecu nie zapomniałem nigdy. Może właśnie dlatego, że wreszcie sami, choć na krótko, mogliśmy stanowić o sobie? Może z tego samego powodu zapamiętałem sytuację i zdanie wypowiedziane przez płk. Tadeusza Cynkina do tłumu studentów zgromadzonych 5 listopada 1956 r. pod gmachem głównym AGH. Było nas tylu, że zablokowaliśmy ruch samochodowy na obu jezdniach alei Mickiewicza. W pewnej chwili zauważyliśmy zabłocone, chyba oliwkowo-ciemnozielone, ciężarówki. Na przykrytych brezentem ładunkach siedzieli zmarznięci żołnierze. Ciężarówki zwróciły naszą uwagę, bo chociaż nas wyminąć jadąc powoli pod prąd przeciwną stronę alei. Już wiedzieliśmy: to Rosjanie! Gdzie i po co jadą? Zapadła groźna cisza, co zauważył płk Cynkin, wbiegł na schody i krzyknął: „Studenti, nie bójcie się! Wojsko jest z wami!”

Wszystko co działo się na tych wiecach i demonstracjach zostawało w nas i było nasze, bo tego chcieliśmy. Dopóki mówiono, a czasami krzyczano, o tym, czego oczekiwaliśmy i co zgadzało się z naszymi odczuciami, nazwa organizatora stawała się drugorzędna. Ponadto część wieców odbywała się u nas, w naszych klubach (zwłaszcza w środowiskowym klubie Rotunda otwartym w styczniu 1953 r.), więc była nasza. ZSP radziło sobie także nieźle z dużymi i żywiołowo reagującymi tłumami studentów, bo już od 1955 r. zaangażowane było w prace przygotowawcze do obchodów 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obejmowały one m. in. głośne potem, a przez nas wymyślone (łącznie z nazwą!) Juwenalia.

Pierwsze do ZSP zgłosiły się grupy jazzowe odbierane przez studentów jako przejaw otwarcia na kulturę amerykańską i swoisty powiew wolności. Sta-

to się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy z pomocą Lucjana Motyki udało się otworzyć w 1957 r. w Ryńku Głównym 8 (w kamienicy Pod Jaszczurami, którą przez lata zajmował bank, a po nim Miejski Handel Meblami) pod patronatem Rady Okręgowej (wtedy mieszczącej się na Floriańskiej 55) klub studencki Politechniki Krakowskiej „Wiosna '56”. Animatorami jest dwu Sławomirów: Podolak i Mielniczek. Od roku 1960 będzie to już klub środowiskowy Pod Jaszczurami. Tu Jerzy Grotowski wygłasza cykl odczytów wprowadzających słuchaczy w krąg tajemnic filozofii hinduskiej, a Jerzy Huczkowski – wspólnie z redakcją „Polityki” – organizuje *Tydzień Afryki*. Obok gdańskiego Żaka, warszawskich Hybryd i Stodoły oraz wrocławskiego Pałacyku stanie się on znaczącym symbolem studenckiej kultury. W początkach lat sześćdziesiątych można było tu w godzinach wieczornych spotkać – także przy winie i bez „borowców” – Józefa Cyrankiewicza i Lucjana Motykę. W przyjaznych związkach z Jaszczurami pozostanie także na długo kabaret Piwnica pod Baranami. Czasami, gdy zostaje dla niego zamknięte wejście do Pałacu pod Baranami, spotyka się w Jaszczurach.

Wokół Zrzeszenia, a także pod jego opieką, powstają i pozostają na długo teatry: Akademicki Ireny Wollen, 38 Waldemara Krygiera, STU Krzysztofa Jasińskiego. Z ZSP są związane czasopisma studenckie: te wznawiane („Młody Politechnik” redagowany przez Sławomira Podolaka czy „Medyk Krakowski”, redagowany przez Wiesława Malinowskiego i Jerzego Michalewskiego) i nowe (np. założone późną jesienią 1956 r. „Czarno na białym”, przekształcone potem w „Zebrę” redagowaną przez poetę Tadeusza Śliwiaka i ukazującą się jeszcze w 1959 r.). Ta tradycja zaowocuje później kolumną studencką w „Dzienniku Polskim” oraz krakowskim „Kurierem Akademickim” i „Studentem”.

To ZSP wymyśliło i prowadziło (od maja 1959 r., połączony z Juwenalią) Ogólnopolski Festiwal Kultury Studentów, Ogólnopolskie Seminarium Teatrów Studenckich (grudzień 1959 r.; wystawionego wtedy *Króla Ubu* Alfreda Jarry’go uznano za „krzywe zwierciadło historii Polski – od chrztu po Październik '56”).

W kręgu Komisji Kultury RO ZSP narodził się pomysł I Studenckiego Festiwalu Piosenki. W 1962 r. pierwszą nagrodę zdobył Edward Lubaszenko, a drugą Ewa Demarczyk. To ten festiwal wypromował wkrótce Sławę Przybylską, Marylę Rodowicz i Urszulę Sipińską.

Wreszcie w Zrzeszeniu wymyślono i później przez lata realizowano wybór najmilszej studentki Krakowa. Aby przekonać wątpiących, że nie było to proste powtórzenie wyborów Miss Polonia (*notabene*, te też zostały po raz pierwszy zrealizowane w Krakowie dzięki przemianom kulturowym zainicjowanym przez Październik '56), wystarczy przypomnieć, że na tym konkursie urodzić musiał towarzyszyć talent. Jakiej klasy? Wśród laureatek tego konkursu była m. in. Anna Seniuk.

Trzy fakty najpełniej, choć każdy na swój sposób informują, jaki kapitał ludzki przez tamte lata, od Października '56 poczynając, skupiło w sobie Zrzeszenie. Fakt pierwszy dotyczy potencjału kulturowego gromadzonego pod wpływem konfrontacji z przańską

rzeczywistością. Przejawił się on w studenckiej części obchodów 600-lecia jagiellońskiej Alma Mater. Z Zamku Królewskiego na Rynek Główny w maju 1964 r. studencka ciżba, otoczona tłumem rozradowanych krakowian i przecierających ze zdumienia oczy rektorów wszystkich najlepszych uniwersytetów świata, przemieszczała się pod hasłem: „Od Kazimierza Wielkiego do Kazimierza Lepszego”. Miało ono podobno jeszcze inną wersję: „Od Mieszka I do mieszka pustego”.

Fakt drugi. Wkrótce potem Mieczysław Czuma położył kamień węgielny pod miasteczko akademickie: wyrosło ze zrzeszeniowych dysput i marzeń, ekonomicznego rachunku przeprowadzonego przez studenckie koła naukowe, wizji oraz desek kreślarskich prof. Tomasza Mańkowskiego i zespołu jego współpracowników, a także naszego wieloletniego przekonywania warszawskich partyjnych i państwowych decydentów. I wreszcie fakt trzeci, związany ze stawianymi wtedy krokami ku społeczeństwu obywatelskiemu. Znając z książek doświadczenia rozwiniętych demokracji, a także praktykę polityczną Jugosławii wprowadziliśmy w krakowskim zrzeszeniowym środowisku zasadę rotacji (wymiany władz pochodzących z wyboru po pierwszej kadencji) oraz zaczęliśmy wprowadzać – gdzie to tylko było możliwe – wybory bezpośrednie. Odtąd absolwenci krakowskich szkół wyższych zabierali z sobą nie tylko zawodową wiedzę, lecz również jakże ważne w późniejszych kryzysach lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych umiejętności obywatelskiego rozwiązywania sytuacji konfliktowych, zapobiegania ich przyczynom, a także traktowania różnic światopoglądowych i politycznych nie jako dopust boży, lecz źródło siły stymulującej rozwój.

„Gdzie są chłopcy z tamtych lat?”

Wyniesionemu na fali październikowej odnowy Władysławowi Gomułce potrzeba było w istocie tylko kilka miesięcy, aby żywiołowe ruchy ująć w karby znanej mu partyjnej dyscypliny.

Zaczyna się to wszystko od apelu o głosowanie bez skreśleń w wyborach parlamentarnych (styczeń 1957 r.). Na pierwszy rzut oka ta niedemokratyczna zasada prawa wyborczego wydaje się uzasadniona. Oto w społeczeństwie pełnym napięć, nadziei i niepewności osiągnięto pewien kompromis. W wyborach należy go tylko, jak w plebiscycie, potwierdzić. Zatem nie wolno opuścić do tego, aby żywiołowo głosujący anonimowy tłum wyborców nie zorientowanych do końca w zawiłościach życia społecznego i meandrach geopolityki zakłócił ów z trudem osiągnięty stan równowagi. Nie wolno tym bardziej, że gwarantem pożądanego kierunku rozwoju jest nie przypadkowy wynik wyborów, lecz nowy przywódca polityczny. A on już po wstępnych dyskusjach wskazał na osoby, które powinny zasiąść w ławach poselskich. Wnosi więc o głosowanie bez skreśleń.

W krakowskim środowisku przekreśla to praktycznie szanse Bernarda Tejkowskiego, bo na karcie wyborczej jego nazwisko figuruje na 9. miejscu, a wybranych ma być tylko pierwszych siedmiu. 10 grudnia 1956 r. SKR zgłosił jeszcze czterech innych kandydatów: Józefa Cyrankiewicza, Jana Miodońskiego, Zbigniewa Jakusa i Tadeusza Cynkina, ale koncentruje

my swoją uwagę na Tejkowskim. Wielu z nas decyduje się na gest nieposłuszeństwa obywatelskiego, tym trudniejszy, że skierowany przeciwko Władysławowi Gomułce, jeszcze wczoraj naszej niekwestionowanej ikonie. Organizujemy „na własną rękę” akcję wyborczą w obwodzie Tejkowskiego, choć Józef Cyrankiewicz osobiście przekonuje nas, abyśmy tego nie robili. Tejkowski dostaje aż ok. 37. tysięcy ważnych głosów, ale to jednak za mało, aby wejść do parlamentu. Zaczynamy się zastanawiać nad tym, jak głęboko zakorzenione są w społeczeństwie studenckie rzeczywiste wpływy.

Drugi cios dostajemy w lutym. Tejkowski zostaje usunięty z egzekutywy KW PZPR. Trzeci, i daleko silniejszy od dwu pierwszych, zadaje nam decyzja Komitetu Centralnego o rozwiązaniu „Po prostu”. Odbieramy ją nie jako zapowiedź końca, lecz koniec studenckiej wolności słowa. Uniwersytecki Komitet PZPR chce zwołać wiec pod DS Żaczek, Komitet Wojewódzki nie wyraża zgody, więc wiec prowadzony przez Mariana Stępnia odbywa się w auli Collegium Novum. Pod presją zebranych czytane są listy protestacyjne przysłane do Krakowa przez redakcję i zespół partyjny „Po prostu”. Wiece protestacyjne organizują również inne środowiska związane z SKR. Popieramy warszawską manifestację w obronie „Po prostu”, przyjmujemy rezolucję. Ale nie mamy już żadnego wpływu na bieg wypadków. Za brak posłuszeństwa i własną ocenę zdarzeń jedni z naszych kolegów zostają usunięci z PZPR (m. in. Adam Kincel, Emil Kornaś i Ryszard Ogorzałek), a inni dostają surowe kary (Jerzy Grotowski, Wiesław Lang), w tym zakaz pełnienia funkcji partyjnych (m. in. Marian Stępień).

W maju 1957 r. jeszcze protestujemy na ulicach Krakowa. Na naszym transparencie (zdjęcie zrobione przez oficera służb bezpieczeństwa zachowało się w archiwum IPN) widnieje wielki napis *WALCZYLIŚMY O WIOSNĘ W PAŹDZIERNIKU – NIE POZWOLIMY NA JESIEŃ WIOSNĄ*. Nic jednak nie powstrzymuje procesu wycofywania się kierownictwa PZPR z pozycji Października '56.

Uczelniane organizacje partyjne dostają list Biura Politycznego KC PZPR zobowiązujący do podjęcia walki z rewizjonizmem i dogmatyzmem (to archetyp późniejszego „cięcia po skrzydłach” w latach osiemdziesiątych!), ale wkrótce okazuje się że dogmatyzm to tylko coś porównywalnego z katem. Prawdziwa choroba nazywa się rewizjonizmem. Dość szybko zamiera otwarta wymiana zdań. Jesienią 1957 r., na podstawie decyzji X Plenum KC zaczyna się ogólna weryfikacja członków partii. Część postaci powszechnie znanych z życia publicznego składa legitymacje partyjne w geście protestu przeciwko polityce kierownictwa partii – wielu zostaje po prostu wykluczonych.

Służby bezpieczeństwa pilnie zbierają materiały obciążające ich zdaniem „październikowców”. Jedną z list wymienia 67 nazwisk osób pozostających w kręgu zainteresowań SB (jako tzw. *figuranci*). Niewątpliwie jest prawdziwa. Powstała w b. WUSW Kraków/II, i obecnie nosi sygnaturę IPN (Kr 010/10430, t. 1). Poza imieniem i nazwiskiem wymienia miejsca studiów lub pracy tych osób (głównie UJ, PK AGH, rzadziej AM, WSE, WSR i ASP; na liście są ponad-

to wymienione redakcje: „Zebry” i „Po prostu”, jedna osoba z Jaworzna, jeden, jak to zapisano przy jego nazwisku „gość zagraniczny” oraz jedna postać związana ze Starym Teatrem), a także, w oddzielnej rubryce *stopień i funkcje w organizacji* przy części nazwisk zapisano rodzaj polecenia służbowego: *ustalić*. Nie widzę żadnej potrzeby wymieniania nazwisk figurujących na tej liście. Dlaczego? Bo są to postacie znane już czytelnikowi tego tekstu, związane z SKR, uczelnianymi organizacjami partyjnymi, organizacjami młodzieżowymi, instytucjami kultury i czasopismami.

Zaczyna się „mała stabilizacja”. Polityczny dyskurs przenosi się do kabaretów i, ponownie, jak przed Październikiem '56 do wspólnot nieformalnych.

Jednak coś z tamtych dni pozostało nie tylko w naszych osobowościach, lecz także w sferze instytucji i (co dla nas dorastających w tamtych latach do samodzielności było szczególnie ważne), w regułach stopniowego otwierania się na świat. I to nie tylko przez środki np. radiowego przekazu, ale także przez szerszy dostęp do indywidualnych paszportów, wyjazdy turystyczne (najpierw w ramach tylko tzw. ruchu przygranicznego, później głównie w zorganizowanych grupach) i badawcze oraz stażowe, np. w ramach Funduszu Marii Curie-Skłodowskiej, Fulbrighta, American Council of Learned Societies, wymiany bezpośredniej pomiędzy uczelniami czy organizacjami studenckimi, np. pomiędzy ZSP i United States National Students Association. Pewnie, że z dzisiejszej perspektywy to śmiesznie mało, ale dla nas, w tamtych latach studentów i pracowników naukowo-dydaktycznych młodszych i starszych, to był prawdziwy powiew nadziei.

Nie do mnie należy w tym tekście wyjaśnienie wszystkich przyczyn, z powodu których Władysław Gomułka zatrzymał główny nurt październikowej odnowy już po kilku miesiącach. Po półwiecznych doświadczeniach i analizie wszystkich późniejszych kryzysów dochodzę jednak do przekonania, że tylko wtedy, w trakcie Października '56 kraj nasz miał największe szanse na głębokie zmiany jakościowe, porównywalne do procesu transformacji rozpoczętego w 1989 r. Sam Gomułka zapłacił za swój lęk przed rewizjonizmem kryzysami i klęskami w 1968 i 1970 r. Rachunek jednak, jak się później okazało, był tak wielki, że obciążył jeszcze konto Edwarda Gierka (kryzys 1976 i 1980 r.) oraz Wojciecha Jaruzelskiego (stan wojenny i przegrana dekada lat osiemdziesiątych).

Post scriptum

Pete Seeger w powszechnie znanej piosence *Where Have all the Flowers Gone*, śpiewanej u nas przez Sławę Przybylską, powiada, że po „chłopcach z tamtych lat czas zatarł ślad”. Nie sądzę, aby to była cała prawda o osobach uwikłanych z własnej woli w Październik '56. Większość z nich nie bała się stawić czoła kolejnym przeszkodom w meandrycznym procesie naprawy Rzeczypospolitej. Zawsze, gdy zaszła taka potrzeba. Część, wobec których czas i los okazał się szczególnie życzliwy, jest do dziś rozpoznawalna po ich czynach i dziełach.

HIERONIM KUBIAK

ZBIGNIEW BAUER

OPÓR I WIELKA ZMIANA

1.

We wrześniu 1988 roku, a więc 20 lat temu RKS Małopolska przeszedł do działalności jawnej lub półjawnej, gdyż (mimo zdecydowanego zmniejszenia rozmiarów represji wobec środowisk i działaczy opozycyjnych, nie tylko solidarnościowych) o pełnym wymiarze praw politycznych mowy być jeszcze nie mogło. Trzeba bowiem pamiętać, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej, na przełomie kwietnia i maja tego roku potężny strajk ogarnął Hutę im. Lenina; został on brutalnie spacyfikowany przez siły milicyjne, a na jego organizatorów i uczestników władze przypuściły szturm propagandowy i poddały prześladowaniom. Postulatu delegalizacji „S” nie wycofano, a opór wobec słabnącej wyraźnie władzy narastał ogarniając zakłady pracy i uczelnie (m.in. blokada UJ i strajk studencki). Rozszerzające się w całym kraju protesty doprowadziły, jak wiemy, do Okrągłego Stołu, którego przebieg, jak również rezultaty, aczkolwiek w rozmaity sposób i z różnych stron dzisiaj krytykowane, nie mogą być zakwestionowane jako próba rozwiązania potężnego społecznego kryzysu na drodze dialogu.

2.

Od tamtego czasu minęły, jak powiedziałem, dwie dekady. Jesteśmy zatem mądrzejsi od samych siebie z 1988 roku o dwadzieścia lat. Za chwilę w dojrzałe życie wejdzie generacja urodzona w roku zainicjowania obrad Okrągłego Stołu. Można o nich mówić

w perspektywie europejskiej, można – w ogólnopolskiej, można też – a nawet wypada – skupić się na tym, co wiąże się z Krakowem. Kiedy mówimy o sytuacji w naszym mieście w latach 1976-89, mamy skłonność do podkreślania jej wyjątkowości, do swoistej mitologizacji znaczenia „ducha miejsca”, który sprawił, że dochodzenie do prowizorycznego wprowadzie, ale jednak konsensusu pociągnęło za sobą znacznie mniej strat fizycznych i tych równie bolesnych, moralnych, niż w innych regionach Polski. Zresztą – w wielu miejscach naszego kraju, mimo zmian zachodzących przede wszystkim za wschodnią granicą (*pieriestrojka, głasnost*) – takiego konsensusu nie szukano zbyt pilnie i ze szczególnie wyraźnym przekonaniem. Mogę o tym mówić, gdyż z powodów biograficznych, miałem wówczas możliwość porównywania tego, co działo się na tzw. ścianie wschodniej z sytuacją krakowską.

3.

Daleki jestem jednak od idealizowania tej sytuacji. W końcu to w Krakowie dokonał się, do dziś niewyjaśniony i domagający się sprawiedliwego osądzenia mord polityczny na Stanisławie Pyjasie (1977). Spontaniczna reakcja studentów krakowskich na ów mord doprowadziła do uformowania się młodzieżowej opozycji (SKS), która przez następne lata szukała i znajdowała drogi porozumienia z kręgami intelektualistów w mieście własnym i poza nim. Znalazła także – gdy nadszedł odpowiedni

„moment historyczny” – drogi porozumienia ze środowiskami robotniczymi. Inteligencki, konserwatywny Kraków nie okazał się aż tak hermetyczny, aż tak inteligencki i aż tak konserwatywny, by prześlepić fakt, iż przez ćwierć wieku zrastał się stopniowo, fizycznie (urbanistycznie, demograficznie, gospodarczo) i, co nie mniej ważne, w sferze przeobrażeń świadomościowych, z wielkimi, choć długo niedocenianymi, obszarami życia robotniczego, życia warstw społecznych, które miały w większości rodowód chłopski, a które stanowiły w okresie poprzedzającym Sierpień 1980, w czasie „pierwszego festiwalu »Solidarności«” i w czasie stanu wojennego realną siłę, realne oparcie dla wszelkich fermentów, niezależnie od ich politycznych zróżnicowań pojawiających się w środowiskach inteligenckich czy, jeśli chcemy je nazywać inaczej, intelektualnych. Gdyby nie ta siła – siła krakowskich zakładów pracy – władza byłaby w Krakowie inna, zapewne z większą pasją i być może z poważniejszymi skutkami tłumilałaby wszelkie przejawy niezależnej myśli, wszelkie dowody, iż potrzeba wolności nie daje się ani zlikwidować siłą, ani też „rozmydlić” obietnicami, obliczonymi na doraźne efekty.

4.

To jedna z wielu różnych twarzy krakowskiego „ducha miejsca”: możliwość uformowania się pewnego kompleksu działających obok siebie, bo przecież nie zawsze ściśle wspólnie, społecznych tendencji wyrażających się w rozmaicie artykułowanej potrzebie zmiany. Twarzą drugą była twarz krakowskiego Kościoła – potężnie wzmocnionej dzięki wyborowi na Stolicę Piotrową (16 10 1978) obdarzonego wielką charyzmą metropolity krakowskiego kardynała Karola Wojtyły, który odwiedził swoje miasto w niecały rok po sławnym *Habemus papam*. Ale owa twarz to także twarze duchownych bliskich Janowi Pawłowi II, dzięki którym między Sierpnem 1980 a 13 grudnia 1981 roku udawało się utrzymywać delikatną nić dialogu między władzą i opozycją, między świeckimi i duchownymi, między różnymi odłamami opozycyjnymi, pośród których nie brakowało radykałów gotowych wybrać nawet otwartą konfrontację w imię realizacji własnych pomysłów na Polskę. Trudno przecenić rolę, jaką w tej niesłychanie trudnej misji odegrał Franciszek kardynał Macharski. Ta rola z pewnością wymaga dokładniejszego opisu, bowiem bez niej krakowski „duch miejsca” – o ile był, jest i działał – nie ujawniłby się zwłaszcza w miesiącach przed wprowadzeniem stanu wojennego i tuż po tym akcie, gdy desperacja, strach, gorycz, rozżalenie, nienawiść – a więc niebezpieczna mieszanina negatywnych emocji – mogły wziąć górę nad racjonalnością i umiarkowaniem.

5.

„Czy Kraków tworzył szansę?” – pytaliśmy dwanaście lat temu przygotowując rozdział *Kroniki Krakowa* poświęcony sytuacji w naszym mieście w latach 1976–1989. I odpowiadaliśmy: „Choć polityczny krajobraz Polski w latach 1980–1981 zmieniał się niezwykle gwałtownie ujawniając głęboki i dramatyczny konflikt między rządzącymi i rządzonymi, to jednak w Krakowie odnowa życia politycznego i społecznego zapoczątkowana w Sierpniu ’80 odznaczała się dążeniem do racjonalności, zrozumieniem różnic między zmianami możliwymi i niemożliwymi do zrealizowania. Nie bez znaczenia okazała się tradycja

krakowskich przełomów 1956, 1970, w czasie których w samym aparacie władzy komunistycznej ujawniały się kręgi dążące do nadania mechanizmom rządzenia maksymalnie demokratycznego wymiaru”. Czy po 12. latach zdanie to wymaga jakiejś korekty? Oczywiście – można spytać, czy sformułowanie „zrozumienie różnic między zmianami możliwymi i niemożliwymi do zrealizowania” nie oznacza jakiejś typowo „krakowskiej” odmiany posybilizmu? Czy nie oznacza postawy kapitulanczej, w której od poczucia potrzeby kompromisu niekiedy blisko do wycofania się z najbardziej podstawowych dążeń i do zgody na zmiany zaledwie kosmetyczne, nie naruszające w niczym *status quo ante*. Dalej: czy demokratyczne, a raczej – demokratyzujące reżim tendencje, pojawiające się w kręgach tak czy inaczej reżimowi bliskich, nie prowadzą z reguły do zmian zaledwie udawanych, powierzchownych obliczonych na propagandowy efekt? Ci więc, którzy nie mają odwagi przejść do opozycji otwartej, wymagającej przeto ofiar i poświęceń – niekoniecznie krwawych i tragicznych, niemniej burzących bytowanie i ludzi, i całych środowisk – wcześniej czy później staną się narzędziami w rękach reżimu legitymizującymi jego istnienie swoistym „listkiem figowym” zasłaniającym prawdziwą reżimu naturę?

6.

Nie podejmuję się jednoznacznej odpowiedzi na tak postawione pytania, bowiem musiałaby je poprzedzić głęboka refleksja o mechanizmach działania historii, o kierunkach, w których zwykły się obracać młyny historii na różnych długościach i szerokościach geograficznych, a także w różnych epokach. Pewne jest, że im dalej od momentów, w których dokonywały się wybory jednostkowe i zbiorowe, tym łatwiej przychodzi odpowiedź twierdząca: tak, wszelkie zgody częściowe, wszelkie kompromisy, wszelkie ustępstwa okazywały się błędne, a nawet samobójcze. Stąd dziś taka, a nie inna ocena Okrągłego Stołu. Postawmy rzecz inaczej: czy te tendencje „demokratyzujące” – o których pisaliśmy, iż w wielu punktach zbiegały się, przynajmniej tu, w Krakowie, z dążeniami, a nawet w tonie ultymatywnym stawianymi żądaniem kręgów otwarcie, „heroicznie” opozycyjnych – były istotnym czynnikiem zmiany? Czy były dostatecznie skutecznym regulatorem procesów społecznych zachodzących w okolicach Sierpnia ’80, w okresie „pierwszej »Solidarności«”, a zwłaszcza w okresie stanu wojennego (określam tak, bardzo nieprecyzyjnie, blisko dekadę 1981–89) i transformacji 1989 r.? Czy kręgi tzw. partyjnych reformatorów – jak ich określano, czasami z ukrytą lub jawną ironią – były jakimkolwiek realnym partnerem władzy po grudniu 1981 r.? Możliwości spacyfikowania takich środowisk władza miała znacznie skuteczniejsze, niż gdy przychodziło jej stawić czoła rozbitym, represjonowanym, prześladowanym środowiskom opozycji solidarnościowej i okołosolidarnościowej. I z możliwości tych władza korzystała grzebiąc dorobek wszystkiego i wszystkich, którzy usiłowali budować dialog, atmosferę racjonalnej argumentacji, refleksji politycznej w latach 1980–1981. Ze związkiem „S” – nawet pozostającym w konspiracji – władza musiała się poważnie liczyć, bowiem nawet siłowe pacyfikacje ulicznych protestów, fale aresztowań opozycjonistów, próby publicznego ich dyskredytowania niosły z sobą poważne społeczne konsekwencje, rozszerzanie się fali niezadowolenia, która przelała się w 1988 roku.

Z „partyjnymi reformatorami” liczone się niewiele oczekując, że ich głos i tak utonie wśród postaw niechętnych wszystkiemu, co nosiło nawet delikatną sygnaturę lewicowości. Środowiska te starano się marginalizować i odciąć od wpływu na życie polityczne kraju. Dzisiejsza więc ocena roli tych środowisk akceptuje tę marginalizację i nie prowadzi wcale do „niedoszacowania”. Jest mimo wiedną kontynuacją ocen, które powstawały w latach 80. Jest – jakkolwiek by to paradoksalnie brzmiało – na rękę ówczesnej władzy, która gładko i ze znacznymi sukcesami odsuwała na bok głosy wszystkich, którzy do otwartej opozycji przejść się obawiali, nie umieli lub nie chcieli.

7.

Trzecią twarzą „ducha miejsca” objawiającego się w tamtych latach w krakowskim życiu była trudna do przeniesienia w inne rejony kraju (może poza Warszawą) wielość postaw, idei, stanowisk, pomysłów, intelektualnych projekcji wyrażających się – już tylko na powierzchni tego życia – poprzez niesłychanie bogaty ruch wydawniczy. Jego początki to połowa lat 70., ale rzeczywisty rozkwit – i to kolejny paradoks, czas nasilonych represji lat 80. Tu również nie do przecenienia jest mecenat Kościoła jako jednej legalnej struktury instytucjonalnej zdolnej tworzyć złożoną sieć powiązań między środowiskami twórczymi, naukowymi, młodzieżowymi i działaczami robotniczymi. Wielość światopoglądowa, ideowa środowisk opozycyjnych okazała się zbawienna w chwili, gdy dynamika oporu wobec władzy zaczęła przygasać (połowa lat 80.). Karol B. Janowski zauważał w trakcie 17. Powszechnego Zjazdu Historyków, iż „Solidarność» zademonstrowała swoje istnienie w trakcie manifestacji 1 i 3 maja 1987 r. w kilku miastach oraz przy okazji pobytu Jana Pawła II w Polsce (8–14 czerwca). Jednakże wskutek braku wyraźniejszych podniet wypływających z sytuacji społecznej czy politycznej oraz sukcesów, nie ustrzegła się stagnacji. Rzeczywista jawność nie szła w parze ze wzrostem poparcia społecznego. Walka przeciwko porządkowi realnosocjalistycznemu, w tym bojkot, obok strajku czy demonstracji były bronią, która nie mogła zastąpić programu pozytywnego. Dotychczasowe formy ekspresji uległy wyczerpaniu. Pojawia się kwestia, czy słabość i programowy marazm, które oświadczyły »Solidarność« nie stanowiły lustrzanego odbicia niezdolności establishmentu do podjęcia wyzwań niesionych przez strukturalny kryzys socjalizmu? Od zarania bowiem dzieje związku i jego losy sprzęgały się z działaniami władz. Ich jednak słabość nie zawsze niosła wzmocnienie związku”. Gdyby więc nie wielość postaw i poglądów, gdyby nie możliwość nawet polaryzacji tych postaw – owocujących zawsze pojawieniem się energii podtrzymujących potrzebę zmiany – zapewne dynamizm ruchu społecznego uległby wypaleniu. Kraków stwarzał szansę – i była to szansa sporu i dialogu oddalającego wizję unifikacji języka, w jakim wyrażała się potrzeba zmiany.

8.

Każdy bowiem ruch dokonujący zmian lub tylko dążący do nich staje wobec wyzwania, jakim jest język, którym trzeba opisać stan istniejący i wizję pożądaną rozwiązań ustrojowych czy kształtu społeczeństwa. Problem „S” polegał na tym, iż język, jakim potrafiła się w tym zakresie posługiwać był złożoną mieszaniną haseł populistycznych, lewicowych (w ich propagando-

wej wersji z lat PRL), narodowo-katolickich i liberalnych (lub neoliberalnych). Opisując, która z tych językowych, a zatem i świadomościowych składowych stawiała się dominantą, moglibyśmy opisać drogę, jaką polska opozycja przeszła od 1976 po przełom 1989 roku. Wielobarwność, to, że żaden z tych składników nie zdominował pozostałych, była z pewnością rezultatem atmosfery dialogu i argumentacji, jaka panowała w Krakowie w okresie poprzedzającym Sierpień’80, w jego trakcie, a nawet w początkach dekady lat 80. Jednak jej utrzymanie okazało się z biegiem lat coraz trudniejsze, coraz wyraźniejsze okazywało się dążenie do czegoś, co fachowcy określają mianem „przemocy semiotycznej”. Było ono tym silniejsze, im wyraźniejsza stawała się wizja zwycięstwa sił opozycyjnych i destrukcji reżimu. Paradoksalnie – to, co miało oznaczać zwycięstwo rudymentów wszelkiej demokracji czyli ducha dialogu, otwartości na poglądy odmienne od własnych – okazało się z początku niemal niezauważalnym odchodzeniem od tego ideału. „Duch miejsca” działał coraz słabiej i ukazywał się coraz rzadziej.

9.

Czy to oznacza, że nie był dostatecznie silny, by przeciwstawić się siłom unifikującym, czyniącym z Krakowa miejsce odznaczające się takimi samymi cechami, jak inne miejsca w Polsce? Czy to oznacza, że zaufanie ustąpiło pola podejrzliwości, że chęć działania grupowego, wspólnego została zastąpiona przez różnego rodzaju egoizmy, partykularyzmy walczące nie tylko o rzeczywistą władzę, ale i o dominację „językową”, o której wspominałem? Czy to oznacza, że wielu środowiskom, którym zależało niegdyś na oryginalności, niepowtarzalności i jednoznaczności sposobu wyrażania własnych diagnoz rzeczywistości i ich wizji, przestało na nich zależeć i że zaczęły licytować się w zgodności z „głównym nurtem”, czyli w praktyce – na posługiwaniu się językami „skradzionymi” innym, nawet tym, do których bywało daleko? Jeśli by tak miało w istocie być, „wyjątkowość” Krakowa okazywałaby się echem przeszłości, mitem, którego – mimo różnorodnych wysiłków – nie daje się już wskrzesić.

10.

Gdyby odpowiedzi na te pytania miały być twierdzące – musielibyśmy przyznać, że w Krakowie doszło do unifikacji standardów publicznego dyskursu. Nie wiem, czy unifikacja ta jest efektem obniżenia czy też podwyższenia „poprzeczki” oczekiwań i nadziei, jakie przez lata wiązaliśmy tu, w Krakowie, z samą szansą prowadzenia takiego dyskursu. Ta szansa była dla nas przez wiele lat wartością samą w sobie – być może aż tak bardzo, że przestaliśmy umieć ją wykorzystywać, strzec jej i traktować nie jak „oczywistą oczywistość”, tylko jako coś, co w każdej chwili może zostać utracone. W 1980 i 1981 roku – a nawet, co okazywało się w najbardziej dramatycznych punktach zwrotnych dekady lat 80. – jakość publicznego dyskursu bywała skutecznym zaworem bezpieczeństwa chroniącym nas przed kataklizmem obojętności. Jak go uniknąć w warunkach, w jakich żyjemy dziś – to jedno z najważniejszych pytań, jakie trzeba zadawać i duchowi oporu, i duchowi wielkiej zmiany.

ZBIGNIEW BAUER

KRYSTYN DĄBROWA

KRAKÓW. PRÓBY POROZUMIENIA 1980-1981

Pozwólcie, że moje wystąpienie rozpocznę cytataми. Jacek Kuroń w *Gwiezdnym czasie*, książce pisanej prawie na gorąco w stosunku do dziejących się wydarzeń, relacjonując fakt usunięcia Stanisława Zawady ze stanowiska przewodniczącego małopolskiej „Solidarności” pisał m.in.:

„Zawadzie zarzucano głównie nielojalność, ataki na KOR i wzorem partyjnej propagandy – na współpracowników KOR-u (...) Atakowali go również za umiarkowanie i za bliskość z komitetem wojewódzkim partii, który był jednym z liberalniejszych, skłonniejszym do rozmów. Myślę, że w tym czasie zaczęły się już kształtować w partii struktury poziome i Kraków siedł dalej na porozumienie niż Fiszbach w Gdańsku. Tak, że mnie akurat rozmowy Zawady z Krystkiem Dąbrową nie przeszkadzały, a nawet dobrze o nim świadczyły”.

I cytad drugi – z artykułu Anny Bikont i Pawła Smoleńskiego w „Gazecie Wyborczej” (27-28 czerwca 1992 r): „Dąbrowa chętnie przyjmował Zawadę w komitecie. Rozmawiał, wyjaśniał, przekonywał. Uwiódł. Tak robotnik z taśmy wchodził na salony władzy – mówi Lesław Maleszka, (...) działacz krakowskiej posierpniowej opozycji, »Solidarności« naziemnej i podziemnej, chodząca encyklopedia tamtych czasów”.

„Zawada mówił, że interesuje go czysty Związek, robotniczy, bez polityki, KOR-u, KPN-u, który nie będzie wchodził w konflikt z partią – wspomina Lityński” (w tym samym artykule).

Ta druga opinia (Maleszki – a dziś już wiemy dla kogo pracował) opakowana została we wręcz korupcyjną otoczkę. Tak więc mówił Maleszka, że dałem Zawadzie samochód z kierowcą, który miał – proszę zwrócić uwagę na dwuznaczność – „spełniać wszelkie zachcianki przewodniczącego”.

Natomiast opinie ówczesnych, strajkowych działaczy „Solidarności” bliższe były opinii Jacka Kuronia i temu, o czym wspominał w cytowanym artykule Lityński. Jedną z najbardziej radykalnych działaczek nauczycielskiej „Solidarności”, pani Maria Sierotwińska w rozmowie z dziennikarzem tygodnika „Perspektywy” mówiła w końcu października 1980 r. m.in.: „Stosunki z władzami miasta układają się znakomicie. Naprawdę. Odczuwamy autentyczną pomoc. (...) Trzeba powiedzieć, że władze przestrzegają porozumienia gdańskiego”.

W grudniu 1980 r. w redakcji „Gazety Południowej” odbyła się rozmowa, w której uczestniczyli najbardziej wówczas prominentni przywódcy krakowskiej „Solidarności”: Andrzej Borzęcki, Andrzej Cyran, Mieczysław Gil i przewodniczący Komitetu Robotniczego Hutników – Władysław Hardek. Zastanawiali się m.in., dlaczego w Krakowie „Solidarność” jest mniej wojownicza niż w kraju. Opinie wszystkich dyskutantów zgodne były ze sformułowaną przez wiceprzewodniczącego MKZ Andrzeja Cyrana konkluzją: „Tak czy owak – o spokoju w Krakowie nie przesądziło stanowisko „Solidarności”.

Nie jesteśmy bowiem ani lepsi ani gorsi od innych grup związkowych w Polsce. Przesądziło stanowisko niektórych ludzi z kręgów władzy”.

Pamiętajmy jednak, że wszystko to działo się w określonej sytuacji. Nie muszę chyba omawiać jej szczegółowo, więc tylko w kilku punktach:

W Krakowie:

– Byliśmy po serii ekonomicznych strajków trwających od 19 sierpnia do połowy września 1980 r., strajków raczej krótkotrwałych, obejmujących nieco ponad 50 zakładów pracy i ponad 15 tysięcy pracowników;

– Powstał już, także w Krakowie, Niezależny Samorządny Związek Zawodowy i ukonstytuowały się jego krakowskie władze, które złożyły wizyty – przedstawiły się (w następującej kolejności): I sekretarzowi KK PZPR; metropolicie, kardynałowi Franciszkowi Macharskiemu; prezydentowi Krakowa. Już w październiku 1980 r. do nowego ZZ deklarację złożyło prawie 170 tysięcy pracowników, tj. 30 proc. ogółu zatrudnionych, a w apogeum – w 1981 r. do „Solidarności” należało ok. 340 tys. pracowników, czyli ok. 63 proc. zatrudnionych.

– Mielśmy do czynienia z fatalną sytuacją w przemyśle, budownictwie nie tyle zresztą z powodu naszych, to znaczny krakowskich strajków, ale dlatego, że znacznie intensywniejsze i dłuższe strajki w innych rejonach kraju pozbawiły nasz przemysł i budownictwo dostaw wielu surowców i półproduktów.

– Zupełnie naturalne, w sytuacji społeczno-politycznych zawirowań, nastroje podenerwowania i niepewności mieszkańców Krakowa i województwa pogłębiane były różnego rodzaju trudnościami codziennego bytowania: groźbą przewidywanego niedostatku dostaw ciepła do mieszkań, fatalną sytuacją na rynku artykułów spożywczych i innych artykułów codziennego użytku. Krakowskie – przypominam – jeśli idzie o artykuły spożywcze nie było samowystarczalne, obniżenie bądź przerwanie dostaw z innych regionów było dla nas katastrofą. Proszę mi wierzyć – nie ideologiczne, nie polityczne sprawy, ale troska o codzienne zaopatrzenie rynku, stołówek pracowniczych, szpitali i przedszkoli zajmowały także nam, w Komitecie Krakowskim najwięcej czasu i starań.

– Wreszcie bardzo trudna i złożona była sytuacja w liczącej formalnie prawie 98 tysięcy członków wojewódzkiej organizacji partyjnej, której już w listopadzie 1980 r. 28 742 członków zapisało się do „Solidarności”. Nie to było problemem. Problemem, rzecz jasna upraszczając, była utrata zaufania, jak to się wtedy mówiło, „dołów partyjnych” do przywódców partii, nawet więcej – formułowane były wobec wielu z nich żądania pociągnięcia do odpowiedzialności karnej za sytuację, w jakiej znalazły się społeczeństwo, partia i państwo. Te nastroje i krytyczne oceny przenosiły się na wszystkie partyjne instancje i dotyczyły rzecz jasna także Komitetu Krakowskiego i jego przywództwa oraz komitetów dzielnicowych, miejskich, gminnych. Pamiętajmy, że

już 5 września 1980 r. nastąpiła zmiana na stanowisku I sekretarza KC, a z Komitetu Centralnego usuniętych zostało kilku innych czołowych działaczy partii. Był to przykład i inspiracja dla tych, którym wydawało się, że trudne społeczne problemy można załatwić zmianami personalnymi. A demokracja nie zawsze sprawiedliwie wyrokuje. Przez jej wyborcze sito nie przeszło i u nas wielu cennych działaczy. Jak mi przypomniał Jan Broniek, po Konferencji Krakowskiej, w rezultacie demokratycznych wyborów z całej dotychczasowej egzekutywy KK pozostaliśmy tylko my dwaj. Podobnie było w niektórych komitetach dzielnicowych. Przez całe lata 80., ale ze szczególną intensywnością w latach 1980-81 trwały w partii poważne rozbieżności co do oceny społeczno-politycznej sytuacji i jej przyczyn; w sprawie stosunku do „Solidarności”; w sprawie sposobów wyjścia z kryzysu ekonomicznego, politycznego i moralnego; w sprawie strategii i taktyki oraz metod działania partii.

Byliśmy tych sporów aktywnymi uczestnikami.

Rozpocząłem swoje wystąpienie od zacytowania, pozytywnych opinii działaczy „Solidarności” na nasz temat, ale te opinie były już rezultatem naszej świadomej – z pewną przesadą nazwę to – strategii działania, którą przyjęła egzekutywa Komitetu Krakowskiego następnego dnia po podpisaniu porozumień gdańskich, a publicznie ogłosiliśmy i uchwaliliśmy ją na zebraniu plenarnym Komitetu w dniu 10 września 1980 r.

Wypowiedzieliśmy się wówczas publicznie w wielu sprawach, które pozornie dotyczyły partii, ale w istocie odpowiadały zgłaszanym wówczas postulatom ogólnospołecznym. Tak więc wypowiedzieliśmy się przeciwko łączeniu funkcji partyjnych i państwowych i w związku z tym zapowiedzieliśmy i niedługo potem zrealizowaliśmy, rezygnację I sekretarza KK z funkcji przewodniczącego Rady Narodowej (na rzecz Andrzeja Kurza) i odpowiednio pierwszych sekretarzy miast i gmin. Wypowiedzieliśmy się przeciwko obligatoryjnemu przewodnictwu pierwszych sekretarzy KZ konferencjom samorządu robotniczego. Zapowiedzieliśmy ostrą walkę z wszelkimi patologiami szczególnie we władzach partyjnych i administracyjnych, i działania takie podjęliśmy, co zaowocowało licznymi zwolnieniami ze stanowisk, procesem myślenickim i kilkunastu aresztowaniami dyrektorów, sekretarzy, naczelników. W całym okresie 1980-81 jak słusznie zauważył prof. Chwalba w *Dziejach Krakowa* „Zmiany we władzach partyjnych i administracyjnych Krakowa, inaczej niż w innych miastach Polski, nie były dokonywane pod presją ulicy. Nie zanotowano też strajków, których celem byłyby zmiany personalne. Nie zdarzały się wywózki »na taczkach« działaczy partyjnych i dyrektorów przedsiębiorstw”. Rzecz jasna, autor *Dziejów* nie nam tego zasługę przypisał.

Już wówczas Komitet Krakowski wsparł zgłoszony postulat „Kuźnicy” by pilnie odbyć nadzwyczajny zjazd partii. Temat ten, przez wiele miesięcy wzbudzający w kraju spory, dla nas był już wówczas oczywisty. Zapowiedzieliśmy i zrealizowaliśmy wiele zmian, jak na tamte czasy odważnych, w funkcjonowaniu partii i jej aparatu. Np. upowszechnienie tajności wyborów w partii i ograniczenie tzw. nomenklatury stanowisk. Znacznie dalej w demokratyzacyjnych propozycjach i częściowej ich realizacji poszliśmy później, w wyniku prac Krakowskiej Komisji Przedzjazdowej kierowanej przez Hieronima Kubiaka.

Najważniejsze jednak w przyjętych 10 września decyzjach było opowiedzenie się Komitetu Krakowskiego w trzech sprawach: stosunku do nowych związków zawodowych, stosunku do strajkujących, w tym strajkujących członków partii oraz w sprawie wstępowania członków partii do „Solidarności”.

Wyszliśmy z prostego założenia: Jeśli robotnicze bunt, strajki uznane zostały za uzasadnione, a myśmy w Krakowie za uzasadnione uznali je jeszcze w sierpniu, przed podpisaniem porozumień gdańskich i szczecińskich na naradzie aktywu krakowskiego; jeśli zabezpieczeniem realizacji tzw. umów sierpniowych było istnienie legalnego, nowego (tzw. samorządowego, niezależnego) związku zawodowego, obok istniejących związków dotychczasowych, które przyjęło się nazywać „branżowymi”, to powinniśmy te nowe związki traktować jako część socjalistycznego systemu i utrzymywać z nimi partnerskie stosunki. Jeśli tak, to np. byłoby niezrozumiałe, gdybyśmy zakazali wstępowania do nich członkom partii. Zakaz taki oznaczałby, że nie są to ZZ, a partia polityczna, na dodatek wroga wobec PZPR i ustroju socjalistycznego. Czym politycznie jest ten nowy związek i czy dopuszczalna jest przynależność do „Solidarności” członków partii – w kraju był to jeden z tematów spornych.

Jeśli zaś idzie o udział członków partii w strajkach, to pozwolę sobie przytoczyć jedno zdanie z referatu egzekutywy KK: „Chociaż członek partii ma obowiązek działać na rzecz rozładowania konfliktów społecznych bez uciekania się do tej ostatecznej formy protestu, to wówczas, gdy strajk już wybuchł, gdy nosi on charakter walki o słuszne robotnicze postulaty, partyjni robotnik powinien być razem ze swoimi współtowarzyszami pracy, działając jednocześnie na rzecz nieformułowania postulatów nierealnych, występując przeciw hasłom formułowanym z pozycji antysocjalistycznych”.

Te nasze postanowienia były dobrze przyjmowane w „Solidarnościowych” organizacjach, a także przez krakowskich przywódców strajkowych i nie zawsze dobrze wśród niektórych działaczy partyjnych w Krakowie i poza Krakowem.

Przez wszystkie miesiące 1980 r. działacze krakowskiej „Solidarności” deklarowali się jako zwolennicy socjalizmu, kierowniczej roli partii i międzynarodowych zobowiązań Polski. Mówili o tym publicznie także w wywiadach prasowych, radiowych i telewizyjnych. Nie tylko zresztą działacze „Solidarności”. W noworocznym numerze „Gazety Południowej” na pytania redakcji odpowiadał Jerzy Turowicz, Władysław Hardek i ja. W tym przypadku istotne było to, co powiedział redaktor Turowicz, który wyliczając warunki porozumienia narodowego stwierdził, że „zrealizowanie tych zasad w dokonującym się procesie odnowy nie stoi w żadnej sprzeczności z socjalistycznym charakterem naszego państwa oraz systemem sojuszków międzynarodowych tegoż państwa”. Przez wiele miesięcy te deklaracje, a także umiarkowanie w działaniu MKZ-et, częste jego z Komitetem Krakowskim kontakty pozwalały nam szczerze bronić krakowskiej „Solidarności” przed partyjnymi ortodoksami szafującymi epitetami o „antysocjalistyczności” „Solidarności”. Wspierała nas w tym krakowska prasa, szczególnie „Gazeta Krakowska”. Jeśli zdarzały się wypowiedzi, których nie dało się zakwalifikować inaczej niż jako antysocjalistyczne, to uznawaliśmy je za margines

bądź za indywidualny wyskok kogoś pozostającego pod wpływem KPN lub innej politycznej organizacji opozycyjnej. W tym duchu mówiłem na VII Plenum KC w dniu 2 grudnia 1980 r. wyrażając nadzieję na sojusz sił socjalistycznej odnowy „tych z partii i tych z »Solidarności«” w obronie zdobyczy ostatnich miesięcy uzyskanych „przy walnym udziale »Solidarności«” i przeciw tym, którym marzy się jakiś drugi etap, już bez partii.

Jak mantrę powtarzaliśmy przy tym, że odnowa bez dodatku „socjalistyczna” i bez naszej partii jest niemożliwa, co w tym, breżniewowskim wówczas czasie i regionie polityczno-geograficznym było szczerą prawdą.

Czy była to nasza, przede wszystkim moja naiwność? Pewnie tak, ale raczej – przepraszam za kolokwializm – było to „chciejstwo”. Jednak tak naprawdę – nie tylko naiwność i nie tylko chciejstwo. Przede wszystkim była to wola chronienia Krakowa przed groźnymi dla jego mieszkańców gwałtownymi konfliktami. A o takich, z reguły zresztą przegranych, konfliktach i bijatykach dziejących się w kraju słyszeliśmy i czytaliśmy prawie codziennie. Przypominam: najbliżej nas – Nowy Sącz, dalej – Bielsko Białą, Ustrzyki, Rzeszów, Jelenia Góra, najgroźniejsza – Bydgoszcz i dziesiątki innych awantur. Cytowany już wcześniej wiceprzewodniczący MKZ Andrzej Cyran i pozostali działacze „Solidarności” dyskutujący w redakcji „Gazety Południowej” właściwie odczytali nasze intencje: nie dawać powodów do konfliktów, spory rozstrzygać w rozmowach. Podobnie odczytywał to obserwator z zewnątrz, korespondent „Le Point” Dusard, który w artykule publikowanym 8 czerwca 1981 r. napisał, że „»Solidarność« w Krakowie, mając za partnera partię zdążającą drogą odnowy i Kościół jeszcze bardziej promieniujący niż za czasów arcybiskupa Karola Wojtyły, oddała im inicjatywę, tym bardziej że nie dysponuje doświadczeniem, którego jak wiadomo nabywa się »na polu walki«. Tymczasem od września 1980 r. w Krakowie nie zanotowano poważniejszego konfliktu ani strajku, który pozwoliłby »Solidarności« sprawdzić swą umiejętność i wolę działania”.

Było w tych twierdzeniach sporo dziennikarskiej przesady, bo i w Krakowie zdarzały się strajki i inne formy protestu, ale w żadnym przypadku nie spowodowane „krakowskimi przyczynami”, lecz wynikały z przyczyn ogólnopolskich lub były to „nakazane z Gdańska protesty” solidaryzujące się z kimś lub przeciwko komuś czy czemuś. Posłużę się tu przykładem nakazanego z Gdańska jednogodzinnego strajku ogólnopolskiego w dniu 3 października 1980 r. Strajk był spowodowany – jak głosiła uchwała Krajowej Komisji Koordynacyjnej – brakiem dostępu „Solidarności” do środków masowego przekazu; brakiem swobody w organizowaniu NSZZ „Solidarność”. W związku z tym 1 października zaprosiłem do Komitetu przedstawicieli MKZ, których przekonywałem o bezzasadności strajku w Krakowie. Po godzinnej rozmowie wyszli – jak mówili – przekonani moimi argumentami obiecując interwencję w tej sprawie w Gdańsku. Następnego dnia Zawada, Cyran, Gil i Okarmus przyszli poinformować, że niestety nie zostali zwolnieni z „dyscypliny związkowej”, wręczyli mi jednak pismo kończące się zdaniem: „Z uwagi na to, że wyżej wymienione przyczyny na terenie Regionu Krakowskiego występują tylko sporadycznie, MKZ »Solidarności« w Krakowie traktuje strajk ostrzegawczy tylko jako akcję solidarnościową”.

Jedyna groźba strajku „z krakowskiej przyczyny” dotyczyła rzekomego pobicia przez milicję tzw. plakaciarzy w grudniu 1981 r.. Warunkiem nieodbycia strajku miała być nasza zgoda na wystąpienie przedstawiciela MKZ w telewizyjnej *Kronice*. Wbrew zakazowi centrali, w trójkę: Jan Broniek, Andrzej Urbańczyk i ja zdecydowaliśmy 10 grudnia, na dwa dni przed stanem wojennym, o zgodzie na wystąpienie przedstawicieli MKZ w *Kronice*, co znakomicie wyreżyserował Bronisław Cieślak. Strajk został odwołany. Nas natomiast przed odwołaniem z funkcji uratował chyba, jak sądzę – o paradoksie – stan wojenny.

Kilka razy wspominałem już o wizytach przedstawicieli MKZ i osobno także Komitetu Robotniczego Hutników w Komitecie Krakowskim. Pierwsza wizyta, to była reakcja na opublikowany w prasie krakowskiej referat egzekutywy – ten z 10 września – zawierający naszą „przyjazną doktrynę” wobec nowego Związku Zawodowego, za którą przyszli podziękować. Późniejsze wizyty były „w sprawach”, w tym dotyczyły skarg na administrację lub branżowe ZZ, bądź w ramach odczuwanej przez nich konieczności wyjaśniania różnych zdarzeń. I nie zawsze były to rozmowy grzeczne. Otwarcie mówiliśmy im o coraz częściej zdarzających się przypadkach wychodzenia „Solidarności” poza umowy sierpniowe, o wchodzenie do ich struktur ludzi znanych z politycznej, opozycyjnej, nie związkowej działalności. Formułowaliśmy ostrzeżenia przed podejmowaniem pozaprawnej działalności. Takie wizyty we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu 1980 r. były bardzo częste. Później stały się rzadsze, ale jeszcze przez pierwsze półrocze 1981 r. kontakty, mniej lub bardziej przyjazne, trwały. W książce Wojciecha Jaruzelskiego *Stan wojenny. Dlaczego...* znalazłem notatkę treści następującej: „Niechcąc do kontaktów między ogniwami partii a ludźmi opozycji była obustronna. Wynikała z metody postępowania »Solidarności«, która od zarania uznawała tylko kontakty na linii administracyjno-państwowej. Wyjątkiem były kontakty Krystyna Dąbrowsy w Krakowie z miejscowym zarządem regionalnym oraz Tadeusza Fiszbacha z gdańską »Solidarnością“.

Tak było do lipca 1981 r., gdy wybrane zostały nowe władze regionu małopolskiego zdominowane przez bardzo upolitycznionych działaczy powiązanych często z SKS-em i KPN-em, a na ich czele jako przewodniczący stanął Wacław Sikora z województwa tarnowskiego, który nie przeszedł „szkolenia krakowskiego” i który kontakty z władzami, zresztą coraz częściej powiązane z jakimiś mało realnymi żądaniami, przeniósł do urzędu miasta.

„Solidarność” była ważnym, ale nie jedynym środowiskiem społecznym, z którymi staraliśmy się umacniać bądź budować front porozumienia. Trzeba tu wspomnieć o poważnym traktowaniu przez nas współpracy z SD i ZSL-em, także z PAX-em oraz z wieloma organizacjami społecznymi, młodzieżowymi, kobiecymi, w tym z zupełnie wówczas nową organizacją, z Polskim Klubem Ekologicznym. W tym miejscu warto przypomnieć udaną walkę – stoczoną przy walnym udziale „Gazety Krakowskiej” – o likwidację „najbrudniejszych” oddziałów w Hucie Aluminium w Skawinie. W ramach tego „obudowywania” się partii ruchami społecznymi Jan Broniek z powodzeniem odnowił i ożywił Front Jedności Narodu. Na jego czele w Krakowie po raz pierwszy stanął bezpartyjny prof. Mieczysław Klimaszewski, a wśród wybranych

i rekomendowanych przez liczne organizacje, w tym katolickie, członków Komitetu również po raz pierwszy, członkowie partii stanowili 30-procentową mniejszość. Choć przedstawiciele MKZ nie weszli w skład Komitetu, jednak nie oprotowali udziału w nim sporej grupy członków „Solidarności”. Front miał szansę stać się nie fasadową, a rzeczywistą formą współdziałania różnych sił społecznych.

Z pewną obawą, bo nie wiem jak oceniłby to krakowski IPN, poruszam temat stosunków z Kościołem. Już 10 września w referacie egzekutywy KK, na który powoływałem się, gdy dziękowaliśmy różnym środowiskom i organizacjom za odpowiedzialny stosunek do przeżywanych trudności, mówiliśmy także, że „w trosce o spokój w mieście (...) towarzyszyło nam i pozytywnie oddziaływało na bieg wydarzeń stanowisko wielu ludzi, na niektórych innych płaszczyznach różniących się od nas poglądami – mam tu na myśli przedstawicieli Kościoła katolickiego z księdzem kardynałem Franciszkiem Macharskim na czele – a także reprezentantów niektórych środowisk katolików świeckich”. Zostało to w Kurii Metropolitalnej dostrzeżone i życzliwie ocenione.

Z kardynałem Franciszkiem Macharskim spotykałem się w latach 1980-1981 wielokrotnie, czasem z udziałem Andrzeja Kurza, raz z udziałem prof. Klimaszewskiego i Gajewicza najczęściej po to, by poinformować go o ważnych dla społeczeństwa sprawach, o niebezpieczeństwach związanych trudnościami życia w mieście, o zagrożeniach politycznych i społecznych oraz o naszych poglądach na sposób przeciwdziałania niekorzystnym sytuacjom również w związku z zamiarem przeniesienia na Wawel prochów gen. Władysława Sikorskiego, którą to – naszą inicjatywę – Kardynał wspierał. Kardynał również miał do nas zwykłe sprawy, na które zwracał nam uwagę – np dotyczyło to trudnej sytuacji Kliniki Psychiatrycznej lub potrzeb inwestycyjnych Kościoła – tu przypominam sobie sprawę Seminarium Duchownego przy ul. Manifestu Lipcowego (dziś Piłsudskiego). Również wielokrotnie listownie Eminencja dziękował nam za załatwienie bądź przyspieszenie załatwiania jakichś spraw. Nigdy – poza jednym przypadkiem – nie prosiłem kardynała o nic, wierząc że z otrzymanych od nas informacji potrafi zrobić właściwy użytek. Ten jeden przypadek, to prośba o wpłynięcie uspokajająco na jednego z księży, który moim zdaniem zbyt aktywnie jak na duchownego angażował się w działalność polityczną. Kardynał tę moją prośbę „odbił” w charakterystyczny dla siebie sposób: Panie sekretarzu, powiedział, pan też ma kłopoty z niektórymi działaczami i nie zawsze udaje się panu zmienić ich postępowanie. Musiałem przyznać mu rację.

Ze swej strony z zadowoleniem przyjąłem to, co w kazaniu w katedrze wawelskiej 6 stycznia 1981 r. powiedział kardynał Macharski pod adresem krakowskich władz: „Jest taki zwyczaj w Krakowie, że ten wieczór Trzech Króli przeznaczony jest w katedrze wawelskiej na to, żeby biskup krakowski składał życzenia temu miastu. (...) Trzeba pomyśleć, kiedy mówię miasto, trzeba pomyśleć o tych, którzy w nim polityczną władzę sprawują. Tym, którzy w tym mieście władzę sprawują bardzo gorąco życzę, żeby ją nadal, mówię nadal, w tym mieście mogę to powiedzieć – nadal sprawowali z rozwagą, z mądrością i odwagą wtedy kiedy chodzi o dobro, o dobro tego miasta, o dobro człowieka”.

Na sytuację wśród studentów „tonująco” niejednokrotnie wpływał ks. Józef Tischner. Np. w maju 1981 r. wypowiedział się zdecydowanie i na piśmie przeciwko organizowanemu przez NZS marszowi solidarności z tzw. „więzionymi za przekonania”. Z tej samej okazji duszpasterz akademicki, ks. Franciszek Płonka w opublikowanym oświadczeniu zaprotestował przeciwko użyciu mszy, po której marsz miał się odbyć, jako „elementu akcji niereligijnej”. Już wtedy ludzie Kościoła musieli zacząć zdawać sobie sprawę, że organizatorzy politycznych akcji nie zawsze będą ich słuchać. Bo ten marsz liczebnie niewielki – jednak się odbył.

Byliśmy wciąż „poganiani” nie tylko pogarszającą się sytuacją w kraju i w Krakowie, gdzie z opóźnieniem w stosunku do kraju, ale następowało upolitycznienie „Solidarności”, która biorąc pod parasol ochronny różne grupki opozycyjne sama ulegała ich wpływowi. Poganiani byliśmy także niecierpliwością najaktywniejszych środowisk partyjnych: „Kuźnicy”, organizacji uczelnianych, HiL-u, i wielu innych, w tym krakowskich gazet. Wszystkie one żądały od nas zwiększenia naszej „aktywności w realizacji odnowy” i zwiększenia naszego nacisku na nie dość konsekwentną centralę partyjną. Z drugiej strony atakowani byliśmy przez partyjny „beton” m.in. w postaci Forum Katowickiego i przez niektóre inne środowiska ortodoksyjne w kraju jako liberałowie, omalże zdrajcy. Ze spotkań z delegacjami tzw. bratnich partii, szczególnie KPZR i SED orientowaliśmy się, że dla nich, krytycznych wobec PZPR, my w Krakowie byliśmy szczególnie patologicznym przypadkiem. Nie byliśmy szaleńcami, musieliśmy również to poważnie brać pod uwagę. Stąd nasze spory z różnego rodzaju radykałami niezachowującymi równowagę w głoszonych opiniach politycznych, szczególnie w środowisku dziennikarskim w tym także w składnąd z trudem chronionej przez nas „Gazecie Krakowskiej”, której bardzo nie lubił obecnie „nawrócony” politycznie i religijnie Stefan Olszowski.

W miarę przechodzenia „Solidarności” od etapu walki o prawa ekonomiczne, socjalne i swobody obywatelskie do etapu walki o polityczną władzę, w miarę eliminowania z władz związku strajkowych działaczy robotniczych, my ze swoją obroną „socjalistycznej odnowy” pozycji partii, a jednocześnie upartym aż do zjazdu „Solidarności” zaprzeczaniem antysocjalistyczności krakowskiej „Solidarności” traciliśmy kontakt z „politycznie odnowionym” MKZ-em i także z niektórymi przerażonymi rozwojem sytuacji środowiskami partyjnymi.

Niestety, w ofiarowanym mi na wystąpienie czasie nie da się zawrzeć nawet w postaci zwartej syntezy prawdy o burzliwych latach 1980-81 w Krakowie. Chciałoby się powiedzieć więcej o ludziach, i tu powtórzę: „tych z partii i tych z »Solidarności«”. Więc może tylko dodam: nie żałuję, i jak sądzę nie żałują tego moi współpracownicy, niezależnie jak potoczyły się, nasze losy, że tak, a nie inaczej próbowaliśmy realizować w tych latach porozumienie społeczne. Bo tak jak podobno powiedziałem na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi w stanie wojennym, a zapisał to i opublikował dziennikarz „The Wall Street Journal”: „Stan wojenny skończy się, a my z tymi samymi ludźmi będziemy tu na tej ziemi zawsze razem”.

KRYSTYN DĄBROWA

MARCIN KULA

UNIwersytet - Instytucja Nie na te czasy?¹

Zacznijmy rozważania od uwag o profesurze, która podobno jest najważniejszą częścią uczelni. Tak przynajmniej zawsze twierdzą rektorzy na pogrzebach kolegów. Potraktuję ich słowa jako dobrą monetę – nawet jeśli trudno mi oprzeć się przypuszczeniu, że zostały one zapisane w uczelnianym komputerze, pod hasłem „pogrzeby profesorskie”, jako standardowe.

W tradycji uniwersyteckiej, tej biegnącej od średniowiecza do Humboldta, profesor sytuował się pomiędzy mnichem a świeckim misjonarzem. Jeszcze mój Ojciec, który był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, pisał do mnie podczas jakiegoś wyjazdu, że nauce trzeba się poświęcić całkowicie. Pisał o sobie i o Matce, która też była profesorem UW:

„Praca naukowa jest niesłychanie »zazdrosna« – tak jak bywają żony, które nie lubią, by ich mąż zajmował się czymś innym niż ciągle nimi. Tak i ona. Pozwala osiągnąć wyniki tylko temu, kto się jej poświęca całkowicie. My tego nie umiemy tak, jak by należało – a i to widzisz ciągle spory w domu, że my nie umiemy odpocząć, nie umiemy »się wyłączyć«, nie umiemy przerwać. Gazetę i powieść czyta się z ołówkiem w ręku. Urzędnik na poczcie wraca z pracy – i odpoczywa. My wracamy z pracy, by się zabrać do drugiej. Nikt i nic

nas nie goni – tylko nie umiemy inaczej. O swojej pracy myśli się, gdy się jedzie autobusem i gdy się goli, i gdy się je, i gdy się zasypia. Tylko tak jest dobrze z punktu widzenia wyników. Tyle że to bardzo męczące. A nam obojgu do takiej koncentracji, jaka naprawdę potrzebna, jeszcze daleko! A więc nauka jest zazdrosna i chce, by jej poświęcić »wszystko albo nic«.²

Dziś już tylko bardzo niewielu z nas realizuje ideał zarysowany w ten sposób. Profesorowie nie są już ani jedynymi, ani nawet głównymi twórcami i depozytariuszami wiedzy. Nie ma już „uczonych”, są tylko „naukowcy”. Jest na świecie parudziesięciu uczonych, a od reszty z nas oczekuje się raczej sprawnego wykonywania zawodu niż rewelacji. Naukowców zbyt oryginalnych, nietypowych, niestety także wśród absolwentów świeżej daty, środowisko naukowe często wręcz nie lubi. Nie miejsce tu na powoływanie nazwisk, ale nieraz, nawet niedawno z bólem widziałem jak eliminuje się takich. Za najlepszych uważa się solidnych oraz robiących prace w terminach, ale nie za szybko. Nie wiem, czy należy znieść habilitację. Widzę różne „za” i „przeciw” w tej sprawie. Wiem jednak, że sytuacja, w której jeden z najlepszych historyków polskich zostaje pełnym profesorem swojej uczelni dopiero w wieku około 60 lat, jest patologią poza wszelką dyskusją.

¹ Referat przygotowany na konferencję *Rola uczelni w rozwijaniu społeczeństwa obywatelskiego* zorganizowaną w Łodzi 26-27 czerwca 2008 r. przez Fundację Edukacyjną Przedsiębiorczości.

² Witold Kula w liście do Marcina Kuli pisanym z Paryża w maju 1959 r.

Sytuacja panująca obecnie w nauce przypomina trochę podział zadań między wielkimi projektantami mody i masą zawodowców, którzy mają siedzieć na swoim miejscu i możliwie poprawnie wykonywać obowiązki inspirowani przez tych pierwszych. Prawda, że wiele zawodów utraciło w naszych czasach czar misji oraz wyzwania, podobnie jak nasz stając się raczej sposobem na życie (zawody nauczyciela, żołnierza, polityka...).

Profesorowie utracili znaczną część dawnej, wyjątkowej pozycji – nawet jeśli pozornie, według sondaży, wciąż cieszymy się autorytetem w społeczeństwie. Częściowo wynikało to z sygnalizowanej zmiany charakteru roli. Częściowo jednak także ze stania się trybikiem wielkiej maszyny, jaką dziś są uczelnie. Jak przedstawiciele wielu zawodów staliśmy się nawet przedmiotem ocen okresowych. Trudno być oczywiście za zlikwidowaniem ocen w imię przyzwolenia na nierówność, ale procedura oceny ma wpływ na zmianę pozycji profesora, zwłaszcza takiego, który na całym świecie bywa już ustabilizowany.

Zmiana naszej pozycji wynika ze stania się pentami w staraniach o pieniądze, o wydanie publikacji, o późniejszą klakę dla niej, o bycie na salonach, o własne lub (i) zespołu zaistnienie w telewizji... Są to zjawiska wymuszone przez szersze zmiany społeczne. Nauka upodobniła się do innych dziedzin życia. Wszyscy postępują podobnie. Także w nauce trudno dziś funkcjonować skromnie oraz cicho – jak zgodnie z tradycją mieli funkcjonować uczeni. Jeszcze we wczesnym okresie mojej drogi naukowej nie wypadało się starać o recenzje własnej książki. Jeszcze pokolenie moich Rodziców uważało, że jeżeli jakkolwiek przykładało się rękę do publikacji, to nie powinno się potem samemu jej oceniać. Dziś jednak taka postawa jest nierealistyczna, a rezultaty pracy naukowej reklamuje się jak pastę do zębów. Inaczej nie można. Pojawiało się nawet określenie „produkt edukacyjny”, jak, powiedzmy, „produkt bankowy”.

Na zmianę roli profesora ma wpływ nasze rozmienianie się na drobne z powodów materialnych oraz z powodu wymogów współczesnego życia. My, czy raczej nasze nazwiska i umiejętności stają się towarami na sprzedaż bądź narzędziem do wykorzystania w różnych potrzebach. Dziś jesteśmy tu, jutro tam... Można oczywiście dostrzec zalety funkcjonowania w szerszej sferze niż sama uczelnia i niż wyłącznie jedna uczelnia. W niektórych krajach wręcz nie można przeżyć w jednej uczelni od doktoratu do zgonu. W naszej rzeczywistości to zjawisko ma jednak cechy patologii. Przykro mi to powiedzieć, ale sam łapię się na tym, że swoje podstawowe prace napisałem i piszę w czasie, który ekonomiści nazywają „marginalnym”. Od dawna przestałem uczestniczyć w spotkaniach naukowych, w których nie muszę, czyli w praktyce w tych, podczas których sam nie referuję. Za mało czytam, zwłaszcza lektur niekoniecznych. To wszystko nie może pozostać bez wpływu na wynik ostateczny, który znajdzie się w *Polskim Słowniku Biograficznym*, już nawet nie wspominając o jakimś *Who was who in World Science*?

Niektóre instytucje naukowe i niektórzy politycy skompromitowali się oddaniem się na usługi polityce. Zdarzyło się to wielokrotnie w XX w. Niestety, miewa

miejsce także dziś w Polsce. Oczywiście, każdy profesor, jak po prostu każdy człowiek ma prawo do poglądów politycznych i uczestnictwa w polityce. Oddawanie się w służbę polityce w swojej roli zawodowej, czy oddawanie instytucji badawczych w służbę polityce ma natomiast istotne negatywne skutki dla nauki.

Rozmyły się granice korpusu profesorskiego. Często profesor jednego dnia jest faktycznie profesorem, a następnego, zachowując tytuł, urzędnikiem państwowym. Kolejnego dnia staje się znów profesorem z nadzieją, że przy następnym zawirowaniu w polityce wróci się do ciekawszych i zapewne lukratywniejszych zajęć. Na dodatek szersza publiczność nie rozróżnia między profesorami i uczelniami. Każdy przegrany polityk zapowiada w telewizji, że „wraca do nauki”... W konsekwencji Polska zdaje się wybrukowana profesorami, a nauka staje się „przechowalnią” dla wielu ludzi.

Sprawa jest oczywiście trudna. Na całym świecie ewolucja cywilizacyjna sprawia, że mało kto nieustająco pełni jedną rolę zawodową. Trudno także postulować, aby ekonomista nie miał kontaktu z praktyką gospodarczą, zaś profesor medycyny nie leczył chorych. Wszystko jednak zależy od motywacji ludzi i proporcji poszczególnych rodzajów aktywności. Zależy od tego, czy uprawianie nauki oraz dydaktyki traktuje się jako aktywność podstawową, czy też tytuł profesorski raczej służy jako ładna ozdoba podnosząca prestiż człowieka. Zależy od tego, czy rezultaty pracy na różnych polach sprzyjają sobie wzajemnie, czy też powrót „do nauki” służy jedynie odpoczynkowi po ciężkiej służbie państwowej. Niestety mniej więcej tak właśnie powiedział mi ostatnio kolega akurat spalony w polityce, a podejrzanym, iż jego stosunek do sprawy jest typowy. Kolega nawet nie ukrywał, że wróciwszy na uczelnię, gdzie indziej rozmawia o ponownym znalezieniu jakiegось, jego zdaniem rozsądnej pracy. – Na razie – mówił – pouczy sobie za (tu zrobił odpowiednią minę) godne współczucia 3 tys. złotych.

Bardzo nie podoba mi się rozdawanie doktoratów h.c., czyli najważniejszego wyróżnienia akademickiego, politykom – co dotyczy, niestety, nie tylko wypadku tytułów honorowych przyznanych Andrzejowi Lepperowi oraz Januszowi Maksymiukowi przez uczelnie kieleckiej sławy za wschodnią granicą³. Jakoś tak się składa, że nawet najbardziej zasłużeni politycy nie dostają orderów wojennych, a jeden zaistniały za mojej pamięci taki wypadek został powszechnie uznany za kompromitujący⁴. Dlaczego zatem politycy mają dostawać akurat doktoraty h.c.? Jest przecież dostatecznie dużo odznaczeń państwowych, którymi można uhonorować tych spośród nich, którzy na to zasługują.

W modelu tradycyjnym nauka była miejscem dla najlepszych. Oczywiście zawsze funkcjonowało na

³ Andrzej Lepper otrzymał doktoraty h.c. w 2004 r. od Międzynarodowej Akademii Zarządzania Personalem z Kijowa, w 2005 r. od Ukraińskiej Akademii Technologicznej, w 2007 r. od Moskiewskiej Akademii Precyzyjnej Techniki Chemicznej w Moskwie. W 2007 r. otrzymał honorową profesurę od wspomnianej Międzynarodowej Akademii Zarządzania Personalem z Kijowa. Janusz Maksymiuk otrzymał doktorat h.c. w 2007 r. od tejże Akademii („Gazeta Wyborcza”, 3 I i 1 II 2007; „Życie Warszawy”, 2 II 2007).

⁴ W 1974 r. Leonid Breżniew otrzymał *Virtuti Militari* najwyższej klasy – zapewne za zasługi w wojnach partyjnych.

uczelniach trochę popaprańców, trochę oryginałów i trochę dziwaków. Niektórzy z nich przydawali zresztą uczelni swoistego uroku. O profesorach-oryginałach przez lata krążyły potem legendy, a ich niedostosowanie (by użyć właściwego słowa!) czasem bywało oznaką dużego potencjału twórczego. Prawdziwych miernot bywało jednak mało. Jeszcze w PRL, niezależnie od miernot promowanych dla szczególnych powodów w ramach uogólnionych kretynizmów, do nauki często szli najlepsi. Przychodzili właśnie ci zdolni, zainteresowani, uczciwi – właśnie tacy, którzy nie chcieli iść do ówczesnej polityki. Nawet jeśli nasze środowisko nie było w pełni świetlane, a mało kto z nas był aniołem (bo tacy po prostu pojawiają się rzadko!), to często selekcja do nauki była wówczas selekcją *in plus*. W dzisiejszych czasach na uczelniach też zostają bardzo dobre ludzie, właśnie ci z pasją do nauki, a nie do pieniędzy. Uważamy jednak, ażeby nie powiększyła się niebezpiecznie liczba tych, którzy zostają w nauce, bowiem lepiej im się nie udało, lub zajmujący się nauką jedynie połowicznie. Przykro wspominać wyznaczenie jednego z moich najlepszych magistrantów i doktorantów, człowieka dziś już po habilitacji, który niedawno powiedział mi, że gdy patrzy na „to wszystko”, w tym na swoje dochody, żałuje, że poszedł drogą naukową. Jego koledzy, którzy wybrali inną karierę, urządzili się w życiu lepiej.

Drugim fundamentalnym elementem uczelni są studenci. W tradycyjnym uniwersytecie byli oni nieliczni oraz raczej dobrze przygotowani. Jeszcze moje świadectwo maturalne nazywało się „świadectwem dojrzałości”. Była to domniemana dojrzałość do studiów wyższych, z czego skądinąd już wówczas nie wynikała ani faktyczna dojrzałość, ani prawo do studiowania. Nazwa ta była – a może wciąż jest? – pewnym reliktem.

Jak wynika z moich doświadczeń, mamy dziś do czynienia z kandydatami na studentów na ogół źle przygotowanymi. Nie chodzi jedynie o rozmiary nabytej wiedzy – choć i w tym wypadku częstotliwość elementarnych braków robi wrażenie. To są często ludzie, którzy nie akceptują uczelnianej formy przekazywania wiedzy, w ramach której słucha się, rozmawia, wybiera to, co użyteczne, robi notatki, korzysta z książek i aktywnie podchodzi do podręczników. Wielu studentów chce skrajnie skompromowanej wiedzy faktograficznej, przesądzającej obraz rzeczywistości, wręcz podyktowanej, zawartej w bryku lub na stronie internetowej wykładowcy czy też uczelni.

Sklonność studentów do nieuczciwości bywa, niestety, bardzo duża. W wielkiej, nieco anonimowej masie prawdopodobieństwo nieuczciwości jest w ogóle z natury większe, a nowoczesne wyposażenie techniczne, w tradycyjnym modelu szkolnictwa wyższego nieznane, jej sprzyja. Wykładowca nie ma na ogół treningu i zapału dobrego policjanta, by walczyć z patologią. W uczelniach bez żenady są rozklejane lub rozrzucone karteczki z numerami telefonów oraz informacją w rodzaju „Praca mgr. itp.”. Raz podjąłem próbę-zabawę (smutną zabawę!) zgłoszenia się na taki numer jako poszukujący pomocy student. Rozmówca jednak najpewniej wyczuł nieszczerość i przerwał kontakt.

Niepokojąco częste jest pomieszanie, jakie nieraz nastąpiło w studenckich głowach. Sprawia ono wrażenie myślenia według kanonów innych, niż zdawałoby się dominujące. Mimo pozorów porozumienia, często nie ma komunikacji między wykładowcą a studentami. Wielokrotnie studenci po prostu nie rozumieją pytań. By nie być gołosłownym, powołam jeden z masy możliwych do przytoczenia epizodów. Podczas któregoś z wykładów mówiłem o mierzeniu przestrzeni, a więc m.in. o miarach przedmetrycznych. Prawie żartem wspominałem, że najdziwniejsza miara tradycyjna, z jaką spotkałem się w literaturze, to mila słoniowa (przebieg między dwoma odpoczynkami słonia w drodze, gdy słon przystaje z własnej woli). Owa miara jest stosowana w Nepalu. No i w odpowiedziach egzaminacyjnych o Europie masowo pojawiły się łokcie, stopy oraz... mile słoniowe. Na dodatek część studentów pomyliła Nepal i Neapol, z czego logicznie wynikało, że słonie hasały w Neapolu.

Długo zarzucałem sobie, że nie potrafię przekazać wiedzy „masowym” studentom. Dziś już tak nie myślę. Opisywanego zjawiska nie da się wytłumaczyć ewentualną niejasnością mojego wykładu. Jest ono zdumiewające, bowiem ci ludzie są dziś poddani strumieniowi informacji znacznie większemu niż poprzednie pokolenia. Można by zatem domniemywać, że powinni mieć niezłą orientację w świecie. Obawiam się jednak, że właśnie w owym natężeniu wiadomości tkwi przyczyna złego stanu rzeczy. Informacji, do której zdobycia nie trzeba żadnego wysiłku, nie zapamiętuje się. Informacji, które przypominają szum ulicy, nie bierze się w ogóle pod uwagę.

Wielokrotnie mamy dziś do czynienia ze studentami o motywacji innej niż pożądana w klasycznym modelu studiów wyższych. Bardzo często owi studenci w najlepszym wypadku chcą nauczyć się czegoś, a nie studiować, podczas gdy właśnie studiowanie było i wciąż powinno być istotą uczelni. Sam jestem zresztą przyzwyczajony do sytuacji, w której student studiuje, czyta, w sumie poszukuje. Buntuję się przeciwko schematowi: sylabus, materiał w komputerze, wykuć, zdać... Sam chcę mówić studentom np. o różnych definicjach narodu, o różnorodności zjawiska narodowego. Chciałbym z nimi dyskutować o takich sprawach. Sądzę, że tylko takie podejście mogłoby wzbogacić ich intelekt. Tymczasem większość z nich jest ewentualnie gotowa nauczyć się jednej, jedynej definicji, której, prawdę mówiąc, w tym wypadku po prostu nie ma.

Z mojego punktu widzenia seminarium, które musi się skończyć punktualnie o danej godzinie, bo studenci mają kolejne zajęcia, a do sali wchodzi kolega ze swoimi zajęciami, nie jest seminarium (nawet jeśli wiem, że wszystko trzeba kiedyś skończyć!). Obawiam się, że zarysowująca się perspektywa zniesienia prac magisterskich będzie służyła jedynie Mac-studentom. Zniesienie prac nie będzie sprzyjało kształtowaniu postawy twórczej, nie mówiąc już o tym, że trudniej będzie uczyć szukania odpowiedzi i formułowania wniosków.

Wraz z likwidacją prac magisterskich zniknie i tak już znikająca na skutek liczebności studentów indywidualna, staranna opieka mistrza nad młodym człowiekiem. Będzie to miało (ma!) złe skutki nie tylko dla

merytorycznej warstwy kształcenia, ale także dla jak najszerzej rozumianego wychowania naszych podopiecznych. Mniejsza, czy taka opieka winna być raczej „ciepła” (za taką jestem), czy raczej „surowa” (czego nie lubię). Najważniejsze, żeby była. Na wyższym szczeblu wychowania powtarza się przecież sytuacja opieki rodzicielskiej. Rodzice mogą być i są przecież różni, ale ważne jest przede wszystkim to, żeby byli i żeby funkcjonowali w swojej roli.

Współczesne środki komunikacji, choć oczywiście pożyteczne, mogą mieć negatywy w zakresie opieki nad studentami. Obawiam się, że niedługo, zamiast przekazywać wiedzę w kontakcie bezpośrednim, będziemy sprzedawać kasety. Jedna z warszawskich szkół wyższych już weszła na tę drogę. Gdy zmarł pewien wykładowca, jego wykład pozostał w rozkładzie – studenci oglądali dawniejsze nagranie, mówili, że idą na wykład „ducha”.

Bywają oczywiście studenci znakomici. Mam ten przywilej i honor, że często mogę ich wskazać wśród swoich uczniów. W skali całej populacji przeciętna jest jednak niepokojąca. Jeśli prawdą jest powiedzenie „Takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie”⁵, to grozi, iż będą złe.

Trzecim elementem mojej refleksji musi być funkcjonowanie uczelni. W ramach klasycznego modelu uniwersytet był niedużą samorządną społecznością, w której wszyscy pracowali najlepiej jak potrafili (a przynajmniej tak można było zakładać!). Dziś wyższa uczelnia jest bardzo często wielką instytucją. Zarządzanie nią wcale nie jest łatwe. Nie jestem przekonany, czy samorząd, którego wszyscy chcieliśmy, był w stanie to robić. Dziś do sprawnego zarządzania trzeba fachowców. Z tego punktu widzenia uprzywilejowane są wydziały Ekonomii, Zarządzania lub Prawa. Nawet teoretycy z takich wydziałów są bliżej potrzebnych umiejętności niż z koledzy z innych jednostek uczelnianych.

Oczywiście może się zdarzyć, że rektorem zostanie akurat przedstawiciel wymienionych zawodów. Nawet najlepszy specjalista z innych dziedzin tylko wyjątkowo będzie w stanie ujawnić wybitne talenty menadżerskie. Można oczywiście powiedzieć, że skoro premier bywa dziennikarzem, nauczycielem fizyki, czy historykiem, to rektor może być, dajmy na to, ornitologiem. Różnica polega jednak na tym, że premier jest przede wszystkim politykiem i jest wspomagany przez nieporównywalnie lepszy technicznie oraz bardziej rozbudowany aparat.

Trudno sobie wyobrazić, ażeby wielkim wydziałem sprawnie kierowała 140-osobowa rada, która jak w dawnych czasach załatwiała rzeczy w tradycyjnym modelu zastrzeżone dla rady wydziału. Rada mojego wydziału liczy 140 osób. *Quorum* niezbędne do podejmowania decyzji w sprawie zatrudnienia wynosi 71 osób, a w sprawach awansów naukowych 53 osoby. Oczywiście nie wszyscy przychodzą. W późniejszym godzinach posiedzenia zaczyna się więc ner-

wowe liczenie obecnych. Głosowania są o tyle ważne, że dotyczą spraw bytowych, a następne posiedzenie przewiduje się zwykle dopiero za miesiąc (jeśli nie po wakacjach!). W niedawnych dwóch głosowaniach brakowało do *quorum* dwóch głosów. W ostatniej chwili, po ponownym przeliczeniu szczęśliwie odnalazły się (czasem kartki się zlepiają...). Osoby zainteresowane oraz dyrektorzy instytutów mogli odetchnąć. Skądinąd głosowanie jest pewną fikcją. Cóż bowiem może wiedzieć kilkadziesiąt osób o sensie zatrudnienia mgr. X na jeden rok w jednym z instytutów? Takie sprawy skutecznie wypełniają jednak program rady. Prawie żadnych większych spraw nie da się rozważyć, ani chyba nie ma sensu rozważać. Jedyną prawdziwie ożywioną dyskusją z ostatnich lat, jaką sobie przypominam, była dyskusja o lustracji.

Elementem nowym w stosunku do modelu tradycyjnego jest uczynienie z nas, pracowników, kółek przedsiębiorstwa o nazwie „uczelnia x”. Powstała tendencja do uczynienia naszym głównym wyzwaniem nie badania i nauczania, lecz zdobywania dofinansowywania, grantów i punktów. Dziś nie myśli się o badaniu i publikacji *tout court*. Dziś myśli się o tym, ile dana publikacja przyniesie punktów. Tymczasem warunkiem wszelkiego oryginalnego i ciekawego badania jest praca bez pewności uzyskania wyników. Także bez pewności akceptacji przez środowisko. W sumie praca z pewnym ryzykiem. Praca bez pewności „czy wyjdzie”. Praca przy założeniu, że hipoteza może się nie sprawdzić. Sam siedzę w tej chwili nad opracowaniem, które może ostatecznie wyrzucić do kosza i bronię prawa do takiego postępowania. Prawda jest jednak taka, że ja już, z powodów zarówno życiowych, jak akademickich mogę sobie pozwolić na „beztroską” postawę, młodzi koledzy raczej nie. Nawet w mojej sytuacji łatwo sobie jednak wyobrazić, że akademicy przełożeni przyjdą do mnie z apelem, bym zajął się czymś pożytecznym dla instytucji, czyli staraniem się o punkty i granty. O granty promotorskie musiałem zresztą już występować w imię lojalności wobec doktorantów.

Z powodu uwarunkowań instytucjonalnych cierpi praca, której autorzy stawialiby szersze hipotezy lub pracowaliby po prostu w zakresie rozleglejszej tematyki i uogólnień. W okresie komunizmu często stosowaliśmy – jako mechanizm obronny – ucieczkę w konkret. Może jednak już wystarczyłoby takiej postawy?

Nasi doktoranci prawie gubią się przy pytaniach ogólniejszych, jeśli słyszą je podczas egzaminów doktorskich. Rzadko się je im zresztą stawia. Czy to jest nauka?

Bez szerszej, niespiesznej refleksji też nie ma nauki. Józef Hurwic powołuje w swoich wspomnieniach historyjkę o kontaktach Wojciecha Rubinowicza z Nielsem Bohrem:

„Rubinowicz opowiadał, że gdy szli razem do kina, bywało, iż Bohr nie mógł nadążyć za biegiem akcji filmu. Myślami tkwił jeszcze w poprzedniej sekwencji, gdy na ekranie rozgrywały się już dalsze wydarzenia. Zasypywał pytaniami sąsiada, by zrozumieć o co chodzi. Genialny ten uczony, mimo głębi myśli, a może właśnie dlatego rozumował bardzo powoli. Dobrze by było, gdyby to wzięli pod uwagę egzaminatorzy

⁵ Słowa Jana Zamoyskiego (1542-1605) wpisane w akt fundacyjny Akademii Zamoyskiej, uczelni założonej w 1594 r. przez Zamoyskiego jako Kanclerza Wielkiego Koronnego. Spopularyzowane przez Stanisława Staszica (1755-1826) w jego dziele *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego* (1787).

w szkołach różnego szczebla, którzy zdolności i inteligencję oceniają często według szybkości odpowiedzi. Szybkość refleksu jest kwalifikacją niezbędną dla kierowcy samochodu, ale nie inżyniera, lekarza czy badacza naukowego⁶.

Bez podjęcia ryzyka i bez niespiesznej refleksji zmieniamy się w rzemieślników, może dobrych, ale tylko rzemieślników. To jest wyścig szczurów o granty i punkty, ale w ramach znakomitej przeciętności, bowiem tylko taka daje konieczną pewność realizacji. Gdyby to ode mnie zależało, zmieniłbym formułę ślubowania doktorskiego. Obecne w niej dziś zobowiązanie, że nie będzie się pracować dla podłego zysku (*non sordidi lucri causa*) nie ma sensu o tyle, że mało kto z nas ma z pracy prawdziwy zysk. Obecne też w ślubowaniu zobowiązanie, że nie będzie się pracować dla marnej chwały (*nec ad vanam captandam gloriam*), również nie ma sensu, bowiem chwałę mają dziś osoby występujące w telewizji, a nie nawet wybitni naukowcy. Chciałbym natomiast wprowadzić do formuły zobowiązanie, że będzie się pracować dla pogłębiania wiedzy, a nie dla zdobywania głupich punktów (*non ad stulta puncta capienda*).

Na dodatek procedury, którym podlegamy w naszych codziennych działaniach, są w potężnym stopniu sprowadzone do biurokratycznych rytuałów. Wiele działań z zakresu oceny młodej kadry, przy których asystowałem, sprowadzało się do stwierdzania terminowości robienia kolejnych stopni. Ciężko i może nie najgorzej (nie mnie oceniać!) pracując mam coraz mniej do powiedzenia w tych rubryczkach sprawozdań, których wypełnianie zajmuje skądinąd coraz więcej czasu. Ponieważ wypełnić je trzeba, więc w odpowiedziach bzdurzę, ale to dotychczas nikomu specjalnie nie przeszkadzało.

Podczas egzaminów magisterskich coraz częściej nie prowadzimy rozmowy, a zadajemy pytania z listy pytań. Recenzje prac magisterskich przekazujemy w formie odpowiedzi na pytania sformułowane na standardowych blankietach (recenzje prac doktorskich jeszcze piszemy normalnie, choć wszystko szłoby przecież o wiele łatwiej i szybciej, gdyby zakreślać kwadraciki). Internetowy schemat oceny wniosku grantowego, który wypełniamy jako recenzenci, jest skrajnie sformalizowany. Recenzje prac do publikacji, dla których chcemy uzyskać dofinansowanie, są zjawiskiem wręcz śmiesznym. Najczęściej mówimy przecież recenzentowi: „Tylko pamiętaj, uwagi przekaz autorowi, nie waż się ich pomieścić w recenzji!”. Takie zalecenia bywają nawet bezwstydnie pomieszczane w instrukcjach. Nie miejsce tu na wskazywanie palcem, więc bez wymieniania nazwy wydawnictwa powiem, że ostatnio dostałem standardowe wskazówki dla recenzenta, gdzie było napisane: „Recenzja nie może być zbyt krytyczna i wykazywać zbyt wielu braków, gdyż zostanie odesłana do poprawy”. W końcu instrukcji powiedziano: „Prace z oceną niższą niż »bardzo dobra« nie będą rozpatrywane. Wskazana jest konkluzja, że wydanie pracy drukiem jest bardzo ważne dla polskiej nauki, dalszych badań itp.” Wziąłem to sobie do serca i tak napisałem – w tym wypadku akurat z przekonaniem.

W tradycyjnym modelu uniwersytet miał reprezentować jedność nauk, zaś akademicy mieli być wspólnotą w skali uczelni i kraju. Wspólne spożywanie posiłków przez profesurę i studentów w starych kolegiach było i jest tego przykładem. Dziś o żadnej jedności nie może być mowy. Studentów nie zna się. Nawet oni często nie znają się między sobą. Uczelnie są zazdrosne o siebie nawzajem. Konkuruje, zawierają sojusze... W skrajnych przypadkach prowadzi to do farsy. Miałem ucznia, który badał sprawy pewnego małego miasta. W mojej naiwności zaproponowałem miejscowej uczelni, by przyjechał na jakieś tamtejsze seminarium i przedyskutował swoje tezy. Otrzymałem list, iż w przekonaniu kolegów sprawy ich miasta są tak skomplikowane, że mój uczeń prawdopodobnie nie może ich zrozumieć. W podtekście można było doczytać się też przypuszczenia, że ja sam najpewniej ich nie pojmę. Zrozumiałem więc jedno: koledzy chcą pozostać we własnym sosie (by nie powiedzieć: we własnym grajdółku).

Pierwsza przyczyna pęknięć wynika z rozwoju samej nauki. Dziś już nie sposób nie tylko pracować w wielu dziedzinach, lecz choćby nawet rozumieć wiele innych niż własna. Nie jest to jednak cała prawda. Drugą przyczyną jest to, że w ramach kultu specjalizacji środowisko po prostu tępi interdyscyplinarność – skądinąd wciąż deklaratywnie podnosząc jej hasło. Każda dziedzina uważa swoją ulubioną metodę za niemal jedynie prawomocną (socjologowie – ankiety dające wynik ilościowy; historycy – źródła archiwalne). Funkcjonując w ramach tej samej nauki, ale stosując chów wsołny rozdzieliliśmy się jakby na różne gatunki. Nie rozumiemy się i niezbyt chcemy rozumieć między sobą. Gdybyśmy jeszcze stawiali się tak pięknymi okazami, jakie mogą być wynikiem takiej hodowli!

Odważę się powiedzieć, że „co za dużo to niezdrowo”, a najsensowniejszy i nieunikniony postulat specjalizacji łatwo może zmienić się w absurd. Czytająca publiczność, czyli znaczna część audytorium historyków, widzi to. Wśród historyków preferuje idącego szerokim szlakiem Normana Daviesa, przez niejednego historyka nie uważanego za specjalistę dostatecznie głębokiego.

Na dodatek u nas źle reaguje się na zmiany specjalizacji w ciągu życia. Jak już ktoś zrobił doktorat, a jeszcze, pech chciał, habilitację z jakiejś dziedziny, to powinien ją i tylko ją uprawiać do końca dni swoich pod rygiem uznania go za niepoważnego. Bardzo rzadko powołuje się dziś kolegów z innych dyscyplin na recenzentów prac doktorskich lub habilitacyjnych, a przecież recenzje osób z innym doświadczeniem oraz odmienną perspektywą są najczęściej najciekawsze (w odróżnieniu od recenzentów „bliskich”, najczęściej zaledwie korygujących szczegóły).

Gdzieś trzeba znaleźć rozsądny kompromis pomiędzy szerokością, prowadzącą do dyktanctwa a *złotą klatką* specjalizacji. Tymczasem wydziały uczelni coraz bardziej zamykają się. Skądinąd pożądana ich autonomia finansowa przybiera formę odrębnych królestw finansowych. Jeżeli rozliczamy się z innymi wydziałami za korzystanie z sal, jeżeli profesor zarabia różnie na różnych wydziałach (co, jak twierdzą niektórzy, jest sprzeczne z kodeksem pracy), to uczel-

⁶ Józef Hurwic, *Wspomnienia i refleksje. Szkic autobiograficzny*, Dom Wydawniczo-Promocyjny GAL, Warszawa 2006, s. 92.

nia przestaje być jednością. Usiłuje się temu zaradzić przez utrzymywanie dużych wydziałów. W rezultacie na radzie wydziału wypowiadał się (głosuję) w sprawach np. habilitacji z muzykologii czy habilitacji traktującej o egipskim grobowcu, o czym nie mam pojęcia. Żadnego pozytywu współistnienia w ramach jednego wydziału dyscypliny mojej oraz np. muzykologii nie widzę, bowiem przecież studenci historii nie są uczeni choćby elementów historii muzyki (niestety!). Zamiast dajmy na to muzykologii, wprowadza się – o czym nas ostatnio zawiadomiono – studium BHP oraz studium własności intelektualnej jako obowiązkowe jednostki programu zaliczane na oceny na tych samych zasadach co inne przedmioty. Z pierwszego pomysłu pozwalałam sobie kpić – w świetle odbycia niezliczonej liczby takich szkoleń we własnej, długiej już drodze zawodowej. W odniesieniu do drugiego zgodzę się, że jest potrzebny, ale w konwencji nauczania zupełnie innej niż przedmioty zawodowe.

W tradycyjnym modelu uczelni dyplom studiów wyższych lepiej sytuował człowieka na rynku pracy. Oczywiście nie zawsze tak było. Np. podczas wielkiego kryzysu lat trzydziestych bezrobocie inteligencji było bardzo trudnym zjawiskiem. Sfrustrowani licencjaci praw są zjawiskiem znanym z Ameryki Łacińskiej i nie tylko stamtąd. Mimo wszystko dyplom wyższej uczelni był niezłą przepustką do lepszego życia. Statystycznie rzecz biorąc wciąż tak jest. Zmiany charakteru rynku pracy oraz wspomniana pogłębiona specjalizacja nauk każą jednak zastanowić się, czy w programach studiów nie powinniśmy brać pod uwagę możliwości zatrudnienia, by nie produkować frustratów. Na bardzo wielu kierunkach faktycznie kształcimy kandydatów na naukowców. Tymczasem wiadomo, jak mały procent absolwentów znajdzie zatrudnienie jako naukowcy. Kształcimy też masy studentów w dziedzinach, na które w oczywisty sposób nie będzie zapotrzebowania. Nie będzie go dla kilkuset archeologów studiujących dziś na Uniwersytecie Warszawskim (iluż jeszcze studentów studiuje archeologię w innych uczelniach?). Gdy kiedyś podnosiłem tę sprawę, usłyszałem, że nie doceniam programu budowy autostrad (do czego potrzebne są sondaże archeologiczne) oraz potrzeby zatrudnienia archeologów powiatowych. Usłyszałem też, że my sprzedajemy usługę, a jak ktoś chce kupować, to jego sprawa. Usłyszałem, że w każdym razie studenci, także na archeologii, przejdą pewne ćwiczenie intelektualne. W podobnym kontekście usłyszałem w końcu, że Uniwersytet musi kształcić szeroko, nie stając się hipotetyczną „Wyższą Szkołą Pielęgnacji Paznokci”; że wręcz potrzebny jest powrót do modelu edukacji liberalnej.

Zostawiając na boku budowę autostrad, w tej dziedzinie jestem mało kompetentny, oraz sprawę poszukiwania piramidy Cheopsa w mazowieckich piaskach przez archeologów, którzy z pewnością zostaną zatrudnieni w powiatach jeszcze nim ucywilizujemy opiekę medyczną, podtrzymuję pytanie, czy nasze obecne programy studiów są naprawdę dobrym narzędziem rozszerzania umysłów, kształcenia umiejętności pracy intelektualnej oraz czy realizują model edukacji liberalnej – by chociaż w ten sposób zwiększać szanse absol-

wentów na rynku pracy. Gdzieś trzeba znaleźć zdroworozsądkową granicę pomiędzy robieniem z nauczania na poziomie wyższym „Wyższej Szkoły Gotowania na Gazie” a nauczaniem owocującym bezrobociem. Nie wierzę, ażeby środowisko naukowców było w stanie to zrobić. Raczej obserwuję walkę o miejsce własnego przedmiotu (i własnych osób?) w programach studiów, oczywiście w imię niezrównanej wagi tego przedmiotu, sylwetki absolwenta i wielkiej Nauki.

Uniwersytety oraz ich „młodsze siostry” – inne uczelnie – są zjawiskiem długiego trwania. Demonstrują to togi akademickie oraz różne inne formy naszego życia. W wielu sprawach uniwersytet ma zatem prawo być konserwatywny. Nie ma tylko prawa być konserwatywny w zakresie tworzonej i przekazywanej nauki. Tymczasem wielokrotnie odnoszę wrażenie, że właśnie tak jest. Jeśli raz spis kierunków lub na szczelbu jednostki organizacyjnej spis zakładów zostały zatwierdzone, to żadna siła ich nie ruszy, a w konsekwencji np. habilitację trudno zrobić z nowej dziedziny. Słyszałem, że kiedyś profesorowie organizowali jakieś katedry, ale w moim bezpośrednim polu obserwacji nie ma siły, by poruszyć strukturę ustaloną kilkadziesiąt lat temu. A przecież uczelnia musi poszukiwać czegoś nowego.

Słyszałem o zgłaszaniu pod adresem uczelni przez komisje kontrolne pretensji o niewypełnianie minimów programowych. Nie słyszałem ani razu ech pretensji o marazm, brak poszukiwania nowych form i treści, o brak podjęcia ryzyka. Nawiasem, bardzo chciałbym dowiedzieć się kiedyś, jak są ustalane owe minima programowe w zakresie poszczególnych dyscyplin i czy one same nie są instrumentem konserwatyzmu.

Z tych wywodów może wynikać obraz częsty w literaturze i w potocznych rozmowach – jakoby dawne lata były lepsze niż współczesne czasy „upadku”. Taki obraz byłby zresztą bardzo ludzki, zwłaszcza że u wielu z nas dawniejsze czasy kojarzą się ze wspomnieniami młodości. Otóż taki naiwny nie jestem. Mam dużo uwag krytycznych do „dawnych czasów”, w tym do uczelni z okresu moich studiów, wręcz do samych studiów. Jestem przekonany, że w zmianach zachodzących w wyższych uczelniach współcześnie pojawiają się też elementy pozytywne. Nie zależy mi na przekonaniu wszystkich do pesymistycznego obrazu działalności, w której sam uczestniczę tak usilnie, jak potrafię. Występuję w specyficznej sytuacji referenta, który wołałby nawet całkowicie nie mieć racji. Jestem wdzięczny moim studentom, najczęściej dobrym, za to, że są dla mnie ważnym źródłem optymizmu.

W każdym wypadku proponuję jednak pamiętać o powiedzeniu Czechowa: „Uniwersytet rozwija wszystkie zdolności, między innymi głupotę”⁷ i potraktować je jako przestrożę.

MARCIN KULA

⁷ Cyt za: Paweł Kozłowski, Andrzej Walicki, *Z Polski i o Polsce, Korespondencja z lat 2004-2006*, Universitas, Kraków 2007, s. 95.

ANDRZEJ W. NOWAK

CO ROBIĆ? DWUZNACZNY STATUS RUCHÓW ANTYSYSTEMOWYCH W KONCEPCJI IMMANUELA WALLERSTEINA¹

Wstęp

Współczesna filozofia polityczna na nowo podejmuje słynne leninowskie pytanie: co robić? Jest to widoczne w ożywionej recepcji myśli Carla Schmitta. Co ciekawe, tego ostatniego równie chętnie cytują przedstawiciele demokracji radykalnej (Chantal Mouffe, Ernesto Laclau), modny ostatnio Giorgio Agamben jak i środowisko rodzimych rewolucyjnych konserwatystów skupionych wokół pisma „Teologia polityczna”. Przeciwwagą dla Schmitta stanowi Zizek i jego odwołanie wprost do Lenina w *Rewolucji u bram*. Ożywienie to nie jest przypadkowe; po roku 1989 śniliśmy, że historia się skończyła, po 11 września sen o końcu historii także się skończył. Kryzys gospodarczy skutecznie pomaga pozbyć się wiary w neoliberalny dogmat.

Sytuacja jest zatem jak z Kierkegaarda: albo-albo. Stare projekty skończyły się i czeka nas prawdopodobnie swoisty „skok w wiarę”. Jest to tym bardziej konieczne, iż bohater niniejszego tekstu – Immanuel Wallerstein ostrzega, że wkraczamy w okres chaosu, rozwidlenia (bifurkacji); stare struktury kapitalistycznego systemu-świata kończą się, to co się wyłoni jest wielką niewiadomą. Czy będzie to system bardziej sprawiedliwy, a może stoczmy się w coś jeszcze gorszego, np. quasi-feudalizm z silnymi ośrodkami miejskimi, gdzie będzie istnieć jeszcze władza i obszarami bezprawia, gdzie jak na średniowiecznych mapach będziemy pisać, iż tam są jedynie lwy. Konieczność skoku w wiarę jest ryzykowna, bohaterowie przywołani powyżej: Lenin i Carl Schmitt skutecznie o tym ryzyku przypominają. Co robić, to partyjne pytanie dobrze oddaje dylematy stojące przed polityczną aktywnością dziś, a szczególnie przed ruchami antysystemowymi. Aby przedstawić ich ciekawą charakterystykę dokonaną przez Wallersteina, przytoczmy krótka charakterystykę jego teorii.

¹ Szerzej na temat ruchów antysystemowych pisałem w *Przyszłość nie jest już tym, czym była kiedyś*, przedmowa do książki Immanuela Wallersteina, *Utopistyka. Alternatywy historyczne dla XXI wieku*, Wydawnictwo Bractwo Trojka, Poznań, 2007.

Teoria systemu światowego zakłada specyficzną perspektywę badawczą, jest nią możliwie najszerzej rozumiany holizm. Jednostką analityczną mają być te zjawiska, które wykazują „systemowość”. „Systemowość” zjawiska oznacza, że analizowana jednostka jest całością powiązaną wewnętrznymi relacjami przyczynowo-skutkowymi, funkcjonalnymi, strukturalnymi etc. Wallerstein zauważa, iż w historii ludzkości mieliśmy do czynienia z wieloma systemami-światami (tzw. światami dla siebie), czyli powiązanymi całościowymi relacjami „ekosystemami” kulturowo-polityczno-społeczno-ekonomicznymi. Na przykład, jak zauważa Chase-Dunn takim światem dla siebie była przedkolumbijska Kalifornia.² W teorii systemu światowego zakłada się, że około 500 lat temu system-świat (system w sobie), jakim była Europa, ekspandował i zdominował cały glob.

Ekspansja i dominacja Europy spowodowała wytworzenie systemu-świata obejmującego cały glob³. Nie istnieją zatem dziś takie systemy-światy, które zachowałyby autonomię, wszystkie ich pozostałości zostały wpasowane w strukturę nowoczesnego systemu światowego. Zatem jednostką analityczną jest nowoczesny system światowy obejmujący cały ziemski glob. Strukturę zależności w tym systemie przedstawia ogólnie znany schemat: mamy oto rdzeń systemu (kraje europejskie i pochodzenia europejskiego⁴ oraz Japonia), kraje półperyferyjne i kraje peryferyjne.⁵

² W ten sposób badacze z kręgu Wallersteina zrywają z „plemienio-centryzmem” dominującym w dotychczasowych badaniach ludów pozaeuropejskich (tzw. ludów prymitywnych). Zmiana perspektywy pozwala dostrzec skomplikowane i złożone systemy polityczno-społeczno-kulturowe, które istniały w przedkolumbijskiej Ameryce. Por. Christopher Chase-Dunn, Thomas D. Hall, *Rise and Demise: Comparing World-Systems*, Boulder, CO: Westview Press 1997, s.121-148.

³ Andrzej W. Nowak *Wobec systemu-wokół teorii Wallersteina* w: pismo polityczno-artystyczne „Lewą Nogą” nr 13/2002.

⁴ I kraje białych osiedleńców z Europy: USA, Kanada, Australia.

⁵ Schemat ten jest podobny do schematu imperializmu Galtunga, opiera się na analogicznych źródłach historycznych – teorii imperializmu Róży Luksemburg i Lenina.

System ten rozwijał się dzięki kilku „instytucjom”: pędowi do niekończącej się akumulacji kapitału, osiowemu podziałowi pracy, eksternalizacji kosztów, państwu narodowemu, a także takim „wynalazkom” jak rasizm i seksizm. Wreszcie ważna jest także sfera nadbudowy nowoczesnego systemu-świata, a więc dominująca triada ideologiczna: liberalizm i jego adwersarze – konserwatyzm i socjalizm. Dziś praktycznie każdy z powyższych elementów przeżywa poważny kryzys, dotyczy to także interesujących nas ruchów antysystemowych.

(Nie)chlubna? przeszłość i niewiadoma przyszłość ruchów antysystemowych

Pierwszym problemem jest określenie, co rozumiem przez pojęcie ruchu antysystemowego. Pojęcie to nie jest precyzyjnie określone na gruncie teorii Wallersteina, co stwierdza Warren W. Wagar:

„Podoba mi się wyrażenie »ruchy antysystemowe« (*antisystemic movements*), które pojawiło się w często cytowanym dziele z 1989 roku pod tym samym tytułem, współautorstwa moich kolegów z Binghamton: Giovanniego Arrighi, Terry'ego Hopkinsa i Immanuela Wallersteina. Jednak nie zgadzam się ze sposobem, w jaki oni używają tego terminu. Myślę, że są rozrzućni, zbyt rozrzućni. Wśród starych ruchów antysystemowych wymieniam socjaldemokrację, komunizm, związki zawodowe i ruchy na rzecz wyzwolenia narodowego. Mówią też o »nowych« antysystemowych ruchach społecznych, do których należą ruchy pokojowe, zielonych oraz New Age, ruchy kobiece i działania na rzecz praw mniejszości”.⁶

Podzielając powyższe wątpliwości można stwierdzić, iż może na gruncie teorii Wallersteina nie zostało dokonane wystarczająco dokładnie rozdzielenie typów zniewolenia (ekonomiczne, polityczne, kulturowe), a zatem brak równie klarownego podziału ruchów antysystemowych (na polityczne, ekonomiczne czy wreszcie kulturowe, co jest ważne choćby dla Leszka Nowaka). Omawiając ruchy antysystemowe zaczniemy od stwierdzenia, które już częściowo się pojawiło – Wallerstein wbrew dzisiejszym teoretykom globalizacji twierdzi, iż jest ona schyłkową, a nie rozwojową postacią globalnego kapitalizmu. Nowoczesny system światowy zaczął bowiem swój globalny rozwój około 500 lat temu, teraz zaś ujawnił granice swojego wzrostu. Ekspansja kapitalizmu oparta o zasadę nieograniczonego pomnażania zysków napotkała granicę – brak nowych obszarów do podboju i dominacji.

Zgodnie z trójczołowym schematem państwa centrum, rdzenia systemu światowego rozwijały się dzięki zyskom czerpanym z nierównej wymiany, dominacji i wyzysku reszty świata (państw peryferyjnych i półperyferyjnych). Kapitalizm mógł rozwijać się, kiedy swe sprzeczności wewnętrzne rozwiązywał poprzez „ucieczkę na zewnątrz” (mechanizm ten opisał już Hegel w *Zasadach filozofii prawa*, gdy podejmował problem wewnętrznych sprzeczności społeczeństwa obywatelskiego. Następnie podjęli ten wątek m.in.

Marks, Lenin i Róża Luksemburg.). Ponadto rozwój kapitalizmu i kryzys współczesnej jego postaci jest ściśle związany z ruchami antysystemowymi. Wallerstein uważa, że od samego początku rozwój nowoczesnego systemu światowego wiązał się ze sprzeciwem. Opór mógł mieć postać reakcyjną (opór wobec zmian), ale i postępową, radykalną (niezadowolenie ze zbyt wolnego ich wprowadzania). Obie postawy kontestowały tzw. „liberalny”⁷ stan rzeczy, czyli samookreślenie elit (politycznych, ekonomicznych i kulturowych) jako zgodnych z duchem czasu. Co kluczowe dla Wallersteina – ruchy antysystemowe występowały zawsze w imię ideologii. Ideologią tą była obietnica nowoczesności. To obietnica nowoczesności pozwalała mobilizować masy ruchom lewicowym, jej kontestacja pozwalała na mobilizację prawicy, wreszcie jakaś forma alternatywnej nowoczesności legła u podstaw systemu Trzeciej Rzeszy.

Ruchy antysystemowe dokonywały rewolt w imię wypełnienia szczytnych haseł ze sztandarów rewolucji francuskiej *Wolność, Równość, Braterstwo* (a w wypadku ruchów konserwatywnych przeciwko nim). Ruchy antysystemowe to nie tylko ideologia, to także „baza”, podstawa „materialna”, społeczna. Ideologia w oczywisty sposób sprzężona była z jakąś formą opresji, ruchy (narodowo)wyzwolenicze-polityczne – ucisk polityczny, ruchy robotnicze, socjalistyczne – wyzysk ekonomiczny, wreszcie nowe ruchy emancypacyjne (feminizm) – opresję kulturową. Nieprzypadkowo każdy z wymienionych wyżej ruchów koncentrował się i starał się o wypełnienie obietnicy któregoś z haseł rewolucji. Ruchy polityczne pragnęły wolności, socjalistyczne i robotnicze równości (utożsamianej z równością ekonomiczną) i braterstwa, wreszcie ruchy feministyczne zarówno równości jak braterstwa (siostrzeństwa).

Sytuacja jest o tyle złożona, iż same ruchy antysystemowe były i są ze sobą skonfliktowane. Wynika to m.in. z kilku prostych mechanizmów – instytucji wbudowanych w strukturę nowoczesnego systemu-świata. Pierwszy z nich to znany od czasów pierwszej wojny światowej sposób, aby walkę klasową neutralizować poprzez solidarność narodową. Kolejny mechanizm jest związany z seksizmem i rasizmem. To zdaniem Wallersteina identyczny mechanizm, który pozwala pogodzić potrzebę uniwersalizmu niezbędną dla funkcjonowania kapitalizmu z równie ważną potrzebą, jaką jest wprowadzenie hierarchii. Przednowoczesne wykluczenie (niedomiąg uniwersalizmu) jest kapitalistycznie niefunkcjonalne. Czystki etniczne, ludobójstwo pozbawia nas siły roboczej. Nadmiar uniwersalizmu napędza ruchy protestu. Rasizm i seksizm pozwalają kapitalistycznemu systemowi na sprawne funkcjonowanie i unikanie obu „zagrożeń”⁸. Ambivalencja tkwiąca w konstrukcji pojęcia uniwersalizmu przenosi się na funkcjonowanie ruchów antysystemowych.

⁶ Warren W. Wagar, *Ruchy antysystemowe, prawdziwe i zmyśnione, w perspektywie historycznej*, wystąpienie z 11 sierpnia 1997 r., Toronto, Ontario, Kanada, Civitas Mundi W. Warren Wagar, Wydział historii, Binghamton University; cytuję za stroną internetową <http://www.uni.wroc.pl/~turowski/antisys.htm>

⁷ Pojęcie „liberalny” jest używane przez Wallersteina w bardzo specyficznym sensie, oznacza ono zbiór postaw, poglądów i praktyk aprobujących nowoczesną rzeczywistość jako ucieleśnienie postępu. Stąd progresywiści krytykowali tak rozumianych liberałów za opieszałość, konserwatyści wyrzucali im radykalizm. Liberalnym w sensie Wallersteina mogła być zarówno część kadry partyjnej Związku Radzieckiego jak i przedstawiciele państw kapitalistycznych.

⁸ Por. Etienne Balibar, Immanuel Wallerstein, *Race, Nation, Class. Ambiguous Identities*, Verso, London–New York 1991, Immanuel Wallerstein, *Europejski uniwersalizm. Retoryka władzy*, przeł. Adam Ostolski, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2007.

Ową dwuznaczność potęguje fakt, iż funkcjonowanie ruchów antysystemowych zostało przez Wallersteina opisane za pomocą mechanizmu zbliżonego do pojęcia rewolucji Leszka Nowaka, co oznacza, iż ruchy antysystemowe wygrywały swoją sprawę, kiedy „przegrywały”, natomiast kiedy odnosili „zwycięstwo” przegrywały. W przypadku zwycięstwa elity ruchu antysystemowego w łatwy sposób osiągały władzę, stawały się jej częścią. Miało to kilka skutków. Po pierwsze, osłabiało wewnętrzną spójność samego ruchu, po drugie, wygaszało najbardziej aktywne jednostki i grupy interesów, wreszcie po trzecie, kompromitowało ideologiczną podstawę ruchu.

Dla Wallersteina kluczem dla ruchów była ich ideologiczna podstawa. Jak wykazałem, nadmiar uniwersalizmu jest szkodliwy dla działania systemu. Uniwersalistyczny program odziedziczony po myśli oświeceniowej rewolucji francuskiej pozwalał na roszczenia. Obietnica uniwersalna wskazywała na fakt niedoli i opresji. To nadzieje i obietnice wyznaczały ideologiczne ramy nowoczesnej geokultury. Zwycięstwo ruchu antysystemowego okazywało się zatem pozorne, gdyż było szkodliwe dla samej ideologii.

W tym momencie pojawia się bowiem dwuznaczność europejskiego uniwersalizmu. W imię nowoczesnej ideologii mobilizowano masy, dokonywano aktów oporu i sprzeciwu, pozorna wygrana i wymiana elit pokazywała, iż owo złudzenie potrzebne jest jedynie do umocnienia władzy krajów rdzenia, centrum. Ideologia traciła moc jednoczenia ludzi i podrywania do walki o swoje prawa. Walcząc o prawa robotnicze uzyskaliśmy uniwersalność ale kapitalistycznego konsumowania przez klasę średnią (można to także rozciągnąć na walkę o prawa kobiet czy mniejszości seksualnych). Inaczej sprawa wygląda w przypadku ruchów przegranych.

Przegrana ruchu antysystemowego ma kilka konsekwencji. Z reguły „system” osiągnął wygraną dużym kosztem, a zmobilizowane masy, choć chwilowo spacyfikowane, wciąż pozostają w opozycji do systemu. Co ważniejsze, ideologia napędzająca ruch nie tylko się nie skompromitowała, ale często dopiero dzięki przegranej zaczęła oddziaływać. Paradoksalnie przegrywający ruch zmieniał system o wiele głębiej, niż w przypadku wygranej. Ponownie ważna była tu rola obietnicy, jaką niosła rewolucja francuska czy ważna choć zapomniana, zdławiona rękami polskich żołnierzy rewolucja haitańska.⁹; aby osłabić jej wpływ (jak wiemy, jej upadek ruch wzmocnił, a nie skompromitował) władza („system”) musiała poczynić ustępstwa. Charakter tych ustępstw dyktowała sama ideologia. Taki charakter miała zdaniem Wallersteina ewolucja kapitalizmu na Zachodzie; robotnicy w tych krajach nie dokonali rewolucji, w pewnym sensie przegrali jako klasa, ale zreformowali system daleko bardziej niż nastąpiło to na Wschodzie. Robotnicy w Związku Radzieckim, jego zdaniem, nie tylko nie zmienili systemu kapitalistycznego, ale nawet go umocnili, zamiast jego postaci proto-wolnorynkowej wprowadzili system kapitalizmu państwowego.

Zakończenie

Możemy teraz wrócić do kryzysu współczesnego kapitalizmu. Ma on kilka przyczyn, niektóre sygnalizowałem powyżej, np. kres możliwości podboju nowych obszarów (w tym wchłaniania ludności wiejskiej i czynienia z niej klasy wyzyskiwanej), ważniejsza jest jednak potencjalna możliwość wyczerpania się siły ideologii nowoczesności. Rewolucja w geokulturze symbolizowana wydarzeniami roku 1968, upadek Związku Radzieckiego, pozorne zwycięstwo Zachodu spowodowały utratę siły przez obietnicę rewolucji francuskiej w dwojakim sensie. Upadek komunizmu spowodował jej kompromitację. Obwieszczenie „końca historii” na Zachodzie spowodowało, iż przestała ona mieć siłę wystarczającą, aby poderwać masy. Kryzys współczesny objawia się zatem zanikiem mechanizmu regulacji przez kryzysy powstałe za sprawą ruchów antysystemowych.

Nieudane ruchy nie zmieniały wiele, udane reformowały system. Dziś, zdaniem Wallersteina, stoimy przed dwiema możliwościami: albo powstanie nowa ideologia, która będzie bodźcem dla ruchów antysystemowych (są one mechanizmem ewolucji systemu), albo grozi nam kompletna dezintegracja struktury systemu światowego. Brak ideologii, która organizowała ruchy, spowoduje, iż niezadowolone masy zamiast przynieść reformę systemu rozbije go. Widzimy zatem, że leninowskie „co robić?” staje się aktualne jak nigdy dotąd.

Ryzyko jest jednak większe niż kiedykolwiek. Przyszłość jest nieznana, Wallerstein odwołuje się do teorii struktur dyssypatywnych Prigogine’a, aby podkreślić, iż w okresie bifurkacji nawet relatywnie małe, słabe oddziaływania (działania) mogą zmienić całość systemu. To co nie odnosiło skutku w stabilnej fazie systemu, w okresie przejścia może ujawnić nowy potencjał. Ruchy antysystemowe stojąc dziś wobec „skoku” jak w „albo -albo” Kierkegaarda, mają do rozważenia kilka możliwości. Mogą one działać antysystemowo w sposób tradycyjny, to znaczy walczyć z systemem aby przegrać, ale wymusić reformy. Strategia ta jednak zawiedzie, jeżeli system jest w stanie rozpadu. Wtedy ruchy przyczynią się jedynie do rozchwiania całości. „Bazar przemocy”, jakiego możemy być świadkami, niekoniecznie musi być pożądanym bardziej niż aktualna postać nowoczesnego systemu-swiata.

Co więcej, niszcząc obietnicę rewolucji francuskiej otwieramy możliwość, iż na samoorganizację systemu wpływ będą miały antynowoczesne i antyoświeceniowe ruchy religijne. Pułapkę tę dobrze opisała Naomi Klein wskazując z jednej strony na neoliberalny horror, jakim jest „pomoc” humanitarna w Iraku, z drugiej, po interwencji Izraela w Libanie jedyną alternatywą dla owej neoliberalnej „pomocy” był Hamas.¹⁰

Ruchy antysystemowe muszą więc równocześnie walczyć z systemem konserwując go na tyle, aby nie rozpadł się i nie przeorganizował w kierunku niepożądanym. Równocześnie muszą one zwalczać połączoną razem ideologiczną obietnicę nowoczesności i rewolucji francuskiej, i ją umacniać. Strategie działania zależą od diagnozy stanu systemu, a ta – jak wiemy – nie może nigdy być pewna, więc potwórzmy leninowskie pytanie: co robić?

ANDRZEJ W. NOWAK

⁹ Peter Hallward, *Haitańska inspiracja*, [w:] „Recykling idei. Pismo społecznie zaangażowane”, nr 10, wiosna/lato 2008 *Imperium (przesyłka zwrotna)*.

¹⁰ Naomi Klein, *Doktryna szoku*, Wydawca: Muza S.A., Warszawskie Wydawnictwo Literackie, Warszawa 2008, s.

RYSZARD SITEK

PRZYJACIEL HIOBA

O Bronisławie Baczce

„Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi” – tymi słowami, zaczerpniętymi z *Ballady o paniach minionego czasu* François Villona, skwitował niegdyś Bronisław Baczko tekst Andrzeja Walickiego *Leszek Kołakowski i warszawska szkoła historii idei*¹ w liście do jego autora. I rzeczywiście – jest co wspominać. Lata zamknięte granicznymi datami 1956-1968 to nie tylko okres dojrzałej i świadomej, ale wciąż jeszcze młodości (tę wszak wszyscy, niezależnie od swej aktualnej kondycji z reguły dobrze wspominamy i równie chętnie doń pamięcią powracamy) uznanych już dziś

za klasyków i w pełni naukowo ukształtowanych mistrzów „szkoły warszawskiej”, ale zapewne i najlepszy czas dla polskiej powojennej filozofii².

Wciąż jeszcze w pełni sił twórczych pozostawali wybitni filozofowie z pokolenia przedwojennego, wśród nich przedstawiciele Szkoły Lwowsko-Warszawskiej (m.in. Tadeusz i Janina Kotarbińscy, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Czeżowski, Maria i Stanisław Ossowsky) oraz takie charyzmatyczne postaci grupujące wokół siebie grono uczniów i adherentów, jak Roman Ingarden, Władysław Tatarkiewicz czy

¹ A. Walicki, *Leszek Kołakowski i warszawska szkoła historii idei*, „Aletheia” 1987, nr 1. [Pierwodruk w języku angielskim: *On Writing Intellectual History: Leszek Kołakowski and the Warsaw School of the History of Ideas*. „Critical Philosophy”, t. 1, nr 2, Sydney 1984].

² Przytoczoną opinię potwierdzają m. in.: A. Walicki, *Marksistowska filozofia w PRL w świetle osobistych wspomnień*, „Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria” R. 16:2007, nr 3 (63), s. 247-276 oraz M.J. Siemek: *Wolność, rozum, intersubiektywność*, Warszawa 2002, s. 307-323.

Henryk Elzenberg. Konkurowali z nimi wychodzący powoli z „wyznaniowego getta”, w jakie wcześniej usiłowano wtłoczyć filozofię obdarzoną mianem „chrześcijańskiej” wykładowcy „szkoły lubelskiej” – Stefan Świeżawski, Jerzy Kalinowski, o. Mieczysław Albert Krąpiec, ks. Karol Wojtyła i ks. Stanisław Kamiński.

W zupełnie innej roli zaczęli występować filozofowie marksistowskie. Wcześniejsze ideologiczne zaciętrzewienie, tak charakterystyczne dla okresu stalinizmu, ustąpiło miejsca normalnym dyskusjom akademickim, w których już nie „argument siły”, ale „siła argumentu” miała stanowić kryterium rozstrzygające. Okres ostrej konfrontacji ideologicznej w obszarze filozofii wydawał się zakończony. Przynajmniej pośród jej akademickich przedstawicieli.

W ustanowieniu tego rozciągniętego pomiędzy symbolicznymi cezurami Października '56 a Marca '68, „złotego okresu” polskiej powojennej filozofii, okresu koegzystencji i względnie „normalnej” – uwzględniając standardy „społeczeństw otwartych” – rywalizacji szkół i środowisk filozoficznych, spory udział i zasługa samego profesora Bronisława Baczki. Postać to wielowymiarowa, niejednoznaczna, której wkład w tworzenie kształtu polskiej powojennej humanistyki trudno dziś zgłębić.

Historiograf filozofii i idei, badacz społecznych wyobrażeń i mentalności okresu Oświecenia, odkrywca struktur myślenia utopijnego, wykładowca uniwersytetów: Warszawskiego (1952-1968), w Clermont-Ferrand (1969-1973) i Genewskiego (od 1974), a obecnie emeryt, niewątpliwie przysporzył swym biografom dużo problemów. Wiele faktów, zwłaszcza z lat młodości profesora, osnutych aurą tajemniczości po dziś dzień spoczywa w zapomnieniu. Sam filozof, programowo zachowując pełne rezerwy milczenia, nie czyni zbyt wiele, by ułatwić zadanie przyszłemu badaczowi jego życia i dorobku. Ma do tego prawo. Symbolicznego wręcz wymiaru nabiera kontrowersja powstała wokół próby źródłowego ustalenia terminu narodzin Baczki. Z kilku odnotowanych w różnych miejscach dat najbardziej wiarygodną wydaje się być 13 czerwca 1924 roku³.

W początkach swojej kariery naukowej gorliwy stalinista, wierzący w komunistyczną utopię, na krótko – jak wielu innych uległ ideologicznemu zaczadzeniu. Uwiodły go hasła rewolucji francuskiej: wolność, równość, braterstwo; dla ich spełnienia gotów był uczestniczyć w praktykach totalitarnego państwa, którego bieżącą politykę żyrował jako cieszący się jego pełnym zaufaniem funkcjonariusz. Nie sposób tego faktu przemilczeć, bowiem bez uwzględnienia młodzieńczego epizodu dalsza biografia intelektualna filozofa i historyka staje się kompletnie niezrozumiała. „Tylko historia może dać nam dostęp do świadomości siebie” – formułował Wilhelm Dilthey

przed ponad stu laty uchodzącą dziś już za truizm formułkę, obowiązującą zarówno w obrębie makro- jak i mikrohistorii. Ówczesne zaangażowanie jawi się bowiem jako „przeżycie pokoleniowe” mające już na stałe współtowarzyszyć i wywierać wpływ na wizję uprawiania filozofii i historii idei, na całą późniejszą twórczość myśliciela. Historyk nie może przejść mimo wydarzeń stanowiących ośnowę „świadomości pokoleniowej”, nie może wszelako również, wzorem niektórych z funkcjonariuszy IPN redukujących dystans historyczny i sytuacyjno-kulturowy, przyjmować póz prokuratorских i oskarżać.

Na naszej próbie zrozumienia wyborów światopoglądowych dokonywanych w latach II wojny światowej przez kilkunastoletniego chłopca, dodatkowo „obciążonego” żydowskim pochodzeniem, zaciążyć musi odpowiedź na pytanie: jak dalece był on w swych ówczesnych wyborach zdeterminowany okolicznościami, na których kształt nie miał żadnego wpływu, w jakich przyszło mu żyć? Czy Historia pozostawiła mu miejsce na inny niż ówczesnie dokonany wybór ideowy?

Po wybuchu wojny, jako piętnastolatek Baczko trafia na ziemię wcielone do ZSRR. Pozostając ofiarą paktu Ribbentrop-Mołotow dzieli tam typowe dla przedstawicieli swojego pokolenia losy – wielokrotnie ocierając się o granicę życia i śmierci. Głód, choroby, wycieńczająca praca ponad siły – nic nie zostało mu oszczędzone. Do Polski powraca wraz I Armią WP⁴. W czasie pełnienia służby wojskowej odznaczony orderami: Krzyżem Grunwaldu III Klasy i Krzyżem Polonia Restituta V Klasy⁵. To zapewne pod wpływem przeżyć wojennych, narodzonej wówczas wiary, iż to komunizm ucieleśnia sens Historii, dokonuje ważącego na dalszym życiu wyboru.

Pozostając oficerem WP służby czynnej major, później podpułkownik B. Baczko – dziennikarz pism wojskowych⁶ rozpoczyna w roku 1947 studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim⁷. Pracę maderską, zatytułowaną *O poglądach filozoficznych i społecznych Tadeusza Kotarbińskiego* broni w 1951 roku⁸. Równolegle, od 1950 roku jako aspirant, a od 1951 jako zastępca kierownika Katedry Historii Filozofii związany jest z Instytutem Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR – uczelnią partyjną, z której murów wywodzili się – wbrew zamierzeniom jej twórców – obok „janczarów” systemu, również jego najzagorzalsi krytycy, rewizjoniści *avant la*

³ Inne podawane daty to: 13 czerwca 1919 oraz 24 września 1923. Z trudności, na jakie napotyka biograf B. Baczki relację zdaje W. Markiewicz, *Ludzie i idee. Polska filozofia najnowsza*. Warszawa 2003, s. 207-218. Por. także: *Wizerunki filozofów i humanistów polskich. Wiek XX*, pod red. J. Szmyda, Kraków 2000, s. 21; biogram Bronisława Baczki zam. w: „Aneks”, 1984 nr 34, s. 159. W inkryminowanym sporze rozstrzyga sam zainteresowany, mówiąc: „1 września 1939 r. miałem skończonych 15 lat”. *Potrząsk zła. Z profesorem B. Baczka rozmawia Jan Zieliński*. „Nowe Książki” 2002, nr 4/1998, s. 4.

⁴ K. Pomian: *Baczko: lumières et révolution*. „Revue européenne des Sciences Sociales” 1989, t. XXVII, nr 85, s. 14-15 [numer specjalny poświęcony B. Baczce].

⁵ Zespół archiwalny Baczko B. akta studenckie, sygn. WFS – 3461, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego.

⁶ Pilnujący jakości i prawomyślności tekstów zamieszczanych w miesięczniku „Nasza Myśl”.

⁷ Myli się dwukrotnie Jerzy Eisler, zarówno w pierwszym, jak i w drugim, poszerzonym, wydaniu swej książki poświęconej „wydarzeniom marcowym 1968” zaprzeczając karierze wojskowej B. Baczki i twierdząc zarazem, iż pomyłono go z jego bratem Henrykiem (zmarłym w 2006 r. pułkownikiem LWP). J. Eisler, *Marzec 1968. Geneza-Przebieg-Konsekwencje*, Warszawa 1991, s. 318; tegoż: *Polski rok 1968*. Warszawa 2006, s. 443.

⁸ Zespół archiwalny Baczko B. akta studenckie, sygn. WFS – 3461, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego. Praca ta była dwukrotnie publikowana – jako artykuł B. Baczko: *O poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Tadeusza Kotarbińskiego*, „Myśl Filozoficzna” 1951, nr 1-2 oraz w wydaniu broszurowym pod tym samym tytułem, Warszawa 1951.

*lettre*⁹. Doktoryzuje się w 1953 dysertacją (w ówczesnej nomenklaturze „kandydacką”) zatytułowaną *Poglądy społeczno-polityczne i filozoficzne Polskiego Towarzystwa Filozoficznego*. W zmienionej postaci ukazała się ona drukiem dwa lata później¹⁰. Po latach, o tej oraz innych ówczesnych swych pracach napisze: „Chłuby mi one nie przynoszą i niechaj posłużą za przestrożę przed groźnymi skutkami ideologicznej intoksykacji, ale są one częścią składową mojej biografii, tak jak należą do niej moje późniejsze artykuły i książki”¹¹.

Od 1952 roku B. Baczek zatrudnienie znajduje również na Uniwersytecie Warszawskim; po 1955 r. swój czas dzieli pomiędzy uniwersytet a Instytut Filozofii i Socjologii PAN, w którym kieruje Pracownią Historii Filozofii i Myśli Społecznej przemianowaną następnie w Zakład Historii Filozofii Nowożytnej i Myśli Społecznej. Poświęca się także działalności wydawniczej zostając cenionym edytorem, uczestnikiem znaczących inicjatyw wydawniczych: Biblioteki Klasyków Filozofii i Biblioteki Myśli Socjalistycznej.

Opublikowanym w 1956 r. tekstem *O stylu filozofowania*¹² B. Baczek aktywnie włącza się w nurt krytyczny wobec wcześniejszych procesów stalinizacji w nauce i filozofii polskiej. Innego niż poprzednio sensu nabiera też w tym tekście „Historia”. Ma ona stanowić antidotum na „ukąszenie heglowskie”, którego główną przyczynę upatrywał filozof w „zagubieniu historyzmu”. Wespół z Leszkiem Kołakowskim oraz Andrzejem Walickim i Jerzym Szackim uznawany jest za „ojca założyciela” tzw. Warszawskiej Szkoły Historii Idei, formacji, która jako broni w walce z prezytyzmem i schematyzmem właściwym ortodoksji marksistowskiej użyła relatywizmu historycznego i hermeneutyki.

Sens tej orientacji oraz funkcje, jakie spełniała ona w obrębie zdominowanej przez marksizm filozofii polskiej doskonale oddaje tytuł napisanej przez Szackiego recenzji z prac Baczeki – *Historia zamiast doktryny*. Centralnymi kategoriami filozofowania Baczeki w tym okresie jego twórczości stają się: światopogląd, alienacja, historyzm, utopia. To na nich wspiera się konstrukcja opublikowanych w latach sześćdziesiątych książek: *Rousseau: samotność i wspólnota* (1964) oraz zbioru napisanych wcześniej artykułów *Człowiek i światopoglądy* (1965). Jego badania skoncentrowane na światopoglądzie i historyzmie, uwieńczyły po latach wprowadzenie nowej kategorii badawczej nazwanej mianem „wyobrażeń społecznych”.

Pisząc monografię Jana Jakuba Rousseau, swoje najważniejsze dzieło sprzed wyjazdu w 1969 r. z Polski, Baczek świadomie podąża drogą odmienną od swych kolegów, współzałożycieli Warszawskiej Szkoły Historii Idei. W przeciwieństwie do nich,

on sam nie poświęca swej książki analizie dorobku wielu, ale raczej drugo- i – trzeciorzędnych myślicieli religijnych, społecznych czy politycznych, czyniąc jej bohaterem postać jednego tylko filozofa, ale za to najwyższego formatu.

„Tam idee, które ci ludzie produkowali znalazłszy się w pewnej określonej sytuacji historycznej, tu natomiast – zauważa tłumacz i przyjaciel Baczeki, Jerzy Niecikowski – próba opisu jednostkowego, niepowtarzalnego doświadczenia egzystencjalnego, które wyraziło się wprawdzie również w postaci filozoficznych idei, ale nie tylko przecież”¹³. Różniła ich również metodologia. Gdy oni konstruowali przedmiot badań dążąc do przedstawienia światopoglądów analizowanych myślicieli jako względnie spójnych całości, kierując się w tym względzie dyrektywami sformułowanego przez Leszka Kołakowskiego programu historiografii ekspresjonistycznej¹⁴, on sam odrzucał związany z takim zabiegiem nieuchronny redukcjonizm. Odtwarzając światopogląd J. J. Rousseau Baczek akcentował występujące pomiędzy jego częściami składowymi dwuznaczności, sprzeczności i napięcia, które – razem wzięte – umożliwiły potomnym różne, niekiedy wzajemnie sprzeczne interpretacje dziedzictwa twórcy *Umowy społecznej*. To metodologiczne zabezpieczenie przed przysłowiowym stawianiem kropki nad „i” stanowić mogło swoisty mechanizm obronny uruchomiony przez Baczkę w następstwie głębokiego przeżycia własnego wcześniejszego zaangażowania w stalinizm¹⁵. To niejedynie różnice, które dzieliły już wówczas Baczkę i pozostałych twórców z kręgu „szkoły warszawskiej” – Leszka Kołakowskiego, Andrzeja Walickiego, Jerzego Szackiego, Krzysztofa Pomiana. W dalszych latach miały się one już tylko pogłębiać.

Logika rozwoju myśli B. Baczeki, której ważnym etapem były badania poświęcone spuściźnie Genewskiego Samotnika, zawiodła badacza od koncepcji ujmowania „światopoglądu nie jako systemu tez i rozważań, lecz jako struktury napięć i problemów”¹⁶, stawiającej zagadnienie swoistości osobowości twórczej, jej nieredukowalności do zespołu okoliczności natury społecznej¹⁷ ku problematyce utopii. Chcąc uchwycić jej specyfikę Baczek posłużył się skonstruowaną przez siebie kategorią „idei – obrazu”. Utopia to nade wszystko obraz, dzieło tej specyficznej władzy duchowej, jaką stanowi wyobraźnia. „Pod

⁹ B. Bińko, *Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR – narzędzie ofensywy ideologicznej w nauce i szkolnictwie wyższym*, „Kultura i Społeczeństwo” 1996, t. XL, nr 2, s. 199-214; tejsze: *Skąd przychodzili, dokąd zmierzali... aspiranci pierwszego rocznika Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR*. W: *Komunizm. Ideologia, system, ludzie*, pod redakcją T. Szaroty. Warszawa 2001, s. 174-191.

¹⁰ B. Baczek, *Poglądy społeczno-polityczne i filozoficzne Towarzystwa Demokratycznego Polskiego*, Warszawa 1955.

¹¹ B. Baczek, *Wyobrażenia społeczne. Szkice o nadziei i pamięci zbiorowej*, Warszawa 1994, s. 7.

¹² B. Baczek, *O stylu filozofowania*, „Myśl Filozoficzna” 1956 nr 4.

¹³ J. Niecikowski, *Historia marzeń*. Tygodnik Powszechny” 2002, nr 20 (2758).

¹⁴ To dziejopis – pisał L. Kołakowski – nadaje sens historii, on też wprowadza w nią porządek. Nadaje nie w drodze odczytania, ale aktu kreacji, bowiem „powstają one również pod presją tej wynalazczej dynamiki historii, w której historyk sam uczestniczy, a nie tylko tej, którą bada”. Twierdząc, iż: „historia może się stać sensowna wyłącznie na gruncie deformacji, których różnorodność jest praktycznie nieskończona w granicach poprawności historycznej” historyk proponuje metodę, „którą nazwać można historiografią ekspresjonistyczną, a która organizując składniki empiryczne świata historycznego podporządkowuje je jakiejś ośrodkowej idei nadającej sens każdemu składnikowi z osobna, a manifestującej się w systemie idealnych konstrukcji”. L. Kołakowski, *Świadomość religijna i więź kościelna. Studia nad chrześcijaństwem bezwyznaniowym XVII wieku*, Warszawa 1997, s. 252-253.

¹⁵ R. Sitek, *Warszawska Szkoła Historii Idei. Między historią a teraźniejszością*, Warszawa 2000, s. 171-173.

¹⁶ B. Baczek, *Rousseau: Samotność i wspólnota*, Warszawa 1964, s. 10.

¹⁷ J. Szacki, *Historia zamiast doktryny*, „Studia Filozoficzne” 1966, nr 4, s. 160-161.

analitycznym skalpelem Baczki – zauważa Jerzy Jedlicki – slogany i gesty, obrzędy i emblematy stają się materią samą w sobie, materią semantycznie gęstą, ujawniającą stan umysłowy i etyczny swych autorów oraz podatność paryskiego tłumy, osobliwe sploty i zderzenia mentalności rewolucyjnej z archaiczną¹⁸.

Rewolucja, struktura i dynamika nierozdzielnie związanych z nią represji, ale i problematyka wychodzenia z terroru to tematy kolejnych z prac Baczki. Pozostając nadal wiernym problematyce Oświecenia i jego dziedzictwa, autor zarazem w tle swych prac zawsze umieszcza człowieka z jego słabością, naturalną skłonnością ulegania złu. Stawia zatem, chociaż niewprost, pytania o związki między filozofią Oświecenia, utopijnymi roszczeniami radykałów Rewolucji Francuskiej a doświadczeniami naszych czasów. W tym sensie trudno nie przyznać racji ponownie J. Jedlickiemu piszącemu: „Jeśli dobrze rozumiem sposób myślenia Baczki, to w ostatecznym rachunku zmierza on, mimo deklarowanego nieraz historycznego relatywizmu, do zrozumienia pewnych stałych potencjalności nowoczesnej cywilizacji, społeczeństwa masowego i – na koniec – kondycji ludzkiej. Pociąga go opis kulturowych i psychologicznych funkcji mitów, szukanie reguł rządzących wyobraźnią społeczną, zagadka naszej uporczywej wiary w możliwość lepszego świata i równie niezbywalnej, bezinteresownej skłonności ludzkiej do fanatyzmu i okrucieństwa”¹⁹.

Niezwykle ceniony przez studentów wykładowca, w ramach prowadzonych na UW seminariów zajmował się, co szczególnie zaskakiwało w ówczesnej rzeczywistości, m.in. psychoanalizą. Osobowość skracająca, pełna magnetyzującej siły sprawiła, iż wytworzył wokół siebie liczne grono „baczkoidów”, dziś w wielu przypadkach spełnionych już w pełni naukowo i twórczo szacownych profesorów, krytyków i pisarzy. „Pytał i uczył pytać”²⁰. „Niezmienne życzliwy wobec studentów, umiający zawsze tak przeformułować nieporadną konstrukcję, że sam delikwent dziwił się własnej mądrości, a przedmiot błyszczał wielością znaczeń, ale i nakazujący choćby dziesięć razy definiować i redefiniować pojęcia w zależności od kontekstu. Uczył po prostu, że w humanistyce ważna jest, jeśli nie prawda, to przynajmniej rzetelne i uczciwe do niej dążenie”²¹. „Dawał przykład cierpliwości i dobrej woli w wysłuchiowaniu pomysłów kalekich, a równocześnie pomysłowości w ich życzliwej, wzbogacającej interpretacji. W tych improwizacjach, nie zatracając na chwilę dyscypliny rozumowania Bronisław Baczeko bywał porywający”²². To zaledwie garść wspomnień byłych uczniów.

Uruchomionym przez siebie seminarium, poświęconym twórczości Stanisława Brzozowskiego spowodował przełom w recepcji tego wybitnego polskiego myśliciela. Uczestnikami innego, legendarne-

go już dziś konwersatorium Baczki prowadzonego równoległe w IFiS PAN byli, prócz filozofów, liczni literaturoznawcy, wśród nich: Maria Janion, Maria Żmigrodzka, Zofia Stefanowska, Alina Witkowska i Roman Zimand.

Po Marcu’68 uznany za rewizjonistę zostaje dyscyplinarnie zwolniony z pracy na uniwersytecie. „Wedykt”, podpisany przez ówczesnego ministra oświaty i szkolnictwa wyższego brzmiał kategorycznie: „za zgodą Prezesa Rady Ministrów, zwalniam Obywatela z dniem 31 marca 1968 r. ze stanowiska profesora nadzwyczajnego Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego, ponieważ zajmowana postawa i działalność dydaktyczna Obywatela pozostaje w rażącej sprzeczności z zadaniami szkoły i obowiązkami pracownika naukowo-dydaktycznego”²³.

W ramach restrykcji, jakie nań spadły, pozbawiony został możliwości publikacji. Poddany kolejnym szykanom, bez tak cennej dla siebie możliwości kontaktu ze studentami Bronisław Baczeko decyduje się na opuszczenie kraju. Z Polski wyjeżdża w 1969 roku.

To wówczas, w pierwszym roku pobytu na długiej, chociaż nie zamierzonej jeszcze jako stała, emigracji formułuje swoje credo badawcze, któremu pozostaje wierny po dziś dzień: „Świadomość, że wartości są względne i zmieniają się w czasie, w niczym nie zmienia faktu, iż działanie urzeczywistnione w badaniach historyka ma absolutny charakter moralny. Moralna odpowiedzialność historyka jest całkowita i nikt nie może go od niej uwolnić”²⁴.

Dopiero w 6 lat po jego wyjeździe mogła wyjść drukiem ostatnia napisana jeszcze w Polsce i po polsku książka Baczki (współautorstwa Henryka Hinza) *Kalendarz półstuletni. 1750 – 1800* (1975).

Owocem dalszych, prowadzonych już na emigracji poszukiwań intelektualnych, które kontynuował na uniwersytetach w Clermont-Ferrand i Genewie stały się kolejne, wydawane już w języku francuskim, książki. Trzy z nich: *Wyobrażenia społeczne. Szkice o nadziei i pamięci zbiorowej* (1994) oraz *Hiob, mój przyjaciel. Obietnice szczęścia i nieuchronność zła* (2001) i *Jak wyjść z terroru* (2005) dostępne dziś w tłumaczeniach na język polski, zdają się być świadectwem bolesnej straty, jaką poniosła polska humanistyka z chwilą usunięcia Baczki z Uniwersytetu Warszawskiego.

Bronisław Baczeko tak naprawdę nigdy nie zerwał łączności z krajem. Przez lata PRL-u publikował w emigracyjnym „Aneksie”. Zawsze znajdował czas i zainteresowanie dla polskich studentów, doktorantów i stażystów – uczestników prowadzonych przez siebie we Francji i Szwajcarii seminariów. Naukę polską wspiera również i dziś, także w inny sposób – poprzez ustanowione przez siebie fundacje i konkursy noszące imię żony dr Aurelii Baczeko (w dziedzinie medycyny) oraz tragicznie zmarłych w 1996 roku córki i zięcia – Małgorzaty Baczeko i Piotra Zakrzewskiego (architektura).

RYSZARD SITEK

¹⁸ J. Jedlicki, *Dla nas święto*, „Res Publica Nowa” 2003, nr 7 (178), s. 86.

¹⁹ Tamże, s. 86.

²⁰ A. Mencil, *Przedwiośnie czy potop*, Warszawa 1997, s. 475-476.

²¹ A. Werner, *Z Krakowskiego do Genewy*, „Gazeta Wyborcza” 1994, nr 183.

²² A. Dobosz, *Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia*, Londyn 1993, s. 264.

²³ Zespół archiwalny Baczeko B, Akta pracownicze, sygn. Zw/K –4985, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego.

²⁴ B. Baczeko, *La responsabilité moral de l'historien*, „Diogène” 1969, nr 67, s. 69 – cyt. za: J. Niecikowski: *Historyk marzeń...*, op. cit., s. 11.

BEATA KOWALSKA

O ZDERZENIU CYWILIZACJI, ISLAMIE I DEMOKRACJI

Oficer emigracyjny zapytał: „John, co zamierzasz robić w Edynburgu?” „Mam wykład na konferencji o islamie i demokracji”. Uśmiechnął się, postawił stempel w moim paszporcie i rzucił: „Będzie to krótkie wystąpienie!”

Większość muzułmanów na pytanie: co najbardziej podziwia w zachodniej kulturze, odpowiedziała: demokrację, polityczne wolności, swobodę wypowiedzi.

John L. Esposito i Dalia Mogahed, *Who Speaks for Islam. What a Billion Muslims Really Think*.

ŚWIAT PO 11 WRZEŚNIA

W dobie globalizacji wytyczenie sztywnych granic między kulturami stało się niemożliwe. Wydarzenia ostatnich lat – ataki terrorystyczne na WTC, Londyn czy Madryt, wojny w Afganistanie i Iraku – dotkliwe uświadamiają nam, że Zachód i świat muzułmański znajdują się w kluczowym momencie wzajemnych relacji, gdy porozumienie oparte na dialogu staje się palącą koniecznością. Jak jednak szukać dróg, które do niego prowadzą?

Przekonanie o nieuchronności starcia cywilizacji powróciło w połowie lat 90. XX w. nie tylko do debaty akademickiej, ale także do gabinetów polityków. Po zakończeniu zimnej wojny międzynarodowe konflikty nabrały charakteru cywilizacyjnych sporów. Najważniejszą linią współczesnego starcia stała się oś Zachód-islam. Nie będę polemizowała ze szczegółowymi tezami gorącego orędownika tego ujęcia Samuela Huntingtona, ale proponowałabym zastanowić się nad ich konsekwencjami dla Europy, demokracji i społeczności muzułmańskich.

Oczekiwanie starcia eliminuje elementy tolerancji i współpracy w relacjach między dwiema stronami. Dlatego warto spojrzeć na wzajemne stosunki przez pryzmat procesów historycznych, politycznych i społecznych, by zrozumieć jak funkcjonują „mity konfrontacji”¹. Możemy wprowadzić kłask na 1300 lat „odwiecznego” konfliktu między Zachodem a islamem. Jednak czy powtarzanie ciągle tych samych prawd

o wiedeńskiej wiktorii nad Turkami czy o hiszpańskich konkwistadorach pomoże sprostać wyzwaniom naszego czasu? Czy oznacza historyczną ciągłość, która może wyjaśnić dzisiejsze uprzedzenia i przekonanie o muzułmańskim zagrożeniu? Historia europejska – i nie tylko – pokazuje, że nie takie historyczne bariery udawało się przekraczać.

KULTURA VERSUS EKONOMIA I POLITYKA

Czym zatem jest cywilizacja? W „konfrontacyjnym” ujęciu, możemy ją zredukować do kultury, kulturę zaś – do religii. W ten sposób powstaje niezmienny, oderwany od społecznego kontekstu produkt – *Homo Islamicus*, ten zaś musi się zderzyć z zachodnim *Homo oeconomicus*. Główną przyczyną międzynarodowych konfliktów naszej doby staje się starcie między nieprzystającymi do siebie systemami wartości i wierzeń: europejskim liberalizmem i islamem. Różnice między nimi mają w takim ujęciu charakter absolutny, bo cywilizacje są rozumiane jako fenomeny o charakterze statycznym i ahistorycznym. Zdziwieniem napawa fakt tak bezdyskusyjnego powrotu do idei niemieckiej *Philosophie des Geistes*, a zwłaszcza inspiracji Weberowskich o leżącej u podstaw kapitalizmu i demokracji racjonalności, która jest całkowicie obca innym cywilizacjom, zwłaszcza islamowi. Choć można by sądzić, że takie esencjonalistyczne wizje zostały skutecznie zdyskredytowane w znanej książce Edwarda Saïda *Orientalizm*. W koncepcji tego autora tytułowy orient jest „w dużej mierze wymysłem europejskim”, odpornym na wszelkie zmiany i zewnętrzne czynniki. Tak rozumiany, stał się

¹ Por. Haliday Fred, *Islam i mit konfrontacji*, tłum. Piotrowski Robert, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2002.

integralną częścią kultury europejskiej, swoistym *alterego*. Wydawało się, że po Saidzie nic w zachodniej analizie orientu już nie będzie takie samo...

Tymczasem popularna obecnie idea o konflikcie między islamem a Zachodem opiera się właśnie na takim schematycznym i naiwnym obrazie muzułmańskich wierzeń jako monolitycznego, niezmiennego systemu. A przecież – co wydaje się truizmem w badaniach kulturowych – jedna, stała perspektywa muzułmańska po prostu nie istnieje. Ponad pięćdziesiąt państw, w których muzułmanie stanowią większość układa się wzdłuż politycznego spektrum: od konserwatywnych krajów Zatoki, po Turcję, gdzie nowoczesny dyskurs ma ugruntowane tradycje. Nie istnieje także jeden – na wzór Watykanu – ośrodek, który byłby źródłem teologicznej i prawniczej ortodoksji. Często święta i niezmienna wykładnia prawna po uważnej analizie okazuje się interpretacją służącą doraźnym, politycznym celom.

Warto także pamiętać o rozróżnieniu między islamem jako religią zawierającą pewien zbiór założeń doktrynalnych i wierzeń dotyczących świata nadprzyrodzonego oraz przekonań na temat moralności a islamem jako systemem społeczno-politycznym. Choć i tu nie należy przeceniać korzyści eksplanacyjnych wynikających z traktowania wielu elementów rzeczywistości, do której termin ten się odnosi jako części jednego zjawiska. Jest ona bowiem, na nieszczęście polityków, demagogów i niektórych badaczy, znacznie bardziej skomplikowana. Wśród wyznawców islamu – podobnie jak w innych wspólnotach religijnych – spotykamy różne interpretacje doktryny, jak i odmienne ich implikacje w codziennym życiu. A rozumienie najważniejszych tekstów uważanych przez muzułmanów za źródłowe zmienia się, zależy od ugrupowania, czasu i kontekstu. Wielu z nich na przykład, uważa hierarchiczny i patriarchalny charakter relacji między kobietą a mężczyzną za integralną część kulturowego dziedzictwa. Dla innych jednak przenikająca Koran idea egalitaryzmu oznacza odrzucenie każdego rodzaju teorii i praktyki, które dyskryminowałyby kobiety.

Wreszcie, religia pozostaje jednym, ale nie jedynym źródłem sensu i działania. O ile w przeszłości jej znaczenie jako czynnika politycznej siły i mobilizacji bywało niedoceniane, to teraz często przypisuje się mu zbyt dużą wagę. Uwypuklanie motywów religijnych – a ignorowanie aspektów politycznych, etnicznych czy społeczno-ekonomicznych – wielu współczesnych konfliktów (np. w Czeczeni czy Irlandii Północnej) nie tylko utrudnia zrozumienie ich istoty, ale odsuwa nas od ich rozwiązania. Praktyka polityczna pokazuje, że współpraca znacznie częściej opiera się na wspólnocie interesów niż religijnych podstawach.

ANTYISLAMIZM A EUROPEJSKA DEMOKRACJA

Muzułmanie stali się na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat liczącą się europejską mniejszością religijną. Dyskusja nad *Szatańskimi wersetami*, która odbiła się szerokim echem nie tylko w Wielkiej Brytanii, konflikt we Francji dotyczący noszenia chust przez muzułmańskie uczennice czy kwestia statusu potomków tureckich robotników w Niemczech nasuwają pytanie o relację między muzułmańskimi obywatelami Europy a demokratycznymi państwami, w których mieszkają. Apokaliptyczne wizje „zderzenia cywilizacji” i muzuł-

mańskiej „piątej kolumny” w Europie nie sprzyjają merytorycznym rozważaniom nad tymi problemami.

We współczesnej literaturze zwykle rozróżnia się dwa typy antyislamu². Pierwszy, charakterystyczny dla Ameryki odwołuje się do takich strategicznych zagadnień jak: kwestia bezpieczeństwa, broń jądrowa, dostawy ropy czy terroryzm. Drugi, o bardziej populistycznym charakterze związany jest z powstaniem muzułmańskiej diaspory w Europie, koncentruje się wokół takich problemów jak regulacje imigracyjne, asymilacja, chusta. Najważniejszymi wydarzeniami, które ukształtowały stosunek do muzułmanów w ostatnich dekadach były: kryzys naftowy 1973 roku, irańska rewolucja i kwestia amerykańskich zakładników, zdecydowane poparcie Izraela w konflikcie z Palestyńczykami oraz 11 września.

W Ameryce wrogość wobec muzułmanów ma jak widać odmienne podłoże niż na Starym Kontynencie: demograficzne zagrożenie odgrywa tutaj znikomą rolę, za to bezpieczeństwo państwa ma znaczenie priorytetowe. W Europie z kolei problem terroryzmu i zakładników nabrał znaczenia dopiero niedawno. Poszczególne kraje europejskie już wcześniej borykały się z terroryzmem rodzimej proveniencji (IRA, ETA, Baden-Mainhoff, Czerwone Brygady), a z uwagi na zajęcie znacznie bardziej wyważonego stanowiska w kwestii żydowsko-palestyńskiej zagadnienie to wywoływało znacznie mniej emocji. Natomiast niepokój społeczny powodowany recesją często skupiał się na cudzoziemcach, co w praktyce oznaczało muzułmanów. Nastroje takie niejednokrotnie podsycane były przez media i polityków. Głosy te, wspierane nierzadko akademickimi publikacjami, potwierdzały nieuchronność konfliktu między muzułmańską ideą związku religii i państwa a koncepcją liberalnego państwa.

Przekonanie o muzułmańskim zagrożeniu stawało się tym mocniejsze, im szybciej rosła liczba muzułmanów w świecie zachodnim. Kiedy wyznawcy islamu przedstawiani są jako główne źródło zagrożenia, bardzo trudno jest usłyszeć ich głos w toczącej się debacie. W ferworze obrony zachodnich wartości umyka pytanie o stopień kulturowej adaptacji, jakiej państwo może oczekiwać ze strony osiedlających się imigrantów i ich potomków. Dbłość o sprawiedliwe i równe traktowanie wszystkich obywateli każe podnieść kwestię podobieństw między zachodnimi praktykami religijnymi, które są uważane za moralnie dozwolone, a muzułmańskimi uznawanymi za moralnie problematyczne.

Przy bliższej analizie okazuje się, że tych podobieństw jest znacznie więcej niż się powszechnie sądzi, a stosowanie podwójnego standardu często prowadzi do ignorowania paraleli między tradycjami religijnymi. Najważniejszy problem, jaki w kontekście mniejszości muzułmańskich się pojawia – *implicite* czy *explicite* – dotyczy centralnego miejsca religii w ich życiu, co zdaniem wielu krytyków stoi w sprzeczności z wymogami liberalnej demokracji. Muzułmanie nie mogą być pełnymi obywatelami liberalnego państwa, bo to „wymaga zdystansowania się wobec własnej tożsamości, by postawić się na miejscu innego”. Istnieje zatem fundamentalny konflikt pomiędzy muzułmańską koncepcją relacji między religią i polityką a ideami demokratycz-

² Por. Haliday Fred, *Islam i mit konfrontacji*, tłum. Robert Piotrowski, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2002.

nymi, liberalizm nie jest bowiem „odpowiednim gruntem do spotkania wszystkich kultur, ale jest politycznym wyrazem tylko dla niektórych z nich, pozostając w niezgodzie z innymi”³.

W tym kontekście warto podkreślić po pierwsze, szerokie zróżnicowanie postaw muzułmanów wobec religii. Pomijając już opisane powyżej odmienne interpretacje, nadużyciem jest założenie, że islam nie tylko określa tożsamość, ale i wyjaśnia wszystkie działania muzułmanów. Dla części muzułmanów (zwłaszcza imigrantów) religia pozostanie kulturowym wyznacznikiem ich tożsamości, ale w nieznacznym stopniu będzie wpływać na ich publiczną aktywność i prywatne życie, dla innych ich wiara będzie wskazówką przy podejmowaniu każdej decyzji i działania, dla pozostałych będzie czymś pomiędzy.

Po drugie, jeśli skupiamy uwagę na muzułmańskich grupach o silnym poczuciu religijnej tożsamości, to powinniśmy także zadać pytanie o kompatybilność z liberalnymi zasadami grup charakteryzujących się analogicznie silnym poczuciem religijnej identyfikacji. Każdego, kto czytał literaturę fundamentalistyczną z przełomu XIX i XX wieku zaskakuje podobieństwo zarzutów, wątpliwości i obaw wysuwanych wówczas wobec katolików i żydów, do kierowanych wobec muzułmanów dzisiaj. Używano wtedy retoryki znanej nam ze współczesnej publicystyki „inwazji barbarzyńców”, którzy nie tylko nie zasymilują się, ale są śmiertelnym zagrożeniem dla kultury przez swoje przywiązanie do nieoliberalnych i antydemokratycznych wartości. Dziś nikomu nie przyszłoby do głowy zastanawiać się czy katolik bądź żyd może być dobrym obywatelem liberalnego państwa, chociaż wielu z nich odrzuca ideę, że wymogiem uczestnictwa w demokratycznym procesie jest wyabstrahowanie się z własnej religijnej tożsamości. Nie dziwi zatem rozczarowanie muzułmanów stosowaniem w publicznej debacie zasady podwójnego standardu!

Jurgen Habermas komentując kwestię mniejszości muzułmańskich w Niemczech podkreśla, że tylko stając się obywatelami mogą wyrazić swój głos w publicznej debacie. Imigranci muszą podporządkować się demokratycznym, konstytucyjnym regułom, jednak wcale nie musi to oznaczać asymilowania sposobu życia większości. Pojawia się więc pytanie: jest to problem z muzułmanami czy raczej z demokracją, która oczekuje od obywateli zawieszenia grupowej identyfikacji. Traktowanie innych z szacunkiem – co wydaje się być fundamentem demokratycznego porządku – nie oznacza wcale porzucania własnych poglądów. Dyskusja jest najbardziej owocna, gdy strony rozmawiają z najgłębszych pokładów własnego ja. Religijna retoryka potrafi być nadużywająca i manipulująca. Ale nie oznacza to, że każda argumentacja świecka jest od tego wolna. Muzułmanie muszą w wolny sposób wnieść swój wkład do demokratycznego dialogu, by jednak czynić to efektywnie, powinni znaleźć taki sposób komunikowania swoich przekonań, który będzie zrozumiały dla pozostałych obywateli nie podzielających ich religijnych poglądów. Liberalne państwo nie musi ani nawet nie powinno tolerować wszystkich praktyk, jakie zdaniem niektórych są legitymizowane przez islam, nie

może jednak zakładać, że muzułmanie nie mogą być dobrymi obywatelami.

ZAGROŻENIE MUZUŁMAŃSKIE

Mocno skorelowany z konfliktami politycznymi i wewnętrznymi, w które uwikłane są kraje muzułmańskie obraz zagrożenia muzułmańskiego, stał się źródłem chyba największej liczby mitów. U podstaw tego przekonania leży założenie, iż większość muzułmanów pragnęłaby narzucić pewien program polityczny jakoby wyprowadzony z ich religii. Zwykle nie próbuje się tłumaczyć, co znaczy w tym przypadku większość, i że szczególna fundamentalistyczna droga wybierana jest przez nielicznych. „Ogólny wpływ islamu” stał się ideą-kluczem, i zbyt łatwo wszystko się mu przypisuje. Jednak podobnie jak w przypadku wielu innych mitów, samo głoszenie idei do pewnego stopnia je urzeczywistnia – nie tylko w przypadku tych, których mają mobilizować, ale i przeciwko którym są kierowane. Na ironię zakrawa fakt, że fundamentaliści islamscy w pełni zgadzają się nie tylko z podstawowymi tezami Huntingтона, ale też z ich teoretycznymi implikacjami i praktycznymi konsekwencjami.

Jak mantra powtarzana teza o nieprzystawalności wartości demokratycznych do tradycji muzułmańskich. Odwołując się do religii pomija się często takie czynniki jak: doświadczenie kolonialne, niski poziom rozwoju, brak struktur demokratycznych i politycznej reprezentacji, tradycje silnej kontroli państwowej i brak prywatnej własności, nierozdzielność państwa od prawa. I znów rzecz znamienita – orędownicy przekonania, że alians religii i polityki zawsze prowadzi do ekstremizmu, często pozostają ślepi na analogiczne sojusze w innych częściach świata: Europie Centralnej, Ameryce Łacińskiej czy Izraelu.

Idee kulturowej wrażliwości i relatywizmu usprawiedliwiają nierzadko brak reakcji na praktyki „niemożliwe tu, ale dopuszczalne tam” wzmacniając regionalne reżimy. A muzułmańskie zagrożenie jest częstym wytłumaczeniem destrukcji wszelkiej aktywności opozycyjnej na Bliskim Wschodzie, co z kolei prowadzi do polaryzacji i radykalizacji. Podwójne standardy w zachodniej polityce budzą sprzeciw. Selektywna promocja praw człowieka i demokracji, która przyznaje prawo do samostanowienia społeczeństwom Europy Centralnej, ale odmawia prawa głosu obywatelom Arabii Saudyjskiej czy Palestyny nasuwa wątpliwości wobec procesu wspierania demokracji. Długoterminowa polityka gospodarczego wzrostu i demokratyzacji zwykle ustępuje strategii stabilności regionu, zapewniającej bezkolizyjny dostęp do surowców.

Dlatego trudno nie zgodzić się z komentarzem jednego z czołowych intelektualistów regionu, Sadika Al.-Azma: „Co zaś się tyczy obecnych problemów, trudności, napięć, podejrzeń, konfrontacji i wrogości, które cechują stosunek islamu do Zachodu – są one częścią normalnej historii, mocarstwowej polityki, relacji międzynarodowych i żywotnych interesów. Z pewnością nie są kwestią czysto duchową, zderzenia religijnych idei, ściągających się teologicznych interpretacji czy też zwykłych wierzeń, wartości, wyobrażeń i percepcji”⁴.

BEATA KOWALSKA

³ Carens Joseph, *Culture, Citizenship, and Community, A Contextual Exploration of Justice as Evenhandedness*, Oxford University Press 2000, 142.

⁴ Al.-Azma Sadik, *Islam, terroryzm i Zachód dzisiaj*, wykład w Central European University w Budapeszcie w lipcu 2003 roku.

HELENA SZCZODRY

Kobiety w Kościele katolickim

(na przykładzie Polski)

Niniejszy tekst jest próbą analizy przemian sytuacji kobiet w Kościele katolickim. Szybkie tempo zmian w ostatnich latach, które bezpośrednio możemy połączyć z procesem globalizacji, w sposób istotny wpłynęło na obraz dzisiejszego świata. Zmiany te obejmują również sytuację kobiet, których pozycja w ostatnich dziesięcioleciach zmieniła się diametralnie (przede wszystkim w krajach Europy i Ameryki Północnej) dając im prawa, oferując nowe wzory samorealizacji, redefiniując tradycyjny podział na role kobiece i męskie oraz zmieniając ich miejsce w sferze społecznej, ekonomicznej i politycznej. Jaka jest reakcja Kościoła katolickiego na te zmiany? Poszukiwania odpowiedzi na to pytanie rozpocznę od źródeł, czyli krótkiego rysu historycznego chrześcijaństwa.

Wczesne chrześcijaństwo i interpretacja Biblii jako fundament doktryny katolickiej

Aby zrozumieć sposób patrzenia na kobietę przez Kościół katolicki, należy odwołać się do tradycji chrześcijańskiej, która stanowi jego teologiczny fundament. „Chrześcijańskie rozumienie natury oraz roli mężczyzny i kobiety było chyba najsilniejszym składnikiem w procesie konstruowania ról płci i wzorów ich zachowań w społeczeństwie zachodnim i jego dominiach”¹. W początkach chrześcijaństwa odnajdujemy dwie sprzeczne doktryny dotyczące płci. Pierwsza związana jest z postacią Jezusa i jego charyzmatycznym ruchem, druga swymi korzeniami sięga tradycji judaistycznej i starożytnej.

Nauki głoszone przez Jezusa w swej istocie miały rewolucyjny charakter i stanowiły niewątpliwą opozycję dla ówczesnej wizji świata opartej na ścisłej hierarchii seksualnej. Jego charyzmatyczny ruch był otwarty zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet, dając im takie same spektrum możliwości duchowego rozwoju oraz równego uczestnictwa w działalności wspólnoty. „Wyleję Ducha mego na wszelkie ciało i prorokować będą synowie wasi i córki wasze, i młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy wasi śnić będą sny. Nawet i na słu-

gi moje i służebnice moje wyleję w owych dniach Ducha mego”. (Dz. 2. 17-21)²

Właśnie to przekonanie o obecności Ducha Bożego u obu płci otworzyło kobietom drogę do pełnego partycypowania w nowym ruchu religijnym. Ruch Jezusa stanowił więc głęboki dysonans dla teraźniejszych mu struktur hierarchicznych zakorzenionych w tradycji judaistycznej i helleńskiej. Mamy do czynienia z nowym rodzajem jakości, z egalitarną społecznością, w której członkostwo jest dostępne dla grup marginalizowanych (kobiety, dzieci, niewolnicy) przez patriarchalne społeczeństwo. Dodatkowy czynnik sprzyjający emancypacji kobiet wpływał z panującej wówczas eschatologicznej, apokaliptycznej wizji świata. W Jezusie upatrywano Mesjasza, którego nadejście miało zwiastować sąd ostateczny i koniec doczesnego świata. W tak swoistej atmosferze rychłego końca oraz antymaterialnej postawie wobec dóbr doczesnych sztywny podział ról stracił swą legitymizację dając kobietom niebywałą jak na tamte czasy autonomię. Kwestia małżeństwa, rodzenia i wychowania dzieci straciła sens stwarzając kobietom realną szansę wyjścia ze sfery prywatnej i pełnego uczestnictwa w sferze publicznej.

Wraz z upływającym czasem przekonanie o bliskim końcu świata zaczyna słabnąć, a chrześcijaństwo wkracza w proces instytucjonalizacji. Początkowa spontaniczność i egalitaryzm charyzmatycznego ruchu słabnie. Dodatkowo prześladowania chrześcijan w cesarstwie rzymskim wymuszają podjęcie zasadniczych kroków w obrębie wspólnoty. Równościowe podejście do kobiet ustępuje tradycyjnemu podziałowi ról. „Zamiast odczuwania radości z powodu tego, że są millenarnym zgrupowaniem wiernych ochoczo oczekujących końca świata, pierwsi chrześcijanie musieli zmierzyć się teraz z perspektywą długotrwałego istnienia i konieczności przetrwania »na tym świecie«. (...) Status kobiet w obrębie takich społeczności stał się punktem centralnym dla komun, które musiały stworzyć hierarchiczne struktury, aby się zorganizować. Tradycja kobiet, które odrzucały małżeństwo i rezygnowały z życia rodzinnego na rzecz ewangelizacji, pozostała, ale

¹ D. Sawyer, *Kobiety i religie w początkach naszej ery*, Wrocław 1999: 59

² Ibidem: 124

zeszła na margines kwestii przywódczych”.³ Akceptacja dla przywództwa kobiet była bezpośrednio połączona z apokaliptyczną wizją świata. Wraz z jej porzuceniem emancypacja kobiet zaczęła być postrzegana jako zagrożenie dla istnienia chrześcijaństwa, a patriarchalna struktura i przywództwo męskie zostały uznane za obowiązującą normę.

Ten trudny okres dla chrześcijaństwa stał się początkiem drugiej doktryny dotyczącej płci, która obowiązywała przez następne stulecia aż do czasów współczesnych. Doktryna ta była połączeniem modelu społecznego ze świata grecko-romańskiego oraz arystotelesowskiej wizji porządku naturalnego wraz z teologiczną nadbudową.

Arystoteles uważający kobietę za naturalną deformację mężczyzny zbudował wizję patriarchalnego społeczeństwa, w którym każda z płci ma ściśle określone role wynikające niejako z ich natury. Najważniejszym elementem jego teorii, który zasadniczo wpłynął na doktrynę chrześcijańską jest pogląd, iż istnieje podział na rządzących i rządzonych – to z natury mężczyźni wypływa ich zdolność do rządzenia, natomiast z natury kobiet płynie brak tej zdolności, a w konsekwencji ich całkowite podporządkowanie władzy męskiej. „Wpływ Arystotelesa na chrześcijaństwo nie może jednak być przeceniany. Mylny byłby pogląd, że jest on widoczny tylko w pracach Augustyna z Aquinas. Wpływał on pośrednio na całe chrześcijaństwo od czasów jego powstania”.⁴

Jako nadbudowę teologiczną rozumiem Biblię, sposób jej interpretacji przez uczonych i Ojców Kościoła – przede wszystkim mam na myśli teksty biblijne opisujące stworzenie kobiety i mężczyzny oraz przedstawiające postać Maryi, matki Jezusa.

W Biblii, w *Księdze Rodzaju* odnajdziemy dwa odrębne teksty dotyczące wizji stworzenia człowieka, które zostały napisane przez dwóch różnych autorów i w różnych epokach (drugi tekst został napisany około 300 lat później po pierwszym). Starszy tekst akt stworzenia przedstawia w sposób następujący: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boga go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę. Po czym Bóg im pobłogosławił, mówiąc do nich: Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną”.⁵ W języku hebrajskim słowo *człowiek* oznacza człowieka jako pojedynczą jednostkę oraz rodzaj ludzki, rozumiany jako mężczyzną i kobietę. Z owego mitu wynika znak równości postanowiony pomiędzy obydwoma płciami, który oznacza ich kompletność oraz warunek, który musi zaistnieć, aby mógł zostać ukazany prawdziwy obraz Boga.

Drugi tekst opowiada o tym, że Bóg zauważa samotność mężczyzny i decyduje się na stworzenie kobiety, która ma stanowić dla niego pomoc. „Wtedy to Jahwe sprawił, że mężczyzna pogrążył się w śnie, i gdy spał, wyjął jedno z jego żeber, a miejsce to zapełnił ciałem. Po czym Jahwe Bóg z żebra, które wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę. A gdy ją przyprowadził do mężczyzny, mężczyzna powiedział: Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała! Ta będzie zwała się niewiastą, bo ta z mężczyzny została wzięta”.⁶

Interpretacja tej opowieści mówiącej o wyższości mężczyzny. bo został stworzony jako pierwszy, a kobieta ma stanowić dla niego pomoc, stała się obowiązującą, normatywną wykładnią, na podstawie której chrześcijaństwo utworzyło hierarchiczną strukturę seksualną. Interesującej analizy tego fragmentu Pisma Świętego dokonuje prof. Anna Świderkówna: „Chyba żadne inne wersety Biblii nie stały się źródłem tylu żartów, mniej lub bardziej niewybrednych dowcipów i karykatur. Grzęźniemy tu w niezrozumiałej dla nas warstwie słownej tekstu, w ogóle nie dostrzegając jego sensu. Bóg występuje tu niejako w roli chirurga, który najpierw daje pacjentowi narkozę, by następnie wyciąć mu żebro. W końcu robi także coś, czego żaden chirurg nie potrafi – z jednego żebra »buduje« całą kobietę. Kiedy mężczyzna po raz pierwszy się z nią spotyka, woła: Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała (Rdz 2, 23). Mało kto z nas wie, że jest to idiom hebrajski wskazujący na najbliższe pokrewieństwo. Tak na przykład początek piątego rozdziału drugiej księgi Samuela mówi o przedstawicielach wszystkich dwunastu pokoleń Izraela, którzy przychodzą do Dawida do Hebronu i oświadczają mu: Oto myśmy kości twoje i ciało (2 Sm 5, 1). W ten sam sposób mężczyzna wita kobietę, nie tylko jako »odpowiednią dla siebie pomoc« (por. Rdz 2, 18-20), tę, która pozwoli mu w pełni zrealizować siebie, lecz także jako człowieka takiego samego jak on. Autor biblijny jest najwyraźniej zdania, że w zamyśle Boga Stwórcy, kobieta i mężczyzna są sobie równi”.⁷

Oprócz powyższych opowieści biblijnych, wpływowe na określenie relacji pomiędzy kobietą i mężczyzną stały się dwie postacie z Pisma Świętego: Ewa i Maria, matka Chrystusa. To one przedstawione na zasadzie totalnego kontrastu – antywzoru i wzoru kobiety stanowią kluczowe role przy unormowaniu sposobów zachowania kobiet i mężczyzn w teologii kościołów chrześcijańskich, która inne kobiece postacie występujące w Biblii odsuwa na boczny tor.

Ewa i Adam to pierwsi ludzie na Ziemi stworzeni przez Boga, żyjący w Raju – Edenie. Ich sielankowy żywot zostaje przerwany z chwilą zerwania przez Ewę owocu z zakazanego drzewa i zjedzenia go wspólnie z Adamem. Wtedy to poznali smak dobra i zła, a za karę zostali wypędzeni z Raju na Ziemię. W teologii chrześcijańskiej całkowitą winę za popełnione nieposłuszeństwo przypisano Ewie, która nie dość, że sprzeciwiła się woli Boga Ojca, to dodatkowo jeszcze zwiódła na pokuszenie Adama.

Więc pierwszym grzesznikiem staje się kobieta. Fakt ten wpływa na późniejsze postrzeganie przez uczonych chrześcijańskich wszystkich kobiet utożsamianych bezpośrednio z Ewą. Przykładowo Tertulian, teolog z drugiej połowy II wieku pisze w jednym ze swoich tekstów: „Jeśli na ziemi pozostała taka silna wiara (...) to żadna z was, najdroższe siostry, od momentu w którym uzna Boga żywego i dowie się o sobie, to znaczy o kondycji kobiety, nie pragnęłaby żadnej czarującej sukni (...). Nosiłaby się jak Ewa, pogrążona w żałości i pokutująca, aby mogła tym pełniej odpokutować swój grzech strojem wyrażającym skrucę, który odziedziczyła po Ewie – mam tu na myśli degradację

³ Ibidem: 145

⁴ Ibidem: 151

⁵ Pismo Święte, Poznań – Warszawa 1971: Rdz 1, 27 -28

⁶ Pismo Święte, op.cit.: Rdz 2, 21-22

⁷ A. Świderkówna / stworzył Bóg kobietę, [w:] <http://www.ckid.pl/content/view/236/37/>, [15.11.2008]

spowodowaną pierwszym grzechem (...). »W bólach będziesz rodziła dzieci, mimo to ku mężowi twemu pociągać cię będą pragnienia twoje, on zaś będzie panował nad tobą« – a ty nie wiesz, że ty sama także jesteś Ewą?»⁸

To Ewa stanowi więc klucz do zrozumienia chrześcijańskiej postawy wobec kobiet. Ewa została stworzona po Adamie i jako jego pomoc, nie na podobieństwo Boga, lecz Adama. Oprócz tego to ona – kobieta – doprowadziła do upadku rodzaju ludzkiego, nie mężczyzna. To kobieta jest przyczyną pojawienia się grzechu. Ponadto Ewa porównywana jest z Marią, której to nieskalana dziewicza natura pozostaje w głębokiej opozycji do grzesznej natury Ewy. Natomiast wszystkie córki Ewy przekazują grzech dalej poprzez akt seksualny, w wyniku którego zachodzą w ciążę, wciąż reprodukcją grzech popełniony przez Ewę. Maria traktowana jako wzór kobiecości – w Kościele katolickim w Polsce postać otoczona szczególnym kultem – określana jest jedynie poprzez swoje szczególne macierzyństwo, poświęcenie i służebność względem mężczyzny. »Kościół niewiele mówi na temat Miriam jako kobiety autonomicznej, niezależnej. Jej życiorys, jeśli nie jest związany z uczestnictwem w Zbawieniu, jest zupełnie przez teologów pomijany».⁹

Reasumując, charyzmatyczną wspólnotę Jezusa charakteryzował brak tradycyjnych podziałów płci. Wraz z procesem rozwoju chrześcijaństwa następuje jego instytucjonalizacja, która powoduje odwrócenie się od egalitarnego modelu społecznego Jezusa na rzecz wzoru patriarchalnego. Siłą nowego modelu jest przede wszystkim dyskurs teologów chrześcijańskich, osadzony i znajdujący swą legitymizację w zniekształconej interpretacji tekstów biblijnych oraz w kontekście kulturowym. Dokonując transplantacji koncepcji Woodwartha z gruntu analizy instytucji politycznych na instytucję religijną, reprezentowaną w tej pracy przez kościoły chrześcijańskie, możemy stwierdzić, iż dokonały one swoistej korupcji dyskursu politycznego¹⁰. Celem owej korupcji dyskursu było narzucenie i utrzymanie władzy męskiej w ramach struktury hierarchicznej kościołów, początkowo dla przetrwania instytucji zagrożonej zewnętrznymi problemami. Później przez wieki dyskurs ten służył zachowaniu *status quo* oraz związany był z faktyczną władzą polityczną sprawowaną przez Kościół katolicki. Powyższa analiza historyczna pokazuje więc źródła „milczącej obecności kobiet”¹¹ w Kościele katolickim oraz pomaga zrozumieć ignorancję hierarchów Kościoła w stosunku do problematyki kobiet, trwającą tak naprawdę aż do wieku XX.

Zmiana podejścia Kościoła katolickiego do kobiet w XX wieku

Przełomową osobą, która zapoczątkowała zmianę w podejściu do kobiet przez Kościół katolicki, był pa-

pież Jan XXIII i jego encyklika *Pacem in terris*, w której pisze: »Udział kobiet w życiu publicznym jest już faktem dokonanym i oczywistym».¹² W roku 1962 papież zwołuje Sobór Watykański II w celu „zaktualizowania” nauki Kościoła dla potrzeb współczesnego świata. Jedną z poruszanych kwestii dotyczy egalitarnego podejścia do statusu kobiet i mężczyzn. Najważniejsze wnioski wypływające z obrad soboru to: potępienie dyskryminacji płciowej, która jest przeciwna „zamysłowi Bożemu”¹³, potwierdzenie równości kobiet i mężczyzn, która jest zgodną z chrystusową wizją Kościoła, z naciśkiem na równość godności osobistej oraz przy realizacji praw i obowiązków. Oprócz tego „sobór w Dekrecie o apostołstwie świeckich stwierdza: »w naszych czasach kobiety biorą coraz żywszy udział w całym życiu społecznym«, dlatego »jest sprawą wielkiej wagi ich większe uczestnictwo także na różnych polach apostołskiej działalności Kościoła«».¹⁴

Dało to możliwość studiowania oraz nauczania teologii przez kobiety. Inny aspekt apostołskiej działalności Kościoła czyli kapłaństwo, nadal pozostaje niedostępny dla kobiet. W roku 1994 Jan Paweł II wydaje jednoznaczne, negatywne stanowisko w tej sprawie. W Polsce nie odbyła się żadna ważna debata na ten temat. Poza granicami naszego kraju, wśród katolickich organizacji kobiecych zakaz ten został ostro skrytykowany oraz postuluje się jego zniesienie. Oto przykładowe argumenty opowiadające się za kapłaństwem kobiet: „fakt, że kobieta czuje powołanie do bycia księdzem, oznacza, iż jest to działanie Ducha Świętego oraz Jezus dał swoje pełnomocnictwo zarówno mężczyznom, jak i kobietom w trakcie ostatniej wieczerzy”.¹⁵

W postanowieniach soboru możemy odnaleźć pewną sprzeczność. Z jednej strony opowiada się za emancypacją kobiet oraz wizją kobiety i mężczyzny jako równych sobie. Z drugiej kobieta rozpatrywana jest przede wszystkim przez pryzmat rodziny. Naciśk na „użyteczne” funkcjonowanie mężczyzny w rodzinie jest o wiele mniejszy, co implikuje różnicę w pojmowaniu ról męskich i kobiecych. Oprócz tego powoduje marginalizację kobiet samotnych, nie wspominając o sytuacji kobiet homoseksualnych. Wydaje się jednak, że w ostatnim czasie problematyka obecności osób samotnych (czyli osób niezamężnych) zostaje zauważona. Ciekawym przykładem takiego podejścia jest Szentszacki Związek Kobiet zrzeszający świeckie, samotne kobiety, których powołaniem jest praca zawodowa, za pomocą której mogą ewangelizować. Kluczową rolę odgrywa postać Maryi, która traktowana jest jako wzór stylu życia wśród członkiń organizacji, styl ten wyrażany jest przez trzy zasady: czystości, ubóstwa, posłuszeństwa. Związek ten jest interesującą mieszanką idei; z jednej strony istnieje w nim element emancypacyjny – powołaniem świeckiej kobiety może być nie tylko rodzina, ale także i praca zawodowa. Z drugiej strony Maria będąca wzorem do postępowania rozumiana jest w tych ściśle tradycyjnych kategoriach, o których wspominałam.

Kolejny wkład w budowanie nowego wizerunku kobiety w Kościele należy do papieża Jana Pawła II,

⁸ [Cyt. za:] D. Sawyer, op.cit.: 205

⁹ M. Bierca, *Mistyka typu ludowego. Kobieta pobożność maryjna w świetle teologii feministycznej*. [w:] *Kobiety i religie*. K. Leszczyńska i A. Kościńska [red.], Kraków 2006: 119

¹⁰ Korupcja dyskursu politycznego rozumiana przez Woodwartha jako przekroczenie dopuszczalnych granic funkcji ekspresyjnych w procesie komunikacji politycznej. Celem jest osiągnięcie i utrzymanie władzy politycznej.

¹¹ Autorką tego określenia jest Elżbieta Adamiak, polska teolożka feministyczna. E. Adamiak, *Milcząca obecność. O roli kobiety w Kościele*. Warszawa 2005

¹² Cyt za J. Makowski, *Kobiety uczą Kościół*. Warszawa 2007: 10

¹³ Cyt za: J. Makowski, op.cit.: 11

¹⁴ Ibidem: 11

¹⁵ Ł. Zych, *Kobieta w Kościele katolickim po Soborze Watykańskim II*. [w:] *Kobiety i religie*. K. Leszczyńska i A. Kościńska [red.], Kraków 2006: 42

który w roku 1988 pisze list apostolski *Mulieris dignitatem*. I znowu jest to tekst, który sprawia niemałe trudności. Jako podstawę teologiczną do konceptualizacji kobiet w Kościele Jan Paweł II przywołuje biblijną przypowieść o powstaniu człowieka, opierającą się na równości kobiety i mężczyzny wypływającej ze stworzenia ich na obraz i podobieństwo Boga. Mimo że list ten posiada egalitarny potencjał, został poddany krytyce. Teolożka feministyczna Elżbieta Adamiak zwraca uwagę: mimo że papież nie definiuje bezpośrednio pojęcia „kobieta”, z dokonanej przez niego analizy kobiecości wynika jej odmiennność od męskości. Odmienności ta oparta na zasadzie wzajemności i komplementarności sformułowana została na podstawie męskości (męskość uznawana jest więc za normę?). To poprzez męskość ocenia się to, co kobiece, przy czym „papież w swoim tekście nie wyodrębnia cech typowo męskich, a więc zakłada, że mężczyzna jest zrozumiały już przez sam fakt bycia mężczyzną”¹⁶.

Należy zaznaczyć, że papież w żaden sposób nie wartościuje inności kobiet od mężczyzn. Kładzie jednak nacisk przede wszystkim na rolę kobiety związaną z macierzyństwem i rodziną. Wspomina o „geniuszu kobiety” (na czym więc polega geniusz mężczyzn?), jej ogromnym i istotnym bogactwie oraz zasobach konkludując, że „na pewno nie są mniejsze od zasobów męskości – są tylko inne”.¹⁷ Koncepcja ta jest w swej istocie niejednoznaczna. Odnosi się wrażenie, że papież nie może jeszcze oprzeć się tradycyjnemu schematowi myślenia, rozumiejąc jednak potrzebę nowego sposobu myślenia na temat kobiety w Kościele.

Inny ważny dokument papieża z 1988 to *Christifideles laici*, który mówi o powołaniu świeckich w życiu Kościoła oraz określa ramy aktywności kobiet w Kościele na poziomie teologiczno-duszpasterskim (przykładowo, udział kobiet w soborze), na poziomie sądowiczym (kobiety mogą sprawować funkcję sędziego diecezjalnego) oraz na poziomie administracji kościelnej i ekonomii. Mimo zrównania tych funkcji dla kobiet i mężczyzn reprezentacja kobiet w kluczowych elementach struktury instytucjonalnej Kościoła jest znikoma, co ogranicza szanse artykulacji kobiecego doświadczenia.

Ciekawym przykładem jest kwestia związana z ministrantkami, które stanowią rzadkość w polskim Kościele. Istnieje powszechne przekonanie, które doskonale ilustruje wypowiedź pewnego księdza: „Zgodnie z zaleceniem Kościoła ministrantki powinny być wprowadzane tylko, gdy brakuje chłopców. – Nie jest to zabronione, ale środowisko ministranckie jest szczególnym miejscem wzrostu powołań kapłańskich, integracji oraz duchowej formacji chłopców. Pojawienie się dziewcząt powoduje spadek liczby chłopców chcących przystąpić do tak zaszczytnej posługi – wyjaśnia ks. Dariusz Gącik, rzecznik Kurii Diecezjalnej w Kielcach. – Dziewczyny mogą sypać kwiatki – uśmiecha się”¹⁸.

W roku 1995 Jan Paweł II pisze encyklikę *Evangelium Vitae*. Jej najważniejsze przesłanie to postulat budowy nowego feminizmu. „Kobiety mają stawać

się promotorkami nowego feminizmu, który nie ulega pokusie naśladowania modeli maskulinizmu, ale umie rozpoznać i wyrazić autentyczny geniusz kobiecy we wszystkich przejawach życia społecznego, działając na rzecz przewyciężenia wszelkich form dyskryminacji, przemocy i wyzysku”¹⁹.

W tym samym roku papież w *Liście do kobiet* pisze o odpowiedzialności Kościoła za ucisk i męską dominację nad kobietami. Jest to swoisty rachunek sumienia Kościoła, publicznie ogłoszony i – miejmy nadzieję – przyczynek do przyszłych głębokich (zapewnie powolnych) zmian w sferze roli kobiety w strukturze kościelnej. Nawiązując do swej encykliki z 1995 roku papież w 1996 wspomina o wpływie nowego feminizmu nie tylko na tożsamość kobiet, ale i mężczyzn. Uważam, że jest to bardzo ciekawy problem – opresyjna struktura seksualna dla kobiet była również w pewien sposób opresyjna dla mężczyzn. Jaki miało to wpływ na definiowanie męskiej tożsamości oraz funkcjonowanie mężczyzn we wspólnocie kościelnej?

Nowy feminizm

Nowy feminizm (katolicki) swe początki bierze ze wspomnianej już encykliki papieża *Evangelium Vitae* oraz innych jego tekstów. Główne myśli wynikające z tych prac to: akceptacja dla emancypacji kobiet, podkreślenie takiej samej godności kobiet i mężczyzn, postulat działań umożliwiających kobietom rozwiązywanie problemów związanych z dzisiejszym porządkiem społeczno-gospodarczym, podkreślenie takich samych talentów u kobiet i mężczyzn. Ta nowa koncepcja feminizmu otwarta jest dla wszystkich kobiet, bez względu na ich wyznanie. Swego uprawnomożnienia szuka poprzez odwołanie się do źródeł teologicznych i ich ponownej reinterpretacji (analogicznie jak w przypadku części feministek z krajów islamskich) oraz poprzez przywołanie znaczących kobiecych postaci historycznych w Kościele, przykładowo, takich jak św. Edyta Stein, św. Katarzyna ze Sieny czy też św. Jadwiga.

Ponieważ nowy feminizm nie posiada oficjalnego programu, aby przybliżyć jego główne cele posłużę się klasyfikacją dokonaną przez Małgorzatę Bilską: „1) Pogodzenie udanego życia rodzinnego z pracą zawodową, budowanie »kultury z matką i rodziny z ojcem«; 2) Dowartościowanie sfery ciała i seksualności, która jest bardzo istotnym elementem dobrej i trwałej relacji małżeńskiej; 3) Przełamywanie stereotypów dotyczących kobiet i mężczyzn. Niezależnie od różnic płciowych każdy człowiek jest konkretną indywidualnością. Aby osiągnąć pełnię i dojrzałość osobową, należy rozwijać swoje dyspozycje »kobiece i męskie« [...], zjednoczyć cechy natury męskiej i kobiecej; 4) Budowa nowej kultury. Postulat budowania kultury pokoju i szacunku, miłosierdzia i przebaczenia, gdzie godność osoby będzie realizowana, a nie tylko deklarowana”²⁰. Należy podkreślić, że nowy feminizm różni się w wielu kwestiach od feminizmu katolickiego lat 60, związanego z rozwojem teologii feministycznej, przykładowo w kwestii kapłaństwa kobiet, którego nie popiera. Reprezentantki tego nowego ruchu to między innymi Janne

¹⁶ J. Makowski, op.cit.: 13

¹⁷ [Cyt. za:] ibidem: 13

¹⁸ I. Boratyn, K. Losz. *Dziewczyny służą do mszy. Apostoł Ania*. [w:] <http://www.slowo.com.pl/?dod=11&id=4810>, [16.11.2008]

¹⁹ Cyt. za: J. Makowski, op.cit.: 16

²⁰ M. Bilska. *Nowy feminizm a założenia tradycyjnego ruchu feministycznego*. [w:] <http://www.ckid.pl/content/view/167/37/>, [17.11.2008]

Haaland Malary – była minister spraw zagranicznych Norwegii, Katrina J. Zeno z USA, Jutta Burggraf z Niemiec, w Polsce: Maria Rogaczewska czy też Joanna Petry Mroczkowska.

Sposób postrzegania nowego feminizmu łączy się często z wieloma kontrowersjami. Dla wielu jego zwolenników i zwolenniczek to jedyny, prawdziwy ruch walczący o prawa kobiet. Różnorodność wcześniejszych nurtów w feminizmie pozostaje niezauważona, sprowadza się je do jednego mianownika – ruchu antymęskiego i zarazem antykobiecego, którego głównym celem jest legalizacja aborcji oraz stworzenie z kobiety nowego, lepszego mężczyzny. Taki sposób myślenia wydaje się być szczególnie widoczny w Polsce. Ks. Marek Dziewiecki podczas sympozjum o kobietach i ich roli w Kościele na Uniwersytecie Kard. Stefana Wyszyńskiego w 2007 roku argumentuje to w ten sposób: „Każda forma feminizmu zakłada konflikt między kobietą a mężczyzną. W dominujących obecnie, skrajnych formach feminizmu nie jest promowana kobieta lecz rewolucja seksualna, antykoncepcja i aborcja, walka z małżeństwem i rodziną, a „ideałem” dla kobiet staje się naśladowanie zachowań i ról podejmowanych przez mężczyzn”. Co więcej, w swym przemówieniu stwierdza, że „prawdziwa promocja kobiety jest możliwa tylko w kontekście chrześcijańskiego personalizmu, który promuje integralny rozwój kobiety i mężczyzny jako osób stworzonych do miłości i odpowiedzialności i co więcej lewicowe ruchy feministyczne czynią wszystko, by sprawić wrażenie, że mają one monopol na promowanie kobiety i na zagwarantowanie jej ważnej roli oraz należnych jej praw w wymiarze społecznym i zawodowym”.²¹

Jednocześnie wśród części przedstawicieli i przedstawicieli feminizmu nie związanego z Kościołem katolickim możemy spotkać się z ostrą krytyką nowego feminizmu. Argumentacja jest podobna: nowy feminizm to próba zawłaszczenia przez Kościół dyskursu feministycznego w celu jego neutralizacji i działanie mające na celu podtrzymanie tradycyjnej hierarchii płci. Główny zarzut dotyczy „podejrzanej” genezy nowego feminizmu, czyli osoby Jana Pawła II, który jest mężczyzną stojącym na szczycie patriarchalnej organizacji. Uważam, że oba stanowiska są równie szkodliwe dla ruchu emancypacji kobiet. Nie wierzę w istnienie mitycznego porozumienia kobiet ponad wszelkimi barierami, lecz taka postawa wyklucza jakikolwiek dialog i próbę wzajemnego porozumienia. W dobie wszechobecnej różnorodności proklamowanie jedynej, słusznej koncepcji feminizmu jest zasadniczym błędem, który tak naprawdę powoduje osłabienie ruchu.

Patologiczna instytucjonalność

Tak przedstawiają się najważniejsze elementy procesu zmian w Kościele, a tempo tych przemian różni się w poszczególnych krajach w zależności od ich specyfiki. Warto też wspomnieć, iż sama reakcja Kościoła na ruch emancypacyjny kobiet była spóźniona. W Polsce debata na temat równego udziału kobiet i mężczyzn w Kościele (i w społeczeństwie w ogóle) rozpoczęła się tak naprawdę wraz z rokiem 1989. Jednak dyskusja ta toczy się przede wszystkim wśród intelektualistów

Kościół, na uczelniach, w środowiskach katolickich bardziej „liberalnych” (przykładowo środowisko związane z „Tygodnikiem Powszechnym”).

Czy debata ta ma zasadniczy wpływ na codzienne funkcjonowanie Kościoła, duchowieństwa i osób świeckich? Wydaje mi się, że odpowiedź na to pytanie udzieliłyby odpowiednie badania, lecz na podstawie ogólnych przesłanek możemy stwierdzić, iż wpływ ten jest znikomy lub powierzchowny. Przemiana ta wymagałaby nie tylko oświadczeń w sferze deklaratywnej, ale również podjęcia praktycznych działań dotyczących samego duchowieństwa (przykładowo, poprzez zmianę sposobu nauczania przyszłych księży w seminariach duchownych, ponowną redefinicję roli klasztorów zakonnych kobiet znacznie w swych prawach ograniczonych itp.) oraz osób świeckich.

Mimo nadanych praw, które umożliwiają kobietom większy udział w strukturach Kościoła, ich aktywność jest zdecydowanie mniejsza od aktywności mężczyzn. Wśród kobiecych organizacji katolickich jedyna, której głos przebija się od czasu do czasu w sferze publicznej to Polski Związek Kobiet Katolickich. Jest to jednak organizacja o tradycyjnym profilu, która wyemancypowanym katoliczkom nie za wiele może zaoferować. Kobieta w Polsce wyznania katolickiego mimo coraz powszechniejszego dyskursu równościowego, który pozostaje w głównej mierze w sferze deklaracji, a nie przenosi się w sferę działań, zmaga się nie tylko z problemami w życiu rodzinnym, zawodowym, ale również i religijnym. Postawa zgodna z nauką Kościoła wśród kobiet jest często tak naprawdę niemożliwa do realizacji, co udowadniają przeprowadzone badania²². Znikomy wpływ na nauczanie Kościoła w Polsce mają dokonania teologów feministycznych, z pewnością mogłyby one pomóc odnaleźć się młodym, wykształconym Polkom, dla których tradycyjne podziały męskie i żeńskie są archaizmem nieakceptowanym i niewykonalnym dla wielu w XXI wieku.

Trudność polega na tym, że wizja Kościoła dotycząca równości kobiet i mężczyzn jest nieskrystalizowana, co próbowałam udowodnić przytaczając najważniejsze dokumenty kościelne wypowiadające się w tej sprawie. Jak stwierdza Łukasz Zych „rozstrzygnięcie tego problemu jest trudne ze względu na pewne sprzeczności i różne interpretacje dokumentów soborowych dokonywane przez teologów i duchowieństwo. Sobór Watykański II pokazał nowy wymiar Kościoła katolickiego – okazało się, że Kościół nie jest monolitem, a odmienność poglądów w jego ramach jest potrzebna i do pewnego stopnia akceptowana”.²³ Problem tkwi według mnie głębiej, jego przyczyną jest masowość i patologiczna instytucjonalność (w sensie weberowskim) Kościoła katolickiego, z której wynika między innymi sztywna hierarchia, brak elastyczności, skupienie całej uwagi na przestrzeganiu procedur i zachowaniu trwałości, przez co zasadnicze cele nie pełnią już tak ważnej roli, a jakiegokolwiek wprowadzenie zmian napotyka ogromne trudności.

HELENA SZCZODRY

²¹ M. Dziewiecki „Feminizm katolicki” i rola kobiety w Kościele [w:] http://www.opoka.org.pl/biblioteka/TT/TS/md_femkat.html, [17.11.2008]

²² A. Odrzygóźdź, B. Sarnecka, *Katolicka młodość, katolicka dorosłość* [w:] *Kobiety i religie*. K. Leszczyńska i A. Kościńska [red.], Kraków 2006

²³ Ł. Zych, op.cit.: 46

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

Fidel Castro i Sowietci

O ile w pamiętnikach byłych prezydentów USA uwag na temat Fidela Castro nie brakuje, o tyle w pamiętnikach przywódców radzieckich, to znaczy w dwu czy trzech książkach, bo nie wszyscy następcy Chruszczowa pisali wspomnienia – nie było to przyjęte, uwag o Kubie tyle, co kot napłakał.

Zacznijmy od Nikity Chruszczowa, którego pamiętniki¹ przez długie lata uchodziły za apokryf napisany nie wiadomo przez kogo. Jednakże dziś już nie ma wątpliwości, że to Chruszczow je dyktował. Doszedł do władzy obalając mit Stalina i pozbywając się fizycznie Laurencjusza Berii. Ale wtedy Fidel nie wiedział jeszcze, że będzie partnerem radzieckiego przywódcy.

Spotkali się po raz pierwszy w Nowym Jorku. Było to podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, które obradowało w roku 1960 tuż po zestrzeleniu samolotu szpiegowskiego U-2 nad terytorium radzieckim. Delegacja radziecka z Chruszczowem, a także – z innych powodów – kubańska z Fidelem Castro doznały w USA bardzo złego przyjęcia. Właściciel hotelu, w którym zatrzymali się Kubańczycy wymówił im gościnę i wściekły Fidel zapowiadał, że rozbije namiot na trawniku. Rząd USA nie interweniował uważając, że decyzyja hotelarza to jego prywatna sprawa. Fidel wynajął zatem byle jaki hotel w murzyńskiej dzielnicy.

Kryzys raketowy (1962) zasłużył w pamiętnikach Chruszczowa na podrozdział. Był to dla Moskwy test na temat możliwości użycia przez nią broni jądrowej. Amerykanie traktowali ciągle jeszcze Kubę jak własne terytorium, wsparli inwazję kontrewolucjonistów (w Zatoce Świń), byli przekonani, że inwazja wywoła antycastrowskie powstanie i przeliczyli się. Fidel stawiał opór i przeprowadził błyskotliwą kontrofensywę, lecz tylko na własnym terytorium, co zajęło mu tylko trzy dni. Sowietci wiedzieli, że USA nie przełkną tej gorzkiej pigułki i że następną inwazję przygotowują profesjonalnie. Amerykanie – pisze Chruszczow – nie mogli znieść myśli o rewolucyjnej Kubie tuż u wybrzeży USA, a zwłaszcza o tym, że służy ona jako przykład dla innych krajów latynoamerykańskich. Obowiązkiem ZSRR było wsparcie Kuby, która nie produkowała własnej broni. Sowietci rozmieścili rakiety, dając tym do zrozumienia, że jeśli USA poprą inwazję antykubańską albo ją zorganizują, będą mieli do czynienia z atakiem jądrowym na swoje miasta.

Fidel Castro początkowo nie chciał rakiet. Rozmawiali z Chruszczowem długo, argumenty z obu stron były bardzo gorące, a rozmowy – gwałtowne. W końcu Fidel uległ. Nie myśleliśmy – pisze Chruszczow – o ataku na USA. Kuba była za daleko, łączności nie mieliśmy. Rakiety miały jedynie powstrzymać Amerykanów. Sytuacja zaogniła się jednak do tego stopnia, że Chruszczow musiał uciec się do tajnej dyplomacji i nawiązał kontakt z prezydentem Kennedym za pośrednictwem jego brata, Roberta. Zgodziliśmy się wycofać rakiety pod warunkiem, że USA zobowiążą się do rezygnacji z zamiarów atakowania Kuby. Kennedy obie-

cał przy okazji, że w zamian za wycofanie rakiet radzieckich wycofa swoje rakiety z Turcji i Włoch, co zdaniem Chruszczowa było pustym gestem, albowiem Amerykanie mieli tam rakiety przestarzałe.

Lekcja z kryzysu karaibskiego przekonała Chruszczowa do potrzeby budowania arsenału jądrowego i rakiet dalekiego zasięgu. Sowietki przywódca przyznaje, że wojna nie rozwiązała dylematu, które supermocarstwo jest potężniejsze. Wierzył, że Kennedy nie chciał wojny, a sam był przekonany, że świat socjalistyczny pokona kiedyś pokojowo systemy kapitalistyczne. Nie mógł wtedy wiedzieć, że będzie odwrotnie. Tylko jeszcze Fidel wierzy, że będzie to możliwe.

Wiedzę Chruszczowa, a właściwie naszą wiedzę przejętą od Chruszczowa uzupełnia Andriej Gromyko, który w dyplomacji sowieckiej zaczynał za Stalina, służył u Malenkowa, Chruszczowa, Breżniewa, Czernienki, Andropowa i poparł jako minister Michaiła Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego KPZR, za co został przewodniczącym Rady Najwyższej i urzędował na tym stanowisku aż do śmierci. O kryzysie raketowym ma do powiedzenia kilka banałów². W dyplomacji sowieckiej spędził 48 lat. Znał Kubę dobrze, bo w grudniu 1943 r. wręczał tam listy uwierzytelniające jako ambasador ZSRR. Wtedy właśnie Sowietci nawiązali z Kubą stosunki dyplomatyczne. (Na konferencji w Jaltie w 1945 widać go na fotografii z powitania Roosevelta i Churchilla. Stoi tuż za premierem Wielkiej Brytanii. Podczas konferencji siedzi przy okrągłym stole jako drugi przy Stalinie po jego lewej ręce. W Poczdamie odgrywał już niemal kluczową rolę. Fotografie przedstawiają go jako postać stojącą za Trumanem oraz na innej obok, lecz lekko z tyłu, za Trumanem i Stalinem).

W lutym 1957 Chruszczow awansował go na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Kiedy zaczął się kryzys kubański związany z inwazją w zatoce Świń, a potem z rozmieszczeniem na Kubie sowieckich rakiet, Gromyko miał możliwość rozmawiania z prezydentem Kennedym, od którego usłyszał, że rząd Fidela Castro nie „urządza” Stanów Zjednoczonych. Gromyko mówi w pamiętnikach, że przypomina sobie, jak po raz pierwszy spotkał Johna F. Kennedy’ego w roku 1945 na konferencji w San Francisco, gdzie powoływano ONZ. Kennedy był tam wtedy „specjalnym korespondentem”. Przyszły prezydent USA poprosił przyszłego szefa dyplomacji sowieckiej o wywiad. Rozmowa odbyła się w hotelu St. Francis, gdzie zatrzymała się delegacja radziecka. Gromyko pamięta, że Kennedy pytał o nową Kartę NZ i odniósł wrażenie, że dziennikarz miał poparcie Roosevelta, a przynajmniej jego akceptację. Bo oczywiście przyszły przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR będąc dyplomata, też musiał mieć poparcie szefa, czyli wtedy Stalina. Interesujące, że Gromyko pisząc pamiętniki wydane w roku 1984 myślał tak, jak gdyby wiedział, że książkę tę będzie czytał Stalin, od którego nadal zależy

¹ Khrushchev *Remembers. The Last Testament*. Translated and Edited by Strobe Talbott, Delhi 1975, Vikas Publishing House.

² Andrei Gromyko *Memories. From Stalin to Gorbachev*, London 1989, Arrow Books.

wszystko. Píše dalej, że następnym razem spotkali się w Białym Domu, kiedy Kennedy był już prezydentem USA. Wymienili grzeczności: Gromyko powiedział, że spostrzegł w nim nadzwyczajnego dziennikarza. Kennedy przyznał, że pamięta spotkanie z San Francisco, bo co innego miał powiedzieć?

Co do Fidela Castro, píše Gromyko, że człowiek ten stał się legendą za życia, że jest człowiekiem wielkiego umysłu, serca i ducha, co może powiedzieć po wielu z nim spotkaniach w Moskwie i w Hawanie. Zwraca uwagę na pasję sportowe Fidela i przypomina anegdotę o Che Guevarze, jak został prezesem Banku Narodowego Kuby. Fidel rozdając stanowiska zapytał kolegów, kto jest ekonomistą. Ernesto krzyknął „ja” mając wrażenie, że Fidel pyta, kto jest komunistą. Taką mamy wersję Gromyki, który najwyraźniej bardzo z niej był zadowolony. Spotkali się z Guevarą na sesji Zgromadzenia Ogólnego w 1964 roku. Che powiedział wtedy, że wyjeżdża z Kuby do odległego kraju, aby wspierać toczącą się tam walkę o godne życie i wolność. Gromyko dodaje, że Che zginął w Boliwii w 1967. I to wszystko o Fidela u Gromyki!

Może trochę wesprze Gromykę jego prawa ręka w USA, ambasador Anatolij Dobrynin?³ Owszem, w jego pamiętnikach znajdziemy cały rozdział o kryzysie kubańskim. Był to zdaniem Dobrynina najdramatyczniejszy moment w jego 25-letniej misji ambasadorskiej w Waszyngtonie. A zarazem, czy przede wszystkim najdramatyczniejszy moment zimnej wojny. Po nieudanej inwazji w Zatoce Świń, USA zdołały wyrzucić Kubę z Organizacji Państw Amerykańskich i – według Dobrynina – przygotowały plan Mangusta mający na celu obalenie Fidela. Zarazem okręty i samoloty amerykańskie patrołowały Zatokę Meksykańską i Morze Karaibskie. TASS ogłosił w sierpniu 1962 r. oświadczenie, że „tym razem nikt nie zaatakuję Kuby licząc na bezkarność”. Dobrynin nie wiedział wtedy, że pięć miesięcy wcześniej „nasz rząd” zawarł tajne porozumienie z Fidelem Castro. Ale szef KGB w ambasadzie sowieckiej na Kubie, Aleksander Aleksiejew wiedział, bo to on „załatwiał sprawę”.

Chruszczow powiedział o decyzji w sprawie rozmieszczenia rakiet na Kubie, wątpliwościach Fidela i o koncepcji przekonania go, że jest to w obronie rewolucji kubańskiej. Ten pasus wspomnień Dobrynina świadczy o tym, że rakiety zostały rozmieszczone w zamiarach ofensywnych i że z Kubą miały tylko tyle wspólnego, iż miały stacjonować na jej terytorium. Castro na decyzję Chruszczowa zareagował spokojnie i powiedział, że jeśli rakiety radzieckie potrzebne są na Kubie z powodu interesów bloku socjalistycznego, to Kuba stanie na pierwszej linii walki z imperializmem.

Dwie rakiety miały moc megatonową, pozostałe były podobne do tych, które Amerykanie rzucili na Hiroszimę. Kubańczycy nie mieli do nich żadnego dostępu. Kennedy nie lekceważył ekspansji radzieckiej na Karaibach, ale znacznie bardziej obawiał się konfliktu wokół Berlina. Co się tyczy Kuby, myślał, że należy postępować tak, aby utrzymanie Fidela Castro było dla Moskwy możliwie najkosztowniejsze. W połowie października Amerykanie sfotografowali rakiety. Nie wiedzieli jeszcze, że są wyposażone w głowice atomowe. Nadchodził najtrudniejszy do przezwyciężenia kryzys okresu zimnej wojny, tym trudniejszy dla Dobrynina, że „kanałem” prywatnym Chruszczowa z Robertem Kennedym

był szef biura TASS, Georgi Bolszakow i że Dobrynin jako ambasador był okłamywany przez swoje własne władze, przede wszystkim przez Gromykę.

J.F. Kennedy rozpoczął konsultacje z liderami europejskimi zaczynając od de Gaulle’a. Chruszczow nigdy nie dowiedział się – nad czym ubolewa we wspomnieniach – jakie stanowisko wobec kryzysu zajął prezydent Francji. Kiedy po spotkaniu Kennedy’ego z Gromyką i Dobryninem obydwaj odnieśli wrażenie, że USA zachowują się pojednawczo, Dean Rusk wezwał Dobrynina i uprzedził, że prezydent zapowie blokadę Kuby, co sprawi, że żadna broń ofensywna na wyspę nie dotrze. Gromyko się przeliczył, a co ważniejsze – przeliczył się Chruszczow. Gdyby zapytali ambasadę – twierdzi Dobrynin – zostaliby o reakcji USA uprzedzeni. Ale oni woleli polegać na informacjach od Fidela Castro, który był przygotowany na awanturę, a chciał ją poprzedzić i usprawiedliwić umową dwustronną, podczas gdy Chruszczow wolał działać skrycie. Z tej przyczyny ocenił zamiary Kennedy’ego jako niedopuszczalną ingerencję w sprawy wewnętrzne Kuby! McNamara odpowiedział na to, że okręty USA zatopią każdy okręt czy statek sowiecki, który nie podda się rygorom blokady.

Awantura kubańska – o czym Fidel nie myślał – dawała Kennedy’emu możliwość rozpoczęcia operacji w Berlinie. Operacji o nieobliczalnych skutkach. Dobrynin nie otrzymał z Moskwy żadnej instrukcji w sprawie „kwarantanny”, czyli pierwszych godzin blokady. Nie otrzymał nawet żadnej informacji. 22 października Oleg Pieńkowski, agent CIA nadał z Moskwy sygnał telefoniczny o niebezpieczeństwie natychmiastowego ataku ZSRR na USA. Robert Kennedy z furją wpadł do ambasadora Dobrynina, żeby go zbluzgać od ostatnich, bo Amerykanie już wiedzieli, co to za „defensywne” rakiety stoją na Kubie. Zwymyślał go od kłamców, kłamcami nazwał też Gromykę i Chruszczowa. – Kennedy negocjujący z kłamcami staje się pośmiewiskiem! – krzyczał brat prezydenta. Dobrynin píše, że potok słów wykrzyczanych przez Roberta był absolutnie niepublikowalny. „Jakie pan ma instrukcje i jakie instrukcje otrzymali kapitanowie okrętów?” zapytał na koniec nieco spokojniej R. Kennedy. „Nie mam żadnych instrukcji – odpowiedział Dobrynin – a kapitanowie nie dopuszczają do żadnej kontroli amerykańskiej na swoich pokładach”. Kennedy odrzekł, że przeprowadzą kontrolę siłą. „To będzie akt wojny” – powiedział Dobrynin i wtedy R. Kennedy wyszedł, wzruszając ramionami.

Spotykali się codziennie w czasie kryzysu, nocami, Moskwa dalej milczała. Chruszczow był tak oglupiały, że Gromyko nie wiedział, co robić. Dobrynin sprawdzał potem, kiedy już mógł, za Gorbaczowa, co zachowało się w archiwum. Nic się nie zachowało – Gromyko wyczyścił wszystko. Na kolejne zapytania R. Kennedy’ego adresowane do Chruszczowa w sprawie instrukcji dla kapitanów okrętów, Moskwa odpowiedziała, że piractwo USA zaprowadzi ludzkość na krawędź raketowej wojny jądrowej.

24 październik był najgorszym dniem kryzysu i najcięższym w całej karierze dyplomatycznej Dobrynina. Kapitanowie otrzymali tajne instrukcje z Moskwy, aby nie zbliżać się do linii „kwarantanny”. Dobrynin o tym nie wiedział. Zanosilo się na bombardowanie silosów budowanych ciągle na Kubie. Dobrynin ocenił tę informację jako bluff, lecz jednocześnie ostrzegał, że bombardowanie jest możliwe, jeśli bluff nie wywrze wpływu na Moskwę i nie złagodzi jej stanowiska. W niektórych stanach amerykańskich otwierano schrony przeciwatomowe i rozdzielano żywność na wypadek wojny. 26 października nadeszły informacje, że

³ Anatolij Dobrynin *In Confidence*, Random House, New York 1995.

na Kubie rakiety postawiono w stan gotowości. Amerykanie odpowiedzieli, że zmusza ich to do zastosowania środków radykalniejszych niż samo bombardowanie wyrzutni.

Bolszakow przekazał wtedy Robertowi Kennedy'emu ustne przesłanie od Mikojana, że na Kubie nie ma rakiet zdolnych osiągnąć terytoriów amerykańskich. Przesłanie to świadczy o kryzysie w samej Moskwie, która zaczynała gonić w piętkę. Po pierwsze, wiadomość była kłamiwa. Po wtóre, pochodziła od Mikojana, co mogło sugerować, że władza wymyka się z rąk Chruszczowa. Dopiero wtedy, w piątek 26 października Fidel przyjechał do ambasady ZSRR w Hawanie i został tam na noc. Był sfrustrowany brakiem sygnałów o wychodzeniu z kryzysu w jedną czy drugą stronę. Fidel założył, że dojdzie do bombardowania Kuby. Zaproponował ambasadorowi radzieckiemu, aby przeniósł się razem z nim do bunkra dowodzenia pod Hawanę. Wysłał telegram do Chruszczowa oferując przyjęcie ataku USA na Kubę w zamian za atomowy atak ZSRR na Stany Zjednoczone.

Szyfrogram potwierdził rosnące przekonanie o tym, że należało postąpić odwrotnie. Chruszczow uznał konieczność uniknięcia konfliktu. Głos Fidela dotarł do Chruszczowa w sobotę, a postanowienie powzięte zostało w piątek. Premier ZSRR wręczył ambasadzie USA list, w którym stwierdził, że wojna jest obustronnym samobójstwem i że należy różnice usunąć w drodze negocjacji. Jeśli USA na zawsze wyrzekną się myśli o ataku na Kubę, wtedy ustaną powody dla obecności sił rakietowych na wyspie. Dodał jeszcze dla ratowania twarzy, że Kennedy powinien w zamian usunąć rakiety z Turcji. Robert Kennedy był gotów zaakceptować taką „wymianę” rakiet. Tymczasem okazało się, że demontaż rakiet w Turcji zależy od decyzji NATO, a nie USA, wobec tego wyznaczono daty bombardowania Kuby na 29 i 30 października, chyba że do 28 tego miesiąca USA otrzymają zapewnienie Chruszczowa, że rakiety zostaną z Kuby zabrane. Dobrynin otrzymał od Gromyki szyfrogram na czas: „propozycje Roberta K. przyjęto w Moskwie z uznaniem”. Znaczyło to, że niebezpieczeństwo natychmiastowego wybuchu wojny na razie zniknęło. Postanowiono zarazem, że kwestia rakiet w Turcji pozostanie w głębokiej tajemnicy, dopóki prezydent Kennedy się z nią nie upora.

Z pamiętników Dobrynina wynika, że Castro nie był konsultowany ani w trakcie kryzysu, ani po nim w żadnej sprawie, która dotyczyła rakiet. Kryzys sprawił, że Amerykanie znienawidzili Fidela i zarazem że w Białym Domu zabrakło ochoty i woli, i to na długie lata, aby się go pozbyć. Następne lata Fidela nie są już z punktu widzenia Dobrynina interesujące. Interwencję w Angoli komentuje z niechęcią jako sposób grania przez Kubańczyka roli światowej. Zapewnia, że ZSRR nigdy nie używało wojsk kubańskich w kraju trzecim. Wspomina jeszcze o wspólnej inicjatywie Podgornego i Fidela, która miałaby po obaleniu Hajlego Selasie w Etiopii stworzyć front krajów lewicujących, sprzyjających pułkownikowi Mengistu – Somali i Jemenu Południowego. Nie powiodło się to z powodu Ogadenu i zmiany frontu na antyradziecki w Mogadiszu.

Prezydent Carter zwrócił się do Fidela z propozycją tajnych rozmów o normalizacji, pod warunkiem, że Kubańczycy zaprzestaną działalności w rogu Afryki, na co Fidel udzielił dwu odpowiedzi, że Kubańczycy nie przekroczą tam granicy z Somalią i że Kuba nie opuści ruchów rewolucyjnych w potrzebie. To prawie wszystko. O innych sprawach kubańsko-sowieckich szukać musimy informacji poza Dobryninem.

Tad Szulz pisze o nich sporo⁴. Po kryzysie rakietowym stosunki popsły się tak bardzo, że Chruszczow postanowił naprawić je u siebie. Była wiosna 1963 r. Fidel został zaproszony z 40-dniową wizytą przyjaźni w ZSRR. Takie długie wizyty potrafił składać tylko on. Lądował tupolewem 114 w Murmańsku w mlecznej mgle. Samolot miał kiepskie przyrządy, a lotnisko żadnych. Udało się. Pokazywali mu, co chcieli, dali mówić do tłumów, ile chciał, przyznali tytuł Bohatera Związku Radzieckiego i dali przyjmować paradę 1-majową w Moskwie. Rozmawiał na daczach z Chruszczowem i żartował z Breżniewem, który odsunął Chruszczowa w rok później. Żaden gość tej rangi nie był przyjmowany w ZSRR z podobną pompą. Zażądał pomocy i niezależności, i to mu obiecano. Uznał „Prawdę” za najlepsze pismo na świecie.

Wrócił zachwycony. Rok później ZSRR kupił kubański cukier zamawiając dostawy na 5 lat z góry. Kiedy prezydent Dorticos (figurant) składał wizytę w Moskwie, Breżniew obalił Chruszczowa. Fidela interesowało tylko to, czy polityka wsparcia Kuby zostanie przez ZSRR podtrzymana. Guevera natomiast złożył tam, jak się okazało ostatnią swoją wizytę (1964 r.) i po powrocie wyrażał przekonanie, że ZSRR wycofuje się z koncepcji solidarności z rewolucji światowej. Spowodowało to jego konflikt z Fidelem.

Fidel pospieszył z gratulacjami dla Breżniewa, ale następną wizytę złożył w Moskwie dopiero po ośmiu latach, przekazując kontakty z ZSRR w ręce Raula Castro, który zsowietyzował Kubę przez ten czas w sposób niemal doskonały. Kiedy Breżniew zwołał do Bukaresztu w 1968 roku liderów partii komunistycznych na konferencję w sprawie rozłamu z KPCh i ChRL, Fidel odmówił udziału. Ale zaraz potem poparł interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji tłumacząc, że jeśli imperializm wyrwie ze świata socjalizmu Czechosłowację, to wyrwie i Kubę.

Bardzo poważny niepokój obudziły w Fidelu reformy Gorbaczowa, który nastąpił po gerontokratach i rozpoczął proces oceny okresu zastoju, czyli czasów Breżniewa. Było jasne, że stosunki ekonomiczne z partnerami zagranicznymi zostaną dostosowane do wymogów gospodarki, której wtedy jeszcze (czyli w 1986 r., kiedy Gorbaczow chciał przebudować RWPG) nie można było nazwać rynkową. Dla Angoli, Mozambiku i Kuby postanowiono opracować specjalny program preferencyjny, nie mogły one bowiem za surowce z ZSRR dostarczać Sovietom produktów wysokiej, a przynajmniej wyższej technologii.

Kuba w ogóle nie zajmowała Gorbaczowa, o czym świadczy fakt, że radziecki przywódca odwołał wizytę w Hawanie z powodu trzęsienia ziemi w Armenii. W pamiętnikach wspomina ją jeszcze raz jako miejsce, z którego wracał i zatrzymał się w Londynie na rozmowę z panią Thatcher. Co robił na Kubie, z kim i o czym rozmawiał – ani słowa. Dla Fidela nie był on bohaterem romansu, dlatego informacje o „pierestrojce” i „głasności” były dozwolane, prasa radziecka przestała być na Kubie dystrybuowana, a sam Fidel powiedział przed kamerą wysłanników TVP, że zmiany w ZSRR i Europie Wschodniej są niszczące jak huragan, ale umacniają rewolucyjnego ducha. Ten duch został w Fidelu umocniony i zabetonowany do tego stopnia, że Fidel powtarza jak mantrę frazy o niezatapialności lotniskowca socjalizmu.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

⁴ Tad Szulz *Fidel. A critical Portrait*, New York 1986, s.653-656,

ANDRZEJ KURZ

MIECZYSŁAW RAKOWSKI.

SPOTKANIE TRWAŁO 60 LAT

Zdarzało mi się, jeszcze do niedawna, chodzić z Mieczysławem Rakowskim po krakowskich ulicach czy jeździć krakowskim tramwajem. Ze wzruszeniem obserwowałem jak spotykały go życzliwe słowa, uśmiechy i gesty przypadkowych przechodniów. Dziś wielu mi mówi: patrz, tak godnie go żegnali. Rzeczywiście, nawet media, poza niezręcznościami w najmniej oczekiwanym miejscu, tzn. w TVN 24 (ze strony starożytności dziennikarza uciekającego przed własnym cieniem i młodego – nie potrafiącego ukryć kompletnej niewiedzy i niedostatków w kulturze, a zwracającego się o opinię o zmarłym do człowieka chorego na nienawiść) zachowały się po jego śmierci w miarę przyzwoicie.

Jestem pewien, że z upływem czasu postać Rakowskiego będzie jeszcze rosła w oczach potomnych. Już zajął miejsce wśród najwybitniejszych Polaków minionego półwiecza, tych, których życie było służbą obywatelską. A także symbolem epoki. Był bowiem synem polskiego ludu i reprezentował to, co w ludziach najlepsze, a starał się przezwyciężyć to, co w masach najgorsze.

Wyrósł w rodzinie świątłego poznańskiego chłopca. Takiego, który jako żołnierz pruskiego, a potem polskiego wojska poznał Europę i nie lękając się świata poza własną miedzą stał się w środowisku człowiekiem szanowanym i wpływowym. Dlatego właśnie został w pierwszych dniach okupacji przez Niemców zamordowany. Kilkunastoletni Mieczysław stał się najniższym w hierarchii, bo polskim robotnikiem w Reichu. Natychmiast po wyzwoleniu, które było też jego osobistym wyzwoleniem od upokorzenia i śmiertelnego zagrożenia, wstąpił do polskiego wojska, aby być jego oficerem.

W moim krakowskim liceum Nowodworskiego, w którym – chłopcy z dobrych domów – robiliśmy normalną maturę w r. 1950 i wyśmiewaliśmy się z tych, co to „nie matura, lecz chęć szczerą”, Rakowski w tym samym czasie, upartym wysiłkiem nadrabiając stracone lata nauki, zdawał jako oficer eksternistyczny egzamin dojrzałości. Kiedy w 1999 r. zwiedzaliśmy pieczętówicę ze środków powołanego w 1985 r. Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa odnawiany budynek i wnętrza Liceum Nowodworskiego, z pewnym zdu-

mieniem stwierdziliśmy, że pierwszy raz spotkaliśmy się tu właśnie, na korytarzu wysokiego parteru, w 1949 r.

Wkrótce po maturze znalazł się na studiach aspi-ranckich w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR, sławnej intelektualnej kuźni pretorian nowego systemu, kierowanej przez Adama Schaffa. Na początku lat 50. zgromadziła ona najzdolniejszych spośród zwolenników Polski Ludowej i socjalistycznych wizji, a pozbawionych możliwości nauki w czasie wojny. Że dobierano w niej rzeczywiście wybitnie utalentowanych, świadczą nazwiska tych, którzy równocześnie z Rakowskim studiowali i doktoryzowali się, m.in.: Jerzego Topolskiego, Czesława Madajczyka czy Andrzeja Werblana wśród – jak Rakowski – historyków, Włodzimierza Brusa, Kazimierza Łaskiego, Stanisława Kuzińskiego czy Mieczysława Jagielskiego wśród ekonomistów, Sylwestra Zawadzkiego wśród prawników, a przede wszystkim Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczki, Romana Zimmandy czy Jerzego Szackiego wśród stanowiących „stajnię Schaffa” filozofów i socjologów. Sam zostałem skierowany przez Werblana na tę uczelnię w 1955 roku, wówczas już zwaną zwyczajnie Instytutem Nauk Społecznych, jako najmłodszy, który już nie musiał nadrabiać szkolnych, wojennych zapóźnień i przyszedł jako regularny, uniwersytecki magister. Mój rocznik był ostatnim zamykającym w 1958 r. działalność tej placówki. Chyba połowa jej absolwentów poszła w najprawdziwsze profesory, zaś większość zasiłała szeregi „rewizjonistów”, z czasem ostrych opozycjonistów w partii i poza nią.

Rakowski od początku interesował się naukowo historyczną i współczesną problematyką niemiecką i międzynarodową, zrobił magisterium i napisał w terminie ciekawy doktorat o niemieckiej socjaldemokracji. Został jako młodzieniec szczególnie politycznie bystry, zaangażowany dla wzmocnienia Biura Prasy KC przez jednego z najwybitniejszych intelektualnie działaczy PZPR, niewątpliwego Europejczyka chronionego pod skrzydłami Władysława Gomułki i używanego do zadań wymagających mózgowej zręczności – Artura Starewicza. I to Starewicz, wraz z podobnie jak on wykorzystywanym politykiem – Werblanem zdecydowali o skierowaniu młodego Rakowskiego do nowo powstałego tygodnika „Polityka”, w którym po krótkim czasie został naczelnym redaktorem.

To, co Rakowski zrobił w „Polityce” i z „Polityką” w latach 1958-1981 i dzięki czemu stał się tym, kim był w ciągu redaktorskiego ćwierć wieku, jest przedmiotem zainteresowania, zdumienia i podziwu w świecie, a i w Polsce, gdzie o obiektywną ocenę znacznie dzisiaj (zresztą także wczoraj) trudniej. Stworzył zespół autorski i pismo, które Polaków (a czytało je co tydzień ponad milion ludzi kilku pokoleń – od urodzonych jeszcze w XIX w. do tych, którzy światło dzienne ujrzały w latach 60. XX w.) otwierało na świat i na trwałe wartości wiedzy, demokracji i socjalizmu, dziś powiedzielibyśmy raczej socjaldemokratyzmu (nie nazywaliśmy tego wówczas w ten sposób, bo pojęcie nie było dobrze widziane w obozie, do którego Polska siłą geopolityki przynależała). Tworzyli oni polską drogę do socjalizmu – system wartości programowych, określonych na początku Polski Ludowej przez Juliana Hochfelda i Jana Strzeleckiego, a w znacznym stopniu wyznawanych przez W. Gomułkę.

Rakowski sam na łamach „Polityki” nie występował za często, ale za to w sprawach decydujących, wyznaczających charakter i skalę wartości pisma. Nie był też pisarskim stylistą, choć zaskakiwał wiedzą i dobrym smakiem. Ale potrafił przyciągać i dobierał do zespołu najlepszych specjalistów, nie tylko dziennikarzy i publicystów, lecz i ludzi pióra, którym nieobca była kreacja artystyczna i naukowa. A przede wszystkim – w ciągłej z nimi dyskusji, a nieraz i ostrej polemice – dawał im pole twórczości i bardzo lojalnie i przyjaźnie, narażając własny los roztaczał nad nimi parasol ochronny.

W gronie stałych współpracowników „Polityki” znalazło się i dwóch wybitnych absolwentów Instytutu Nauk Społecznych – Michał Radgowski i Jerzy Kleer, ale przede wszystkim cała czołówka polskiego dziennikarstwa z pisarzami tej miary co Hanna Krall i Ryszard Kapuściński oraz publicystami światowej klasy, o objętości intelektualnej Daniela Passenta, Krzysztofa Teodora Toeplitza czy Jerzego Urbana i wielu, wielu innych. I, co może najważniejsze, nie było w Polsce uczonego czy wielkiego twórcy, który nie napisałby do „Polityki”, albo nie udzielił jej najpoważniejszego, najgłębszego na jaki go stać, wywiadu. Wokół pisma i jego naczelnego redaktora krążyli liczni luminarze polskiej kultury i nauki obarczając go nieraz swymi kłopotami z władzą. Nie wszyscy potem pamiętali, co Rakowskiemu zawdzięczają, ale on tym się nie zamartwiał. Cieszyło go każde działanie pozytywne. Jego ogromna ambicja nie pozbawiła go radości życia. Że nił się dwa razy – z kobietami niezwykle, wielkiego talentu, mądrości i urody, bardzo z nim związanymi; otaczał go wieniec pań wielce interesujących, twórczych i oddanych – kto ciekaw i dociekliwy może znaleźć ich ślady w *Dziennikach*.

Nikt z ludzi drugiej połowy XX w. nie zdokumentował tak – poprzez zapiski z wydarzeń swojego życia – prawdziwie dziejów Polski Ludowej, jak zrobił to Rakowski w 10 tomach niemal codziennych notatek i refleksji. Podejmując ich pisanie, był oczywiście świadom swojej wartości i swego marzenia o wpływie na władzę w Polsce. Nie dostrzegam jednak w *Dziennikach*, mimo naturalnego w takich dokumentach i zrozumiałego egocentryzmu, nadmiaru zarozumiałstwa, a już zupełnie zawiści.

Instynkt polityczny podpowiadał Rakowskiemu gdzie jest w „Polityce” granica otwarcia na Zachód, której w zmieniającej się sytuacji nie wolno przekroczyć, a silny kościół moralny nie pozwalał mu dotknąć granicy świństwa, także populistycznej demagogii i narodowego samodurstwa, choćby do tego nakłaniał go trzymający władzę.

Rzecz jednak w tym, że Rakowski chciał nie tylko robić tygodnik dla milionowej rzeszy czytelników żadnych myślenia obywatelskiego i do niego skłonnych, lecz – jak się już rzekło – pełen był woli i ambicji kształtowania państwa i władzy, czynnego i osobistego w niej uczestnictwa i zajmowania wysokich pozycji. Dążył do tego szczerze i uczciwie (co w polityce nie bywa ani częste, ani doraźnie skuteczne), ponieważ uważał się za dobrego kandydata, można rzec – wzorcowego obywatela Polski Ludowej. To była jego Polska i chciał, żeby była najlepsza z możliwych. Dlatego budził szacunek u tych we władzy, którzy rozumiejąc

konieczności wynikające z geopolityki i z polskiej racji stanu, a także z orientacji na interesy i losy warstw plebejskich, szukali dróg rozwoju nakierowanych ku postępowi cywilizacyjnemu i modernizacji Polski, ku otwarciu w tej mierze na Zachód. Rakowski był synem ludu, ale takim, który stał się pełnowartościowym inteligentem, co więcej – intelektualistą, przyjacielem twórców. A tych plebejscy demagodzy i politycy plebem manipulujący w Związku Radzieckim i Europie Środkowo-Wschodniej uważali za substytut wrogów klasowych, zgadzając się, aby rolę elity intelektualnej pełnili co najwyżej wykwalifikowani technokraci.

Stąd z jednej strony sentyment Gomułki i Gierka do Rakowskiego, jako autentycznego dziecka wsi i młodego robotnika, a także podziw dla jego odwagi intelektualnej i moralnej oraz braku kompleksów wobec jajogłowych i „zachodnich mędrków”, z drugiej zaś nieufność, że utożsamia się ze swoimi – przez siebie dobranym otoczeniem rewizjonistów i kosmopolitów. A co najważniejsze – milczące uznanie władców dla reprezentowanej przez Rakowskiego godności narodowej, a równocześnie wieczny kłopot z powodu jawnej nienawiści okazywanej Rakowskiemu i „Polityce” przez większość (poza Janosem Kadarem) przywódców krajów radzieckiego obozu. Ale także ci, którzy w odróżnieniu od Gomułki i Józefa Cyrankiewicza, mieli bardzo ciężkie osobiste doświadczenia sporej liczby lat przeżytych w obozach i na zesłaniach w Związku Radzieckim, traktowali odwagę Rakowskiego z podziwem i lękiem. On zaś rzeczywiście nie obciążony ani cieniem budzącego strach doświadczenia życia w Związku Radzieckim, a też niezbyt często tam zapraszany z oficjalnymi wizytami, podtrzymywał i Gomułkę i Gierka w ich pragmatycznej polityce, i dawał do niej własny upór w promowaniu nowoczesności, praworządności i związanych z prawami człowieka zasad ustrojowych. A był tymi zasadami i ich moralnym wymiarem przejęty do głębi, najbardziej jak można, osobiście.

Uznał więc, że funkcja naczelnego redaktora „Polityki”, którą uczynił najważniejszym forum życia publicznego Polski, daje mu prawo, ale i nakłada obowiązek bezpośredniego komunikowania się z tymi, którzy w sposób decydujący wpływają na najważniejsze rozstrzygnięcia polityczne i społeczno-gospodarcze w kraju – a więc z I sekretarzami KC PZPR, którzy sami, z własnej inicjatywy nader rzadko pytali go o opinię. Sposobem Rakowskiego było pisanie do nich w sprawach, które były rzeczywistymi dylematami władzy, długich listów, w których analizował trudne problemy Polski na tle europejskim i starał się dawać racjonalną prognozę.

Jego opinie, odważne w swym krytycyzmie i pesymizmie, wywoływały odruchy niechęci, ale i zainteresowania. Budowały też pewien rodzaj uznania dla ich trafności, a przy zaufaniu do uczciwości intencji autora uniezależniały Rakowskiego od ciągłych intryg niechętnego mu dworu, otaczającego władców. Charakterystyczne, że lubili go i wspierali długoletni premierzy rządu – cieszył się niewątpliwą i trwałą przyjaźnią Cyrankiewicza oraz życzliwością Piotra Jaroszewicza. Zainteresowanie w kręgach władzy budziły też jego obszerne analizy historycznych i współczesnych sprzeczności rozwojowych krajów tzw. demokra-

cji ludowej. (Korzystałem z tych opracowań przez 25 lat w swoich wykładach z historii najnowszej.) Pisanie było zresztą dla Mieczysława Rakowskiego absolutnym nawykiem. Odpowiadał na każdy list, a otrzymywał ich corocznie kilkaset.

Paternalistyczny stosunek Gomułki i Gierka do tego cudownego dziecka polskiego ludu ratował Rakowskiego i „Politykę” w kilku sytuacjach krytycznych, kiedy odważnie przeciwstawiał się neostalinowcom. I stał się chyba nawet człowiekiem, który dodawał władcy blasku. A zwłaszcza pozwalał władcy zamianować swą niezależność od ciągłych nacisków płynących od przywódców Związku Radzieckiego i innych krajów bloku, aby tego niebezpiecznego rewizjonistę i przemytnika zachodnich idei pozbyć się radykalnie. Przecież jeszcze w 1986 roku, na X Zjeździe PZPR Michaił Gorbaczow pytał Jaruzelskiego, co Rakowski robi w Komitecie Centralnym i z Rakowskim ani razu się nie przywitał. (Ale przystał na tym samym zjeździe na rozmowę z Rakowskim Eduarda Szewardnadze, a już niedługo potem traktował Rakowskiego oficjalnie jak największego przyjaciela pierestrojki. To stało się jedną z satysfakcji i osobistych zwycięstw Rakowskiego jako polityka.)

I jakkolwiek Rakowski za największe swe dzieło uważał „Politykę” i jej wpływ na europejskie szanse Polski i Polaków, i jakkolwiek ostatnie dwudziestolecie swego życia poświęcił także na budowanie znakomitego, ale przecież niszowego pisma-miesięcznika „Dziś”, to największą jego pasją była władza w Polsce, wpływanie na nią i jej sprawowanie. Ale nie tylko dlatego, że dawało mu to największą satysfakcję osobistą. Nie. Najważniejsze było przekonanie, że to jest najbardziej skuteczne narzędzie modernizowania Polski i popychania Polaków ku światłości i dobrobytowi, ku szczęściu, które przez całe życie jawiło mu się w socjalistycznej, na wzór socjalizmu europejskiego, postaci.

Dlatego kluczem do jego myśli i czynów było stałe zwracanie się ku polskiej racji stanu i zamienianie jej rozumienia na zdecydowane działania obywatelskie. A to rozumienie było bliskie historiozofii Gomułki, Gierka czy, o współczesny (ale nie ówczesny) paradoksie, historiozofii prymasa Stefana Wyszyńskiego. W tym właśnie rozumieniu geopolityczne położenie Polski było żelazną determinantą, która zmieniła się nieco dopiero wraz z Gorbaczowską pierestrojką. A stopniowe, odpowiedzialne otwieranie Polski na Zachód, czyli przede wszystkim na Niemcy, było jednym z największych zadań, w którym Rakowski uczestniczył niezwykle czynnie jako dyskretny pomocnik Gomułki i Gierka, współdziałając z takimi wielkimi obywatelami jak Stanisław Stomma, Mieczysław Pszon, a także kilku polskich dyplomatów zawodowych.

Jednak dopiero Jaruzelski zdecydował się powierzyć Rakowskiemu oficjalne, rządowe stanowisko wicepremiera, swego zastępcy. Nie odważył się jednak powołać go do Biura Politycznego KC, obawiając się sprzeciwu twardogłowych, z którymi grał swą grę, i oburzenia radzieckich, dla których Rakowski i „Polityka” były płachtą na byka. Jednak w swej politycznej kalkulacji uznał, że jest mu Rakowski, m.in. autor fundamentalnego dla stosunku władzy do „Solidarności” artykułu ze stycznia 1981 r. pt. *Szanuj-*

my partnera, potrzebny do rozmów z „Solidarnością” i z całym społeczeństwem, a może także do rozmów z samym sobą.

I prowadził Rakowski te trudne rozmowy, rozładowywał sytuację na skraju katastrofy naprawiając błędy twardogłowych we władzy i całej władzy, i odwołując „Solidarność” od skrajnej nieodpowiedzialności oraz wpadania w rewolucyjny amok. Narażał się jednym i drugim, ponieważ nie chciał rezygnować z pryncypiów bliskich socjaldemokracji. Współpracował w tej mierze najbliżej z Kazimierzem Barcikowskim i Hieronimem Kubiakiem, zasiadającymi w Biurze Politycznym i Sekretariacie KC, korzystał z pomocy oddanych mu przyjaciół z „Polityki” i spoza jej kręgu, a przede wszystkim z cierpliwości samego Jaruzelskiego.

A przeciwników, wrogów miał wciąż co niemiara, i to po obu stronach politycznej barykady. Może nawet było kilka barykad. Np. przez kilkanaście miesięcy lat 1981 i 1982 widziałem z bliska, jak ludzie bezpieki i głównego Zarządu Politycznego WP w zespole Dziennika Telewizyjnego – najczęściej pogrobowcy marca 1968, mający nadzieję, że znowu przysła ich pora – dokładali wysiłków, aby sylwetka Rakowskiego nie pojawiała się na ekranie (podobnie zresztą i Kubiaka, i Barcikowskiego), jak przygotowywano różne prowokacje, aby wykazać Rakowskiego i ludzi „Polityki” antynarodową czy kosmopolityczną postawę i poglądy. Niektórym, grubszym prowokacjom udawało mi się zapobiec, zanim mnie z Telewizji Polskiej odwołano. Z drugiej strony czułem codziennie, że dla obywatelsko myślących ludzi telewizji, także tych sprzyjających opozycji, Mieczysław Rakowski jest największą nadzieją na przyzwoitość władzy i przyszłe narodowe porozumienie na gruncie wielkiej zmiany.

Rakowski był bowiem przekonany, że system społeczno-kulturalny Polski trzeba bardzo głęboko przemienić w kierunku, nazwijmy to raz jeszcze, europejskiego socjaldemokratyzmu i że jest po temu szansa, także w obrzydliwej sytuacji stanu wojennego. Paraliżuje on bowiem nie tylko samobójcze odruchy frustracyjne wielkiej części środowiska robotniczego i inteligenckiego, ale również odsuwa groźbę zbrojnej interwencji Związku Radzieckiego i stawiających na tę szansę, niezbyt wielkich, ale niebezpiecznych w swym zaprzaństwie sił w partii i aparacie przemocy. Bardzo ciężko przeżywał jednak to, że ci, na których liczył – przez tyle lat otaczający go, wielbiący i korzystający z jego parasola obronnego ludzie ze środowisk twórczych – przestali go nie tylko uważać za przewodnika, ale zwrócili się przeciw niemu. Dotyczyło to także pewnej części najbliższych współpracowników z „Polityki”.

To pchało Rakowskiego czasem ku dawaniu ucha działaniom administracyjnym, a nie perswazyjnym. Nieraz stawał przed rzeczywistością wręcz bezradny. Tak było, kiedy odważnie mierząc się na argumenty z Wałęsą i wielką rzeszą podnieconych robotników na słynnym spotkaniu w Stoczni Gdańskiej, przekonany o swojej racji i o tym, że jego chłopsko-robotnicze pochodzenie gwarantuje mu w tym środowisku wiarygodność, naraził się wielkiej sali argumentami prawdy i został uznany przez tłum za aroganckiego kacyka. Podobnie jak Gomułka w grudniu 1970 r. zrozumiał nagle, że klasa robotnicza w swoim egoizmie

i małości staje się grabarzem swego panowania ustrojowego. Ale jeszcze w roku 1986, kiedy wrócił z długiej podróży (jako odsunięty na bok wicemarszałek Sejmu) do Australii i „dalekowschodnich tygrysów”, opowiadając mi o niezwykłym skoku cywilizacyjnym jakiego te kraje dokonały, o ich wspaniałej organizacji i wysokim poziomie cywilizacyjnym, konkludował: ale podstawą wszystkiego jest u nich własność prywatna, a tego u nas wprowadzić nie można. Jednak już w 1988 roku, wraz z reformami Mieczysława Wilczka zdecydował o pełnej swobodzie rozwijania prywatnej przedsiębiorczości, opartej na prywatnym kapitale i prawach rynku, o przekształcaniu, a nawet zamykaniu nierentownych przedsiębiorstw państwowych. Nigdy z nim nie rozmawiałem (wyraźnie tego unikał), co skłoniło go do tego niewątpliwego błędu politycznego, jakim było zaczęcie przeobrażeń w wielkim przemyśle od likwidacji wysoce nierentownej i niereformowalnej, ale przecież wówczas nietykanej Stoczni Gdańskiej jako przedsiębiorstwa państwowego.

Myślę, że lata 1986-1988 głęboko przeorały psychikę Rakowskiego. W momencie, kiedy jego cierpliwa i konsekwentna praca u boku gen. Jaruzelskiego nad budowaniem porozumienia na gruncie przewycięzania wpływów sił ekstremalnych z obu stron sceny politycznej dawała już widoczne rezultaty, został w 1986 r. odsunięty na boczny tor w państwie. Był to chyba największy błąd Jaruzelskiego, który, nie poświęcając Rakowskiego zupełnie, postawił jednak na biurokratycznych przeciętniaków, zapewne nie wierząc jeszcze, że Związku Radzieckiego z przyczyn wewnętrznych nie stać już na agresywną politykę w swej dawnej strefie wpływów. Naprawił ten błąd dopiero w roku 1988, czyniąc Rakowskiego człowiekiem nr 2 w systemie władzy – wprowadzając go do Biura Politycznego i Sekretariatu KC, a następnie wydzwigając na stanowisko premiera. Ale nawet w tym czasie uważał, że najważniejsze dla rządzenia Polską są siły aparatu przemocy i ich, wierni mu, szefowie.

Rakowski doskonale rozumiał, że pozycja i osobowość Jaruzelskiego jest kluczem do pokojowej zmiany władzy w Polsce i był w stosunku do generała absolutnie lojalny, co nie znaczy bezkrytyczny. Głęboko też odczuwał, że do samego końca nie był człowiekiem bezwzględnie zaufania i podlegał ciągłej inwigilacji tajnych służb. Ale to przecież jemu Generał powierzył zadanie przekonania Komitetu Centralnego partii do ponownego uznania odradzającej się „Solidarności”.

Rakowski – premier, człowiek prawdziwej władzy jeszcze raz wierzył w swoje możliwości. Zdawał sobie sprawę, że po odmowie, jaka go spotkała ze strony „Solidarności” – wprowadzenia jej przedstawicieli do jego rządu, ten rząd jako kolektyw nie ma wielkiej wartości. Wszak musiał się zgodzić na powołanie do niego różnych dziwnych postaci podpowiadanych przez bezpiekę czy też wciąż intrygujący warszawski komitet partii. Ale uznał, że opierając się na determinacji ministra Wilczka i może jeszcze jednego, dwóch ministrów gospodarczych – tzn. z dziedziny, w której czuł swoją słabość – oraz mając szybko ujawniającego swój potencjał w sprawach społeczno-kulturalnych pomocnika, którego zdolności i ambicji trochę się chyba obawiał – Aleksandra Kwaśniewskiego, wprowadził natychmiast kilka fundamentalnych reform

ustrojowych – wolności gospodarczej, wymienialności waluty, swobody wyjazdów zagranicznych, praktycznego zniesienia cenzury i wyprowadzenia tzw. drugiego obiegu prasy i literatury z podziemia.

Niezwykle odważnie uruchomił mechanizmy, nad którymi przecież nie można panować. Dlatego też wkrótce przestał być partnerem, z którym trzeba się liczyć. Jedyną siłą prawdziwej władzy państwowej pozostała bezpieka i wojsko (obie struktury pozbawione już wewnętrznej determinacji i dyscypliny) oraz dysponujący nimi, a przede wszystkim wciąż wielkim autorytetem społecznym i bardzo liczący się na arenie międzynarodowej – gen. Jaruzelski. Dlatego też „Solidarność” tylko Jaruzelskiego i jego zaufanego, generała Czesława Kiszczaka traktowała jako rzeczywistych partnerów. I tak właściwie zostało do końca – do śmierci Rakowskiego, który czuł ogromny żal do Adama Michnika – swojego odpowiednika po stronie „Solidarności”, że szacunek okazywał tylko przeciwnikom dysponującym siłą oręża, a nie siłą myśli i przyzwoitości.

Desperackie, niemal rewolucyjne zmiany ustrojowe wprowadzone w pośpiechu przez premiera Rakowskiego i jego rząd, osobiste zaangażowanie u boku Jaruzelskiego w decyzje oznaczające, że KC PZPR opowiada się za uznaniem dotychczasowej opozycji antyustrojowej za partnera władzy doprowadziły do Okrągłego Stołu i wolnych wyborów w czerwcu 1989 r. Sam Rakowski przy Okrągłym Stole nie zasiadał. Przede wszystkim dlatego, że żadna ze stron – ani władza generałów ani opozycja – tego nie zaproponowała. Ale i sam uważał za pewne, że jako premier rządu i nr 2 w PZPR ma dość autorytetu i argumentów, aby zmiany przygotowywać i wprowadzać samodzielnie.

Przecenił wówczas swoje możliwości. PZPR od czasu stanu wojennego i gwałtownego wzrostu wpływów aparatu przemocy stała się partią upadającą, rozkładającą się od wewnątrz. Nurt populistyczny schodził na pozycję frustracyjnej wrogości do własnego partyjnego kierownictwa i do państwa, a nurt socjaldemokratyczny coraz częściej kierował nadzieje ku opozycji. Kierownictwo PZPR przegrało wybory parlamentarne z kretesem, mimo że jedna trzecia wyborców głosowała na jej kandydatów. Po wyborze gen. Jaruzelskiego na prezydenta RP, formalną już tylko funkcję I sekretarza KC – dawnego wielkorządcy państwa powierzono Rakowskiemu. Wywiązał się z niej, jak zawsze, z godnością. Polecił wyprowadzić sztandar.

Jednak niecałkiem udał mu się zamysł powołania nowej partii typu europejsko-socjaldemokratycznego. Wprawdzie wykreował europejskiej miary jej lidera – Aleksandra Kwaśniewskiego, ale nie miał dość siły, a może i odwagi, aby nie dopuścić do tej partii ludzi nurtu poststalinowskiego. W sytuacji totalnej nagonki na przeszłość i maniako-paranoicznych oskarżeń ludzi polskiej lewicy o służbę Związkowi Radzieckiemu, w atmosferze oblężonej twierdzy, ale i zwykłej konieczności obrony dobrej strony przeszłości Polski Ludowej schronił się pod skrzydłami SdRP, a potem SLD wielu odpowiedzialnych także za zło przeszłości. Aleksander Kwaśniewski i jego najbliżsi współpracownicy uchylali się od oskarżeń pod parasolem mło-

dości: ci, co urodzili się po Stalinie, nie mogą być odpowiedzialni za stalinizm. Zatem ci, którzy urodzili się wcześniej mogą i należy ich spisać na straty. A kiedy SdRP i SLD dochodziły w demokratycznych wyborach do władzy, nowi szefowie państwa szukali potężnych sojuszników nie w ludziach wielkiej myśli i wielkiego charakteru – jak Rakowski właśnie, lecz wśród tych, którzy mieli dostęp do wielkich pieniędzy oraz do tajnych informacji z przeszłości i, jak im się wydawało, teraźniejszości. To stało się przyczyną moralnej klęski tej formacji.

Rakowski, choć głęboko przeżył fakt, że ani polska socjaldemokracja, ani polska demokracja nie okazują mu należytego szacunku, nie zrezygnował choćby na chwilę z roli kreatora i mentora polskiej lewicy europejskiej. Dalej pisał każdego dnia i publikował gdzie mógł, swoje myśli i poglądy. Nie miał jednak łatwego dostępu do mediów, które już poszukiwały co najwyżej politycznej rozrywki. Stworzył natychmiast po odejściu od władzy swoje własne pismo, o kilkutyśiącym nakładzie miesięcznik „Dziś”, w którym znowu skupił grono świetnych współpracowników. Jedyny tego rodzaju zespół zajmował się analizą zjawisk społecznych zachodzących w Polsce, Europie i na świecie, ich oceną w świetle wartości wyznawanych przez demokratyczną lewicę, a także dawał obiektywną informację o sprawach międzynarodowych. Właściwie tylko na łamach „Dziś” można było znaleźć prawdziwy obraz i poważne analizy przemian zachodzących w dawnym Związku Radzieckim i krajach tzw. realnego socjalizmu, a także rewelacyjne dokumenty z przeszłości.

Wiele czasu poświęcił Rakowski na przygotowanie do druku swych *Dzienników politycznych*, które stały się natychmiast podstawowym źródłem dla rzetelnych historyków ostatniego 40-lecia Polski Ludowej. Kontynuował zwyczaj niemal codziennych komentarzy, tym razem dotyczących polskiej transformacji ustrojowej, drukowanych w „Dziś”, a następnie wydanych w czterech tomach pt. *Polski przekładaniec*, obejmujących lata 1991-2006.

Pozostał nadal mocno związany z krakowską „Kuźnicą”. Pomagał jej w chwilach najtrudniejszych, regularnie przyjeżdżał na spotkania. Był jedynym w 33-lecie „Kuźnicy” dwukrotnym laureatem jej honorowego wyróżnienia – „Kowadła”. W ostatnich tygodniach życia przygotowywał dla „Biblioteki »Kuźnicy«” tom swoich najważniejszych artykułów programowych. Ich wybierania z przebogatego archiwum nie zdążył dokończyć, tak jak nie dokończył olbrzymiego wywiadu-rzeki dla dwóch zaprzyjaźnionych dziennikarzy, wywodzących się z dwóch dawnych nurtów – opozycyjnego i oficjalnego.

Ostatnim artykułem, który opublikował, był bardzo mądry i pełen godności sprzeciw wobec prześladowań Wojciecha Jaruzelskiego. Ten odpowiedział pięknym przemówieniem nad grobem Rakowskiego. Słuchałem ze wzruszeniem i było to moje ostatnie w ciągu 60 lat z Mietkiem spotkanie. Chciałbym, żeby było nas wielu, którzy nie pozwolą o nim zapomnieć. Nie pozwolą zapomnieć o jego idei polskiego socjalizmu, socjalizmu europejskiego.

ADAM KOMOROWSKI

GÓRA, KTÓREJ NIE DA SIĘ OBEJŚĆ.

KULTURA POLSKA LAT 1944-1989

Benedetto Croce zauważył, że odwaga smaku bywa czymś o wiele mniej częstym aniżeli odwaga cywilna. Trudno odmówić większości znaczących w polskiej opozycji ludzi, tworzących od połowy lat 70. alternatywny bezdebitowy obieg kultury polskiej, odwagi cywilnej, jednak w kwestii smaku uległość konformizmowi zbiorowym zaskakuje. Wbrew znanemu i tak często cytowanemu wierszowi Zbigniewa Herberta, „kwestia smaku” przestała być sprawą spontanicznej reakcji na dzieło sztuki, gdzie autonomia wrażliwości bronić nas miała przed uległością oficjalnie i nachalnie promowanych estetyk.

Smak i gust przestały być warunkami reagowania na dzieło sztuki. Smak stał się przedmiotem deklaracji, poprzedzonej polityczną kalkulacją. Tak rozumianemu smakowi dzieło sztuki praktycznie przestało być niezbędne, bo też nie dzieło sztuki miało być ostatecznie przedmiotem oceny, ale nasz smak i gust. Zwłaszcza pierwsze lata transformacji cechowała nie tyle próba rewizji ukształtowanego w latach kanonu dzieł artystycznych, ale rewizji samego doświadczenia estetycznego. W skrajnej postaci postulowano, by empatia wobec antykomunistycznych przekonań twórcy stała się warunkiem pełni przeżycia i estetycznej satysfakcji.

W jakimś sensie było to odwrócenie postulatu, by kryterium oceny dzieła była jego postępowość. W odróżnieniu jednak od lat powojennych, instytucjonalne wsparcie dla hegemonii kryterium antykomunizmu było ograniczone, co nie znaczy, że go nie było. W stopniu największym dotknęło literaturę; nie mieliśmy sytuacji takiej jak w latach 1949-1956, kiedy usiłowano przeformować hegemonię kryterium postępowości w całym obsza-

rze literatury i sztuki. W latach transformacji nikomu nie wpadło do głowy, by utwory Witolda Lutosławskiego czy Grażyny Bacewicz, dyskretnie konformistyczne wobec dekretowanych przez Zofię Lissę kryteriów postępowości w muzyce, traktować jako dzieła marne. Hegemonię kryterium antykomunistycznej wymowy dzieła temperował także prosty fakt, że zasób tych, które nie budziły zastrzeżeń antykomunistycznych rewidentów w kulturze, był dość ograniczony przynajmniej w stosunku do dzieł, które kiedyś można było uznać za „postępowe”.

Rewizję dodatkowo komplikowało, że wielu znaczących twórców polskiej kultury miało na swoim koncie zarówno dzieła pro- jak i antykomunistyczne. Najbezpieczniejsze było przyjęcie założenia, że okres PRL stanowi „czarną dziurę”. I głosy takie pojawiały się, z czasem jednak uległy wyciszeniu. Powodem wyciszenia nie była jednak literatura, ale niemożność obejścia dzieł Tadeusza Kantora i Jerzego Grotowskiego, muzyki Witolda Lutosławskiego i Krzysztofa Pendereckiego, malarstwa Tadeusza Brzozowskiego, Andrzeja Wróblewskiego czy grafiki Jerzego Panka, filmów Andrzeja Wajdy czy Wojciecha Hasa, plakatów Henryka Tomaszewskiego, Jana Sawki i, o dziwo, także wytworów kultury popularnej – telewizyjnych seriali czy piosenek Maryli Rodowicz.

Wbrew rewidentom kultura PRL (zwłaszcza lat 60. i 70.) objawiła się nagle jako skarbiec nie tylko immunizowanej na miazmaty komunizmu kultury wysokiej, ale także konformistycznych dzieł kultury popularnej. Kloss, Borewicz, Niedzielak i „czterej pancerni” okazali się niazatapialni. Tłumaczenie tego wszystkiego nostalgą za PRL jest sporym uproszczeniem. Paradoks

polega na tym, że dziś filmy i seriale Stanisława Barei są oceniane wyżej aniżeli wtedy, kiedy powstawały, to samo dotyczy też np. *Kabaretu Starszych Panów*, a nawet typografii miesięcznika „Ty i Ja”. Fenomen żywotności kultury popularnej PRL dekad 60. i 70. zdjął nam z twarzy grymas lekceważenia, którym starsi z nas kwitowali ją w tamtych czasach. Dziś powszechne jest przekonanie, że pod względem obecności konkretno znaczące jej dzieła okazały się bardziej perswazyjne aniżeli wiele dzieł kultury wysokiej. Kontekst kultury popularnej powstającej już w III Rzeczypospolitej dodatkowo podkreślił jej bliskość polskiej rzeczywistości, którą nowy obyczaj klonowania formatów telewizyjnych zamazuje. Polem sporu o hierarchizację i nowy kanon pozostaje dziś głównie literatura, od której się wszystko zaczęło.

Przykładem może być tekst krytyka tak przenikliwego jak Jan Walc, o twórczości Marii Dąbrowskiej opublikowany w „Krytyce niezależnej” w kwietniu 1989 r. Walc zwracając się, że nie może zachwycić się jej dziełem, jako główny powód podaje jej niejednoznaczny stosunek do powojennej rzeczywistości.

Przywołuję tu tekst Walca ponieważ jest on wzorcowy dla recepcji dzieł sztuki, która ukształtowała się w kręgach opozycji przed rokiem 1989 i następnie stała się obowiązującą. Grażyna Borkowska analizując ów tekst wyprowadza jedyną do utrzymania konkluzję: „Nie da się dłużej utrzymać obowiązującej po 1989 roku perspektywy czytania do kwestii: jak pisarz zachowywał się w stosunku do władzy? Jaki był jego stosunek do komunizmu? Z jak wielką determinacją bronił się przed indoktrynowaniem?” Być może w konkretnym przypadku Dąbrowskiej czas też stwierdzić, że jej twórczość bynajmniej nie stanowi szczytów literatury polskiej, a w okresie powojennym uległa zapaści. Powody tego są jednak inne aniżeli flirt z władzą i tak denerwujące Walca antysemickie idiosynkrazje obecne w *Dzienniku*. Oczywiście byłoby sporym uproszczeniem twierdzić, że obecnej u Walca perspektywie ulegli wszyscy. Wystarczy wskazać w obrębie literatury na krytyczną działalność Juliana Kornhausera, Tadeusza Nyczka, Andrzeja Mencwela czy Tadeusza Drewnowskiego, by sobie uświadomić, że można było zachować autonomię wrażliwości i nie ulegać stadnym zachowaniom.

Nie znaczy to, że w okresie transformacji krytyka nie stanęła przed problemem rewizji ukształtowanych i oficjalnie wspieranych w okresie PRL hierarchii wartości. Przeceniona twórczość Dąbrowskiej jest tu przykładem najlepszym, ale można dołączyć jeszcze np. Jana Parandowskiego. Istotnym problem tych nowych hierarchii było przesłonięcie tego co w kulturze polskiej rzeczywiście nowe, co było znakiem przełomu i uzyskania przez ową kulturę rzeczywistej autonomii i katapultowania się z peryferyjności i zależności, tak doskonale widocznej w okresie międzywojennym, z jego obsesją doświadczenia Europy tak charakterystyczną dla kręgu „Wiadomości Literackich”, nieustannie obecną w myśleniu kapistów czy Karola Szymanowskiego. Kultura międzywojnia była zbyt uwikłana w kompleks polski, gdzie cywilizacyjne zapóźnienie miała rekompensować moralna wyższość narodu męczennika. Jedyni, którzy potrafili ten kompleks sproblematyzować: Witold Gombrowicz i Witkacy autentycznego czytelnika odnaleźli dopiero po wojnie.

Jest czymś niezwykle, że doświadczenie okupacji bezpośrednio po wojennie zaowocowało dziełami, które radykalnie zerwały z kompleksem polskim, zdjęły dymną zasłonę moralnej wyższości jako rekompensaty cywilizacyjnego zapóźnienia. Opowiadania oświecimskie Tadeusza Borowskiego, wiersze Tadeusza Różewicza i socjologizująca eseistyka Kazimierza Wyki, opowiadania Jana Józefa Szczepańskiego (wydane później ale napisane tuż po wojnie), narracje spisane i wydane przez kierowany przez Michała Borowicza Centralny Komitet Żydów Polskich otworzyły przed literaturą polską zupełnie nową perspektywę. Romantyczna estetyzująca wiktymologia, grottgeryzacja martyrologii została przełamana.

Cenniejsze było to, że zwłaszcza Borowski, Różewicz i Wyka nie bawili się w naiwne i szlachetne odbrązawianie, łatwą deheroizację. Literacka polszczyzna przestała pełnić funkcję wyznacznika, oznaki kulturalnego i społecznego statusu. Wobec konieczności opisu sytuacji granicznej – ludzkich zachowań w ekstremalnych warunkach zawieszenia moralności, koturn języka literackiego ukształtowany w międzywojniu okazał się zupełnie nieprzydatny. Parafrazuując T.W. Adorna można powiedzieć, że po Auschwitz nie tyle nie była możliwa poezja, co posługiwanie dotychczasowym językiem. Wobec konieczności maksymalnej wierności konkretowi, nazywania rzeczy wprost, język musiał stracić swoją funkcję kulturową dystrykcji. Nie znaczy to, że recydywa dystygnowanej dykcji nie była niemożliwa i skazana kompletnie na porażkę. Sprawdzała się ona w elegijnym tonie, czego przykładem jest choćby *Elegia miasteczek żydowskich* Antoniego Słonimskiego. Jednak szlachetny gest odnotowania utraty:

„Te księżycy nad inną już chodzą planetą,
Odfuręły milczeniem ponurym.

Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,
Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem”

przynosił ulgę, ale jednocześnie zapoznawał pewien istotny aspekt, tego że miasteczek żydowskich już nie było, ale została żydowska pierzyna, o czym pamiętał Wyka. Co prawda Krzysztof Kamil Baczyński w czasie okupacji zapowiadał, że „po czasie bitewnym... wyprowadzi z rzeczy cienie”, ale sam tego momentu nie dożył, zaś pozostali woleli nie pamiętać o testamencie Zuzanny Ginczanki *non omnis moriar*. Stąd znaczenie *Gospodarki wyłączonej* Wyki jasno stawiającej sprawę: ofiara może być beneficjentem dobijania innych ofiar. Wyka nie moralizował, nie domagał się, byśmy, broń Boże, nie spali pod żydowską pierzyną. Borowski nie przestrzegał przed dojadaniem potrawy pozostawionej przez kierowanych z rampy w Auschwitz prosto do gazu.

Problem spłylenia recepcji i oceny rewolucyjnego znaczenia pisarstwa Borowskiego, Wyki i Różewicza polegał na sprowadzaniu go do roli „dawania świadectwa” „epoki pieców”, hitlerowskiego bestialstwa, najogólniej – wojny. Nie twierdzą, że motyw ten był wymienionym autorom najzupełniej obcy. Twierdzą jedynie, że nie był to motyw najważniejszy. W celu jaśniejszego obrazu posłużę się pewną paralelą. Otóż pragnienie dania świadectwa przenika większość utworów, które podjęły temat losu Polaków na Wschodzie. Doświadczenie gułagu nie zrodziło dzieła wybitnego, porównywalnego z opowiadaniem Borowskiego czy wierszami

Różewicza. I nie rzecz w dyskusji gułagi czy obozy niemieckie były gorsze. *Inny świat* Gustawa Herlinga Grudzińskiego jest pośród bogatej polskiej literatury łagrowej dziełem wybijającym się, jednak jego znaczenie dla literatury światowej, w porównaniu z Borowskim, było znikome.

Kiepska i ospała recepcja *Innego świata* nie była, jak sądził autor, wynikiem hegemonii komunistów w kulturze zachodniego świata. Nie była też wynikiem jakiejś specjalnej podejrzliwości Zachodu wobec idiosynkrazji Polaka piszącego o Rosji. *Inny świat* i żadne inne dzieło polskiej literatury łagrowej nie mogło zafunkcjonować jak *Archipelag Gułag* z tego powodu, że perspektywa naszego pisania o doświadczeniu łagrowym z trudem wyzwalała się z grottgerowskiej aury martyrologii narodu moralnie niewinnego, wręcz niepokalanego. Męczeństwo Polaków na Wschodzie było właśnie na Wschodzie, nie gdzie indziej. Potwierdzało tezę, że po bolszewikach (Wschodzie, Azji) można się wszystkiego spodziewać, a nawet należy spodziewać się najgorszego. Dla większości Polaków, przy całym swoim tragizmie doświadczenia łagrowe poświadczało nie tylko moralną, ale także cywilizacyjną wyższość. To rzeczywiście był „inny świat”.

Borowski, Różewicz i Wyka tego komfortu cywilizacyjnej wyższości w stosunku do okupanta byli pozbawieni, i to w trzech obszarach: obozu koncentracyjnego, zbrojnego oporu i partyzantki oraz codzienności okupacyjnego życia w Generalnej Guberni. Dlatego polska literatura łagrowa zatrzymała się na etapie świadectwa. Jeśli *Mój wiek* Aleksandra Wata zawiera momenty, w których ta perspektywa zostaje przełamana, jest to w dużym stopniu zasługą jego interlokutora Czesława Miłosza. To rozdwojenie narracyjnych perspektyw w literackim przetworzeniu doświadczenia wojennego na Wschodzie i w Generalnej Guberni (czy uwzględnwszy Andrzeja Bobkowskiego – w ogóle w okupowanej Europie) domaga się bardziej szczegółowych analiz. Dla tych rozważań istotne jest, że ograniczony charakter recepcji łagrowej literatury nie był wyłącznie skutkiem cenzuralnej blokady w kraju, ale mniejszej perswazyjności. Wynikiem perspektywy skrzywdzonego, który nawet w ekstremalnych warunkach pozostaje niepokalany, wychodzi z łagru utwierdzony nie tylko w swojej moralnej ale także cywilizacyjnej supremacji nad wrogiem.

Wystarczy zacytować Różewicza:

„ mam lat dwadzieścia
jestem mordercą
jestem narzędziem
tak ślepym jak miecz
w dłoni kątą
zamordowałem człowieka
i czerwonymi palcami
gładziłem białe piersi kobiet”,

by sobie uświadomić radykalną odmienność perspektyw. Dla Różewicza świadectwo jest sprawą drugorzędną. Problemem jest, czym skutkuje przetrwanie nieludzkiego czasu „tu i teraz”. Nie chodzi o masochistyczne rozdrapywanie winy ofiary, ale o stwierdzenie, że przetrwanie, przeżycie nieludzkiego czasu zakłada utratę niewinności. Centrum narracji przestaje być martyrologia, na jej miejscu pojawiają się koszty przetrwania, ocalenia.

W literaturze polskiej ta perspektywa widzenia wojny była czymś zupełnie nowym. Z powodu odmienności aniżeli na Zachodzie doświadczenia I wojny nie jako masakry, ale wymodlonej światowej zawieruchy, która przyniosła Polsce niepodległość, nie mogły u nas pojawić się dzieła na miarę Ferdinanda Celine’a, Giuseppe Ungarettiego czy nawet Camila Petrescu. Anachroniczność legionowych narracji wojennych jest wzruszająca, ale w kontekście ewolucji i rozwoju literatury i świadomości Zachodu była krokiem wstecz. Legionowe narracje, narodowa ikonografia wojny zdominowana przez Kossaków czy malarza tak wybitnego jak Ludomir Śledziński, wszystko to miało tragiczne skutki w 1939 roku. Na ziemiach polskich powstało właściwie tylko jedno dzieło odpowiedzialnie traktujące o I wojnie. To *Zagłada Galicji* S. Arskiego, ale zostało napisane po żydowsku.

Jeżeli zachowanie społeczeństwa francuskiego wobec zbliżającej się II wojny można uznać za całkowicie racjonalne, to zachowania polskie (wystarczy przejrzieć prasę z okresu od wkroczenia wojska polskiego i zajęcia Zaolzia i Jaworzyny do września 1939 r.) porażają beztrząsą i brakiem odpowiedzialności. Po klęsce często mówiono o odpowiedzialności rządzących, sanacji, natomiast nie zastanawiano się nad odpowiedzialnością twórców kultury. Odmowa immunitetu niewinności kultury, która była po wojnie udziałem Borowskiego, Różewicza i Wyki przyniosła arcydzieła, które po raz pierwszy sprawiły, że literatura polska odzyskała partnerski status, przestała być peryferyją.

Ta nowa perspektywa została jednak stłumiona (jakkolwiek, na szczęście, nigdy do końca). Powodów było kilka. Pierwszym była polityka kulturalna, która zakładała niepokalany charakter wiodącego dla niej podmiotu, czyli proletariatu i jego awangardy, także w Grenzsituationen. Moralna wyższość narodu męczennika została albo miała być zastąpiona moralną wyższością jego awangardy. Oświęcimska opowieść Tadeusza Hołuj *Nadzieja umiera ostatnia* jest przejmującym dowodem podporządkowania narracji takiemu założeniu. W przesłonięciu perspektywy Borowskiego i Różewicza miała udział nie tylko polityka kulturalna i socrealistyczne schematy, ale także tradycja katolicka. Hagiografia Maksymiliana Kolbe miała nas przekonać, że nawet Auschwitz mógł być polem zwycięstwa ducha. Nic bardziej obcego nie mogło być postawie Borowskiego i Różewicza.

Opór Borowskiego i Różewicza wobec zarysowanej perspektywy jest zrozumiały. Graniczy z cudem, że mimo tego oporu ani w kraju, ani na emigracji perspektywy tej nie dało się przesłonić zupełnie. Adam Czerniawski ma rację, kiedy pisze: „W połowie lat 50... Witold Gombrowicz opublikował swój charakterystyczny prowokacyjny i ostry w tonie esej *Przeciw poetom*, w którym atakował i wyśmiewał „nadmiar poezji, nadmiar poetycznych słów, nadmiar metafor, nadmiar sublimacji, nadmiar wreszcie kondensacji i oczyszczenia ze wszelkiego elementu antypoetyckiego. (...) Jeśli dzisiaj Gombrowiczowska diatryba wydaje się nam anachroniczna i nie mająca nic do rzeczy, to dowodzi, jak gruntowną rewolucję Różewicz przeprowadził”.

Przełamanie, które nastąpiło w literaturze polskiej, pomimo wspierania polityką kulturalną i tradycją katolicką oporu materii, było możliwe dzięki wsparciu otrzy-

manemu przez narracje tych, którzy przeżyli Zagładę. Od niedobitków polsko-żydowskiej konstelacji kultura polska otrzymała dar, którego nie można przecenić, dzieła, które nie pozwalały ponownie zapaść w stereotypy ekskluzywnego męczeństwa. Oczywiście nie tylko władza ludowa czyniła wiele, by ekskluzywność martyrologii narodu polskiego utrzymać. Bardzo długo miała w tej kwestii potężnego sojusznika w polskim Kościele. Nie wspominając już o tym, że ta ekskluzywność miała wymiar praktyczny – pozwalała spokojnie śnić pod żydowską pierzyną i bezrefleksyjnie gospodarzyć w żydowskim mieszkaniu.

Fakt, że tezy o ekskluzywnym charakterze polskiej martyrologii nie dało się utrzymać, był dla kultury polskiej błogosławieństwem. Stało się to pierwszy raz w naszych dziejach dzięki talentowi i uporowi niewielu ludzi: Adolfa Rudnickiego, Marka Edelmana, Artura Sandauera, Bohdana Wojdowskiego, Stanisława Wygodzkiego, Idy Fink, Hanny Krall; w plastyce dzięki Jonaszowi Sternowi, Arturowi Nacht Samborskiemu czy Ernie Rosenstein. Oczywiście byli też inni: piszący po francusku Piotr Rawicz, po hebrajsku Uri Orlew, po angielsku Jerzy Kosiński i żydowsku Abraham Sutzkewer. Wszyscy oni stworzyli dzieła znaczące, ale literaturom w językach, w których napisali swoje książki, nie były one tak niezbędne jak literaturze polskiej, językowi polskiemu. To sam język polski był bowiem zakażony ekskluzywnością, jakby ze swojej natury wykluczając empatię, ewentualnie zadawałając się czułościowością.

Obfitość narracji o Zagładzie w języku polskim, talent niektórych autorów pochodzenia żydowskiego sprawiły, że polszczyzna utraciła prowincjonalny charakter peryferyjnego języka, w którym rozmawiać w miarę sensownie można było tylko o skromnym wycinku Polski, a literatura nie zauważała „innych”, którzy stawali się niewidzialnymi lub intruzami. Ten proces dokonuje się ale trwa bardzo długo, czego najlepszym dowodem jest, że o Kielcach czy Jedwabnem mogliśmy rozmawiać dopiero w ostatniej dekadzie.

Nie ma nic dziwnego, że dla narodu pozbawionego państwowości jego język był poza podejrzeniem, co najwyżej śledzono rusycyzmy i germanizmy. To także bezkrytyczny stosunek do języka, jego uwodzącej i oderwanej od konkretności retoryki sprawił, że wrzesień 1939 r. zaskoczył nas kompletnie rozbrojonych przez jego mocarstwowy patos. Żmudny proces przywracania języka polskiego konkretowi rozpoczął się już w czasie wojny (u Miłosza, Baczyńskiego, kronikach Landaua, w spisywanych wtedy dziennikach) i nabrał przyspieszenia tuż po wojnie osiągając kulminację u Różewicza i Borowskiego, ale także ma kontynuację we wczesnej prozie Leopolda Buczkowskiego, Jana Józefa Szczepańskiego, Stanisława Lema czy Kornela Filipowicza, Andrzeja Bobkowskiego, niektórych powojennych opowiadaniach Jarosława Iwaszkiewicza, w *Pamiętnikach z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego.

Raz zasiana podejrzliwość wobec języka oderwanego od konkretności była nie do zawrócenia. Recydywa abstrakcyjnej retoryki w kostiumie socrealizmu musiała ponieść klęskę. Nie dość tego, nawet tak utalentowani pisarze jak Tadeusz Konwicki czy Marian Brandys mimo zapewne szczerą chęć nic interesującego w poetyce socrealizmu napisać nie byli w stanie. Przy-

woływane niekiedy przez samozwańczych lustratorów wiersze o Stalinie dowodzą jedynie, że język polski uodpornił się na pewien typ retoryki. Lechoń mógł napisać fenomenalnego *Piłsudskiego*, ale czterdzieści lat później nawet Wisława Szymborska nie mogła napisać dobrego wiersza o Stalinie. Język polski uległ już wystarczającej ewolucji, by każde oderwanie się od konkretności jawiło się jedynie jako retoryczna lewitacja. Po październiku z powrotem do konkretności nie miał problemu nawet Adam Ważyk, nie mówiąc już o młodych Białoszewskim, Czyczu, Herbercie czy Bursie.

Nieszcześnie literatury emigracyjnej było, że polszczyzna większości jej twórców nie przeszła przez czyściec i piekło, konserwowała ekskluzywną i abstrakcyjną dystynkcję uduchowionej retoryki, a nawet stanowiła wyznacznik pozycji społecznej. Na tym polegała tragedia Lechonia. Katapultować z niej udało się praktycznie tylko Andrzejowi Bobkowskiemu i Witoldowi Gombrowiczowi. Temu pierwszemu poprzez skrupulatność reporterskiego zapisu. Gombrowiczowi natomiast dzięki genialnej hipertrofii egotyzmu; ktoś tak jak on skupiony na swoim ja musiał pozostać wierny konkretowi, nawet jeśli to były myśli konkretnego człowieka, które w uwikłaniu „ja” nabierało wymiaru abstraktu w *Dziennikach*. Sytuacja Miłosza była nieco inna. *Campo di Fiori* mógł napisać tylko ktoś, kto słuchał rozmów pod murami płonącego getta. W *Traktacie moralnym*, właściwie poemacie heroicznym o walce konkretności z retoryką rozliczył się z językiem uwodzącym utopię, narodem, pokornym wobec każdej abstrakcyjnej idei. Niezrozumienie przez zdecydowaną większość emigracji tylko utwierdzało go w przekonaniu, że to on ma rację.

Dla wchodzącego w obieg kultury na przełomie lat 60/70. pokolenia Nowej Fali *Traktat moralny* i poezja Różewicza były rodzajem mitu założycielskiego. Jednak recydywa nacjonalistycznej retoryki po marcu 1968 r. była dla tego pokolenia dowodem, że nawet Różewicz nie był zbyt czujny wobec języka. Było w tym oczywiście sporo przesady, niezauważania, że „pokaż język” – hasła nieufności, mówienia wprost i wierności konkretowi Nowa Fala nie tyle wymyśliła, co zradycalizowała w nowym kontekście politycznej nowomowy i analizowanego przez Michała Głowińskiego „marcowego gadania”.

Kontekst ocalenia, kosztów przetrwania Grenztuazionen nie dotyczył tego pokolenia. Pytaniem nie było dlaczego przeżyłem i co z tego wynika, ale gdzie właściwie jestem. Incipit z wiersza Krzysztofa Karaska *Rewolucjonista przy budce z piwem* „Co ja tu robię?” doskonale definiował sytuację pokolenia, pierwszego, dla którego nie zagrożenie fizycznego istnienia było problemem, ale zachowanie autonomii wrażliwości wobec coraz bardziej odrywających się i coraz mniej zachowujących kontakt z konkretem medialnych dyskursów, dodatkowo zrytualizowanych przez coraz mniej zdolnego do reagowania na rzeczywistość politycznego dysponenta.

Polska od wystąpień późnego Wiesława Gomułki coraz bardziej stawiała się krajem dwujęzycznym, język polski ulegał schizofrenii. W tej sytuacji był możliwy tylko jeden rodzaj kuracji; „mówienie wprost” i kompromitacja nowomowy poprzez konfrontację jej klisz językowych z konkretem. Z dzisiejszej perspektywy dorobek

Nowej Fali, co doskonale pokazuje antologia Nyczka *Określona epoka*, jest dowodem większej skuteczności obrony suwerenności wrażliwości na poziomie indywidualnej wierności konkretowi, aniżeli stadnego sprzeciwu, najbardziej wyrafinowanego przeciwstawiania jednych abstrakcyjnych formuł innym. Ceną takiej postawy jest samotność autentycznego twórcy. Dziś poetyckie światy najwybitniejszych twórców Nowej Fali różnią się od siebie w sposób całkowicie w momencie startu pokolenia nieprzewidywalny, jak wiersze Adama Zagajewskiego, Ryszarda Krynickiego i Juliana Kornhausera. Ale gdy się zastanowimy, dojdziemy do wniosku, że inaczej być nie mogło.

W tym momencie interesuje nas przede wszystkim pierwszy etap twórczości Nowej Fali, bowiem już w latach 80. ta w miarę spójna konstelacja pokoleniowa rozpada się w procesie, który ulega naturalnemu przyspieszeniu po roku 1989. Już w samych początkach twórczości Nowej Fali towarzyszyły manifestacje artystów grupy WPROST, Geta Stankiewicza, Zbigniewa Warpechowskiego, Ewy Partum i Janusza Kaczorowskiego, teatrów studenckich: STU, Teatru 8. Dnia czy Kalambura.

Wpływ Janusza Kaczorowskiego szczególnie na poetów z grupy TERAZ, zapomnianego po samobójczej śmierci w 1986 roku artysty, jest niedoceniony. W jego pracach z przełomu lat 60/70. w największym stopniu widać krystalizację i nowość postawy artystycznej awangardy pokolenia. Projekt klockowego modelu Mauzoleum Lenina, gdzie wariantowość przedstawiania klocków radykalnie zmieniała symbolikę, projekty sztandarów dla związków zawodowych (np. Rady Ładowaczy i Taboru z maksymą „Na nic wpływu”) nie ograniczały się do kontynuacji Różewiczowskiego dyskursu z jego wiernością konkretowi, twórczej destrukcji materialności przedmiotu Władysława Hasiora. Kaczorowskiemu najlepiej udało się przywrócić subwersyjnej, wywrotowej funkcji sztuki. Zaprojektowane przez niego sztandary związków zawodowych nie były karykaturami, zamiast nich oferowały powtórzenie przez odkształcenie. Dziś nie pamiętamy o rewolucyjnym znaczeniu tych wystąpień, pozornych drobiazgów, jak grafika Geta Stankiewicza, gdzie na zdjęciu komunijnym świeca zostaje zastąpiona przez młot, czy instalacji Warpechowskiego *Talerzowanie*.

Odkształcenie zrytualizowanych dyskursów w poezji Nowej Fali, zwłaszcza we wczesnej poezji Stanisława Barańczaka i Ryszarda Krynickiego odgrywało analogiczną rolę. Pozostając na poziomie wierności konkretowi tworzyło antysystemowy koktajl Mołotowa, przywracało literaturze wywrotowość. Jak było to możliwe – wystarczy przeczytać wiersz Wita Jaworskiego *O potrzebie ontologicznego dowodu na istnienie proletariatu* czy opowiadania Romana Wysogłada z jego wczesnego tomu *Przekrętka* albo Janusza Andermana z *Głuchego telefonu*.

Dlatego poszukiwacze deklaratywnych antykomunistycznych przesłań w twórczości pokolenia Nowej Fali walą głową o mur. Nie rozumieją tego, co się wydarzyło w polskiej kulturze po marcu 1968 r. Tego że WPROST-owcom, Stankiewiczowi, wczesnemu Edwardowi Dwurnikowi, Kaczorowskiemu i Warpechowskiemu, i poetom Nowej Fali udało się przywrócić subwersyjną funkcję sztuki. To było dużo bardziej znaczące i skuteczne

aniżeli deklarowana opozycyjność, spektakularny antysystemowy gest sprzeciwu.

W dużym skrócie można powiedzieć, że artystyczna aktywność pokolenia '68 była dla podległego dekadencji systemu zagrożeniem nie dlatego, że otwarcie kontestowała system, ale że umiała go opisać i obnażyć. Przywrócenie wywrotowej funkcji sztuki jest cennym dziedzictwem. Jego znaczenie polega na tym, że wymuszanie konformistycznych zachowań przez mechanizmy rynku, efemeryczność mód są dużo skuteczniejsze aniżeli anachroniczne mechanizmy cenzury. Nic dziwnego, że to co obecnie najciekawsze w polskiej sztuce i literaturze, jest rozwinieniem poetyki wywrotowości odkształcenia konkretnego; poezja Marcina Świetlickiego, malarstwo Wilhelma Sasnała, proza Doroty Masłowskiej, instalacje Zbigniewa Libery.

W tym momencie trudno przewidzieć, jak będzie wyglądała kulturowa pamięć zysków i strat transformacji po roku 1989. Jednego wszakże, jak się wydaje, możemy być pewni, że próba przeformowania uniwersum antykomunizmu pamięci kulturowej się nie udała. Ryszardowi Kapuścińskiemu nawet IPN nie jest w stanie zagrozić. IPN-owskie kwity były zresztą niczym innym jak rozpaczliwą próbą narzucenia amputowanej ze spontaniczności, limitowanej recepcji dzieła sztuki, wyrwania przeżycia estetycznego i artystycznego z zawężającego się z powodów dominacji techniki i stymulowanej przez nią kompulsywnej konsumpcji, intymnego obszaru wolności osobistej.

Uogólniając można powiedzieć, że sytuację kultury polskiej i literatury zmienił nie tyle upadek realnego socjalizmu, ile wolny rynek. Kornhauser być może grzeszy nadmiernym pesymizmem, kiedy pisze: „Życie literackie przestało konserwować zjawiska, nawet wybitne, zajmując się rynkiem, marketingiem, promocją i produkcją. Przeszłość utraciła swoje dawne znaczenie, nie jest już rezerwuarem nienaruszalnych wartości. Przeciwnie, przeszkadza w konstruowaniu świadomości kulturalnej jako *fast foodu*. A ona jest najbardziej ceniona”.

W warunkach wolnego rynku unifikacja kulturowej pamięci w oparciu o jakiś wektor ideowy jest skazana na porażkę. Sytuację tę doskonale zanalizował Daniel Bell w *Kulturowych sprzecznościach kapitalizmu*. Dziś trudno jest przewidzieć, jak kultura polska poradzi sobie w tych nowych warunkach, ale inne sobie radzą i pewnie z naszą też nie będzie źle.

Problemem dla badacza kultury i literatury polskiej lat 1944-1989 nie jest w jakim stopniu uległy one zniewoleniu, kolaboracji czy inwigilacji, na ile dawały odpór i komunistycznej indoktrynacji, ale jak była możliwa tak spektakularna eksplozja w sytuacji kompletnej niezależności od rynku; dotyczy to zarówno literatury krajowej i emigracyjnej, kultury wysokiej i popularnej. Innymi słowy – jak możliwy był Różewicz, Bobkowski, Borowski, Gombrowicz, Lutosławski, Panufnik, Stern, Opałka, Penderecki, Górecki, Kantor, Kapuściński, Krall, Grotowski, Wajda, Has, Miłosz, Szymborska, Szajna, Hasior, Abakanowicz i Demarczyk. Jak to się stało, że bez rynku kultura polska przełamała kompleks kultury peryferyjnej zyskując podmiotowość, która w tym stopniu w Europie i świecie nie była jej udziałem?

ADAM KOMOROWSKI

JERZY PIĄTKOWSKI

WIERSE

Utrwalony kształt świadomości

Maryli Hajdeckiej

Przejściowe zubożenie artystów
pojawia się jak szkorbut u marynarzy
Dostojewski w Wiesbaden nie dostawał obiadów

Nie wisiał u klamki „właściciela spasionej księgi
hotelowych gości”... i nie patrzył w jego oczy
jak na dzwon pływającej meduzy

i był zbyt dumny by wdziękzyć się do służącej
jak do siodłatej mewy – kiedy w kuchni
odbywa się cilenie brył lodowych schabu
odkrawanych od czoła lodowca

Niemiec jak to Niemiec – śledził
Dla niego liczył się fakt
pisarz nie unika hazardu... nie płaci

Podpatrywał a tuż obok
do wielbicielek płynęły listy pełne pocałunków
Rozpaczliwe błagania o pomoc

Skąpe musiało być to wsparcie bo Fiodor
zaciskał zęby i pisał książkę „Gracz”
Klął przy tym szpetnie na Niemca
ale pił jego litościwą herbatę

Niekiedy patrzył do lustra
bo tylko w nim każdy staje się graczem
i co tam panie Dostojewski – mówił do siebie
wątpliwości... dyrdymały i dylematy moralne

Poszło o szanty

Długo by gadać – ruszyłem na piwo
i od wejścia na te akweny zbytku
widzę – knajpą ostro kołysze

Kudłate i warkliwe towarzystwo
basiory – wypasione i morskie

Niuchają w moją stronę... czy wiem
który z nich Sloccum Joshua
Wagner... Chichester... Teliga
Jaskuła – a który z nich Baranowski

Stanowię chudy kęsek
z miejsca „szanghajowany” w przejsiu

Potulnie podążam
jak młodziak z szekłą w garści
i z myjką w wiaderku

Stare wygi radośnie kołyszą się
i gulgoczą

Uczestniczę i ja – w Szanti-festiwalu
W Szanti-festiwalu ...

Pięści bębnią
czerstwe jak bochenki chleba
dzwoni szkło... i morze burzy się i wyje

Czuję... emocji będzie co niemiara
bo moja przekora
pokazuje swoje maluśkie żądełko

Wolałbym dziurę w burcie

powiadam – niż z wami wyrzucać treści
jak choroba morska

z a n i e m ó w i l i
– i lampy entuzjazmu w nich przygasły
Odłożyli bez słowa kufle i wiosła

[...] Jesteście zbałamuceni – ciągnąłem
za sznureczki w koszulinie odwagi

Dla mnie wszystko czym zapełniacie gardła
to nie pieśń żeglarzy! – Ale skarga...
Skarga uprowadzonych murzynów
Niewolników

– Czuje... chcą bić
ale jak człowiek za burtą... chwytam
za spadające koło ratunkowe

Prowadźcie przed bosmana – wyludzam

Pod sąd ... pod sąd pokrzykują
i stawiają
przed wyekspluatowaną brodę grubasa

[...] Nie bądź taki Stevie Wonder
mówi mi w nos
i bez ogródek Starzec Morski

Ojciec zapewne 50 córek
pewny siebie jak Nelson pod Trafalgarem

Zobaczmy co potrafisz awanturniku znikąd

„Beczka piwa na pokład!”
– komenderuje

Poczułem na karku ... zimny okład
zakołysało raz i drugi nawą
Podano dwa kufle... i obarczono je pianą

Na moje szczęście podeszła do Starca Dni
jakowaś piękność i wdzięcząc się
naszeptowała mu coś do ucha

Rychło zebrał w sobie otyłości
i szedł potulnie
acz chwiejnie na nawietrzną burtę

Beczka jest dla wszystkich !
– zawołałem
do osuszonych języków

Zakotłowało od wyciągniętych rąk
Bosman nie wracał ... zmieniał długo wachtę
więc przetrwałem

Nim świt zastukał – w iluminatory i bulaje
urywałem natrętów
jak guziki od starej kapoty

W drodze do domu zarzekałem się...
Może naiwnie – nigdy więcej
Nigdy więcej festiwali z żeglusami

Decyzja zapadła

Zdzisławowi Wawrzyniakowi

Żołnierze czekają na szczepienia...
jednostka świadoma celu – jedzie do Azji
Odwołano loty i koncerty jazzowe w Kansas City

[...] w telewizji ptasia grypa
Ludzie śledzą czy nie spadł na pobliskie wody
jakiś zakażony wróbelek

[...] Straż parkowa... goni z alejek starsze kobiety
z wnukami – ściąga żerdzią gołębia
który dostał w głowę od jastrzębia

Ale oni uśmiercają kilka łabędzi i pakują w worki
Komisja z Ministerstwa obejrzy przypadek
jak „Błękitny cyrk” Chagalla

Żołnierz z młodszego rocznika
– zgłasza niejasne objawy
Wyuczono go w koszarach... co to są lśniące
i chromowane zderzaki życia

Woli poleżeć w izolacie...
pograć w karty... bo to lepsze
niż zasuwać krokiem defiladowym

– Telewizja ma ustrzec społeczeństwo
od paniki... pokazuje wilgotne siedliska
lasów Tasmanii – skrzypy z okresu dewonu
i maleńkie pastorały paproci

Jako lekarstwo... na stres

Proponuje by włączyć delikatne melodie
– Diany Krall albo Ennio Morricone

Zaleca bicze szkockie... jacuzzi
drenaż limfatyczny... parafango
albo masaż pestkami z czarnych winogron

Gadatliwy brodaczy chyba... monachijski
Poleca wino *Unico* z Kastylii
Czyli z ziemi zamków
koniecznie z Ribera del Duero... mówi
bo leżakuje w beczkach z amerykańskiego dębu

Za moment – jesteśmy już w Afryce
kamera podgląda górskie goryle...
goni za wstęgami najstarszej na ziemi rośliny

„Babuleńka” w zmarszczkach chlorofilu
liczy sobie... ponad 2000 lat – mówi botanik
Teraz kamera podąża za rogami antylopy
i wszystko przyspiesza

a więc... jesteśmy w Etiopii – odświętnie
prezentują się okrągłe domy z kamienia
– czerwien cegły... dachy pokryte trawą

Ktoś mędrkuje
W Nubii było więcej piramid niż w Egipcie
– jak tam już chcecie mówić...
a nuda medialna każe gmerać za innym kanałem

Wracam jak tramwaj do Paryża
W soczewkach niosę kasyno w Monte Carlo
Kapie złoto i purpura... alegorie... witraże
żyrandole z brązu i Atrium wyłożone marmurem
okała rząd jońskich kolumn

Tłumy mężczyzn w strojach wieczorowych
fantasmagoria pod niebem zafundowanym
przez architekta Charlesa Garniera

– we krwi narasta patos *Marsylianki*
Toczy się gra... w inwazji piękna
szukają światła grawerowane kielichy i pucharki

Migają trójkątne kapelusze... wiatr bawi się
perukami – przegania pantofelki i harcapy z kokardą

Dryfują pudrowane damy – słodka trucizna
i erotyczna udręka... suknie z głębokimi dekolami
w rękach haftowane chusteczki
poprawiają nerwowo kapelusze z kwiatami

Siadają by pozować do portretu u Queintina de la Tour
boją się prowokacyjnego humoru Fragonarda
najlepszego z uczniów Bouchera

O biedna ty ... kochanico Francuza
wchodząca w stan... ubestwienia

Przemywam twarz zimną wodą – nie pomaga
Wszystko wraca jak podany tokaj... z potężną
życiową treścią o smaku pieczonego chleba
Kipi młodością – Paryż

Siedząc na Pont des Arts

Myślę o pochodniach Amora – festonach
i orłach rzymskich... gałązkach lauru
– widzę przestrzelone serca i kosze pełne kwiatów

Wieża Zegarowa z XV wieku – stróżówka
w pałacu Kapetyngów... posłużyła za więzienie
i tam czekano na ścięcie gilotyną

Biadole... bo nie lubię stylu empire
w którym utknął Paryż naśladowując formuły
i ozdoby starożytne na rzeczach nowych

Szyje łabędzie zamieniają się w poręcze kanapy
Wielkie łby i potężne łwie łapy
zaczynają zdobić sprzęty
czerwono-czarny mahoń mówi o dostojeństwie

Hieroglify zdobią szafy na książki
mieszają się motywy hellenistyczne z egipskimi
Rozpinają się baldachimy
i bufiaste kotary spływają na podłogę

Fałsz epoki przybiera nową szatę
Marmur zamienia się w gips
Szkło zaczyna imitować drogie kamienie

Karton ludzi najcenniejsze gatunki drzewa
przewartościowuje wdziki porcelana
Tęsknota każe budować Łuk Triumfalny

Wszystko co powstaje ma być dodane
do monarszej wspaniałości

Pergaminy z tropiku
Tropik puszczy drga jak przy rytmie samby
Pięta wystukuje jamby – wiąże słowa

Zachęca storczyki i spadające liany
bromelie – grzyby owadomorki... pleśń
Wilgocią napętnia splekaną urnę liścia

I życzliwy jest dla mnie
Jak pachnące ziołami dymy jesienne
„koci mruk zmęczonego serca”

Z ufnością zbieram... niby chrust
– okostychy jak ongiś w Niderlandach
Bracia Wspólnego Życia

Czasem lęgnię się jak mól w starych szpargałach
– słabość... i mam ochotę już rzucić
moje „myśli nadwartościowe”

w butelce
przytkanej korkiem tęsknoty
na hulaszce grymasy morza

Na sękaczu... w którym widzę podobieństwo
z karłowatą wiśnią – siedzi ostrodrobna sowa

tajemnicza niczym liczba Avogadra
bajeczne rzęsy... duże powieki
niemal jak u naszych kameleonów uśpione okna

Młode tapiry taplają się
w bagiennej faktorii i maskują
niczym antyterrorystyczna jednostka SAS
przed atakiem na Falklandy

Ale zamknijmy tamte wrota inwazji

Nie chcę wyżej nosa gęby nosić
jak absolwent Accademii del Cimento
księcia Medyceusza...

ale skąd mogę wiedzieć
co podać na twój obłożony złośliwością język

Może kawałek wielkiego nietoperza
którego jak gołębia gotują obok
podtapiając jego głowę drewnianą warzechą

Dzieci krążą niczym alergen pyłkowy
pośród tej bogatej oferty

A tu jeszcze leżakują
w obitym metalu miski
wąsate chrząszcze... termity i larwy
hodowane w gnijących liściach palmy

Świat zjada wszystko... niepomny na ból
śledzi jedynie – dokąd mu człapie...
ruchliwa dieta białkowa

JERZY PIĄTKOWSKI

(Wybór wierszy, które wejdą do najnowszego tomu *Głębia nadziei*)

JAN POLEWKA

KAPITAŁ I RÓŻE

GORZKA KOMEDIA

SCENARIUSZ FILMOWY

Fragmenty tekstu, który pod pierwotnym tytułem Odlot: Cracovia – Paradiso uczestniczył w finale konkursu na scenariusz filmu o Krakowie Trzy korony.

W SAMOLOCIE ALITALII ROMA-CRACOVIA. LIPIEC. PONIEDZIAŁEK W POŁUDNIE. CLAUDIA CASSATI i jej syn GIULIO. Obok nich ANDREA SNARSKI.

ANDREA

(podając Claudii płyty CD, które upuściła niechcący)
Signora, prego...Verdi e Puccini vanno insieme?
(Proszę panią. Verdi i Puccini lecą razem?)

CLAUDIA

Si, tutti e due...sono la donna mobile. Grazie. I regali per amici. Lei e il Polacco? *(Tak, obydwaj... jestem kobietą zmienną. Prezenty dla przyjaciół. Pan jest Polakiem?)*

ANDREA

In fondo di cuore, si. Ero nato in Polonia, ma vivo a Roma da trenta anni. Ora vado per concerto „Dalla terra italiana per Polonia”. Sono cantante dell’opera. *(W głębi serca tak. Urodziłem się w Polsce, ale mieszkam w Rzymie od trzydziestu lat. Teraz jadę na koncert „Z ziemi włoskiej do Polski”. Jestem śpiewakiem operowym.)*
(Nuci „La donna e mobile”)

W KRAKOWIE, TEGO DNIA, W POŁUDNIE.

Ulica Wenecja, ogród między kamienicami. Na balkonie pierwszego piętra ANTONI podlewa rośliny z komórką przy uchu.

ANTONI

Dobrze, córko, zaraz będę... tak, pod Cracovią, jedziemy przez Las Wolski. Nie, Karolina nie chciała, wiesz, twoja siostra jest trochę nie, nie dzika, tylko osobna. Jasne, ma to po mnie. Kończę, bo ktoś stuka, cholera, akurat teraz!
(Słychać natarczywy dzwonek i pukanie. Antoni przechodzi przez pokoje starego krakowskiego mieszkania do drzwi. Za drzwiami dwaj mężczyźni w garniturach.)

RYŻY

Pan Antoni Polaczek? Albin Cielec, lokale i nieruchomości. Jestem właścicielem i zarządcą tej kamienicy. Moja żona jest prokuratorem.
A to jest administrator.

ANTONI

Ma pan na to jakieś dokumenty?

CIELEC

Są w moim biurze. A tu jest nowy czynsz i półroczne wymówienie dla pana.

ANTONI

Półroczne? W najgorszym razie trzyletnie.

CIELEC

Mam dla pana lokal w blokach socjalnych TBS. Jedenaście metrów na osobę.

ANTONI

Ale ja się na pewno nie wyprowadzę. Urodziłem się tutaj i póki żyję...

CIELEC

Wszystko się kiedyś kończy, nawet życie. Proszę o podpis.

ANTONI

Niech pan to wyśle pocztą. I proszę mnie więcej nie nachodzić.

CIELEC

Jako zarządca mam prawo wejść do każdego mieszkania po uprzednim zawiadomieniu. Powiadamiam pana, że w czwartek chcę pokazać ten lokal moim klientom. A to jest świadek.

ANTONI

Niech pan nawet nie próbuje (*zatrząskuje drzwi*).
Na schodach za drzwiami – ci sami dwaj.

ADMINISTRATOR

Stawiają się panu te pluskiewki.

CIELEC

Na początku zawsze. Jak nas nie wpuści, odetnę mu wodę. No, gdzie jest ta wdowa? Na dole?
(*Schodzą w dół*)

W SAMOLOCIE c.d.

GIULIO

Vedo le montagne, le vedi mamma? (*Widzę góry, widzisz je mamo?*)

ANDREA

Tatra. Siamo sulla Polonia. *Do Claudii*: Mi sembra, che ho visto Lei alla televisione. Lei e l'attrice? (*Tatry. Jesteśmy nad Polską. Wydaje mi się, że widziałem panią w telewizji. Pani jest aktorką?*)

CLAUDIA

Cantatrice e la danzatrice, signor baritono. (*Piosenkarką i tancerką, panie barytonie.*)

ANDREA

Brava! Io sono Andrea. Allora cantaremo il duetto a Cracovia. (*Brawo! Ja jestem Andrea. A zatem zaśpiewamy duet w Krakowie.*)

CLAUDIA

Facciamo trio. Giulio, mio figlio con la gitara a'l mano, e noi. (*Zrobimy trio. Giulio, mój syn z gitarą w ręce, i my...*)
/Nucą razem „O sole mio, o dolce trio”/

ULICA FOCHA przy Błoniach. ROMANA wskazuje do auta Antoniego.

ROMANA

Cześć ojciec. Zdażymy?

ANTONI

Jasne. *Rusza ale zaraz hamuje*. Cholera, jak ona jedzie, laska wawelska!

ROMANA

Jesteś zdenerwowany?

ANTONI

Skądże. Tylko wpięprzony.

ROMANA

Na szatynki? Jakies niepowodzenie?

ANTONI

Posłuchaj, Roma. Jeden gnojek od nieruchomości chce nas wyrzucić z mieszkania. Mówi, że ma zarząd domu, ale ja wątpię w to.

ROMANA

No to niech spada.

ANTONI

Boję się, że nie pójdzie z nim tak łatwo.

ROMANA

Boisz się go? Przecież ty się nikogo nie boisz.

ANTONI

Przesadzasz. A on ma nawet pomocnika. Model ABeeS.

ROMANA

Absolutnie Bez Szyi?

ANTONI

Gorzej. Absolutnie Bez Skrupułów.

ROMANA

Nauč się ojciec, pokonywać strach. To najważniejsza rzecz w życiu.

ANTONI

Nauč się córko! A wiesz co? Cholera, teraz to do mnie dotarło!

ROMANA

Co takiego?

ANTONI

Ten zarządca to miał oczy tajniaka.

W SAMOLOCIE c.d.

CLAUDIA

Mio figlio va a Cracovia per la prima volta. Spedizione artistica. Lui vorrebbe fare qualche fotografie della vita

quotidiana. Come si chiama tuo progetto, Giulio? *(Mój syn leci pierwszy raz do Krakowa. Wyprawa artystyczna. On chce zrobić tam fotografie z życia codziennego. Jak się nazywa twój projekt, Giulio?)*

GIULIO

Si chiama „Ricci e poveri- segreti della liberta”. Ci sono senzatetti a Cracovia? *(Nazywa się Bogaci i biedni - sekrety wolności. Czy są w Krakowie bezdomni?)*

ANDREA

I barboni? Si, certo. Loro tutti dormono sempre sulle banchi anticchi. *(Kłoszardzi? Tak, na pewno. Oni wszyscy śpią zawsze na zabytkowych ławkach.)*
W BALICACH NA ŁĄCE OBOK LOTNISKA.
CHUDY, KONSUL I DEKOR z reklamówką piwa.
Startuje Boeing.

CHUDY

To Rajaner, London.

KONSUL

Co ty? Teraz to Skajurop. Zaraz siada Mediolan.

DEKOR

Rzym, Alitalia.

KONSUL

A, kurwa, masz rację. Mediolan jest we wtorek. A jutro Barcelona.

DEKOR

Kurde, poleciałbym do Barki. Ne byłem tam.

KONSUL

A kto by cię tam zabrał? W takim stanie?

CHUDY

Dekor, to ty kurwa, latałeś po całym świecie?

DEKOR

No, troche.

CHUDY

I cóż ty tam robił?

KONSUL

Nie wiesz? Nosił dekoracje w teatrze. I aktorów też, co nie?

CHUDY

I chcieli cię tam?

DEKOR

Powiedziałem im, że nie piję. I że spikam po angielsku i parlam france.

CHUDY

Mnie to by się tak nie chciało.

KONSUL

Nie wypić?

CHUDY

Idźże, idźże. Wkuwać języków. Ja to wolę po krakowsku: spieprzaj dziadu, a nie jakieś fak of.

KONSUL

A Dekor wolał po francusku. Chodziłeś tam na kurwy, co nie?

DEKOR

A tam, płacili mi grosze. Cholera, Rzym się spóźnia... Pewnie mają strajk włoski.
W SAMOCHODZIE c.d. Ulica Królowej Jadwigi, koło parku Decjusza.

ANTONI

No, a w najgorszym razie rozbijemy namiot w tym parku.

ROMANA

Prędzej wyjechałabym stąd, sto razy.

ANTONI

Wszystko przed tobą, córko.

ROMANA

Jak mama zostanie w Kanadzie, pojedę do niej na rok.

ANTONI

Jesteś dorosła.

ROMANA

A ty?

ANTONI

Zostanę z Karoliną. Chyba że ona dołączy do was.

ROMANA

To może byś się ożenił. Podobasz się kobietom.
(Antoni hamuje i wolno wyprzedza dorożkę. Szkapa zagląda mu w okno.)

ANTONI

Może ty byś wyszła za mąż. Pojechałabyś do ślubu do ślubu dorożką.

ROMANA

A kto się teraz żeni? Bez ślubu ludzie żyją ze sobą lepiej.

ANTONI

Chcesz mi podrzucić nieślubne wnuki? Mam pomysł: wyjdź za Giulia. Zaraz zobaczymy czy się nadaje.

ROMANA

To ty raczej ożeń się z jego matką. Jej mąż ma już inną żonę.

ANTONI

Skąd o tym wiesz?

ROMANA

Od Giulia. Przez skajpa.

ANTONI

Rozmawiasz z nim po włosku?

ROMANA

Po angielsku. Po włosku nie mam odwagi.

ANTONI

No to naucz się córko...

ROMANA

Po włosku pokonywać strach. Va bene, papa! Andiamo avanti! (*Dobrze tato! Idziemy naprzód!*)

ANTONI

Andiamo! E battiamo tutta la mafia! (*Idziemy! I bijemy całą mafię!*)

W SAMOLOCIE c.d.

CLAUDIA

Guarda, Giulio, tu vedi il castello? (*Popatrz, Giulio, widzisz zamek?*)

GIULIO

Si mamma, lo vedo. Come Si chiama? (*Tak mamo, widzę go, Jak się nazywa?*)

ANDREA

Wawel. Vedi il drago, signor Giulio? (*Wawel. Czy widzisz smoka, panie Giulio?*)

GIULIO

E il drago? (*Smok?*)

ANDREA

A Cracovia c'è una vecchia fiaba col drago leggendario chi a mangiava le vergine. (*W Krakowie jest stara baśń o smoku który pożerał dziewice.*)

CLAUDIA

Terribile! (*Straszne!*)

ANDREA

Ero un italiano, credo. (*On był Włochem, jak sądzę.*)

GIULIO

E questo verde? Una radura nell bosco di pietra? (*A to zielone? Jakaś polana w kamiennym lesie?*)

ANDREA

Una cosa speciale. Gran' prato. Si chiama: Błonia. (*Rzecz specjalna. Wielki trawnik. Nazywa się: Błonia.*)

GIULIO

Buona? Ho capito: buona aria. Perche hanno fatto questa erba? (*Buona? Rozumiem: dobre powietrze. Po co zrobiono tę trawę?*)

CLAUDIA

Per la visita Papale. Ho visto questo a Rai Uno. (*Dla wizyty papieskiej. Widziałam to w Rai Uno.*)

GIULIO

Madonna! Cracovia e molto cattolica. Tu avevi ragione, mamma. (*Madonna! Kraków jest bardzo katolicki, Miałas rację, mamo.*)

NA LOTNISKU w hallu. Antoni i Romana.

ROMANA

Tato, dlaczego Karolina jeszcze nie leciała samolotem?

ANTONI

Bo nie chce. Nie cierpi hałasu, nie je mięsa i medytuje. Znasz ją.

ROMANA

To też po tobie tak ma?

ANTONI

Ja w twoim wieku latałem co roku na wakacje nad morzem.

ROMANA

Mieliście za komuny samoloty?

ANTONI

Tylko towarowe i wojskowe. A po bilety stało się cała noc na mrozie.

ROMANA

Na mrozie w lecie?

ANTONI

Wtedy w ogóle nie było lata. Tylko marzec albo grudzień. Dopiero jak przyjechał Papież zrobił się maj. A potem od razu sierpień... Żeby robotnicy mogli wywalczyć kapitalizm.

ROMANA

Ojciec, ty zawsze byłeś lewakiem?

ANTONI

Dopiero teraz jestem. W Peerrelu byłem z opozycją. I tak mi jakoś już zostało.

W SAMOLOCIE c.d.

STEWARDESSA

Signore e signori, tra qualche minuti atterreremo sull'aeroporto Giovanni Paolo Secondo a Cracovia.

Preghiamo chiudere le cinture e mettere poltrone in posizione verticale... *(Panie i panowie za kilka minut wylądujemy na lotnisku Jana Pawła Drugiego w Krakowie. Prosimy o zapięcie pasów i ustawienie foteli w pozycji pionowej.)*

GIULIO

Giovanni Paolo? Anche l'aeroporto e stato fatto per Santo Padre? *(Jan Paweł? Także lotnisko zrobiono dla Ojca Świętego?)*

ANDREA

Lascia ogni speranza, il Romano Giulio! Recita „Paternoster” subito! *(Porzuć wszelką nadzieję Rzymianinie Giulio. Zmów natychmiast Ojcze nasz!)*

NA ŁĄCZE koło lotniska w Balicach.c.d.

CHUDY

Dekor, to po coś ty tam latał? Po prezenty dla bąka?

DEKOR

Zgadłeś, ale nie tylko. Jak byś się kurwa nie śmiał, to ci powiem po co.

CHUDY

To gadaj. Dostaniesz browar.

DEKOR

Bo ja... tak najbardziej... to lubiłem wracać. Jak samolot schodził nad Krakowem, to było takie, że... no wiesz.

CHUDY

Że co?

DEKOR

Że, kurwa, jak w bajce!

KONSUL

Bo miałeś znowu na wódkę w Peweksie, co nie?

DEKOR

Nie o to idzie. Tam z góry, było widać wszystko, i Kopiec, i Las Wolski, i cały Zwierzyniec i zoo...

CHUDY

Co ty? Widziałeś wielbłądy z góry?

KONSUL

Albo żyrafę, co nie?

DEKOR

Widziałem czy nie, ale tam były. Jak byłem szczyłem to ojciec nas tam woził Dekawką. A tam w zoo jest taka klatka, od przedwojny, tylko dla orłów. Wysoka jak dom, że ptaków prawie nie widać. Ale są tam, bo nigdzie, kurwa, dalej nie polecą!

(Ryk samolotu)

KONSUL

(przekrzykując hałas)

Dekor, toś ty, kurwa, po całym świecie latał, żeby wracać do tego zoo?!

NA LOTNISKU w hallu c.d.

(Antoni i Romana, w głębi dziennikarka z mikrofonem w ręce podchodzi do wysokiego starszego pana w okularach i małym kapelusiku.)

ROMANA

Tato, kto to jest, jakiś VIP?

ANTONI

Kto to jest? O rany! Dramaturg, córko, już kojarzysz?

ROMANA

To on jeszcze żyje? Chyba był chory?

ANTONI

Miał afazję i trochę stracił pamięć. Na czym byłeś ostatnio w teatrze?

ROMANA

Na *Odprawie posłów greckich*. Super. Cała akcja jest na lotnisku.

ANTONI

O Jezu, wiem. Patrz, on chyba leci do Paryża.

ROMANA

Wiem już, on napisał tę sztukę o emigrantach... Może znowu emigruje? Nie zdziwiłabym się.

ANTONI

On całe życie był wędrownikiem.

ROMANA

A ty kim? Pustelnikiem?

ANTONI

Raczej ogrodnikiem. Wszyscy uciekali stąd... a ja nie mogłem.

ROMANA

Szkoda. Mogłam urodzić się w Rzymie... albo w Paryżu.

PRZED SALĄ ODLOTÓW. DRAMATURG i MAGDA, dziennikarka radiowa.

MAGDA

Mistrzu, tylko jedno pytanie. Czy to prawda, że leci pan do Francji, żeby wybrać miejsce na następne lata życia?

DRAMATURG

Na to pytanie nie odpowiem pani teraz. Może następnym

razem, kiedy znowu spotkamy się w tej poczekalni do świata.

MAGDA

Ale ma pan jeszcze jakieś uczucia dla Krakowa?

DRAMATURG

Teraz przypominam sobie, że po włosku są takie podobne słowa: amore – kochać i amaro – gorzki.

MAGDA

I amarcord – przypominać sobie.

DRAMATURG

Tak. Ja już nie muszę niczego pamiętać. Mogę sobie tylko przypominać. Po cichu.

NA LOTNISKU. Wyjście – Przyloty. Andrea, Claudia i Giulio z bagażami. Antoni i Romana na przeciw.

ANDREA

Antek?! Witaj, mój kochany! Skąd wiedziałeś, że dziś przylatuję?

ANTONI

Nie wiedziałem. Przyjechałem po Claudię i Giulia. To wy się znacie?

ANDREA

Od niedawna. Poznaliśmy się w samolocie, per caso.

ANTONI

Per caso? Che caso! Ciao Claudia, ciao Giulio, come state? Benvenuti a Cracovia! Conosci Romana, Giulio Romano? Va bene, andiamo tutti insieme. *(Przez przypadek? Co za przypadek! Cześć Claudio, cześć Giulio, jak się macie? Witajcie w Krakowie! Znasz Romanę GiulioRomano? Dobra, jedziemy wszyscy razem.)*

ANDREA

(przy samochodzie)

Anteczku, czy możemy jechać koło miejsca gdzie będę miał recital? Willa Decjusza. Włoski renesans.

ANTONI

Oho, emigranci często znają Kraków lepiej ode mnie.

ULICA KRÓLOWEJ JADWIGI.

(samochód skręca za parkiem Decjusza)

ANDREA

Carissimi, adesso vediamo palazzo dell'Rinascimento costruito da un corteggiano della Regina Bona Sforza. *(Moi drodzy, teraz widzimy pałac z epoki Renesansu zbudowany przez dworzanina królowej Bony.)*

GIULIO

Lui era un amante della Regina? *(Czy on był amantem Królowej?)*

ANDREA

Sarebbe possibile, perche suo marito il Re si chiamava Sigismondo Vecchio. *(Możliwe, ponieważ jej mąż nazywał się Zygmunt Stary.)*

CLAUDIA

Ogni buon marito dovrebbe essere vecchio. *(Każdy dobry mąż powinien być stary.)*

ANDREA

Dovrebbe essere il Re. *(Powinien być królem.)*

WILLA DECJUSZA. Na tarasie w głębi próba tańca dworskiego zespołu Cracovia Danza. Goście siadają w kawiarni na zewnątrz.

CLAUDIA

Che bell' posto, per i spettacoli. *(Piękne miejsce, dla spektakli.)*

ANDREA

Anche bello per Lei. Vuol' danzare in vecchio giardino? *(Także dla pani. Chce pani zatańczyć w starym ogrodzie?)*

No to, Antku, w piątek zapraszam was na mój recital w tym pałacu.

ANTONI

Dzięki. A potem ja zapraszam wszystkich do mojej pracowni. Dopóki ją jeszcze mam.

ANDREA

Chcesz się pozbyć swojego atelier?

ANTONI

Chcą się mnie pozbyć. Z pracowni od dawna, a ostatnio z mieszkania.

ANDREA

Więc będziesz malarzem bezdomnym? Artystą-kloszardem?

ANTONI

Jak w Paryżu. Niech szczeną artyści.

PRACOWNIA ANTONIEGO przy Dolnych Młynów. Na ścianie plakat Teatru Cricot II Niech szczeną artyści. Wokół (jak na pracownię) idealny porządek. Antoni zbiera projekty do teki i wychodzi na schody. W górę wchodzi właściciel domu PAŃKOWSKI i administrator RYSPING.

PAŃKOWSKI

Kogo widzę? Jeszcze pan tu jest? Zaczynamy remont.

ANTONI

I będę tu jeszcze przez dwa lata.

RYSPIŃG

A my za tydzień zdejmujemy dach.

ANTONI

Oddam sprawę do sądu.

PĄTKOWSKI

Sędziowie drogo kosztują. A zanim pan coś uzyska, miną te dwa lata.

RYSPIŃG

A już za tydzień będzie pan malował gwiazdy z natury.
(śmieją się schodząc w dół)

WTOREK W POŁUDNIE. KAWIARNIA REDOLFI na Rynku Głównym. Antoni i MECENAS WIKTOROWICZ.

MECENAS

Dobrze, sprawdzę to w księgach wieczystych. Ale ty spróbuj działać rozsądnie.

ANTONI

Mam się wynieść? Dokąd? Przeżyłem tu życie.

MECENAS

Nie ty jeden. Są setki starszych ludzi, którzy chcą już tylko umrzeć w domu w którym żyli. Ale kogo to obchodzi? Politycy też już mają kamienice. Wasze są ulice a ich kamienice.

ANTONI

Tych spadkobierców nigdy nie było. Są księgi i jest sąd.

MECENAS

I ogromne pieniądze, jakich ty nigdy nawet nie zobaczysz z daleka.

ANTONI

Sądziłem kiedyś, że w nowej Polsce będą jakieś zasady.

MECENAS

Cóż, ustroje się zmieniają ale ludzie pozostają. Ojciec tego Pątkowskiego miał stadninę koni. A kto w Polsce Ludowej mógł mieć konie arabskie? Ten Cielec zaraz po studiach otworzył biuro nieruchomości, a o zgodę na to nie było wtedy łatwo. No a ten tam RyspiŃg, to w ogóle szkoda słów. Słuchaj, ty musisz kupić coś na własność. Chociaż kawałek, parę procent udziału w kamienicy.

ANTONI

Własność? Profesor Horak ma willę po ojcu, nad Rudawą, a obok jakaś spółka wykupuje tereny i on już im przeszkadza.

MECENAS

Bo to jest dziki zachód, i zwykli bandyci. Bo tam gdzie jest takie eldorado, zawsze znajdują się jacyś bandyci. Uważaj z nimi, Antek.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ...

WTOREK WIECZOREM. PRZED PRACOWNIĄ ANTONIEGO. Antoni zapala światło w korytarzu i nagle nieruchomieje. Drzwi do pracowni są rozbite i otwarte. Wewnątrz, na podłodze widać jakieś skłębione kształty. Antoni wchodzi bardzo ostrożnie, wołając trzykrotnie „kto tu jest?”, ale panuje cisza. Zapala światła i widzi, że pracownia jest kompletnie zdewastowana, a obrazy, projekty i książki w strzępach. Nagle ktoś pojawia się w korytarzu. To sąsiadka z dołu z ojcem emerytem.

SĄSIADKA

Panie Antoni tu było włamanie, do pana. Czekamy na policję już ze dwie godziny. Dwóch ich było, jeden ojca uderzył, bo ojciec coś usłyszał i wyszedł na schody, no i chciał ich łąpać...ale panu zrobili burdel!

ANTONI

Nic panu nie jest? Ma pan sińca, jedźmy na pogotowie.

SĄSIADKA

Nie, ojciec nie chce, zawsze taki twardy.

SĄSIAD EMERYT

Ale wiesz pan co? Jak ja go walnąłem tym pustakiem, to aż poleciał na dół!

CZWARTEK W POŁUDNIE. BIURO POSELSKIE POSŁA BOREWICZA.

POSEŁ BOREWICZ

Witam artystę. Cześć. Co cię do mnie sprowadza?

ANTONI

Chcę prosić żebyś mi pomógł. Zdewastowano moją pracownię. A policja nic z tym nie robi.

BOREWICZ

A wiem, coś było o tym w gazecie. Współczuję. Ale co ja teraz mogę? Wszyscy tam się pozmieniali.

ANTONI

Chyba nie wszyscy. A ty przecież grałeś w filmach postać porucznika Cieślaka. Byłeś dla nich kultowym detektywem. Zadzwoń do kogoś, co?

BOREWICZ

No cóż, jako poseł zawsze mogę interweniować w sprawach kultury...

ANTONI

Raczej w sprawie obywatela wyborcy i bandytów. Czy ja nie powinienem jakoś się uzbroić?

BOREWICZ

Nie rób tego, bo to się może źle skończyć, to znaczy jeszcze gorzej... (Do telefonu) Proszę połączyć z komendantem wojewódzkim...

SCENA POD RATUSZEM. Spektakl grupy włoskiej Nowa gorączka złota. Romana i Giulio patrzą jak aktor podobny do Chaplina i Einsteina walczy z bandytami i ogromnym, skorumpowanym policjantem. Bandyci gonią bohatera i niszczą jego walizki. Policjant udaje, że nie widzi.

U KOMENDANTA WOJEWÓDZKIEGO POLICJI.

KOMENDANT

Tak, poseł Borewicz dzwonił. Oczywiście, słucham, proszę mi wszystko opowiedzieć. Czy podejrzewa pan kogoś?

ANTONI

Jestem pewien, że to administrator na polecenie właściciela wynajął tych typów.

KOMENDANT

Rozumiem. Ale czy ma pan na to jakieś dowody czy świadków?

ANTONI

Pobito sąsiada, który ich chciał złapać, ale nikt z policji z nim nie rozmawiał.

KOMENDANT

No tak, wie pan co, umówię pana z komendantem miejskim. I dam panu moją wizytówkę. Współczuje, takie straty... a wie pan tutaj mamy obrazy pana kolegów. Czy pan też czasem maluje widoki Krakowa?

ANTONI

Nie. Raz tylko zrobiłem plakat: „Kraków, bezpieczne miasto”.

MIGAWKA ZE SCENY POD RATUSZEM. Policjant spisuje bohatera.

U KOMENDANTA MIEJSKIEGO, INSPEKTORA CZAPA.

INSPEKTOR CZAP

Proszę jeszcze raz, od początku. Jak się nazywa ten właściciel domu?

ANTONI

Paweł Pątkowski. Chce tam zrobić hotel. Spieszy mu się.

INSPEKTOR CZAP

Ach tak... Pątkowski? Wie pan co, ja tu zaraz poproszę aspiranta Kramera.

MIGAWKA ZE SCENY. Bohater siedzi na ławce. Policjant i bandyci piją piwo.

W POKOJU ST. ASPIRANTA KRAMERA

ASPIRANT KRAMER

Teraz poproszę o podpisanie protokołu. A potem przejdzie pan obok, żeby zostawić nam odciski palców.

ANTONI

Moje odciski? Po co?

ASPIRANT KRAMER

Żeby odróżnić je od innych pozostawionych w pana pracowni. To jasne.

ANTONI

Ale dotąd nikt tam nie chciał zbierać żadnych odcisków. I nikt nie rozmawiał z pobitym sąsiadem.

ASPIRANT KRAMER

A czy ten sąsiad był z tym u lekarza? Nie? To szkoda. Dam panu telefon do sierżanta Guzika z komendy dzielnicowej, który przyjdzie do pana. Dziękuję.

MIGAWKA ZE SCENY. Charlie-Albert w budce telefonicznej. Bandyci blokują drzwi budki od zewnątrz, bohater nie może się wydostać.

W ZDEMOLOWANEJ PRACOWNI. Antoni dzwoni do sierżanta Guzika.

ANTONI

Halo! Proszę mnie połączyć z sierżantem Guzikiem. Tak, słucham. Na zwolnieniu? A kto go zastępuje? Plutonowy Nitka? Aha, Nitak. Nie, proszę nie łączyć, tak czy owak ja sam zadzwonię do pana Pętelki. Nie, nie, to mój adwokat. (Wylacza się). Żart miał miejsce, panie sierżancie.

SCENA POD RATUSZEM. Taper gra jak szalony. Charlie-Albert goni policjanta, który goni bandytów, którzy gonią Charliego. Potem odwrotnie. Pojawia się napis: Prawo jest prawem a policja policją – koniec.

JAN POLEWKA

Podobieństwo nazwisk do nazwisk osób żyjących jest prawdopodobnie przypadkowe.



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Profesorowi

Henrykowi Markiewiczowi

Honorową Nagrodę KOWADŁA

w uznaniu

*Jego wielkiej wiedzy i mądrości
zawartej*

- w dziełach z zakresu teorii literatury i metodologii badań literackich wzbogacających naukę światową
- w głębokich studiach z historii literatury polskiej
- w twórczych pracach redakcyjnych, szczególnie przy fundamentalnym Polskim Słowniku Biograficznym
- w pięknych „Skrzydlatych słowach”.

*Jego roli spolegliwego Mistrza,
który ukształtował wielu polskich humanistów.*

Kraków, 29 stycznia 2009 r.

HENRYKOWI MARKIEWICZOWI

KOWADŁO „KUŹNICY”

(Laudacja)

Profesor Henryk Markiewicz. Wielki uczony. Niezwykły umysł. Mistrz i Mędrzec. Autor wielu dzieł z zakresu teorii literatury i metodologii badań literackich, których ranga i znaczenie przekroczyły granice polskiej kultury i stały się bogactwem światowej humanistyki.

Gdy myślę o młodym Henryku Markiewiczu, kiedy to byłem studentem i uczyłem się jego marksistowskiej teorii literatury, przypominają się słowa Aleksandra Wata, jednego z najboleśniej rozczarowanych marksizmem. Oto one: „Wśród komunistów, których znałem, byli najładniejsi ludzie, jakich spotkałem w życiu, o niesłuchanie czystych pobudkach. Zrobili wybór z czystych intencji”.

Henryk Markiewicz, jeden z najładniejszych ludzi, przekroczył ograniczenia doktrynalnego marksizmu, do dziś zachowując z niego to, co jest w nim wartościowe. Przyswoił polskiej humanistyce zdobycze nauki światowej i wniósł do niej wkład własny.

Jasność myślenia i stała konfrontacja teoretycznych założeń z utworami literackimi, których jest zamierzonym czytelnikiem, leży u podstaw jego własnej teorii literatury, otwartej na nowe poszukiwania nauki światowej; ale także warunkuje uzasadniony sceptycyzm i krytyczny ogląd niekiedy efektownych i modnych w kręgu literaturoznawców nowinek.

Bo dla Henryka Markiewicza równie ważne jak refleksja teoretyczna jest dzieło literackie. Równie ważna jak teoria literatury jest jej historia. Jego studia o twórczości Bolesława Prusa, Stefana Żeromskiego, o wybranych autorach okresu Młodej Polski i XX wieku, z wielką syntezą pozytywizmu – to klasyczne dzieła naszej literackiej historiografii.

Podjmował liczne i ważne prace redakcyjne. Od znakomitych i zasłużonych poprzedników przejął opiekę nad fundamentalnym dziełem polskiej kultury – nad *Polskim Słownikiem Biograficznym*. W niełatwych warunkach utrzymał jego najwyższy poziom naukowy. Odszedł z tej placówki, gdy mógł już spokojnie przekazać opiekę nad nią swemu znakomitemu następcy, profesorowi Andrzejowi Romanowskiemu.

Wspólnie z nim obdarował polskiego odbiorcę wartości kulturalnych dziełem niezwykłym; świadectwem

obejmującej stulecia erudycji, uміłowania słowa, radości obcowania z nim, estetycznego smaku. To *Skrzydlate słowa* kilkakrotnie już wznawiane i wzbogacane.

Henryk Markiewicz jest też wrażliwym i czujnym obserwatorem współczesnego życia umysłowego. Jego noty w *Żywocie Literackim*, później w „Dekadzie Literackiej”, ten jakby mniej znaczący margines jego twórczości naukowej jest również bardzo ważny. Walczy z chwastami ignorancji, niedbalstwa, niechlujstwa, niedokładności, niekiedy zamierzonego kłamstwa. Spełnia funkcję oczyszczającą dzisiejsze życie umysłowe, w którym nagromadziło się i gromadzi się nadal bardzo dużo śmieci.

Spośród wielu jego reakcji przypominam sobie list do „Polityki” zatytułowany *Bzdury o „Wzlocie”*. Nie bez irytacji – jak widać – obruszył się na fałszywą, a podyktowaną polityczną koniunkturą opinię o jednym z najlepszych powojennych opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza.

Na zakończenie dwukrotne *Pro domo sua*.

Drogi Henryku! Wypromowałeś całe zastępy doktorów. Spod Twoich skrzydeł wyfrunęło wielu profesorów, którzy zachowują trwałą, wdzięczną pamięć o Tobie. Starają się być wierni rygorom naukowym, które im zaszczeptałeś i których przykład dajesz w swych pracach do dzisiaj. To także Twoje wielkie, trwałe dzieło w dziedzinie polskiej kultury.

I druga rzecz. Pamiętamy: Zawsze towarzyszyłeś nam w działaniach „Kuźnicy”. W trudnych jej okresach obecność Twoja przy nas dodawała nam otuchy i woli trwania wbrew różnym przeciwnościom. Nazwisko Twoje zdobyło łamy „Zdania”. Wchodziłeś w skład jego Rady Redakcyjnej.

Toteż także z myślą o Twojej wiernej przyjaźni względem zespołu „Kuźnicy” i „Zdania” mamy zaszczyt, ale i prawdziwą wielką przyjemność wręczyć Ci dzisiaj nasze „Kuźnicowe” Kowadło. Wygląda ono jak wszystkie poprzednie, ale to jest – jak wszyscy widzą – Wielkie Kowadło, powiedziałbym „Kowadło Kowadeł”.

MARIAN STĘPIEŃ

ANDRZEJ ROMANOWSKI

Oblicza otwartości

Kiedy jesienią 1992 roku uczestniczyłem w dwóch kolejnych jubileuszach – siedemdziesięciolecia Henryka Markiewicza i osiemdziesięciolecia Jerzego Turowicza – uświadomiłem sobie, że mało komu zawdzięczam tyle, co tym dwom ludziom. Co jednak mogło łączyć Redaktora-katolika z Profesorem-marksistą? Dlaczego dziedzictwo ich obu było mi równie drogie?

W niedawno wtedy minionym PRL znajdowali się oni po obu stronach ideowej i politycznej barykady. Ale... czy działało się tak rzeczywiście? Wspólna im przecież była jakaś najogólniej definiowana postawa lewicowa. Poszukiwali przestrzeni, w której byłoby miejsce dla wolnej myśli, choć oczywiście różnie tę przestrzeń definiowali. Gdy pojawiła się „Solidarność”, wiązali z nią nadzieje – i pamiętam, że po zwolnieniu z przesłuchania na SB w roku 1983 pierwsze kroki skierowałem nie do siebie nawet, lecz do mieszkania Henryka Markiewicza. Jednak szczególnie istotne było coś jeszcze innego: otwartość. To przez swą otwartość niezależny katolik Turowicz i członek PZPR Markiewicz dawali nam w PRL poczucie wolności.

Strażnik tradycji

Usłyszałem Profesora po raz pierwszy w semestrze zimowym roku akademickiego 1971/1972; dla trzeciego roku polonistyki UJ wykładał literaturę pozytywizmu. Nie był typem mówcy – siedział za katedrą i monotonnym głosem, równymi, dobrze przygotowanymi zdaniami, charakteryzował główne prądy epoki oraz dorobek kolejnych twórców. Wykłady te, niezmiernie „gęste”, konkretne, przechodzące od szczegółu do frapującego uogólnienia, dawały pełną syntetyczną wizję okresu (było to jeszcze przed wydaniem Markiewiczowej syntezy – *Pozytywizmu*). A przy tym mówiły o Polakach w niewoli... Do dziś raczę studentów podanymi wtedy przykładami.

Oczywiście, nie musiało to znaczyć, by Markiewicz w zaszyfrowany sposób mówił o współczesności.

Przeciwnie: uprawiał on naukę czystą, wolną od doraźnych serwitutów. Jednak – po pierwsze – już samo to znaczyło w tamtych czasach niemało (choć było normą na krakowskiej polonistyce – tam nikt nikogo nie indoktrynował). Po wtóre – Markiewicz, który po prostu dużo wiedział („wiedział wszystko” – jak mawialiśmy), w szerzeniu tej wiedzy był wobec słuchaczy lojalny i uczciwy. Konkretyzacji dokonywaliśmy sami. Na przykład wtedy, gdy porównywaliśmy demokrację galicyjską z demokracją socjalistyczną w PRL.

Osobiście poznałem Markiewicza już po studiach, w maju 1976 roku. Ponieważ dłoń Turowicza uściśnięm w dwa miesiące później, trudno się dziwić, że tak mi się obaj z czasem połączyli. Znow jednak ważniejsze było co innego niż samo zawarcie znajomości. Bo oto obcując z redagowanym przez Turowicza „Tygodnikiem Powszechnym” oraz z własnym środowiskiem, któremu przewodził dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, profesor Markiewicz (ponownie obrany w wolnych, „solidarnościowych” wyborach 1981 roku), stawałem za każdym razem w obliczu nieskłamanej narodowej tradycji. Jeżeli było to dla mnie oczywiste w przypadku „Tygodnika” (pismo to w moim pojęciu do tego służyło), to rzeczywiście zaskoczyło mnie w bezpośrednim kontakcie z Profesorem. Przekonałem się jak niezwykle, z nikim nieporównywalny ma on słuch na wszystkie smaki, barwy i dźwięki polskości. Przygotowywałem wtedy antologię poezji legionowej i zdradzana mimochodem przez Mistrza znajomość piśmudczykowski tekstów była dla mnie pierwszym miernikiem ich dawnej popularności.

Ponad podziałami

Ale taki był Henryk Markiewicz zawsze: lewicowiec podszyty krakowskim konserwatyzmem. Swą otwartą postawę wyniósł zapewne już z domu rodzinnego oraz z inteligenckiej kultury lat międzywojennych, jednak nie ulega wątpliwości, że spłacał nią także dług wobec mi-

strzów powojennej krakowskiej polonistyki. Po zmianie ustroju w roku 1945 ludzie ci robili swoje: przechowywali ciągłość. Markiewicz, wielokrotnie wspominając fortel Stanisława Pigonia, któremu zawdzięczał zdanie odkładanego egzaminu magisterskiego, zaznaczał, że staremu mistrzowi musiała być obca jego postawa ideowa – a jednak liczyły się tylko względy merytoryczne.

Rezultatem była raz jeszcze otwartość: polskie dziedzictwo kulturowe miało dla Markiewicza walor niepodzielności. Manifestacją jego pietyzmu dla przeszłości stały się dwa monumentalne wydawnictwa, na których wycisnął piętno silniejsze niż ktokolwiek. Myślę o *Obrazie literatury polskiej XIX i XX wieku* oraz o *Polskim Słowniku Biograficznym*. Redakcja Naczelna *Obrazu*... zmieniała się wprawdzie, ale to jedynie Markiewicz współsygnował wszystkie 15 tomów – z grubszą biorąc jakieś 12 tysięcy stron. Jego zaś wkład w *PSB*, z początku niewymierny (w Radzie Naukowej *Słownika* zasiadał od roku 1960), uokreślił się w latach 1989-2002, gdy – po Emanuelu Rostworowskim – był jego redaktorem naczelnym. Zadecydował wtedy o kształcie ośmiu opasłych tomów – prawie 5 tysięcy stron dwuszpaltowego, drobnego druku. Zauważmy: do bohaterów zarówno *Obrazu*, jak *Słownika* podchodził z tą samą pieczołowitością. Bez względu na to, czy działo się to w PRL, czy w III RP. Tym razem mógł mu być wzorem „ojciec-założyciel” *PSB*, Władysław Konopczyński – człowiek narodowej prawicy. Bezstronność tego wielkiego historyka sprawdzała się wszak zawsze: zarówno w Polsce sanacyjnej, jak w Polsce stalinowskiej.

Eklektyzm

Termin ten nie uchodzi za komplement, jednak Henryk Markiewicz w ten właśnie sposób dokonuje swej autodefinicji. „A kto pyta? – pisał niedawno o sobie – I tu odpowiem po dawnemu: eklektyk”. Według niego dzieło literackie jest jak góra, którą należy oglądać z rozmaitych perspektyw. Prof. Stanisław Balbus określił jego postawę terminem „międzydoktrynalny dialog”. Tak czy inaczej eklektyzm prowadził do otwartości, ta zaś stawała się także pokorą wobec wielobarwnej, skomplikowanej rzeczywistości. Markiewicz-uczony ma pozytywistyczną pokorę wobec konkretnego i faktu. Pokorę wobec tekstu literackiego ma Markiewicz-polonista.

Tym samym otwartość staje się bezgraniczna. Ale – uwaga – jest to otwartość na wielowymiarowość tradycji oraz na szkoły, metodologie, czy punkty widzenia. Nie ma mowy o otwarciu na naukowe hochsztaplerstwo, przeciwnie: tutaj Profesor potrafi być bezwzględny. Przed laty rozprawiał się z wydumanymi interpretacjami swej ukochanej *Lalki* Bolesława Prusa. Przed rokiem sporządził katalog miejsc, których nie rozumie w *Traktacie moralnym* Czesława Miłosza. „Krytykom i czytelnikom – pisał – przydałoby się trochę [...] hermeneutyki negatywnej, ujawniającej to, czego nie rozumiemy w interpretowanych przez nas tekstach literackich”.

Wyznając Asnykowy postulat, by „z żywymi na przód iść”, okazywał się więc Markiewicz niepodatny na mody, czy też – powiedzmy ściślej – na bezrefleksyjną powtarzalność ocen. I znów trzeba przypomnieć, że w gruncie rzeczy taki był zawsze. Pomijając bowiem

wczesne lata pięćdziesiąte nie stał się więźniem marksizmu: inspiracji szukał w strukturalizmie i w teorii dzieła literackiego Romana Ingardena, tak jak obecnie poszukuje jej w literackiej antropologii czy w kulturowej teorii literatury. Z orędownikami nowych kierunków utrzymywał i utrzymuje żywy kontakt i nieustannie z nimi dialoguje, ale – zwłaszcza z biegiem lat – nie szczędzi im surowej krytyki. Okazał się literaturoznawczym konserwatystą? Czy może raczej pozostał sobą?

Wszechstronność

Henryk Markiewicz zadebiutował w kwietniu 1935 r., w wieku 12 lat. Jego życie zostało więc szczególnie wypełnione mrówczą pracą. Dorobek minionych trzech ćwiartek wieku zawiera się – o czym rzadko pamiętamy – nie tylko w nauce, lecz także (zwłaszcza w czasie wczesnopowojennym) w dziennikarstwie, publicystyce i krytyce literackiej. Ale i sama działalność naukowa jest różnorodna w sposób wystarczająco imponujący.

Owszem, pisarstwo Markiewicza nie sięga do polskiej literatury dawnej. Ostatnim, który starał się panować nad całością narodowego piśmiennictwa, był przedstawiciel starszej od Markiewicza generacji – Julian Krzyżanowski. Ale „starać się” nie znaczy „panować”: to co Krzyżanowski miał do powiedzenia na temat Młodej Polski czy Dwudziestolecia, nie ma już dziś większej wartości. Dlatego obszar zainteresowań Markiewicza, obejmujący – choć z różnym natężeniem – dzieje literatury polskiej ostatnich dwóch stuleci, od romantyzmu do współczesności, jest czymś wystarczająco wyjątkowym i wytrzymuje porównanie chyba tylko z Marią Janion. Jeżeli jednak ustępuje jej Markiewicz we wszechstronnym spojrzeniu na romantyzm, to góruje nad nią oglądem pozytywizmu, a do tego dołącza jeszcze aktywność przed chwilą już wspomnianą i chyba najważniejszą: w zakresie teorii literatury.

Tradycje i rewizje, Przekroje i zbliżenia, Nowe przekroje i zbliżenia, W kręgu Żeromskiego, Pozytywizm – wszystkie te kolejne tomy rozpraw i syntez historyczno-literackich sąsiadują wszak z dziełami teoretyczno-literackimi oraz omawiającymi i przedstawiającymi historię i metodologię wiedzy o literaturze: z *Głównymi problemami wiedzy o literaturze, Wymiarami dzieła literackiego, Literaturoznawstwem i jego sąsiedztwami, Polską nauką o literaturze, Świadomością literatury*... A trzeba przy tym pamiętać, że był Markiewicz autorem wielu antologii, takich jak *Teoria badań literackich w Polsce, Problemy teorii literatury, Sztuka interpretacji*... Sprawując zaś przez 37 lat (1956-1993) funkcję zastępcy redaktora naczelnego czołowego polonistycznego organu, „Pamiętnika Literackiego”, wprowadził w nim dział przekładów, który sukcesywnie spżytkowywał w czterotomowej *Współczesnej teorii badań literackich za granicą* (1976-1992). Powojenna polska teoria literatury ma w Markiewiczu jedno ze swych najważniejszych źródeł.

Ta aktywność na tyłu różnych polach nie osłabła z wiekiem. Przekonuję się o tym patrząc na moją półkę z *markiewiczianami*, która wciąż zdaje się kurczyć: coraz mniej na niej miejsca. Markiewiczowy dorobek roku 2007 – to *Dialogi z tradycją*, przejmujący esej *Przeciw nienawiści i pogardzie* oraz antologia *Zabawy literackie krakowskich uczonych*. Dorobek roku 2008 – to dowcipny tomik *Żartem i pół serio* oraz opasły i zasadniczy



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

zbiór *Jeszcze dopowiedzenia*. Co nas czeka w roku 2009? Chyba nie popełnię niedyskrecji, gdy powiem, że potężny suplement do (skądinąd niedawno wydawnego w postaci scalonej) słownika cytatów *Skrzydlate słowa* został właśnie złożony w wydawnictwie.

Mistrz Dobrej Rady

Jeżeli jednak przeczytamy wszystkie książki i artykuły Henryka Markiewicza, jeżeli zdobędziemy gdzieś notatki ze wszystkich jego wykładów, jeżeli będziemy dysponowali wszystkimi nagraniami jego publicznych wystąpień – to i tak nie obejmujemy go w całości. Bo co wyjątkowe, bezcenne i nigdzie nieudokumentowane – to Markiewicz ukryty w dorobku innych autorów: w pracach redakcyjnych wielu czasopism i wydawnictw, w rozprawach jego (i nie tylko jego) magistrantów i doktorantów, w konsultowanych z nim książkach habilitantów i profesorów. Nie chodzi tu jednak o jego wykorzystany przecież zwykle w przypisie dorobek naukowy. Nie chodzi nawet o jego recenzje wydawnicze, bo również to w książce się odnotowuje. Chodzi o to, co nie zostaje przedstawione: o jego radę, konsultację, uzupełnienie, dodatek, sprostowanie...

Wszyscy przecież – niezależnie od naukowego stopnia czy tytułu – pielgrzymujemy do niego. Pytamy Mędrca. Jeżeli powie: „dobrze” – możemy być spokojni. Jeżeli „źle” – zrobimy tak, jak on chce (w *Polskim Słowniku Biograficznym* jest do dziś instancją najwyższą i rozstrzygającą). A jeżeli czegoś nie wie – to znaczy, że nikt już nie wie. Bo on „wie wszystko”. Ile tych Markiewiczowych okruczeństw tkwi poukrywanych w naszych pracach indywidualnych i zbiorowych? Nie sposób odpowiedzieć. Można jedynie rzec: my, krakowscy (czy

tylko krakowscy?) poloniści (czy tylko poloniści?) żyjemy w epoce Henryka Markiewicza.

I takie jest ostatnie oblicze jego otwartości. Wszak skoro poddawaliśmy się jego wpływowi, bądź skoro czasem walczyliśmy z tym wpływem – to dlatego, że albo Mistrz tak wiele nam uświadamiał, albo na przekór niemu chcieliśmy obrysować własną tożsamość. Czyli: był zawsze punktem odniesienia. W czym zresztą pomagał jego „brak gorliwości” pozwalający w różnych konfiguracjach i na różnych etapach zachować rangę Autorytetu-Ponad-Podziałami. Oczywiście nie było tu mowy o koniunkturalizmie. W grę wchodził raczej sceptycyzm: przekonanie o ułomności, a przynajmniej niepełności, kolejnych doktryn, metodologii, ideologii...

Mawiał Jerzy Giedroyc: „Trzeba zachowywać zasady i zmieniać poglądy”. Spoglądając od tyłu lat na Henryka Markiewicza widzę, że przy swej umiejętności krytycznego pójścia z duchem czasu ma on nie tylko zasady, lecz i poglądy – stałe. Ale stwierdziwszy to, myślę dalej... już tylko o sobie. Bo przecież tyle mych wiar, zaangażowań i fascynacji odkryło z czasem swą małość, miakkość, banał, a przynajmniej niejednoznaczność, ambiwalencję. W pewnym momencie nawet przeciw Turowiczowi się zbuntowałem, co z tego, że – jak dziś widzę – nieco histerycznie. Koniec końców jako jeden z mych kilku stałych punktów orientacyjnych, ostał się Henryk Markiewicz. Mistrz Dobrej Rady: otwarty i dialogiczny, a wobec swych uczniów i współpracowników po staroświecku delikatny i lojalny. Ale też zawsze gotowy, by – na przekór wszystkiemu i wszystkim – decydować się, by płynąć pod prąd.

ANDRZEJ ROMANOWSKI

JAN PIESZCZCHOWICZ

HENRYK WSPANIAŁY, CZYLI ŻYWOT CZŁOWIEKA ROZWAŻNEGO

Kilka lat temu dwie znakomite uczone skierowały do Henryka Markiewicza takie żartobliwe posłanie z okazji nadania mu doktoratu honorowego Uniwersytetu Gdańskiego:

„Drogi Prof. Heniu,

Jedyny Polihistorze, Czysty Rozumie Krytyczny, wspominamy ze wzruszeniem naszą wspólną drogę, kochamy Cię, życzymy wielu dzieł równie wielkich jak dotychczasowe – przyjaciółki Twojej burzliwej młodości i olimpijskiej starości

Maria Janion i Maria Żmigrodzka”.

Odwiedziłem wtedy mojego mistrza, a od lat przyjaciela i sąsiada, i znów stwierdziłem, że z tą „olimpijską starością” panie nieco przesadziły. „Henio” – my, byli studenci, też tak go nazywaliśmy – uraczył mnie jak zwykle żywą i dowcipną rozmową. I jak zwykle był skromny aż do przesady, skłonny raczej do pokpiwania z siebie, niż okazywania wielkości. Siedzieliśmy w jego pracowni, a zarazem bibliotece liczącej około 40 tys. książek. Zalegają one wszystkie zakątki nie aż tak małego mieszkania – ku utraپieniu profesorowej Mili. Najbardziej zdumiewający jest fakt, że właściciel tego księgozbioru, nazywany także „człowiekiem książkowym”, na ogół bezbłędnie, bez katalogu trafia do poszukiwanej pozycji.

Henryk Markiewicz skończył 80 lat. Jest jednym z najwybitniejszych żyjących literaturoznawców polskich, a jego dorobkiem można by obdzielić kilku wcale niepoślednich naukowców. Otacza go powszechny szacunek ludzi i środowisk reprezentujących różne orientacje światopoglądowe. Aż trudno uwierzyć, że w czasach skłonnych do tworzenia podziałów, Markiewicz dla tak wielu ludzi stał się uosobieniem zgody i życzliwości.

Bibliografia jego publikacji obejmuje około 1200 pozycji (książki, antologie, opracowania, prace redakcyjne), ukazują się kolejne jego książki. Stworzył i współtworzył wartościowe serie wydawnicze, które zwykle redagował, np. Bibliotekę Studiów Literackich czy Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku. Wieloletni zastępca redaktora naczelnego „Pamiętnika Literackiego”, do niedawna szef *Polskiego Słownika Biograficznego* (zastąpił go prof. Andrzej Romanowski). Pełnił odpowiedzialne funkcje naukowo-organizatorskie na Uniwersytecie Jagiellońskim i w PAN. Jest też członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Zaopatrzył w dyplomy około 350 magistrów filologii polskiej, wypromował 45 doktorów, brał udział w 18 habilitacjach.

Dziecko na scenie naukowej

Życiorys uczonego zaczyna się zwykle po ukończeniu studiów. Cóż jednak począć z chłopcem, który

w czasie, gdy przeważnie kopie się piłkę i czyta Karola Maya, marzy o tym, by zostać historykiem literatury i nawet ćwiczy podpis „prof. dr”? Markiewicz już jako dziecko wydawał skromne kieszonkowe na książki, głównie naukowe. W okresie gimnazjalnym posiadał starannie skatalogowaną biblioteczkę liczącą 500 pozycji. Skutek był taki, że w 1937 r. opublikował artykuł *O stosunku społeczeństwa i krytyki literackiej do dzieł Bolesława Prusa*, z którym polemizował sam prof. Tadeusz Estreicher nieświadomy, że podejmuje rękawicę rzuconą przez czternastolatka. – Zajmowanie się literaturą – powiada Markiewicz – to nie tylko zamiłowanie, a później zawód, to także »mój sposób na życie«.

Ale najważniejsze było to, że w owej spolonizowanej rodzinie żydowskiej panował klimat otwartości i tolerancji. Mówiło się tylko po polsku, stroniło od syjonizmu, religijność była „płytką i letnią”, co zapewne przyczyniło się do tego, że młody Markiewicz – noszący wówczas po jednym z dziadków imię Herman – poczuł się wkrótce agnostykiem. Chłopiec kształtował swe opinie m.in. pod wpływem felietonów Antoniego Słonimskiego i skłaniał się do liberalizmu.

Sukcesy młodego humanisty nie gwarantowały mu przyszłości. W Polsce narastał antysemityzm. W 1938 r. nie przyjęto na polonistykę UJ ani jednego kandydata wyznania mojżeszowego. Wiele osób pochodzenia żydowskiego próbowało się ratować, przyjmując katolicyzm, jednak w domu Markiewiczów traktowano to jako „przejaw moralnie nagannego karierowiczostwa”.

- Ten brak perspektyw, a do tego mała sprawność fizyczna, niezgrabność, stresy szkolne, złośliwości niektórych kolegów, wciąż trwające beznadziejne zakochanie, niepokoje wieku dojrzewania - wszystko to pogłębiało mój introwertyzm i nieśmiałość, zakompleksienie, ustawiczną kontrolę poprawności swego zachowania. Czułem się nieszczęśliwy i osamotniony - wspomina profesor. Świat literatury stał się poniekąd jego azylem..

Nie byłem ofiarą reżimu

Upiory antysemityzmu dopadły Markiewicza jeszcze dwukrotnie. Po raz pierwszy wiosną 1942 r., gdy wraz z ojcem ubiegał się w Kazachstanie o przyjęcie do armii gen. Andersa. Obaj zostali odprawieni z niczym z powodu żydowskiego pochodzenia.

- Nie zdawałem sobie wówczas sprawy – mówi profesor – że działo się to na skutek żądań strony sowieckiej. Ale wyczuwało się, że polskie władze wojskowe chętnie się do nich stosują.

Ojciec wkrótce umarł, syn zdany był na poniewierkę w ZSRR.

Rasizm przypominał sobie o profesorze w marcu 1968 r. Byłem wtedy związany z „Gołębnikiem” – Instytutem Polonistyki UJ przy ul. Gołębiej. Pamiętam, jak aktywiści ZMS umieszczali chytkiem na drzwiach gabinetu Markiewicza obelżywe napisy, które likwidowaliśmy w beznadziejnym oburzeniu. Gdy więc Janusz Wilhelmi, redaktor naczelny warszawskiej „Kultury”, zaatakował „naszego Henia” donosem tyleż głupim, co paskudnym, zeżliłem się i postanowiłem utrzymać nosa aroganckiemu publicyście (za różne nadgorliwości czekał go awans na wiceministra kultury) na łamach współredagowanego przeze mnie „Studenta”. Prawdę powiedziawszy, nie bardzo liczyłem, by moja polemika prześlizgnęła się przez sito szalejącej cenzury, lecz ta – o dziwo – nie zgłosiła sprzeciwu. Wilhelmi wpadł we wściekłość i pobiegł ze skargą do KC PZPR. Mój artykuł uznano za „przeoczenie” i za to cenzorowi udzielono nagany, a mnie wezwano na partyjny „dywanik”. Po latach profesor komentuje:

– Felieton Wilhelmi nie wywołał żadnych widocznych dla mnie konsekwencji. Nie byłem nigdy „ofiara reżimu” i nie chcę za nią uchodzić.

Cały w tym Henryk, proslinijny przeciwnik mitologii i retuszowania życiorysu, co tak chętnie uprawiał wiele osób po upadku PRL. W rozmowie z dziennikarzem „Rzeczpospolitej” profesor tak tłumaczył swoją postawę wobec wydarzeń marcowych: „Skoro nie oddałem legitymacji partyjnej wcześniej, widząc jak represjonuje się i dyskryminuje innych, to po prostu nie wypada robić tego wtedy, gdy represje i dyskryminacje grożą mnie samemu”.

Zesłanie

Wróćmy jednak do wielkiej próby życiowej, jaką stanowił wybuch wojny. Tuż przed zajęciem Krakowa przez Niemców Henryk wraz ze starszym kuzynem Zygmuntem uciekł na Wschód, gdzie ojciec odbywał służbę wojskową. W Krakowie została matka z młodszym bratem. Nigdy już ich nie zobaczył, pochłonął ich holocaust.

Pobyt w zajętym przez Sowieców Lwowie wydał się Markiewiczowi jedynie przejściowy – wierzyli w rychłe zwycięstwo aliantów i koniec wojny. Po latach wspomina: – Nowe porządki bardzo nam się nie podobaly. Oburzała nas aneksja ziem wschodnich wiosną 1940 r., przeraziła fala wywózek polskich pisarzy. Ale najbardziej irytowała mnie prymitywna agresywność propagandy, postępowanie polskiej historii i kultury.

We Lwowie Henryk zrezygnował z dalszej nauki szkolnej, gdyż do liceum wprowadzono program radziecki. Studiował na własną rękę literaturę polską w czytelniku Ossolineum. Czas trudnych decyzji nadszedł, gdy ojcu i synowi zaproponowano przyjęcie sowieckiego paszportu, co było warunkiem pozostania we Lwowie. Odmówili – i w czerwcu 1940 r. zostali wywiezieni do *posiołka* Ałtynaj w obwodzie swierdłowskim na przymusowe roboty przy wyrębie lasu. Markiewicz ładował drewno na wagoniki kolejki wąskotorowej, a na pociechę czytał *Króla-Ducha* Słowackiego znalezione w walizce jednego z towarzyszy niedoli.

– Nie poniżano nas i nie ubliżano, toteż na *posiołku* moje nastawienie antyradzieckie chyba się nie wzmoгло w porównaniu z czasami lwowskimi. Nie oburzałem się na deportację. Rozumowałem mniej więcej tak:

z punktu widzenia ZSRR byliśmy elementem niepewnym i nielojalnym, więc nas wysiedlono ze strefy nadgranicznej.

Cóż prostszego, jak uznać się za zesłańca-męczennika? Tyle że profesor ma wrodzoną niechęć do dramatyzowania i tragizowania. Jest w tym jakaś filozofia dzielności i odpowiedzialności za siebie.

Polska, jakiej pragnąłem

Sytuacja pozornie tylko poprawiła się jesienią 1941 r., po podpisaniu układu Sikorski-Majski. Mieszkańcy *posiołka* zostali amnestionowani i wyjechali do Kazachstanu, gdzie – jak sądzili – czeka na nich więcej chleba. Zawiedli się. Jeśli w Ałtynaju jedzenie było skromne, ale od biedy wystarczające, to w kolchozach bawelnianych w obwodzie andidżańskim po prostu panował głód. Ludzie mieszkali w ciasnych „kibitkach”, czyli lepiankach. Henryk ważył wówczas około 40 kg. Od śmierci uratowała go pielęgniarka, ochotniczka pracująca w szpitaliku ambasady polskiej w Andidżanie, podrzucając mu konserwy.

Wkrótce opiekunka Markiewicza wyjechała z transportem wojskowym do Iranu, a on zatrudnił się jako posługacz i stróż w polskim szpitalu, później wychowawca w ochronce dla dzieci. I wtedy nastąpiło to, czego zdołał uniknąć we Lwowie – po zerwaniu przez Moskwę stosunków z rządem londyńskim został, podobnie jak inni Polacy, zmuszony przez NKWD pod groźbą aresztowania do przyjęcia sowieckiego paszportu. Ochronkę przejęło państwo, a w 1943 r. Związek Patriotów Polskich (ZPP). Przekształcono ją w dom dziecka ze szkołą podstawową nauczającą w języku polskim. Jako nauczyciel i wychowawca Henryk dostawał coś do jedzenia. Sypiał na tekturze rozłożonej na glinianej podłodze.

Po wszystkich przejściach cieszyło go jednak utworzenie ZPP, który jawił się jako jedyna ostoja w sytuacji, gdy do Londynu było coraz dalej. Nazwiska osób zaangażowanych w działalność związku były mu znane sprzed wojny, głównie z prasy – socjalista Bolesław Drobnier, poeta Lucjan Szeńwald, związani z wileńskimi Żagarami Jerzy Putrament i Stefan Jędrzychowski, wreszcie Wanda Wasilewska, u której jednak raziło go „manifestacyjne zaangażowanie proradzieckie”. Wspomina: – Obraz przyszłej Polski, konkretyzowany stopniowo na łamach „Nowych Widnokręgów” i „Wolnej Polski”, był dla mnie pociągający. Państwo demokratyczne, realizujące zasady sprawiedliwości społecznej, przekreślające wszelką dyskryminację rasową, narodową, wyznaniową – to była Polska, jakiej pragnąłem.

To przecież Armia Czerwona ratowała świat przed niemieckim barbarzyństwem – i życie takich ludzi, jak on. Nie można było tego lekceważyć. – Śmieszył mnie i irytował na przemian bałwochwalczy kult Stalina, lecz tłumaczyłem to sobie potrzebą dostosowania propagandy do mentalności społeczeństwa.

Został pracownikiem Zarządu Okręgowego ZPP. Trudnił się m.in. fałszowaniem dokumentów mających udowodniać, że ich właściciele mieszkali przed 1939 r. na terytorium Polski – co było warunkiem repatriacji. Fałszerz był z niego marny, ale – jak utrzymuje – lokalne władze zostały przekupione przez ZPP i udawały, że wierzą owym niedoróbkom. Uczył też historii w polskiej szkole średniej, a wśród uczniów znalazł się późniejszy znany krytyk Ludwik Flaszen.

Czytając Lenina

Z końcem 1946 r. Markiewicz dotarł do wymarzonego Krakowa. Zatrudniono go w Komitecie Wojewódzkim PPR, w Wydziale Propagandy. Z duszą na ramieniu rozwoził materiały propagandowe przed referendum w 1946 r., później był sekretarzem redakcji dwutygodnika „Głos Pracy”.

– Jakoś sobie radziłem, ale pismo było kompromitująco słabe, nudne, przez nikogo nie czytane. Zarobki były marne, żyliśmy w skrajnym ubóstwie, rzadko tylko pozwalając sobie na mięso czy tanie słodczyce. Budżet łątała wydatnie żona zajmując się krawiectwem – po amatorsku, ale z talentem. I wtedy, i później, z wielkim nieraz poświęceniem, starała się mnie odciążyć.

To wszystko dawało jednak nadzieję na realizację życiowych marzeń. Markiewicz chciał wreszcie studiować polonistykę, lecz przecież nie miał matury. Na szczęście z myślą o podobnych mu rozbitkach wojennych powołano Komisję Weryfikacyjno-Kwalifikacyjną, kierującą kandydatów na studia bez egzaminu wstępnego. W wieku lat 24, kiedy zwykle studia się kończy, został studentem pierwszego roku. Tak zaczęła się na dobre wielka przygoda z polonistyką. A także z marksizmem, co w pewnym okresie spłotło się w jedno. Sięgnijmy do wspomnień profesora z czasów tułaczki w ZSRR:

– Z braku innych książek zabrałem się za świeżo opublikowaną polską edycję *Dzieł wybranych* Lenina, które komendant NKWD w ramach swych obowiązków polityczno-wychowawczych sprowadził na *posiłek*. Czytałem nie bez zainteresowania, choć z dużym dystansem – na przemian bawiła mnie i oburzała polemiczna zaciekłość autora, sofistyka i cynizm niektórych jego wywodów. Ale zarazem przekonywały oskarżenia pod adresem kapitalizmu i ujmowała krytyczna szczerość, z jaką Lenin pisał o okrucieństwach i nieudolności towarzyszących działaniom rewolucyjnym.

Po latach szczerze mówi o swoich złudzeniach z tamtego czasu. Wierzył np., że za Katyń odpowiedzialni byli Niemcy, ale skąd miał się dowiedzieć prawdy w dalekim Kazachstanie?

– W owym czasie pod wpływem lektur politycznych i literackich, inaczej niż dziś oceniałem przemiany rewolucyjne w Rosji. Myślałem: były okupione terrorem i zbrodniami, ale czyż nie była nimi obciążona także Rewolucja Francuska? A przecież nikt nie neguje, że przyniosła ona wielki postęp dla całej Europy. Przypuszczałem, że czystki z 1937 r. to już zamknięty etap historii; w czasie wojny były podstawy, by tak sądzić. Wierzyłem, że w oswobodzonej Polsce nowy ustrój ukształtuje się w sposób dużo łagodniejszy i będzie to ustrój odmienny – demokratyczny, oparty na systemie wielopartyjnym i gospodarce trójsektorowej.

Wybierając się z ZSRR do Polski sądził, iż wstąpi tam do Stronnictwa Demokratycznego, jednak koledzy z ZPP przekonali go, że tak naprawdę rządzić będzie PPR, więc jeśli chce realizować swe demokratyczne idee, powinien się zapisać do tej partii. Poglądy miał autentycznie lewicowe, do PPR zgłosił akces jeszcze w Moskwie. Był członkiem PZPR do jej rozwiązania. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” mówił:

„Nigdy się nie uważałem i nie deklarowałem jako komunista, byłem tylko zwolennikiem przemian socjalistycznych. Czy to balast, pęknięcie w życiorysie? Nie

chcę niczego w nim tuszować. Był to polityczny wybór, który z perspektywy lat okazał się pomyłką. Bankructwo socjalizmu to – w moim odczuciu – klęska wielkiej nadziei ludzkości. Oczywiście, pewne elementy gry – w znaczeniu taktyki – były obecne w moim postępowaniu. Ale nie był to wallenrodyzm – bo dążyłem nie do obalenia systemu, lecz do jego melioracji na terenie, na którym działałem, do większej swobody wypowiedzi naukowych, do bardziej sprawiedliwego awansowania młodych itp.”.

Na dobrą sprawę bliżej stąd do pozytywistycznej „pracy u podstaw”, niż do marksizmu-leninizmu...

Przemytnik ideowy

Jako student UJ został zaproszony do Klubu Logo-fagów – grupy dyskusyjnej młodych ludzi wywodzących się z AK. Tu poznał Tadeusza Chrzanowskiego, Jacka Woźniakowskiego i innych. Być może – jak skromnie sugeruje – znalazł się w klubie jako okazowy egzemplarz marksisty, coś w rodzaju światopoglądowej „przyzwiołki”, ale przecież czasy były niewesołe i członek PZPR musiał najpierw zdobyć zaufanie akowskich kolegów. Józefa Hennelowa poświadczyła kiedyś, że tak właśnie się stało.

W 1949 r. Markiewicz został zastępcą redaktora naczelnego „Przekroju”, Mariana Eilego, na jego zresztą wniosek. No cóż, zgodnie z wymogami nowego kursu politycznego i „zaostrażającej się walki klasowej” w popularnym tygodniku, posądzanym czasami o drobnomieszczańskie ciągoty, powinien się znaleźć „partyjny politruk”, jak to określił sam profesor. – Wpływ Mariana Eilego i Janiny Ipohorskiej rozmiękczał moją doktrynerską sztywność, rozwijał poczucie humoru, budził krytyczny dystans wobec reżimu.

Historia w pewnym sensie się powtórzyła, gdy Markiewicz w 1951 r. został pierwszym redaktorem naczelnym „Życia Literackiego”. Już po roku oddał tę funkcję Władysławowi Machejkowi, bo coraz bardziej angażowała go praca naukowa, pozostał jednak zastępcą szefa redakcji i kierownikiem działu krytyki literackiej. Do współpracy pozyskał m.in. Andrzeja Kijowskiego, Ludwika Flaszena, Jana Błońskiego i Konstantego Puzyń. – Ja usiłowałem nauczyć ich marksizmu i łagodziłem ryzykowne politycznie sformułowania w ich tekstach, oni z kolei podważali swoimi wątpliwościami i żartami moje przekonania.

Czasy były jednak coraz trudniejsze. Na początku 1949 r. odbył się osławiony szczeciński zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich, na którym proklamowano socrealizm.

Markiewicz – postrzegany przez niektórych jako typowy okaz ówczesnego marksisty – został przez marksistów zaatakowany pośrednio, ale zdecydowanie. Poszło o publikacje grupy krytyków nazywanej niekiedy „szkołą krakowską” lub „szkołą Kazimierza Wyki” – na łamach „Życia Literackiego”. Prym w owej grupie wiodł Flaszen, jeden z najodważniejszych i najbardziej inteligentnych krytyków powojennych. W styczniu 1952 r. opublikował głośny artykuł *Nowy Zoil, czyli o schematyzmie* – piętnujący bezmyślny doktrynerski optymizm i ilustracyjność socrealizmu. Pisał, że literaturę ową tworzyli „ludzie, którzy znali problemy z ich rozstrzygnięć ideologicznych”, a w otaczającej rzeczywistości „nie szukali nauki, ale tylko potwierdzenie tego, co

z gazet i książek wydedukowali w ciszy gabinetu". Było to zuchwałe dla najwyższych władz partyjnych wyznanie; czyż Jakub Berman nie oznajmił w 1949 r.: „Partia bronić będzie realizmu socjalistycznego, pomimo że może on powodować schematyzm, z czego nie należy robić problemu”.

Tymczasem Markiewicz, jako szef działu krytyki w „Życiu Literackim” zamawiał „nieprawomyślne” artykuły i kierował je do druku. Na plenum Zarządu Głównego ZLP w 1952 r., zaatakowany przez partyjnych prominentów, próbował łagodzić natarcie przy pomocy taktycznych ustępstw. W odpowiedzi pojawiła się koncepcja tyleż niemądra, co szantażowa – by poszerzyć profesjonalny „aktyw krytyczny” o korespondentów terenowych, którzy uzupełnialiby wysiłki krytyków, pouczali, jak mają wypełniać swe obowiązki, a nawet ich zastępowali. Markiewicz wysłuchał pouczeń – i dalej robił swoje.

Na początku 1953 r. publicystyka literacka w krakowskim tygodniku i jej kierownik znów zostali ostrzeżeni z ciężkich dział ideologicznych. Na rozszerzonym plenum ZG ZLP niestrudzony Putrament wygłosił referat *Przemysłownictwo ideologiczne w krytyce literackiej*. Nie zostawił suchej nitki na „młodej krytyce”, strasząc „odradzaniem się burżuazyjnego estetyzmu” i wietrząc „niebezpieczeństwo przenikania obcej nam ideologii”. Markiewicz wspomina: – Sprawa zapowiadała się poważnie, był wszak luty 1954 r. Ale wkrótce nastąpiła śmierć Stalina i o przemysłownictwie częściowo zapomniano.

Wymijacz raf

W tym czasie londyńskie „Wiadomości” pisały, że na uniwersytecką polonistykę naciera „sfora Markiewiczów”, co jako żywo przypominało stylistykę krajowej prasy partyjnej. Sam zaś Markiewicz przygotowywał znaną rozprawę o *Ludziach bezdomnych* Żeromskiego, starając się wprowadzić do niej naukowy warsztat analityczny z prawdziwego zdarzenia i zebrał ciągi od Stefana Żółkiewskiego i Jana Kotta – za niemarksiowski „eklektyzm” i „nienaukowe” podejście do tematu...

Powodem trwających od lat kontrowersji jest praca *O marksistowskiej teorii literatury* (1952), o której prof. Stanisław Balbus słusznie napisał, że nikt jej nie czyta, choć wielu się o niej wypowiada. Cóż można powiedzieć dziś o owej rozprawie? Rzecz jasna, jest doktrynerska – inaczej być nie mogło biorąc pod uwagę czas jej powstania i temat. Ale jest również zdroworozsądkowa. Markiewicz włożył niemało dobrej woli i wysiłku intelektualnego w wykonanie zadania przypominającego kwadraturę koła – próbował nieco wyminąć betonową strukturę doktryny, czy też może wbudować w nią pewne elementy z zewnątrz, zrationalizować problemy na tyle, na ile się da. „Życzliwi” skłonni są eksponować tę pracę tak, jakby na niej zaczynała się i na niej kończyła twórczość naukowa profesora.

Markiewicz szybko pokonywał, jak sugerowali jego przeciwnicy szczeble naukowej kariery, zbierał nagrody i odznaczenia – ale pomagał mu w tym nie tylko Wydział Nauki KC PZPR. Po pierwsze, umiał coraz więcej i dawał tego dowody. Po drugie, rekomendowali go znakomici uczeni, którzy z partią nie mieli nic wspólnego. Magisterium utalentowanego studenta-marksi-

sty przyspieszył (współ z Kazimierzem Wyką) Stanisław Pigoń, o którym arcypartyjna publicystka Wanda Leopold pisała: „Dla prof. Pigonia walka klasowa to tylko ciasne opłotki doktryny społecznej. (...) Stanowisko takie nie może być traktowane jako nieświadoma ślepotą historyczna. Jest to wyraźne stanowisko walki z doktryną marksistowską”. Sprzyjał Markiewiczowi również prof. Juliusz Kleiner. Jeśli zaś w 1956 r. został profesorem nadzwyczajnym z pominięciem docentury, stało się tak na wniosek ówczesnego kierownika katedry, bezpartyjnego prof. Wacława Kubackiego.

Był to czas, gdy prowadzono czystki na uniwersytetach, których ofiarami padli m.in. Władysław Tatar-kiewicz, Henryk Elzenberg, Konrad Górski, Edward Lipiński. Markiewicz wspomina: – Po roku 1948 wystrzegałem się krytyki personalnej. Nie bezpodstawnie przypisywałem międzywojennym badaczom literatury tendencje idealistyczne, prawicowe, nacjonalistyczne. Jednak w ówczesnej sytuacji diagnozy te mogły być odczytywane jako oskarżenia polityczne.

W wypowiedziach profesora gdzieś od roku 1951 coraz wyraźniejsza staje się linia obrony swobód twórczych i badawczych. – Czyniłem to wszystko, trzeba przyznać, ostrożnie, z rozważeniami „ale”. Sam też nazywałem siebie czasem w myślach „wymijacz raf” – określeniem wziętym z powieści Orzeszkowej *Zygmunt Ławicz i jego koledzy*. – Owo wymijanie oznaczało nierzadko poszukiwanie rozsądnego kompromisu, godzenie różnych stron, próby znajdowania wspólnego języka. – Z czasem okazywało się coraz wyraźniej – mówi prof. Balbus – że prezentowana przez Markiewicza wiedza o literaturze ma naturę dialogiczną i niedoktrynerską. To niezwykle, że były – albo, jak sam twierdzi, aktualny – marksista Markiewicz od lat uczy nas, jak w literaturoznawstwie i w ogóle w humanistyce żyć poza kłatkami. A przynajmniej jak się między kłatkami wzajemnie kontaktować.

Pochwała pozytywizmu

W jego dorobku od samego początku szczególne miejsce zajmował okres pozytywizmu (napisał o nim fundamentalny podręcznik akademicki), a także twórczość Prusa i Żeromskiego. Ulubioną powieścią profesora jest *Lalka*. W jednym z wywiadów na pytanie o najbliższe mu postacie literackie odpowiedział, że lubi Don Kichote’a i Rzeckiego. I dodał: „Może jest we mnie coś z tych bohaterów...”. Obie postacie – to dziwacy, nierzadko obśmiewani lub zbywani żartem, tragicomiczni, szlachetni i prawdomówni, kierujący się emocjami i sentymentami, kochający życie, lecz nie zawsze umiejący sobie z nim poradzić, żyjący między twardymi realiami i czułym marzeniem. W interpretacji Markiewicza, Rzecki jest zarazem bystrym obserwatorem „menażerii ludzkiej”, autoironicznym i sceptycznym komentatorem zawitości i niespodzianek kondycji człowieczej, uczulonym na śmieszności bliźnich, ale i dobroniosnym, coraz częściej przekonany, że „nie ma na świecie żadnego ładu moralnego, istnieje tylko irracjonalna gra sił różnej wielkości”.

A pozytywizm? W okresie powojennym – mimo eksponowania jego dydaktycznych walorów w szkole – stał się coraz mniej popularny, uważany za nudny czy wręcz siemiężny, spychany na bok przez nurty romantyczne i modernistyczne. W Markiewiczach prąd ten

znalazł obrońcę, a nawet wyznawcę: „Docenić trzeba pozytywistyczną zasadę respektowania faktów i wynikający z niej postulat stawiania sobie celów, które dają się urzeczywistnić, i doboru skutecznych środków ich urzeczywistnienia”. A także dominujący wzorzec osobowy: „wierność wobec samego siebie, racjonalność postępowania, sumienne dopełnianie obowiązków, kierowanie się sprawiedliwością, a nawet więcej, bo wrażliwością na cudzą krzywdę”. Warto przypomnieć konkluzję owych wywodów:

„Zakończę wyznaniem osobistym; myślę z wielkim respektem i zarazem sentymentem o pisarzach i uczonych pozytywizmu. (...) Ile trzeba było odwagi cywilnej, by głosić twierdzenia niepopularne, za którymi szły insynuacje i oskarżenia ze strony rodaków o występowanie się zaborcom, a nawet zdradę narodową. Można zarzucać pozytywistom, że pisali górnolotnie – ale wystrzegali się demagogii myślowej, frazesów pustych i mętnych. Gdybym mógł podróżować w czasie, a miał wybierać, do kogo zwrócić się w trudnej sytuacji życiowej, nie u romantyków czy modernistów bym jej szukał. Wybrałbym ich właśnie, pozytywistów – rzeczowych, zrównoważonych, spolegliwych” (*Pochwała polskiego pozytywizmu*, „Znak”, 1996 r.).

Może nie bez znaczenia jest to, co Henryk mi powiedział – że bliska jest mu filozofia stoików. Czyżby jej ślady dostrzegał w epickich utworach Prusa, który „potrafił dostrzec połączenie wzniosłego, heroicznego z tym, co niskie, potoczne”. Profesor dodawał jednak: „W jego powieściach pociąga mnie pokazanie wieloznaczności, migotliwości świata” – czyli akurat coś przeciwnego praktykom socrealistów.

Ujęła go wiara Prusa w oczyszczającą i wybaczącą rolę komizmu jako czynnika godzącego sprzeczności, wzmacniającego więzy międzyludzkie, równoważącego do pewnego stopnia dramatyczne i tragiczne aspekty bytu. To przecież autor *Lalki* pisał: „Humorysta w wielkim stylu niczego nie usiłuje zdobyć, nikogo nie nawraca i nikomu nie ulega, a raczej obserwuje wszystkich i wszystko z pobłażliwym spokojem. Humorysta w wielkim stylu nie uznaje żadnych dogmatów, nie uważa nic za konieczne ani za niemożliwe, tylko za prawdopodobne”. Wydaje się to bliskie sposobowi patrzenia na świat Markiewicza.

Precyzja, ład, rzetelność

Rozmawiamy o tym, czy i do jakiego stopnia wypełnił swój życiowy plan. Zaskakująca skromność, chwilami wręcz pokora – kto zna profesora, ten wie, że nieudawana – każe mu nader ostrożnie, a nawet surowo oceniać swe dokonania. Kiedy kończył 70 lat, powiedział, nawiązując do czasów młodości: „Nie mnie sądzić, czy tym, co pożyteczne w mojej pracy, wystarczająco zadośćuczyniłem za to, co było naukową przewiną czy choćby mąceniem czytelnikom w głowie. Ale – niech wolno mi będzie powiedzieć – wiele rzeczy robiłem w ciągu ostatnich 40 lat właśnie z myślą o zadośćuczynieniu”. To doprawdy rzadka postawa, „zadośćuczyniłem” Markiewicz sowicie: kilkadziesiąt książek autorskich podejmujących różne dziedziny wiedzy o literaturze. Antologie tekstów prezentujących systematycznie nowe kierunki badawcze na świecie i polskie osiągnięcia w dziedzinie literaturoznawstwa. Przywołajmy opinię prof. Balbusa,

który twierdzi, że wiele książek Markiewicza to pozycje „dziś już niezbywalne, decydujące o aktualnym obrazie owych dziedzin i wytyczające kierunki ich rozwoju. Krótko mówiąc, są to książki, bez których współczesne literaturoznawstwo polskie trudno byłoby sobie wyobrazić i bez których nie mogłoby się ono obecnie obejść”.

Sam Markiewicz zachowuje dystans do swego dorobku: – Najwyżej w nauce ceni się nowatorów, tych, którzy formułują twierdzenia nowe, choćby mało prawdopodobne. Co do mnie, owym nowatorstwem się nie wyróżniałem. Nie starczyło mi śmiałej wyobraźni; zbyt wiele miałem respektu dla poprzedników; wyżej ceniłem nawet banalną *doxa* [opinię] od błyskotliwej półprawdy paradoksu. Silniejszą moją stroną był wybór i systematyzacja, krytyka i dopełnienie poprzedników.

Ignorowanie przez współczesne badania literackie wartości najbliższych profesorowi, takich jak „precyzja, dowodliwość i ład twierdzeń” prowadzi „co najwyżej do wzmocnienia wśród młodych relatywizmu i pesymizmu poznawczego oraz dealektowania się nim”. Mało kto w polskiej humanistyce umiałby się zdobyć na tak stanowcze słowa. Pod piórem tolerancyjnego Markiewicza są one tym bardziej wymowne.

Zrozumieć nasz czas

Mimo wszystkie rozterki i wątpliwości Markiewicz – Henryk Wspaniały, jak go nazwała prof. Alina Witkowska, uczony z powołania i zamiłowania, pasjonat swojej pracy, humanista uparcie broniący wartości w zmieniającym się świecie, zwierza się: – Nie narzucałem moim podopiecznym swoich poglądów. Stałem się być pomocnym trenerem na gruncie tych założeń badawczych, które oni sami obrali. Uczyłem skrupulatnego zbierania i wykorzystywania literatury przedmiotu, solidnego uzasadniania własnych propozycji interpretacyjnych, rzeczowego i zwięzłego stylu, starannego zapisu bibliograficznego. – Bagatela! – jak-by powiedział Rzecki.

Wierny przekonaniu o społecznej roli pisarstwa, Markiewicz potrafi jednak docenić różne kierunki literackie, choć nie wszystkie są mu równie bliskie. W wykładzie na Uniwersytecie Gdańskim z okazji nadania mu tytułu doktora *honoris causa*, mówił – jak zwykle rozważnie i z troską – że literatura współczesna opatowana jest obsesyjnym pragnieniem wyzwolenia się od „tematu, sensu, prawdy”. Wiele powieści eksperymentujących zajmuje się, jak napisał postmodernista Raymond Federman, „denuncjacją własnej kłamliwości”. Tendencjom owym przeciwstawiał profesor przesłanie amerykańskiego prozaika Saula Bellowa, który sygnalizował narastające „pragnienie powrotu z marginesu ku temu, co proste i prawdziwe” oraz „tęsknotę do szerszego i pełniejszego obrazu tego, czym my, ludzie, naprawdę jesteśmy i dlaczego żyjemy”. Nie obawiając się posądzenia o staroświecką naiwność, Markiewicz tak kończył swój wykład: „Jak dawniej oczekujemy, że literatura pozwoli nam poprzez fikcję lepiej i głębiej zobaczyć, odczuć i zrozumieć nasz czas rzeczywisty”.

Byłaby to również w jakiejś mierze jego zasługa.

JAN GŁNTNER

OCZYMA BEANA

Zastanawiam się, czy to przystoi zaprzętać uwagę Czytelników „Zdania” kawałkiem z własnego życia. Byłem jednak świadkiem, nawet współuczestnikiem zdarzeń, które z Krakowa zatoczyły potem po świecie szeroki krąg budząc zdumienie, podziw, zachwyt i oburzenie, i zagościły trwale w kulturze europejskiej jako wydarzenia wyjątkowe. To, o czym chcę opowiedzieć, zaczęło się u progu zimy w 1955 roku. Geneza tych wydarzeń ma o wiele szerszy kontekst, sięga lat 30. ubiegłego wieku, kiedy Józef Jarema, Władysław Józef Dobrowolski, Adam Polewka, Maria Jaremińska i inni stworzyli w 1934 roku Teatr Cricot (anagram słów *to cyrk*).

Nie piszę historii tego zdarzenia, Nie potrafię, nie ma na to miejsca. Muszę jednak przywołać dla porządku również inne fakty nieodłącznie związane z nazwiskiem Tadeusza Kantora: Teatr Podziemny z jego *Balladyną* i *Powrotem Odsysa*, teatr akademicki na UJ, i m.in. jego inscenizację Czechowicza *Szósta, szósta*. Tak się składa, że w grudniu 2008 przypadła setna rocznica urodzin Marii Jaremińskiej. Przeszła niezauważona, poza wąskim kręgiem rodziny. Cricoteka pokazała przez dwa dni wystawę jej rysunków i szkiców z lat trzydziestych, niebawem rarytas. Wystawa trwała dwa dni, cóż, widziało ją kilkanaście osób. Jej fontanna między Kurią a Filharmonią czekała około 50 lat na realizację, chociaż był to projekt nagrodzony w konkursie rozpisany w 1947 roku. Czy potrafimy jedynie pławić się

w klęskach powstań narodowych i wertować obrzydliwe akta? Od premiery *Mątwy* minęło ponad 50 lat, od śmierci Tadeusza Kantora siedemnaście. W 1948 roku zaprezentowana została wystawa *Nowocześni* w Pałacu Sztuki. Było to w roku mojej matury.

Miałem chyba wyjątkowe szczęście i trafiłem na „ciekawe czasy”, jak w przekleństwie chińskim. Przypomnę parę zdarzeń, które widziałem na własne oczy. To, o czym będzie poniżej, staram się oglądać oczami człowieka, którym wtedy byłem. Nieomal dzięki przypadkowi znalazłem się w oku cyklonu awangardy, pośród ludzi wpisanych trwale w historię sztuki polskiej, w mieście noszącym miano „Polskich Aten”, pchnięty dziwnym kaprysem losu.

Moje „studia” w Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej przypadły na apogeum lat stalinowskich (1949-1953). A mimo to miałem odrobinę szczęścia, może nawet więcej niż odrobinę. Wśród wielu moich profesorów znaleźli się Władysław Woźnik, Władysław Józef Dobrowolski, Jerzy Karbowski, Władysław Krzemiński, Kazimierz Meyerhold i Adam Polewka. Różnorodność dróg intelektualnych i artystycznych, rozległość horyzontów, doświadczenia życiowe, osobisty urok, bezpośredni i czynny udział w awangardzie lat przedwojennych moich mistrzów sprawiły, że atmosfera dawnych sporów artystycznych i społecznych stawała się czymś bliskim, naturalnym. Wszyscy ci ludzie byli żywymi nosicielami tradycji *Zwrotnicy*, Peipera i Przybosa,

a wcześniej, za sprawą Wiesława Goreckiego, również *Koła Literackiego UJ Helion*, które poprzedzała *Gaika Muszkatolowa*, a wcześniej *Chimera* – pomłodopolskie spory artystyczne i społeczne z całą międzywojenną różnorodnością i bogactwem. Wspólnym mianownikiem osób, które przywołuję, był teatr artystów Cricot. Łączyła ich współpraca z Józefem Jarema – wszyscy byli związani z nim przed wojną, zanim zagościł na dłużej w Domu Plastyków na ulicy Łobzowskiej. W stadnym świecie socrealizmu moi profesorowie emanowali potęgą indywidualności. Nie byłem więc „całkowicie zielony”.

Jak to studenci, komentowaliśmy szeroko wszystko, o czym mówią nasi mistrzowie, a były wśród nich „nowe gwiazdy”, Halina Gryglaszewska, Lidia Zamkow i Jerzy Kaliszewski, i od nich również można się było wiele nauczyć, jeśli się chciało uważnie słuchać. Gwiazdopodobnych moich koleżanek i kolegów oraz bliskich przyjaciół – choć o tym wtedy jeszcze nikt nie pomyślał – składał się z ludzi o wyraźnie zaznaczonych osobowościach. O rok wyżej studiowali ze mną Jerzy Goliński, Jerzy Jarocki, Barbara Wittek, późniejsza żona Konrada Swinarskiego. Moimi kolegami z liceum byli Leszek Herdegen i Sławomir Mrozek, stały bywalec budynku na Szpitalnej; dwaj ostatni mieli wówczas m.in. za sobą debiuty literackie w „Młodej Rzeczypospolitej”, dodatku do „Dziennika Polskiego” redagowanego przez Stanisława Witolda Balickiego. Obydwaj byli członkami Koła Młodych przy ZLP, a Mrozek pisywał w „Dzienniku Polskim” zabawne felietony, które złożyły się później na jego debiutancki tomik *Półpancerze praktyczne*. Wraz ze mną na roku znaleźli się Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela, Kalina Jędrusik, Tadeusz Jurasz, Ryszard Kotys, Józef Zbiróg i wspomniany już Leszek Herdegen. „Młodszy” kolegami, choć w latach powojennych trochę się poplątały roczniki, byli Witold Pyrkosz i Bogusz Bilewski, Iza Olszewska, Zofia Kucówna i Jerzy Grotowski. Ten ostatni pozostawił mi na pamiątkę po powrocie z Moskwy (studiował tam reżyserię) zsywkę swoich wierszy i do dziś nie mogę pojąć, dlaczego nie poprosiłem go wtedy osobistą dedykację. Moim najbliższym przyjacielem był od lat dziecińczy Andrzej Bursa.

Dziś z perspektywy lat widać wyraziście, że było to grono wielce płodnych indywidualności. Tak to już jest, że dojrzewamy umysłowo nie tylko ucząc się z pospiesznie wertowanych książek, słuchając mistrzów, których przecież nie brakowało, ale czerpiemy od siebie, inspirując się wzajemnie.

Wybór własnej drogi zawodowej okazał się dla mnie pomyślny. Zostałem aktorem w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach w czasach, kiedy kierowali nim Tadeusz i Irena Byrscy. To zawsze była na przyszłość doskonała rekomendacja. Okres ten jest już zamknięty; został dość dobrze opisany i udokumentowany; napisałem zresztą o tym w eseju zamieszczonym w książce na jubileusz Teatru im. Żeromskiego. Dodam jedynie, że Byrski dbał niezwykle o poziom umysłowy swego zespołu. Zapraszał na spotkania przy kominku czołówek luminarzy ówczesnego świata intelektualnego, literackiego i teatralnego. Moje osobiste losy, małżeństwo, narodziny córeczki ciągnęły mnie na powrót do Krakowa i w trakcie sezonu szukałem swego miejsca w moim rodzinnym mieście. Jerzy Zagórski, poeta-żagarysta, ówczesny kierownik literacki u Byrskiego, który

obdarzył mnie serdeczną i długotrwałą przyjaźnią, powiedział mi, że Tadeusz Kantor „organizuje w Krakowie nowy teatr i warto się tym zainteresować”. Istniał taki piękny zwyczaj, że artyści, ludzie teatru – choć nawet nie znali się osobiście – pisali do siebie listy polecające, które otwierały drogę adeptom, jeżeli uznali ich za godnych takiego polecenia. W taki list do Tadeusza Kantora wyposażył mnie Tadeusz Byrski.

Pierwszy raz stanąłem oko w oko z Kantorem w Domu Plastyków w grudniu roku 1955; podszedłem do niego na wystawie *9 malarzy* – była to pierwsza po 1948 manifestacja malarstwa niesocrealistycznego – na piętrze, w dzisiejszej Galerii Pryzmat. Przedstawiłem mu się i wręczyłem list polecający Byrskiego. Czytał go chwilę uważnie, przenosił wzrok to na mnie to na papier. Potem chwilę milczał, przecież list był króciutki, zawierał tylko moje imię i nazwisko i rekomendację zawartą w kilku serdecznych słowach, które w tej sytuacji i tak były na wyrost, właściwie bez pokrycia. „Dobrze – powiedział – wprawdzie mam zespół skompletowany, ale przyjmuję pana. Proszę przyjść w poniedziałek na najbliższą próbę o 18”.

Zjawiłem się wcześniej, powiedziałem „dobry wieczór”, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. W pustej, niedogrzejanej sali odbywała się próba *Mątwy*, Stanisława Ignacego Witkiewicza; w nieładzie stały krzesła, stoliki. Robiło to wrażenie, jakby miało się zacząć zebranie, tylko ktoś zapomniał uporządkować salę. Kantor już był; miał narzuconą na ramiona beżową bundę z wielobłędziej wełny zapinaną na drewniane kołki, jakieś rozłożone papiery, koło niego w obcisłym kożuchu, stała Maria Jaremanka, okrakiem na krzesło siedział „Balzak” – Kazimierz Mikulski, tak go nazywano – w szaliku i swetrze z dużym golfem, opierał łokcie na poręcz; tyłem do niego rozprawiali Jonasz Stern i Adam Marczyński, i przyciszonymi głosami rozmawiali potem z Kantorem. Po sali w biednym, przedwojennym płaszczu biegał Stanisław Balewicz, szczupły, wysoki, nerwowo, totumfacki przyjaciel Kantora, poeta i intelektualista. Za nim dreptała mała, siwa dozorczyńni w chustce na głowie, okutana w jakieś kurtki – „Pani Marysia”, niechętna i mruczająca. Przesuwali krzesła i stoliki, układali je z Balewiczem jeden na drugich wytwarzając jeszcze większy bałagan we wszechobecnym nieładzie.

Nie było żadnej sceny. Kiedy zaczęła się rwany rytmem próba, zorientowałem się dopiero, że akcja toczy się na całej sali. Pod oknem z lewej strony w prywatnym futrze leżała na brzuchu i majtała nogami aktorka, Jadwiga Marso, na którą wszyscy mówili „Dziuba”. Była posągiem, z którym z galerijki wokół jednego ze słupów utrzymujących strop sali przekomarzał się papież Juliusz II – Marian Słojkowski, aktor o niezwykłym tembrze głosu i (podobno) niebezpieczny przeciwnik przy grze pokera.

W różnych miejscach sali przy stolikach siedziały nieznajome osoby, które miałem stopniowo poznawać. Znałem tylko „Renka” – Renè Leopolda Nowaka. Przyjaźnili się blisko z Romkiem Polańskim, bywali w Szkole Aktorskiej na Szpitalnej, dokąd Romek zdawał (bez powodzenia) jakieś dwa lata po mnie. Obaj zezowali w stronę filmu. Romek był w Krakowie znaną postacią, grał wcześniej w teatrze u Marii Biliżanki *Syna pułku* u boku Jerzego Karbowskiego i wyciskał łzy wzruszonej widowni. W tym czasie był już w „Filmówce” w Ło-

dzi. „Renek” pomógł mi stopniowo poznawać osoby zgromadzone w sali. Mówił mi, „to ten, a to tamten”, przedstawiał mnie obecnym, „to Janek, a to Staszek”. To „Renek” pomógł mi „wejść” w mikrokosmos awangardy artystycznej, jak się miało rychło okazać.

Szybko zorientowałem się w kilku sprawach: wstąpiłem do klasztoru o wyjątkowo surowej regule. Zakon był z pewnością żebraczy i nie było najmniejszych nawet widoków na żaden zarobek. Dlatego zapewne nie wymagano w tym konwencie ani ślubów czystości, ani wstrzemięźliwości wobec napojów wysokokowych (pito przeważnie grzane czerwone wino z goździkami i cynanonem, ale nie wyłącznie). Nie trzeba też było klepać pacierzy. Nad wszystkim unosił się duch wolności po smutnych czasach uniformizacji i marszu „w nogę”. Znalazłem się wśród ludzi o głośnych – wkrótce już o tym wiedziałem – historycznych nazwiskach, którzy jeszcze przed wojną dokonali przełomu w sztuce plastycznej. W owym łańcuchu pokarmowym wśród wielorybów awangardy zajmowałem miejsce – powiedzmy – kryła. Zrozumiałem też, że mimo to byłem w sytuacji wyjątkowej – choć chwilowo bez widoków na podstawy samodzielnej egzystencji zaczynam terminować, uczyć się. O nich i od nich. Okazało się też, że zdarzenia w Domu Plastyków skupiają na sobie uwagę pisarzy, artystów plastyków, żurnalistów. Stają się tematem rozmów, komentarzy przyjaznych i niechętnych, notatek prasowych oraz środowiskowych ploteczek.

Jak w masonerii rytu szkockiego, w mikrokosmosie Cricotu, istniała hierarchia wtajemniczeń. W hermetycznym kręgu, areopagu teatru Cricot 2, w jądrze tego atomu, najważniejsi byli Kantor i Jaremińska, a może nawet w odwrotnej kolejności, Jaremińska i Kantor, nierozłączni jak *jing* i *jang*; blisko nich byli Kazimierz Mikulski i Janusz Stern; wszyscy stanowili cztery *quarki* tego atomu. Wokół nich wirowali Skarżyński, Lidka i Jurek, i Adam Marczyński. Ostatni, podobnie jak Janusz Stern, nie brali czynnego udziału w próbach ani w czynnościach organizacyjnych. Prowadzili między sobą ścisłe rozmowy i spory, narady teoretyczne i strategiczne, które realizować miał Stanisław Balewicz. „Staś” złożony z energii i entuzjazmu, jak wolny elektron krążył wokół jądra atomu po zmiennych orbitach z sercem na dłoni, pełen najlepszej woli, obdarzony niezwykłą energią, ciepły i empatyczny, ale bez talentów organizacyjnych. W kątku siadywał Jerzy Nowosielski, bywało że drzemał, albo przeczekiwał do następnej „setki”. Z rzadka zaglądała Jadwiga Maziarz.

Drugi, niższy krąg wtajemniczenia tej osobliwej loży stanowili przyjaciele Kantora: Maria Krasicka („Lilka”), prawdziwa hrabina, przyjaciółka Tadeusza, podobnie jak Marta Stebnicka współdziałały z nim w Teatrze Podziemnym za okupacji hitlerowskiej. Wśród regularnych bywalców prób pokazywali się młodszy koledzy Kantora, Janina Kraupe-Swidorska, Andrzej Pawłowski, późniejszy twórca i dziekan wydziału form przemysłowych krakowskiej ASP. Andrzej Pawłowski wraz z „Renkiem” Nowakiem uwięzieni przez Jaremińkę w jednej obszernej marynarce tworzyli w *Mątwie* Witkacego postacie „dwóch wujów, starych kretyńców” malarza Pawła Bezdeki. Często odwiedzali Tadeusza scenografowie Wojciech Krakowski i Andrzej Cybulski związani z teatrami krakowskimi oraz krytycy plastyczni Piotr Krakow-

ski, późniejszy profesor historii sztuki nowoczesnej UJ i przedwcześnie zmarły krytyk i teoretyk Adam Kotula, turysta i tatarnik. Ci dwaj jak „superwajzerzy” robili notatki na świstkach.

Pojawiał się mroczny olbrzym Daniel Mróz, słynny scenograf i grafik m.in. „Przekroju” i dziesiątków, jeśli nie setek wydawnictw książkowych. Czasem był z nim jego brat Sokrates, wyjątkowe dziwadło, filozof, obstrzępiony tysoń w okularkach i w dziwnym berecie robionym na drutach. Mówiono szeptem, że posiadał jakieś rękopisy Witkacego, ale nie wiem, czy to była prawda czy mistyfikacja. Im wolno było wymieniać uwagi z Jaremińką i Kantorem. Zaglądali czasem na próby Mieczysław Porębski i Władysław Józef Dobrowolski, wpadał kaszlący rzeźbiarz Jacek Puget (czasami „pod wpływem”) i dziesiątki innych osób. Z Łodzi przyjeżdżała prof. Helena Blumówna, z Warszawy Artur Sandauer i jego żona Erna Rosenstein, z Zakopanego Tadeusz Brzozowski.

Trzeci krąg stanowili aktorzy Starego Teatru: Wanda Kraszewska, Jadwiga Marso, Maria Ciesielska, Marian Słojkowski, Tadeusz Gronkowski i Jerzy Nowak, których Kantor znał, bo w Starym był scenografem. Sobie tylko wiadomym sposobem skłonił ich do współpracy w przygodzie, jaką miał stać się przyszły teatr Cricot 2, a oni rzucili się na głęboką wodę eksperymentu. Tu miałem nieco ułatwioną sytuację. Jerzy Nowak był w *Mątwie*, królem Hyrkanem IV. Szczekającym głosem Hitlera wygłaszał kwestie, jak z płyty, która się zacięła; Jerzy Nowak, jest moim najbliższym krewnym a Marysia Ciesielska „Lilka” była moją młodszą koleżanką ze Szkoły Aktorskiej. Przypadła jej rola uosobienia perwersyjnego, dziewiczego seksu narzeczonej malarza Bezdeki; Jerzy i Lilka pomagali mi w przełamywaniu lodów w tym hermetycznym gronie. Mam do dziś w uszach jej kwestię z *Mątwy*: „Ja nie jestem wcale taka niewinna, jak się wam zdaje, ja też mam w sobie jakiś jad!” Lilka Ciesielska była ulubienicą wszystkich w Cricocie. Żoną malarza Bezdeki była Krystyna Łukasiewicz, zwana „Szancenbachową”, a matką Maria Jaremińska. Dźwięczy mi jeszcze w uszach jej kresowa, śpiwna wymowa.

Okres ten miał dwóch kronikarzy wyposażonych w aparaty fotograficzne. Byli to Aleksander Wasilewicz „Sasza”, Serb, który pracował w piwnicy PAN na Sławkowskiej 17 w pracowni mikrofilmów i Roman Tatarczuk „wolny strzelec”, nie pamiętam gdzie pracował. Parę lat potem zginął tragicznie gdzieś w Sudetach w niewyjaśnionych okolicznościach; został zamordowany, przy zwłokach były dokumenty, pieniądze i sprzęt fotograficzny. Znałem wcześniej też dwie dziewczyny: Zofię Bielawską „Praxedę” i Maszę Kapelińską, ekscentryczną piękność, późniejszą żonę Irka Iredyńskiego. Obie należały do orszaku żon Bezdeki. Na spektaklu miały trykoty w czarno-białe, kubistyczne wzory i twarze pomalowane w takież taty. Wtedy były studentkami Akademii Sztuk Pięknych. Mieszkały w domu akademickim na dzisiejszej ulicy Lea, wówczas Feliksa Dzierżyńskiego, gdzie wcześniej, jako student PWSA, zachodziłem do mojej przyszłej żony.

Dzięki nim poznałem Stefanię Górniak i Marysię Stangret, późniejszą drugą żonę Tadeusza Kantora, i Krzysztofa Pankiewicza, który wówczas używał jeszcze swego rodzowego nazwiska Zralek, a także grupkę

aktorek i aktorów-lalkarzy z Teatru Groteska, Mirę Kotulę i Stefaninę Górniak, do której mówiono wyłącznie „Stenia”, Staszka Rychlickiego i Tadeusza Korlatowicza; z tą czwórką miałem się poznać bliżej. „Stenia” była blisko związana z „Bazakiem”, podobno nie tylko towarzysko. Byłem chwilowo „bez przydziału”, bo nieco później braliśmy już wspólnie udział w próbach pantomimy wg poetyckiego scenariusza Kazimierza Mikulskiego, *Studnia, czyli głębia myśli*, do której dekoracje i kostiumy robili nierozłączni Jurek i Lidka Skarżyńscy. Miałem też „dublować” ze Staszkiem Gronkowskim rolę Tetrykona, lokaja malarza Pawła Bezdeki – Kazimiera Mikulskiego. Ze strzaskanej kolumny wystawała głowa i góra nagiego torsu Krzysztofa Zrałka-Pankewicza, ducha malarza Bezdeki – Mikulskiego, który powtarzał za nim wielkim głosem błagania „Boże, Boże!” i inne metafizyczne okrzyki.

Chłodna prowincjonalnym konstruktoryzmem sala wymagała – zdaniem Kantora i Jaremiarki – adaptacji. Miała być odmalowana, wokół sali poniżej sufitu Jaremiarka oczyma wyobraźni widziała paneau o szerokości jednego metra. Stworzyła projekt malarzski przyszłego monumentalnego muralu. W czerni, bieli, w szarościach, ugrach i mondrianowskich akcentach kolorystycznych, przypominał motywy znane z jej cyklu obrazów *Monotypie*, przenikające się, jakby ruchome kształty. Z planów Kantora konkretne kształty przybierała kawiarnia i orkiestra grająca jazz nowoczesny; oprócz teatrum miał być koncert, gwar, bar, a nawet dancing.

Zauważyłem też pewien „niepokój” wokół wyłaniającej się coraz wyraźniej z chaosu *Mątwy*. Aktywność Kantora, który energią własnego geniuszu rozsądzał nieco senny byt ZPAP odmierzany rytuałem zbiorowych wystaw „okręgowych”, budziła nie tylko zainteresowanie, nie zawsze życzliwe. Przedstawienie, które powoli powstawało i plany Kantora, aby toczyło się ono w kawiarni, wśród stolików, przy kawie, herbacie, konsumpcji i wyszynku miało nie tylko entuzjastów.

Zaczęli bywać dziwni ludzie wypełnieni muzyką: Alojzy Klucznik, Tadeusz Dobrzański, Adam Walaciński i Bogusław Schäffer, studenci drugiego roku Akademii Muzycznej (wtedy nazywała się jeszcze Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna), Adam Kaczyński i Krzysztof Penderecki. Adam, który na dobre „przyjął się” w Cricocie napisał potem piękną muzykę do *Cyrku Mikulskiego*; późniejszy niestrudzony propagator i kompozytor muzyki nowoczesnej, zasłynął stworzeniem zespołu MW 2, z którym objechał cały świat. Pendereckiego nie przedstawiam, bo nie ma potrzeby przedstawiania Beethovena. Potem nadciągnęli muzycy, jazzmani, klezmerzy, zamknięty hermetyczny klan grajków. Rej wodził Stanisław Kalwiński „Drażek”, student matematyki, pianista, wraz z dzisiejszą gwiazdą polonistyki, panią profesor Martą Wyką stanowili nierozłączną parę. Jego przyjaciel, basista, Staszek Otałęga, ujmujący wulkan wesołości przydzwigał kontrabas. Przybyli bracia Dylągowie, którzy szli z nim w zawody („Gucio” jako kontrabasista zyskał potem sławę wykraczającą daleko poza polskie opłotki). Pojawił się Leszek Sokołowski, wówczas student Wydz. Prawa UJ, pianista. Widywałem zegarmistrza z Karmelickiej Adama Bylicę grywającego na saksofonie, Rysia Garbienia, świetnego akordeonistę, radosnego w spontanicznej muzykalności i po-

dobno całkowicie beztroskiego w nieznanym otoczeniu. Szybko przechodzili od słów do czynów. Potrzebowali czasu i miejsca na próby. Nieśli ze sobą gwar, przekrzykiwanie się, hałas perkusji, na której breki wybijał Wiesław Schönborn, syn profesora UJ.

Słyszało się, że nasza działalność wywołuje również niepokój. Uważano w Związku, że „Kantor i jego ludzie panoszą się”. Powoli stawało się jasne, że w sali na Łobzowskiej robi się za ciasno i podskórnie narasta jakiś konflikt, który w miarę jak konkretyzuje się trud Kantora, przybiera dramatyczną formę „my, albo oni”. Nie wszyscy w Związku byli usposobieni przyjaźnie do Jaremiarki i Kantora. Rej wówczas wodził „kapiści”. Wacław Taranczewski, Czesław Rzepiński, Hanna Rudzka-Cybisowa, Jerzy Fedkowicz, i Jan Świdorski, czyli kapiści z krwi i kości, bez cudzysłowu, i jeszcze paru innych; oni byli Kantorowi i Jaremiarce życzliwi. Zobowiązywała do tego klasa, etos wybitnych artystów. Wspomniani wcześniej artyści plastycy także mieli własny stolik – nigdy nie był pusty, a królowała przy nim zawsze piękna Celina Styrylska... i podobnie jak prezes ZPAP Jan Szancenbach (oraz późniejsi prezesi, Antoni Kostrzewa i Józef Kluza), sprzyjali powstaniu teatru Cricot 2 w sali na Łobzowskiej 3. (Słowo „kapiści” miało również wśród „awangardy” znaczenie epitetu.)

Dużą część artystów stanowili „użytkownicy”, twórcy wcierek, transparentów, okolicznościowych dekoracji, reklam i szyldów, projektów wnętrzarskich na użytek, „pozał się Boże” gastronomii i handlu, itd. Byli to ludzie najczęściej uwikłani w różne koterie, w socrealizm, który właśnie z hukiem płałował. Uważali lokal na Łobzowskiej za kantorek do prowadzenia własnych interesów. Stanowili liczną część Związku Polskich Artystów Plastyków, który dzięki aktywności Tadeusza Kantora zmieniał całkowicie swój charakter. Nie cały Związek sprzyjał tej swoistej rewolucji kulturalnej. Zresztą w każdym środowisku znajdują się frustraci, zawistnicy i sykofanci.

Kawiarnia, nad którą wkrótce górował mural Jaremiarki ruszyła. Grał zespół jazzowy w różnych składach, który zarysach przedstawiłem już wcześniej. Gdzieś w połowie maja 1956 r., a może trochę wcześniej odbyła się premiera *Mątwy*. Ze względu na pracę aktorów w teatrach przedstawienia odbywały się o późnej porze. Stoliki były zajęte wcześniej. Tu parę uwag protokolarnych: zarezerwowany był stolik „dla literatów”. Zasiadali przy nim w różnych konstelacjach Stefan Otwinowski, Julian Przyboś, Tadeusz Kwiatkowski, Henryk Vogler, Marian Promiński, Marian Załucki, Zygmunt Greń, Ludwik Flaszen, Tadeusz Nowak, Adam Włodek, Juliusz Kydryński (zwany „Busiem”), Jan Kott, Jacek Frühling, Krystyna Zbijewska, dostoyny (niespecjalnie wysoki) profesor Wacław Kubacki, Przy innym stoliku tłoczyli się „młodzi gniewni”, Mariusz Chwedczuk, Wiesiek Dymny, Basia Nawratowicz, dwie Joasie, Olczakówna i Wolska (późniejsza Plewińska), Krzysztof Litwin, Janinka Garycka, Piotr Skrzynecki, Andrzej Bursa, Andrzej Reutt-Majewski, Kazimierz Wiśniak, Krystyna Zachwatowicz (i mnie zdarzało się z nimi siadywać) i wielu innych; spotkaliśmy się nieco później w kabarecie Piwnica pod Baranami.

Przy innym zasiadali świeżo upieczeni artyści malarze: Marian Warzecha i Teresa Rudowicz, nad wiek poważni i „nowości potrząsali kwiatem”. Rej wodziła

Barbara Kwaśniewska, wielce zasadnicza i pryncypialna, czemu sprzyjał jej osobisty kontakt z Jonaszem Sternem, który miał wtedy pracownię na alei Zygmunta Krasińskiego, (nie mylić z Edziem, – choć z tej samej rodziny – a on, ilekroć „gościł” w Krakowie, zawsze bywał w Cricocie). Wokół Kwaśniewskiej zasiadali zaprzyjaźnieni malarze: Jerzy Wroński, Danusia Gierczak i jej późniejszy mąż, Witold Urbanowicz, Julian Jończyk, Lucjan Mianowski, Zbyszek Lutomski, Zosia Piasecka i Janusz Tarabula, który niedługo potem wystawił w ASP na Smoleńsk 9 sztukę Jeana Cocteau *Orfeusz* i sam grał udatnie mitycznego śpiewaka. Własny stolik mieli też dziennikarze, hałasował przy nim Olgierd Jędrzejczyk, zasiadali Władysław Cybulski, Bruno Mieciugow i Janusz Roszko. Gdybym chciał wyliczyć wszystkich, byłaby z tego książka telefoniczna.

Chciałbym teraz opowiedzieć krótko o pewnym zjawisku literacko-towarzyskim, które nie miało chyba podobnego precedensu w ówczesnym życiu artystycznym. Oczekiwaniu części widzów na spektakl sprzyjał barek, orkiestra jazzowa, taniec czasem dość ekscentryczny, w czym celował Irek Ireduński, wówczas jeszcze kilkunastoletnie *enfant terrible* z Bochni, dezenter z liceum poligraficznego. Wspominałem już o galeryjce z przyspawanymi krętymi schodkami, skąd Marian Słojkowski, Papież Juliusz II z *Mątwy* w osobiwej tiarze z kaplinów, w kostiumie Jaremiarki przypominającym nieco zwoje bandaży spowijających mumie w British Museum wypowiadał swoje kwestie.

Trochę spontanicznie, a po części z inspiracji Tadeusza Kantora młodzi poeci – zawsze cierpieli na deficyt oglądania się w druku – stamtąd wygłaszali swoje wiersze. Szybko zrobił się z tego spontaniczny Hyde Park poezji, przez który przewinęło się wielu ucałowanych w kołysce przez Mużę i jeszcze więcej takich, od których odwróciła głowę. Andrzej Bursa, Stanisław Czyż, Jerzy Harasymowicz, Leszek Herdegen, Tadeusz Śliwiak, Tadeusz Nowak mierzyli się ze skupieniem uwagi siedzących przy stolikach i gwarem, dochodzącym z barku. Pojawił się też nagle dziwny człowiek z Ziem Odzyskanych, Jerzy Passakas, wtedy bywalec wszystkich imprez półoficjalnych, po pewnym czasie słuch o nim zaginął.

Ireduński, o tym warto wspomnieć, bardzo szybko „wyczerpał” zasób pomiętych wierszy noszonych po kieszeniach, więc po kieliszku, wygramoliwszy się na górę rozpoczął osobiwą improwizację. Obecne przy stolikach osoby o głośnych nazwiskach „lżył” za pomocą *ad hoc* wymyślanych surrealistycznych epitetów. Czasem bywało to zabawne, zwłaszcza że Irek nie wymawiał spółgłoski „r” („Z pomiętego wytka puostytutki zływa się Hentyk Vogleł z krzykiem uopaczcy: nie dałem uady!”). Krzykliwe występy, dziś powiedzielibyśmy happeningi Ireduńskiego były nieco irytujące, ale zawsze cichły rozmowy przy stolikach i przy barze, a nieletni prowokator z egzystencjalną bródką, która nie miała jeszcze zamiaru wyrosnąć, osiągał zamierzony cel: skupiał na sobie uwagę.

„Gości” spoza Krakowa pojawiało się na przedstawieniach *Mątwy* i towarzyszącej jej *Studni*, czyli *głębi myśli* co niemiara. Od groźnych Zoili „Trybuny Ludu” – „Jaszczu”, Jana Alfreda Szczepańskiego i Romana Szydłowskiego po Augusta Zamoyskiego i Jerzego Kujawskiego, którzy przyjechali „ze świata”. Wiernymi przyjaciółmi Cricotu 2 byli państwo Sandauerowie.

Pani Erna była członkinią Grupy Krakowskiej jeszcze przed wojną. Bywalcem Cricotu był poeta, Julian Przyboś, niedawny dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej. Nawiedził Cricot 2 siwy, drobny papież francuskiej krytyki artystycznej, Jean Cassou. Wszystkie pisma ogólnokrajowe zamieszczały recenzje i informacje, przyjazne i złośliwe, krótsze i dłuższe, przeważnie jednak płytkie i naskórkowe. „Znaleźliśmy się” (to znaczy Kantor i jego teatr) na topie.

Ażeby mógł funkcjonować teatrzyk i kawiarnia w skomplikowanej rzeczywistości „prawa do lokalu”, który należał do ZPAP, Kantor – człowiek o żelaznej konsekwencji – *gros* energii wkładał w rzeczy, którymi artysta jego formatu nie powinien się w ogóle zajmować. W gąszczu demoludowej biurokracji, splotu cenzury i „władz politycznych”, bo to był onnipotentny decydet, niezwykle talenty dyplomatyczne wykazał Stanisław Balewicz, który umiał to wszystko „wydreptać” zmuszony zazwyczaj do wielokrotnego antyszambrowania u ludzi, których nazwisk nikt już nie pamięta, bo i wtedy ich znaczenie było tylko nadętą polityką. Tu mała dygresja: staraniem artystów skupionych wokół Kantora wydano wtedy z jego rysunkami *Iwonę Księżniczkę Burgunda* „emigracyjnego pisarza” Witolda Gombrowicza. Balewicz zawiózł *Iwonę* do KC, do Zenona Kliszki, bo i tam przecierał ścieżki Teatru Cricot 2. Według relacji Stasia, Kliszko zaniósł książkę Władysławowi Gomułce, a ten miał ją skwitować epitetem „ludowi nie potrzebne”. Mimo to Tadeusz Kantor miał skryształizowany plan strategiczny dalszego rozwoju Teatru Cricot 2. Po *Mątwie* następną premierą była *Historia sentymalna, czyli Cyrk*, Kazimierza Mikulskiego.

Tu jeszcze ważna dla mnie dygresja: wspominałem już nazwisko Marty Stebnickiej. *Cyrk* poprzedzał jej krótki recital, a właściwie bezpretensjonalny występ, choć w awantazowej toalecie. Śpiewała z niebywałym wdziękiem, z jakąś gawroszowską, prowokacyjną przekorą dekadentckiej tradycji; bez mikrofonu, pięknym, pełnym głosem, wyczarowywała urokliwe, staromodne piosenki o dziwnej mieszczańskiej proweniencji. Wtedy zupełnie nie orientowałem się, kto je napisał, ani co to jest kultura śpiewu. Marta, piękna, wysoka, o czarującym uśmiechu, zachwycająca pełnią dojrzałego seksu, wносиła swoim śpiewem do atmosfery Cricotu powiew *fin de siècle'u* i paryskiego uroku. Dyskretnie, bez banalnej brawury pianistycznej tak denerwującej w warszawskich występach estradowych, towarzyszył jej arcy muzyczny inżynier Andrzej Czopik. Przed *Cyrkiem* startowały *Kineformy* Andrzeja Pawłowskiego, jego wynalazek i dzieło; dziś – po latach można powiedzieć – była to pierwsza „prezentacja multimedialna”. Pawłowski zbudował z tektury i blachy osobiwą małą kabinę – rzutnik, z którego przez system kondensorów skoncentrowany snop światła rzucał na ekran powiększoną projekcję kosmosu trójwymiarowych form wirujących w przestrzeni, uzyskiwaną (jak w kalejdoskopie) z kawałków przezroczystej folii, papieru i różnych odpadków. W porównaniu do kanadyjskiego eksperymentatora Mac Larena, którego film rysowany wprost na taśmie również pokazywano na Łobzowskiej, dzieło Pawłowskiego było sterylne w formie, a efekt okazywał się nieskończenie piękny. Pomagał mu i sekundował z oddaniem wówczas jeszcze student ASP,

Stanisław Maszewski, który później wyjechał na stałe do Grenoble, gdzie odnosi, jako projektant wnętrz wielkie sukcesy artystyczne.

Powoli z przypadkowego adepta zaczynałem patrzeć na otaczające mnie zjawiska i zdarzenia świadomie. Ówczesny *undreground* wessał mnie, pochłoniął i całkowicie zafascynował. Z Andrzejem Bursą napisaliśmy turpistyczny scenariusz złożony z luźnych obrazków, roił się nam bowiem w głowach teatr okropności, jak słynny francuski, *Théâtre du Grand Guignol*. Odważyliśmy się na skok w przepaść i pokazaliśmy nasze zapiski Kantorowi.

Siedzieliśmy razem przed południem przy stoliku w Cricocie. Kantor przeczytał nasz szkic luźnych pomysłów. „Robimy to od razu. To jest propozycja na czysty teatr surrealistyczny. Niech pan pomyśli nad obsadą” – powiedział do mnie. Nie był to żart. Wkrótce sam przystąpił do realizacji *Karbunkuła*, bo jak wrzód i drogi kamień nazwaliliśmy nasz pomysł na teatrzyk. Dekoracje wykonała Maria Jaremińska. *Karbunkuł* wszedł w reżyserii Kantora jako samodzielny spektakl obok *Cyrku* Mikulskiego i *Kineform* Andrzeja Pawłowskiego. Udział w spektaklu wzięli m.in.: Wanda Kruszczyńska, Freda Leniewicz, Maria Stangret, Andrzej Bursa, Stanisław Gronkowski, Jan Güntner, Roman Tatarczuk, Andrzej Żmudzi i inni. Do pięknego wiersza Andrzeja Bursy, który zmarł nagle na serce 15 listopada 1957 roku (miał wówczas 25 lat), napisał nam muzykę student drugiego roku Akademii Muzycznej, Krzysztof Penderecki:

„Piosenka maszyny do szycia

W czarnych arteriach miasta zastyga krew jesieni
Wieczór zaciska się w pętlę szarość gęstnieje od westchnień
I nic nie może się zmienić, bo nie powróci już więcej
Mgła odchodząca w przestrzeń.

Dni są podobne palcom bladym i pracowitym
Tylko noc czarny płomień zapala na zgłiszczach marzeń
Maj tylko raz zakwita, lecz oddech jego woni
Spopiela serce w żarze.

O maju wonny i śmigły oczarowanie alej

W lepkim uścisku jaśminu krwawiący kółkami róży
Po ociężałej powale zmierzch się płata by minąć
I tonie w trumnie podwórza

Dni są podobne palcom noce ruinom cieni
Serce zakłute boleśnie bladym strumyczkiem krwi
I nic nie może się zmienić, bo czuję nawet we śnie
Jak serce boli i krwawi”.

Po latach prof. Piotr Krakowski w artykule o początkach teatru Cricot 2 tak „pół żartem pół serio” zapamiętał drobny epizod:

„W ramach Teatru Cricot 2 wziął także udział teatrzyk *Karbunkuł* z charakterystycznym programem wyraźnie nawiązującym do teatru makabry, jakiegoś znanego z opowiadań Grand-Guignola, który wprawdzie jeszcze istniał w Paryżu, ale wyraźnie dogorywał. A może było tam coś także z A. Artaud i jego *théâtre de la cruauté*. W każdym razie był to jakiś teatralny, czy raczej kabaretowy turpizm. Prezentowano w nim różne numery m.in. scena z człowiekiem, który usiłuje przedostać się przez drzwi, co mu się ostatecznie nie udaje, bo drzwi go zabijają. Pokazano także ginekologa, (którego grał psychiatra), szukającego czegoś pomiędzy gipsowymi nogami zaprojektowanymi przez Jaremińską; ostatecznie wyjmował stamtąd małe kot-

ki, które ofiarował młodemu człowiekowi w cylindrze. Występowała również naga dziewczyna, którą za na wpół przeźroczystą kotarą, głaskał i pieścił mężczyzna w cylindrze; gdy kotara się rozsunęła, dziewczyna była pomazana krwią. Widzowie oglądali też wijącego się z bólu konferansjera, szukającego czegoś za kotarą; gdy kotara się rozsunęła ukazało się na widowni stare-małe dziecko z nożycami i uciętą ręką konferansjera. Biegał wreszcie po scenie człowiek z podartym, rozszarpanym torsem, wypełnionym starymi gazetami. Jednak gwóźdź programu stanowiła *Piosenka maszyny do szycia*, do której słowa napisał Andrzej Bursa, a melodię ułożył Krzysztof Penderecki. Jan Güntner dawał swój głos maszynie, która podczas śpiewu szła. Śpiew od czasu do czasu przerywał kaszel, wtedy również ustawał terkot maszyny”.

Dodam tylko, że wspomnianą przez Krakowskiego „kotarę”, przypominającą motywami abstrakcyjnych form *panneau* wokół sali teatru Cricot 2, projektowała i osobiście uszyła twórczyni kostiumów, Maria Jaremińska.

Zdarzenia te były najściślej związane z polskim październikiem, pierwszą powojenną udaną próbą emancypacji spod wpływów ZSRR. Pojawiły się liczne wydawnictwa, przekłady literatury europejskiej i amerykańskiej; potrzeba wolności, bez której umiera każda twórczość, każda indywidualność doszła wtedy do głosu. „Złagodniała” chwilowo cenzura, ale przecież nie znikła. Przy wsparciu wielu życzliwych ludzi udało się „zarejestrować” Grupę Krakowską, „niekoncesjonowane” stowarzyszenie malarzy, rzeźbiarzy i muzyków (Bogusław Schäffer i Adam Walaciński), które w swoim statucie zawarowało sobie prawo prowadzenia teatru eksperymentalnego. Z całkowitą niechęcią władz spotkała się próba utworzenia Stowarzyszenia Teatru Cricot 2. Kantor i liczna grupa aktorów i plastyków otrzymali kategoryczną odmowę i poufną radę „dajcie sobie na wstrzymanie”. Robiło się „na Łobzowskiej” coraz ciśnieć i było jasne, że gościna u ZPAP dobiega końca. Powstał pomysł przeniesienia się do piwnic w pałacu Krzysztofory, które Grupa Krakowska miała otrzymać jako stałą siedzibę, co przy olbrzymim wysiłku Stanisława Balewicza staraniem wielu ludzi dobrej woli i poparciu władz lokalnych urzeczywistniło się po długotrwałym i kosztownym remoncie.

Kantor nigdy się poddał. Miał wówczas 40 lat i właśnie dojrzywał jego geniusz. Robił swoje z niezwykłą konsekwencją. Zyskał trwałą pozycję w Polsce jako malarz, zwrócił uwagę mediów zagranicznych na swoją twórczość, a zwłaszcza na teatr, z którym objechał potem cały globus.

Meandry „polityki kulturalnej” w Polsce Ludowej były zawile: to „przykręcano śrubę”, to ją „luzowano”. Powstały jednak liczne przyczółki wolności twórczej: Grupa 4 F+R w Poznaniu, Piwnica pod Baranami i Teatr 38 w Krakowie, Galeria Foksal i STS w Warszawie, Teatrzyk Bim-Bom w Gdańsku i wiele innych zjawisk efemerycznych i o bardziej długotrwałym żywocie. Zamknięcie pisma „Po prostu” było poważnym, ostrzegawczym sygnałem. Było wiadomo, że będzie trudno, ale proces, który się uruchomił samoczynnie, będzie już trwał.

MARIAN STĘPIEŃ

CÓŻ TO ZA KAWIOR!?

W Polsce takie studium by nie powstało. Jeśliby się pojawiło, miałoby podtekst i zamierzenie antysemityczne. I tak byłoby odbierane. Badacz wolny od antysemityzmu wiele kwestii podjętych przez Marci Shore wolałby unikać, przemilczeć w obawie przed nieuzasadnionym wprawdzie, ale wielce prawdopodobnym zarzutem antysemityzmu. Omijałby ostrożnie owo „pole minowe”, o którym mówi Kazimierz Wierzyński w *Lekcji konwersacji*: „Nie mów o Polakach i Żydach – to pole minowe”.

Amerykańska autorka Marci Shore, profesor na Indiana University w Stanach Zjednoczonych napisała rozprawę doktorską na Uniwersytecie Stanforda, z której powstała książka *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. Już jej rękopis został wyróżniony Frankel Prize, nagrodą przyznaną za wybitne prace z dziedziny historii współczesnej. Dzieło zostało opublikowane w Stanach Zjednoczonych w języku angielskim w 2006 roku. Dwa lata później ukazał się jego polski przekład, dokonany przez Marcina Szustera.

Marci Shore wolna od zahamowań i ograniczeń, które najczęściej sami sobie stwarzamy („I tak będzie zawsze / Póki będziemy paść się / Na łące zaciętrzewionych ostów” – by ponownie przywołać Wierzyńskiego), swobodnie i naturalnie, rzeczowo i zgodnie z prawdą zatrzymuje uwagę na twórcach polskiego futuryzmu i Awangardy, na ich skłonności ku lewicowej orientacji społecznej i politycznej, na ich zafascynowaniu marksizmem – i na ich żydowskim rodowdzie.

Adresatem książki nie jest polski czytelnik. To może też mieć znaczenie dla naturalnego, rzeczowego, swobodnego poruszania się po obszarach polsko-żydowskiej kultury. Jest nim odbiorca angielskojęzyczny (może się znaleźć w różnych miejscach świata) zainteresowany polską literaturą i kulturą dla niej samej albo traktujący ją jako przykład przygody intelektualnej i ideowej, która była udziałem wielu twórców w Europie Środkowej i Wschodniej w ubiegłym stuleciu.

Z myślą o takim właśnie czytelniku autorka wprowadziła informacje, które mogą wydać się zbędne polskiemu profesjonalnemu odbiorcy książki. Ale i jemu nie zaszkodzi syntetyczne przypomnienie klimatu życia literackiego w Polsce międzywojennej i kilku latach powojennych. Zwłaszcza że jest on tu scharakteryzowany ze szczególnego punktu widzenia: w świetle doświadczeń wybranej grupy pisarzy i intelektualistów. Także zamieszczony na początku książki *Spis postaci* niezbędny obcemu czytelnikowi, również polskiemu może przynieść pewne korzyści. Autorka więc ma rację, gdy pisze: „Mam pewną nadzieję, że w tej niesamowicie złożonej historii czytelnik polski też znajdzie dla siebie coś nowego” (9).¹

Ta nadzieja jest uzasadniona, tym bardziej że autorka do swej wartkiej, interesującej narracji wprowadza anegdoty, fakty, szczegóły z życia literackiego i prywatnego mniej znane albo i wcale do tej pory nie-

¹ Marci Shore, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. Z angielskiego przełożył Marcin Szuster. Świat Książki, Warszawa 2008. Cyfry w nawiasie po cytatach oznaczają stronę tej książki.

znane. Zostały zebrane podczas wiele lat trwającej kwerendy w czasopiśmie, archiwach, wspomnieniach, w prywatnej korespondencji dotychczas nie opublikowanej. Dużo mówi na przykład taki szczegół, że oto po wycofaniu się Władysława Broniewskiego z „Nowej Kultury”, zastąpił go Witold Kolski, bardziej znany jako autor złowrogiego paszkwilu *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną* na Broniewskiego i Wata, zamieszczonego w „Czerwonym Sztandarze” w 1940 roku, poprzedzającego aresztowanie ich we Lwowie przez NKWD. Albo informacja, że Jakub Berman w Swinosowchozie, w szkole kominternowskiej kształcił działaczy, którzy w 1942 roku mieli utworzyć Polską Partię Robotniczą.

Autorka przedstawia losy pisarzy i intelektualistów, którzy urodzili się na przełomie XIX i XX wieku, a dorastali oni w czasie, gdy Polski jeszcze nie było. Istniała w myślach i marzeniach polskich patriotów. Pod względem terytorialnym związani byli z obrzeżami trzech wielkich imperiów: habsburskiego, pruskiego i rosyjskiego. Urodzonych w Warszawie autorka łączy z zachodnimi rubieżami carskiego imperium. Ścisłej mówiąc autorka zatrzymuje uwagę tylko na części tego pokolenia. Interesują ją przede wszystkim (jeśli nie wyłącznie) „inteligenci »żydowskiego pochodzenia«, którzy należeli do pierwszego lub drugiego pokolenia zasymilowanych Żydów, polskich patriotów i kosmopolitów” (26).

Należeli do powiązanych z sobą kręgów towarzyskich. Byli poliglotami, kosmopolitami; czuli się jak u siebie w Moskwie, Paryżu, Berlinie, a jednocześnie „byli nierozdzielnie związani z Polską, wierzyli, że są »sumieniem narodu«, mieli poczucie, że Warszawa należy do nich” (28). Wielu z nich było – tu autorka posługuje się sformułowaniem Izaaka Deutschera – „nieżydowskimi Żydami”. Czuli się Polakami, ich żydowska tożsamość była złożona, u każdego z nich – przy cechach podobnych – bardzo różna. Pochodzili z rodzin rozdartych między komunizm a syjonizm. Autorka przywołuje braci Bermanów. Jeden z nich, Jakub, stał się zdecydowanym i źle w pamięci Polaków zapisanym komunistą, a jego brat Adolf – konsekwentnym syjonistą i członkiem Knesetu (trzeci brat, Mieczysław został wraz z żoną zagazowany w Treblince).

Julian Strykowski bronił się przed żydowskimi i polskimi sentymentami. Odrzucony przez własne środowisko żydowskie (także z powodu homoseksualizmu) wyzwał się z niego przez przyłączenie się do ruchu komunistycznego.

Julian Tuwim w Polsce międzywojennej był całkowicie przekonany o swej polskości. Polskim Żydem tęskniącym do kraju stał się na emigracji w latach drugiej wojny światowej. Do solidarności z Żydami pobudziła go „nie krew przodków, lecz krew Żydów zamordowanych w jego ojczystym kraju” (411).

Aleksander Wat najmocniej wyrzucał sobie związek z komunizmem w czasie, gdy był redaktorem „Miesięcznika Literackiego”. Uważał to za swój największy grzech. Wyrzutom sumienia towarzyszyła u niego tęsknota za judaizmem.

Wszystkich bohaterów książki łączyła ideologia socjalistyczna, urzeczenie marksizmem. Różnie się ono przejawiało. Autorka z powodzeniem „stara się

zachować naturalną polifonię, mozaikę indywidualnych stanowisk wyrażanych zarówno publicznie jak i prywatnie” (30). To spośród nich wywodzą się twórcy polskiego futuryzmu (później jego kataryzmu krytycy), Awangardy, niektórzy ze skamandrytów: Tadeusz Peiper, Aleksander Wat, Bruno Jasieński, Anatol Stern, Mieczysław Braun, Stanisław Ryszard Standa, Julian Tuwim, Antoni Słonimski. A także: Jan Hempel, Jakub Berman, Jerzy Borejsza, Jacek Różański.

Mimo że autorka ogranicza zainteresowanie do pisarzy żydowskiego pochodzenia i do owych „nieżydowskich Żydów”, nie mniej szczegółowej uwagi poświęca Władysławowi Broniewskiemu i Wandzie Wasilewskiej, których nie można do tych grup zaliczyć. Znajduje ona jednak w ich poglądach i działaniu podobieństwo do żydowskich losów. Obejmuje ich ponadto wyraźną empatią widoczną mimo krytycznego dystansu do podejmowanych przez nich wyborów. Dokonuje więc – nieco żartobliwie i wyrozumiale rzecz ujmując – zaanektowania Broniewskiego i Wasilewskiej do wspólnoty żydowskiej. Wychodzi z założenia, że podobnie jak pochodzenie żydowskie, również duże znaczenie ma znajdowanie się w żydowskiej przestrzeni kulturowej, co dotyczyło wielu Polaków nieżydowskiego pochodzenia. W Palestynie „polscy Żydzi bardzo szybko go [Broniewskiego] przygarnęli. Identyfikacja z powstaniem w getcie warszawskim była wyrazem jego polskości obejmującej istotny składnik żydowski” (410-411).

Podobnie potraktowała autorka Wandę Wasilewską, dla której ma dużo sympatii: „Jako pisarka, socjalistka, działaczka, Polka – w naturalny sposób chłonęła obecne w jej środowisku wpływy. Później przyjęła tożsamość radziecką, która jednocześnie bywała tożsamością mniej lub bardziej ukraińską. Dla nich wszystkich [to znaczy dla wielu Polaków nie będących Żydami z pochodzenia, ale z Żydami i z ich kulturą zaprzyjaźnionych] pojęcie polskości i żydowskości nie były monolityczne i nie wykluczały się nawzajem” (411). Autorka zastrzega się, że nie będzie w swej książce poruszała problematyki polsko-żydowskiej, jednak znacznie się do niej przybliża. Wyznaje: „W zasadzie nie będę się tu zajmowała stosunkami polsko-żydowskimi czy też »kwestią żydowską« w Polsce jako taką, choć w pewnym sensie cała moja książka traktuje właśnie o tym” (29-30).

Autorkę przede wszystkim interesuje geneza i rozwój fascynacji marksizmem w wybranym kręgu kulturowej wspólnoty. Jest nią wspólnota żydowska. Pragnie opisać to żywe, autentyczne doświadczenie, odkrywanie marksizmu przez wschodnich Europejczyków, a dokładniej: przez żydowskich intelektualistów w XX wieku. Pokolenie, którego przemyslenia i przeżycia opisuje autorka, dochodziło do marksizmu w latach dwudziestych, a więc wtedy, gdy nikt jeszcze nie wiedział, czym będzie odwołująca się do marksizmu, ale też go zniekształcająca władza komunistyczna. Stalinizmu jeszcze nie było, nie było też artystycznego i literackiego programu realizmu socjalistycznego. Toteż autorka, chociaż nie akceptuje ich wyboru, nie szuka dla niego usprawiedliwienia, traktuje ówczesny polski marksizm jako „autentyczny nurt umysłowy, który wywierał wpływ na polskie życie intelektualne

na długo przed radziecką okupacją” (32). W czasie, o którym traktuje, w latach dwudziestych był taki moment historyczny, w którym – zdaniem autorki – znikła „przestrzeń niezaangażowania”, a „wybór stał się imperatywem egzystencjalnym” (34).

Bohaterowie jej książki ewoluowali ku społecznej i politycznej lewicy, starali się być radykalnymi marksistami. Autorka podjęła próbę prześledzenia ich losów; od osiągnięcia pełnoletności po pierwszej wojnie światowej, przez czasy Polski międzywojennej, drugą wojnę światową, okres stalinizmu, lata odwilży, aż po antysyjonistyczną kampanię w marcu 1968 roku. Nie każdy z tych okresów został potraktowany z jednakową wnikliwością i dokładnością. Im lata późniejsze, tym bardziej skrótowny i bardziej powierzchowny ogląd zjawiska. Uwaga ta odnosi się szczególnie do całego okresu po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Autorka chciałaby odejść od polityki, skupić się na przemianach w sferze ideologii i estetyki, historii kultury i historii idei. Przejawia szczególne zainteresowanie przygodą futurystyczną i pożegnaniem z futuryzmem, jakiego dokonywał Aleksander Wat na łamach „Miesięcznika Literackiego”. Nie udaje się jej jednak polityki zupełnie uniknąć. Wkracza na jej teren zwłaszcza w rozdziałach odnoszących się do okresu po 1945 roku.

Zresztą już przy okazji charakteryzowania i oceny „Miesięcznika Literackiego” trudno jej było – co zrozumiałe – uniknąć polityki, skoro pojawiała się ona na jego łamach, w opiniach krytycznych prawicy w chwili jego ukazania się, a bezpośrednio i brutalnie dała znać o sobie, gdy aresztowano jego redakcję. Autorka wysoko ceni „Miesięcznik”, którego „namiętnym czytelnikiem” był wówczas Czesław Miłosz². Wydobywa spory o futuryzm, kampanię Wata lansującego reportaż, dyskusję o marksistowskiej krytyce literackiej prowadzoną przez Andrzeja Stawara i Stanisława Ryszarda Standego. Podkreśla, że nigdy nie pojawiło się nazwisko Stalina, a Związek Radziecki rysował się tylko jako pewien model.

Tu jedno uzupełnienie. Autorka panująca nad wielką ilością ważnych i ciekawych szczegółów zdaje się nie domyślać, kto krył się pod nazwiskiem Jerzy Szymański, który opublikował w „Miesięczniku Literackim” bardzo krytyczną recenzję powieści Brunona Jasieńskiego *Pałę Paryż*. Był to pseudonim Jana Hempla, a jego wystąpienie na temat utworu Jasieńskiego wpisywało się w ciąg swarów i kłótni między twórcami lewicy. Ich wzajemne ataki na siebie dostarczały argumentów dla późniejszych fałszywych oskarżeń wytaczanych im przez NKWD i prowadzących nawet do wyroków śmierci. Dobrze pamiętał tę recenzję Aleksander Wat. Mówił o niej w rozmowie z Czesławem Miłoszem: „Nasza ostrość w szukaniu wrogich i obcych elementów szczególnie wyraźna jest u Jerzego Szymańskiego – Jana Hempla o książce *Pałę Paryż*. Straszna recenzja, nic nie zostawia, absolutna nieznajomość, obcość, kompletne nieporozumienie, bla-bla. Bzdura człowieka, który siedzi w *Apokalipsie* i teologicznej literaturze, który nic nie

rozumie, nie ma pojęcia, co jest proletariatu, co to jest walka proletariatu”.³

To co autorka pisze o „Nowej Kulturze”, „Dźwigni”, „Miesięczniku Literackim” jest – w ogólnym zakresie – znane z dotychczasowych publikacji. Ale nie do przecenienia są jej różnorodne uzupełnienia szczegółowe dotyczące okoliczności zdarzeń (na przykład aresztowanie redakcji „Miesięcznika Literackiego”), życia osobistego prezentowanych osób (mniej znane, albo i dotychczas nieznane fakty z biografii Władysława Broniewskiego), relacji między twórcami (korespondencja Broniewskiego z Witoldem Wandurskim i Stanisławem Wygodzkim przebywającymi w więzieniu, więzy przyjaźni między Janiną Broniewską i Wandą Wasilewską), ważnych wydarzeń późniejszych (protokół przesłuchiwania Broniewskiego przez NKWD we Lwowie, okoliczności aresztowania i skazania na śmierć Brunona Jasieńskiego).

Marci Shore w toku wieloletniej pracy nad swą rozprawą doktorską docierała do wielu przez wcześniej badaczy niewykorzystanych źródeł. Każde jej spostrzeżenie, przywołanie faktów udokumentowane jest odesłaniem do nich. A są nimi zasoby archiwalne w Tel Awiwie, Moskwie, Kijowie, w Yale University, w wielu polskich archiwach i muzeach. Także korespondencja znajdująca się w prywatnym posiadaniu. Korzysta również z najnowszych publikacji naukowych w języku angielskim i rosyjskim dotyczących historii Polski XX wieku, z których nie wszystkie jeszcze weszły do polskiego obiegu naukowego.

Stara się zajmować stanowisko przedmiotowe, unikać ocen politycznych nawet tam, gdzie trudno sobie wyobrazić ich uniknięcie. Obiektywizm, rzeczowość autorki niekiedy aż prowokuje do sprzeciwu, do upomnienia się o wartościujący komentarz. Na przykład wówczas, gdy wspomina Jakuba Bermana, albo kiedy opisuje kontakty Wandy Wasilewskiej ze Stalinem, zerwanie stosunków z polskim rządem w Londynie po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, powoływanie z inicjatywy Stalina Związku Patriotów Polskich.

Taki obiektywny, czy może „obiektywny” charakter ma próba symultanicznego przedstawienia działalności prezentowanych postaci w różnych miejscach świata w latach drugiej wojny światowej. W Nowym Jorku, Londynie, Kujbyszewie, Moskwie, Mińsku, Kijowie, na Bliskim Wschodzie, w Kazachstanie, w okupowanej Warszawie.

Wanda Wasilewska po opuszczeniu Lwowa, wraz ze Stefanem Jędrzychowskim i Wiktorem Groszem prowadzi w Saratowie polski program radiowy. W Kujbyszewie w 1942 roku obejmuje redakcję „Nowych Widnokręgów”. Publikuje w nich wiersz Władysława Broniewskiego *Żołnierz polski*, który we Lwowie w 1940 roku mógł być tylko mówiony przez poetę i to nie bez przykrych dla niego konsekwencji.

Broniewski w Kujbyszewie wstępuje do armii Andersa, na Bliskim Wschodzie spotyka się z wrogiem stosunkiem do niego oficerów, w listach do córki opisuje doznawane przykrości. Za sugestią Andersa udaje się do Jerozolimy, podejmuje pracę w polskim Centrum Informacji. Autorka podsumowuje: radzie-

² Zob. Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, część pierwsza. Warszawa 1998, s. 65.

³ Tamże, s. 171. O tych okrutnych sporach między twórcami lewicy pisze m. in. w książce *Kontury w mroku*, Katowice 2007, w rozdziale o Brunonie Jasieńskim.

ckie więzienie wyzwoliło go ze złudzeń komunizmu. Przeżycia w Armii Andersa – ze złudzeń antykomunizmu.

W Nowym Jorku Julian Tuwim ze względów ideowych i politycznych rozchodzi się z przyjaciółmi: Janem Lechonem i Kazimierzem Wierzyńskim. Przyłącza się do ugrupowań lewicowych, przyjaźnie odnosi się do ZSRR i Armii Czerwonej. Gdy tylko powstaje taka możliwość – wraca do kraju.

Podobnie jak Tuwima w Nowym Jorku, Słonimskiego w Londynie otacza ostracyzm. Za jego poglądy, za redagowanie lewicującej „Nowej Polski”. Zaraz po wojnie odwiedza Polskę, w 1951 wraca do kraju na stałe, „na dobre i na złe”.⁴

Janina Broniewska w Mińsku obejmuje dział literacki w „Sztandarze Wolności”. W Kijowie spotykają się Jerzy Borejsza i Julian Strykowski. W Kazachstanie wyniszczony do ostateczności po radzieckich więzieniach Aleksander Wat odnajduje rodzinę. Wyleczony z komunizmu o redagowanym przez siebie „Miesięczniku Literackim” powie: „To jest *corpus delicti* nikczemnienia. Historia mego znikczemnienia w komunizmie, przez komunizm.”⁵ Pod Warszawą Jarosław Iwaszkiewicz przychodzi z pomocą Żydom.

Rozdział poświęcony kilku latom powojennym (1945-1948) jest słabszy od pozostałych. Powierzchowny, skrótowy, a jego tytuł dowodzi nieporozumienia: *Stalinizm na ruinach Warszawy*. W tym czasie nie można jeszcze mówić o stalinizmie w Polsce. Do kraju wracają: Władysław Broniewski i Anatol Stern z Bliskiego Wschodu; Julian Tuwim ze Stanów Zjednoczonych; Adam Ważyk, Aleksander Wat, Jerzy Borejsza, Jakub Berman ze Związku Radzieckiego; z Węgier – Andrzej Stawar, który przez kilka lat – aż do odwilży – będzie musiał milczeć. Berman w lutym, Ważyk w lipcu 1950 roku forsują realizm socjalistyczny.

Rok 1956 przynosi rehabilitację Jana Hempla, Witolda Wandurskiego, Stanisława Ryszarda Standego, Brunona Jasieńskiego. Władysław Broniewski w nowych wydaniach swych wierszy nie zamieszcza *Słowa o Stalinie*. Adam Ważyk nieco wcześniej publikuje *Poemat dla dorosłych*. Jakub Berman zostaje usunięty z partii.

Andrzej Stawar umiera w Paryżu, Broniewski w Warszawie, Wanda Wasilewska – po okresie silnej depresji – w Kijowie.

Autorka nie ukrywa dezaprobaty i krytycyzmu wobec wyborów dokonywanych przez bohaterów swej książki. Ale nigdy nie posługuje się słowami potępienia. Odnosi się do nich ze zrozumieniem i empatią. I ze współczuciem dla ich tragicznych biografii: „Tak naprawdę zniszczył ich marksizm, decyzja o przyjęciu marksizmu. Ich historia nie dopuszcza estetycznej satysfakcjonującego zakończenia. Nie stali się rewizjonistami, nie próbowali przedrzeć się przez pokłady stalinizmu i leninizmu, by powrócić do Marksa – byli zbyt starzy, zbyt sponiewierani. To zadanie przypadło w udziale dopiero następnemu pokoleniu, pokoleniu Leszka Kołakowskiego” (413-414).

Książka Marci Shore przypomina *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza. W znacznym stopniu jest jego dopełnieniem o dzieje pokolenia poprzedniego. Ale też bardzo się różni. Miłosz przedstawił tych twórców literatury polskiej, którzy opowiedzieli się po stronie marksizmu, socjalizmu, komunizmu, gdy obejmował on władzę w Polsce. Ich wybór łączył się z życiem ułatwionym, przywilejami, komfortem, luksusem. Z wysokimi nakładami książek, samochodami, willami.

W czasie, gdy wyborów dokonywali bohaterowie książki Marci Shore, nie było miejsca na lewicowy oportunizm. Za lewicowość było się prześladowanym, nawet więzionym. Za uleganie „uwodzicielskiej sile” marksizmu płacono się wysoką cenę, niekiedy aż po tragiczny finał. Ich wybory były czyste, bez oportunistycznych przesłanek. Jeden z najbardziej rozczarowanych komunizmem Aleksander Wat wspominał: „Wśród komunistów, których znałem, byli najładniejsi ludzie, jakich spotkałem w życiu, o niesłychanie czystych побudkach. Zrobili wybór z czystych intencji” (413).

Tym bardziej więc komentarza wymaga tytuł książki: *Kawior i popiół*. Kawior w tym kontekście jest znakiem luksusu, komfortu uzyskanego za cenę konformizmu. Poloniście tytuł książki kojarzy się ze słowami z *Dziennika* Jana Lechonia. Gdy pisał o autorach panegirycznych tekstów w kraju, dodawał, że im nie chodzi nawet „o to masło do chleba, ale o ten kawior”. W książce Marci Shore kawior pojawia się jeden raz, poprzez przytoczenie słów Oli Watowej odnoszących się do lat trzydziestych, gdy bywali zapraszani na przyjęcia organizowane przez ambasadę radziecką w Warszawie, podczas których nikt nie rozmawiał o polityce. „Całe towarzystwo rzucało się łapczywie na kawior, bez żadnej żenady” (123).

Użycie przez Lechonia słowa „kawior” jako *pars pro toto* przywilejów pisarzy popierających socjalizm w Polsce i stawiających jej ówczesnych władców, było uzasadnione. Ale cóż to za kawior mieli opisywani w książce Marci Shore lewicy pisarze polscy o żydowskim rodowodzie? Obelgi, prześladowania, ataki antysemitów; były też aresztowania. A tych, którzy znaleźli się w Związku Radzieckim, za którego obronę byli represjonowani, zamiast kawioru spotykali się z podejrzeniami, aresztowaniem, zsyłką i wyrokami śmierci. Może tylko Bruno Jasieński mógł cieszyć się „kawiozem”, ale bardzo krótko. W 1929 roku przybył do Związku Radzieckiego, a w 1936 już był oskarżony, w roku następnym skazany i stracony.

Za to podtytuł książki odpowiada jej zawartości: *Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. „Paradoks opowiedzenia się przez nich za marksizmem polegał na tym, że świadomie przyczynili się do likwidacji własnej podmiotowości, wyrzekając się jej z szacunku dla Historii. Jeżeli abstrahować od kwestii winy i odpowiedzialności, narracyjnym topossem tej generacji jest motyw idealizmu i utraty złudzeń, a jej historia jest tragiczna” (34).

MARIAN STĘPIEŃ

Marci Shore, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. Przełożył z angielskiego Marcin Szuster, wyd. Świat Książki, Warszawa 2008.

⁴ Aluzja do jego odpowiedzi na zapytanie, czy na dobre wrócił do Polski: „Dlaczego zaraz na dobre? Powiedzmy na średnie. A raczej na dobre i na złe” (*Wspomnienia warszawskie*, Warszawa 1957, s. 115).

⁵ Ola Watowa, *Wszystko co najważniejsze...* Warszawa 1990, s. 147.

KRZYSZTOF WOŹNIAKOWSKI

HENRYK STEIN-KAMIEŃSKI

Nazwisko Henryka Steina-Kamieńskiego (1883-1937) najprawdopodobniej nie mówi już nic niemal nikomu poza mikroskopijną garstką historyków ruchu robotniczego oraz literaturoznawców. Żyjący w niemal permanentnej konspiracji lub przebywający wciąż poza krajem na emigracji politycznej czy też odsiadujący w więzieniach i obozach kolejne wyroki ferowane we właściwie każdych realiach geograficznych i polityczno-ustrojowych, w jakich przyszło mu egzystować, posługujący się w działalności i druku przynajmniej kilkunastoma pseudonimami krytyk literacki, poeta, tłumacz literatury społeczno-politycznej i pięknej, działacz polityczny, redaktor i publicysta zamordowany w stalinowskim ZSRR należy do kręgów oficjalnie obłożonych we współczesnej Polsce najściślej anatema.

Nie tylko działacz ruchu robotniczego, ale komunista (i to żydowskiego pochodzenia), nie tylko komunista, ale w pewnym okresie faktyczny przywódca partii, nie tylko stojący kiedyś na jej czele ale i – w obrębie ruchu komunistycznego – reprezentujący najsłabszą ultralewicę, zdecydowany przeciwnik niepodległości i zadający krytyk polskich tradycji narodowowyzwoleńczych, skłócony w swoim czasie – właśnie z pozycji lewackich – nawet z Leninem. Autor erudycyjnych i błyskotliwych recenzji nowości twórczych szargających wiele narodowych świętości naszego piśmiennictwa oraz twórca pierwszego w polskiej historiografii literackiej marksistowskiego podręcznika historii literatury. Jak świadczyć (nieliczne zresztą) wspomnienia – kryształowy ideowiec-idealista, człowiek o niezwykle osobistej prawości, uczciwości i odwadze cywilnej, intelektualnie zdecydowanie przewyższający środowisko polityczne, w którym się obracał, przy tym najdalszy od wszelkiej posągowości i posiadający ogromne poczucie humoru, wielbiciel kalamburów, a także... nienasycony kobieciarz. Czyż trzeba więcej, aby być do cna wymazanym z kart narodowej historii i kultury, czyż można bardziej podpaść obecnym kreatorom wzorców i tradycji?

Oczywiście nie da się zaprzeczyć, iż w jego działalności politycznej było wiele poważnych, a może i drastycznych błędów, nawet aberracji, jego miejscami odstręczającą agresywną i zawsze skrajną w konkluzjach obfita publicystyka polityczna jest (mimo swego mistrzostwa retorycznego) już chyba dzisiaj niemal w całości martwa, po latach budząca w niejednym nie tylko sprzeciw, ale i zażenowanie. Ale upływ czasu stosunkowo łagodniej obszedł się – przynajmniej zdaniem piszącego te słowa – z jego rozproszonym w trudniej dostępnych periodykach i *de facto* jeszcze przez nikogo solidnie nie przeanalizowanym dorobkiem krytycznoliterackim z lat 1908-1934, który być może zasługiwałby na zebranie i wydanie w postaci książkowej, przynajmniej jako dokument złożonej świadomości estetycznej jednego z nurtów polskiej lewicy artystycznej. I na tym właśnie chcielibyśmy się przede wszystkim skupić w tym krót-

kim i popularnym szkicu, pozostawiając sygnalizowaną tu tylko w podstawowych i elementarnych rysach działalność i twórczość polityczną Henryka Steina-Kamieńskiego specjalistom od dziejów ruchu robotniczego i myśli społeczno-politycznej.

Naprawdę nazywał się Henryk Stein. Urodził się 5 IX 1883 r. w warszawskiej średniozamożnej żydowskiej rodzinie kupieckiej jako syn Hersza-Hermana Steina i Bronisławy z Czamańskich, z czasem starszy brat Władysława (1886-1937), także czynnego w ruchu robotniczym i komunistycznym pod nazwiskiem Steina-Krajewskiego. Pochodzenie narodowe i społeczne nie odegrało w jego przypadku żadnej dalszej roli, gdyż częstym ówczesnym wzorem bardzo szybko się usamodzielniał, rozluźnił czy wręcz zerwał kontakty z rodziną i całym środowiskiem żydowskim oraz świadomie całkowicie się spolonizował pozostając zresztą w pełni otwarty także na inne kultury (od dzieciństwa biegle władał niemieckim i rosyjskim, nauczył się francuskiego). Zapewne swego rodzaju manifestacją czy deklaracją stał się fakt iż przynajmniej od czasów studenckich nigdy publicznie nie używał nazwiska rodowego, przybrał sobie natomiast nowe, „przetłumaczone” jakby z dotychczasowego na polski: Kamieński (najchętniej podpisywał się w sposób, w którym pozostawiony inicjał prawdziwego nazwiska dał się odczytywać jako inicjał rzekomego drugiego imienia: H. S. Kamieński; spośród bardzo wielu pseudonimów najczęściej używał też nazwiska Damski).

W roku akademickim 1903/1904 jako tzw. „student nadzwyczajny” podjął naukę na Wydziale Filozoficznym UJ, ale rozpoczętych studiów filologicznych nigdy nie skończył, wszakże na uniwersytecie „zarażając się” trwale dwiema pasjami, którym pozostał wierny do końca życia i które starał się zawsze łączyć: miłością do literatury polskiej i działalnością w ruchu robotniczym.

Zaczynał jako członek krakowskiej nielegalnej studenckiej grupy socjalistycznej „Ruch”, 15 VII 1904 r. wstąpił w szeregi Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy i później podkreślał, że był to dla niego jeden z najważniejszych okresów w biografii. Bardzo szybko stał się tzw. zawodowym rewolucjonistą po części utrzymywanym przez partię i kierowanym na coraz to nowe odcinki pracy związane głównie z działalnością prasowo-wydawniczą prowadzoną zarówno w zaborze rosyjskim, austriackim, jak i poza granicami kraju (Szwajcaria, Francja, Niemcy). Współredagował prasę partyjną (m.in. „Czerwony Sztandar”), tłumaczył pisma Kautsky’ego i Marksa, „zaliczał” pierwsze i zawsze towarzyszące potem jego drodze życiowej więzienia, obozy i zesłania (siedział m.in. w warszawskiej Cytadeli w r. 1906, w 1907 przebywał na zesłaniu w guberni orenburskiej, skąd zbiegł mając odtąd aż do 1915 r. zamkniętą drogę do Warszawy). Osiedlony od 1908 na emigracji współpracował wówczas głównie z legalnymi polskimi

pismami socjalistycznymi ukazującymi się w Królestwie Polskim, Galicji i w Petersburgu, a także z socjalistyczną emigracyjną i krajową prasą rosyjską, przy czym po raz pierwszy ujawnił się wówczas jako publicysta kulturalny i krytyk literacki, a także wierszopis i tłumacz (głównie w warszawskim „Społeczeństwie” 1908-1909 oraz jako czołowy współpracownik działów literacko-kulturalnych wydawanych w latach 1910-1911 tygodników SDKPiL „Trybuna”, „Młot”, „Wolna Trybuna”, „Nasza Sprawa”, „Praca”, „Wolny Głos”). Jeżeli na niwie twórczości artystycznej nie odniósł żadnych sukcesów (jedynym jego wierszem, który zyskał przejściowo pewną popularność i anonimowo wszedł do śpiewników robotniczych była napisana jeszcze w warszawskim więzieniu *Pieśń kazamaty* o inc. „My zamknięci w cytadeli...”), to na uwagę zasługuje jego ówczesna krytyka literacka wychodząca z założenia, iż wyrastająca z powiązań psychiki artysty z uwarunkowaniami społecznymi sztuka nie jest nigdy odzwierciedleniem życia (co najwyżej jego „ekstraktem”), może jednak wyrażać uczucia zbiorowe, w tym klasowe. Stein-Kamieński zwracał w swoich szkicach i recenzjach uwagę na wrażliwość społeczną pisarzy i ich stosunek do ludu oraz sprawy rewolucji, energicznie zwalczał wszelkie przejawy całkowicie mu obcych idei niepodległościowych (uważał je za anachroniczne), zarazem jednak ostro odcinał się od piśmiennictwa tendencyjnego i „ostrych akcentów programowo-partyjnych” w literaturze pięknej. Życzliwie, choć nie bezkrytycznie pisał m.in. o Marii Konopnickiej, Elizie Orzeszkowej, Andrzeju Strugu, Władysławie Orkanie i Wacławie Berencie, natomiast ostro czy wręcz zjadliwie atakował ówczesną twórczość Jana Kasprowicza, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Tadeusza Micińskiego, Jana Lemańskiego oraz pomniejszych beletrystów o orientacji konserwatywnej czy endeckiej.

W trakcie rozłamu w SDKPiL (1911-1916) związał się z frakcją „rozłamowców” i bardzo aktywnie działał w jej interesach (i w jej prasie z „Gazetą Robotniczą” na czele), m.in. 21 III 1914 r. w imieniu swojej frakcji zaatakował Lenina w czasie jego słynnego potem krakowskiego odczytu, kwestionował bowiem „z lewa” leninowską koncepcję prawa narodów Rosji do samostanowienia.

W grudniu 1915 r. powrócił do opuszczonej już przez Rosjan Warszawy i pod rządami niemieckimi z ramienia „rozłamowców” kierował tygodnikiem „Nasza Trybuna”, w którym szczególnie aktywnie uprawiał efektowną, ale niezwykle agresywną w tonacji publicystykę polityczną, w której wypowiedział bezwzględłą walkę wszelkim polskim tradycjom narodowowyzwoleńczym i ich rocznicowym obchodom (ze szczególnym uwzględnieniem czczenia powstania 1863 r.) oraz wyszydzał „konkurencyjne” partie robotnicze Bund i Polską Partię Socjalistyczną odmawiając im prawa do lewicowości i socjalistycznego charakteru. Śmierć Henryka Sienkiewicza w roku 1916 uczcił w tejże „Naszej Trybunie” stanowiącym kwintesencję poglądów radykalnej lewicy na pisarza artykułem, w którym nie odmawiając utworom Sienkiewicza artyzmu językowego oskarżył je jednocześnie o pustkę ideową i historyczne zafałszowania. Występował także często z politycznymi i kulturalnymi prelekcjami na forum zdominowanego przez SDKPiL Towarzystwa Szerzenia Wiedzy Handlowej i Przemysłowej. Cesarские władze niemieckie zareagowały w końcu na jego ak-

tywność aresztowaniem u schyłku r. 1916 i zesłaniem Steina-Kamieńskiego do słynnego obozu dla jeńców wojennych i podejrzanych politycznie w Havelbergu pod Berlinem, gdzie przebywał do początków listopada 1917 r. Po zwolnieniu natychmiast ponownie włączył się do działalności ponownie zjednoczonej SDKPiL i do pracy we wznowionej „Naszej Trybunie”.

16 XII 1918 r. uczestniczył w I Zjeździe nowopowstałej Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, m.in. wchodząc w skład jej Komitetu Centralnego i obejmując faktycznie (choć nieformalnie) stanowisko redaktora naczelnego kolejnych efemerycznych i natychmiast zamykanych przez polskie już władze legalnych organów partyjnych z lat 1918-1919 („Sztandar Socjalizmu”, „Przełom”, „Nowiny Krajowe i Zagraniczne”). Na krótko wrócił wówczas także do krytyki literackiej na łamach komunistycznego periodyku teoretycznego „Nowe Społeczeństwo” (1919) dokonując zdecydowanej oceny najnowszego dorobku Stefana Żeromskiego, Andrzeja Struga i Stanisława Przybyszewskiego z lat wojny światowej, przeciwstawiając go znaczącym i wartościowym utworom tych samych twórców z czasów przedwojennych. Po wielomiesięcznym pobycie w X Pawilonie Cytadeli warszawskiej (siedział tu już za czasów carskich), w wyniku którego trwale podupadł na zdrowiu, utraciwszy bezpowrotnie skonfiskowane i zniszczone przez polską policję skrzętnie przedtem gromadzone pokaźne prywatne archiwum źródeł oraz dokumentów do dziejów polskiego ruchu robotniczego czasów wojny światowej – wyjechał do Niemiec i na dłużej osiadł głównie w Berlinie, utrzymując stamtąd ścisłe kontakty z macierzystą KPRP i Komunistyczną Partią Niemiec (drukował m.in. w jej dzienniku „Die Rote Fahne”) i efemeryczną Komunistyczną Partią Górnego Śląska. Swoisty rozgłos zyskało wtedy sformułowanie na marginesie publikowanego w „Die Rote Fahne” komentarza do przebiegu trwającej właśnie wojny polsko-radzieckiej, iż wprowadzanie w Polsce zmian ustrojowych „z zewnątrz przez obce wojska” byłoby zdecydowanie niekorzystne dla sprawy komunizmu (zapamiętane przez oponentów, których Steinowi-Kamieńskiemu nigdy nie brakowało także we własnym obozie, po latach poważnie przyczyniło się podobno do jego śmierci w ZSRR). Na temat wojny polsko-radzieckiej opublikował także (anonimowo) broszurę *Wojna i pokój (bilans wojny z Rosją Sowiecką)*, Moskwa 1921) oskarżając stronę polską o rozpoczęcie działań militarnych. Wykazując więc w jednych kwestiach przenikliwość i dalekowzroczność, niemal jednocześnie zdradzał w innych tekstach jaskrawe i absurdalnie szkodliwe doktrynerstwo, m.in. jednoznacznie potępiając powstania śląskie jako przejaw – jego zdaniem – wybujałego polskiego nacjonalizmu.

Uwikłany w bieżącą walkę polityczną (także kolejny raz więziony po przypadkowym rozpoznaniu w czasie jednego z nielegalnych pobytów w kraju w r. 1920) zarzucił na kilka lat krytykę literacką koncentrując się na wewnętrznej frakcyjnej walce w obrębie KPRP i wszelkimi możliwymi sposobami zwalczając z pozycji ultralewicowych (m.in. sprzeciw wobec koncepcji jednolitego frontu robotniczego i podziału ziemi wśród chłopów) tzw. orientację „3 W” (symbolizowaną przez nazwiska Adolfa Warszawskiego pseud. Warski, Marii Koszutskiej pseud. Wera i Maksymiliana Horwita pseud. Walecki), której zarzucał „oportunizm i likwidatorstwo”,

a z czasem także „neomieniszewizm i reformizm”. Jednocześnie z coraz większą sympatią śledził rodzącą się w ZSRR antystalinowską opozycję trockistowską, jakkolwiek sam osobiście nigdy się w pełni nie identyfikował z trockizmem, chociaż swoiście patronował inauguracji pierwszych działań polskich trockistów w 1923 r.

Walkom frakcyjnym polskich komunistów usiłował – ze zmiennym powodzeniem – nadać rozgłos międzynarodowy na forum Kominternu, a także występując z oskarżycielskimi diatribami w teoretycznej prasie partyjnej oraz ostatecznie współsygnując w r. 1924 tzw. „tezy czwórki” domagające się zmiany kierownictwa KPRP i odchodzącej od sekciarstwa linii partii obowiązującej od jej III Konferencji w Sopocie (1922). Zwolennicy ultralewicowych „tez czwórki” poparli – o ironio – przez Stalina z pomocą administracyjnych działań Kominternu przejęli władzę w KPRP w drugiej połowie 1924 roku, a sam Henryk Stein-Kamieński (przebywał wówczas nielegalnie w kraju) stał się do października 1925 r. wraz z Zofią Unszlicht współprzewodcą partii, która w styczniu 1925 r. na opanowanym przez zwolenników ultralewicy III Zjeździe zmieniła nazwę na Komunistyczną Partię Polski.

Bilans niedługich rządów Steina w polskim ruchu komunistycznym wypada z perspektywy czasu ocenić jednak zdecydowanie negatywnie jako czas skrajnego awanturnictwa, którego „hasłowymi” symbolami stał się np. samobójczy raczej pomysł wywołania w Polsce komunistycznego powstania zbrojnego (odrzucony wszakże zdecydowanie przez III Zjazd partii), permanentne organizowanie wyniszczających nikłe kadry partyjne, a nic nie przynoszących strajków i demonstracji, wprowadzenie do partyjnego słownictwa odnoszonego do PPS pojęcia „socjalfaszyzmu” czy skłócenie ultralewicowego kierownictwa KPP z nie dość lewicowymi w jego przekonaniu komunistami Niemiec, Francji, Bułgarii, a nawet Zachodniej Ukrainy.

Niezależnie od własnych drastycznych błędów i politycznych aberracji, przy najbliższej odgórnej zmianie „linii generalnej” ruchu komunistycznego uosabiana przez duumwirat Henryk Stein-Kamieński i Zofia Unszlicht KPP-owska ultralewica padła ofiarą tych samych administracyjnych i brutalnych metod Kominternu, dzięki którym doszła do władzy. W lipcu 1925 r. Stein-Kamieński przybyły w sprawach partyjnych do Moskwy został znienacka poddany miażdżącej krytyce personalnej przez Stalina (popierającego go przecież nie tak dawno przeciwko Warskiemu), Dzierżyńskiego i Zinowiewa oraz pozbawiony możliwości opuszczenia Związku Radzieckiego, a w październiku tegoż roku zmuszony do „dobrowolnego” złożenia wszelkich funkcji w KPP. W tej sytuacji IV Konferencja KPP obradująca w listopadzie i grudniu 1925 r. w Moskwie, będąca m.in. imienną rozprawą z tzw. „domszczyzną” w polskim ruchu robotniczym była już tylko formalnością...

Ciekawe, że właściwie w tym samym czasie, kiedy przeżywał apogeum swojego politycznego ultrasekciarstwa i awanturnictwa, powracając do krytyki literackiej potrafił dowieść samodzielności i niestereotypowości swego spojrzenia na nowości literackie. Wystąpił jako zdecydowany propagator wartości i rangi *Przedwiośnia* Żeromskiego, m.in. jako autor polemicznego wstępu do całkowicie lekceważącej tę powieść broszury Antoniny Sokolicz *O twórczości Żeromskiego na tle rozwoju spo-*

łecznego w Polsce (Moskwa 1925) oraz przychylnego wprowadzenia do utworu zamieszczonego w jego rosyjskim przekładzie pióra E. Tropowskiego (Leningrad 1925). Wydał także wartościową do dziś źródłowo pracę wspomnieniowo-dokumentalną *Z walk proletariatu polskiego podczas wojny imperialistycznej 1914-1919 r.* (Moskwa 1925).

Zmuszony siłą do pozostania na stałe w ZSRR został całkowicie odsunięty od możliwości czynnego uprawiania polityki (jakkolwiek przyjęto go w szeregi Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii »bolszewików«) i został skierowany do pracy kulturalnej wśród ówczesnej Polonii radzieckiej, do czego przystąpił zresztą z najlepszymi chęciami. Zatrudniony zrazu w moskiewskim tygodniku „Świt” zajmował się tu bieżącymi komentarzami politycznymi na tematy polskie (szczególnie interesował go zamach majowy Piłsudskiego) oraz recenzowaniem wydawanych w ZSRR nowości książkowych w języku polskim. Drukował także pod pseudonimem Cracoviensis wiersze satyryczno-polityczne. Jako autor tekstów o współczesnej literaturze polskiej (m.in. o Żeromskim, Daniłowskim i Przybyszewskim) współpracował także z reprezentatywnym dla tego czasu poważnym radzieckim periodykiem literacko-naukowym „Krasnaja Nov”.

Śledząc z zagranicy dalszą działalność KPP w czasie trwającego w niej rozłamu opowiedział się za bardziej dogmatyczną frakcją „mniejszości”, popadając w związku z tym w tyleż ostry, co groteskowy konflikt także z własnym młodszym bratem Władysławem, który reprezentował „większość” (bracia – co było charakterystycznym rysem epoki i środowiska – w związku z wewnątrzpartyjnym sporem niemalże zerwali ze sobą wszelkie stosunki). Początkowo próbował czynnie uczestniczyć również w życiu politycznym ZSRR rozczarowany rzeczywistością, jaką tu zastał wiążąc się z egzystującą w ramach WKP(b) antystalinowską tzw. Zjednoczoną Opozycją (był sygnatariuszem tzw. Oświadczenia 83 oraz – wraz z Zofią Unszlicht – wystąpił do KPP z bardzo źle przyjętym przez jej kierownictwo przesłaniem w imieniu „międzynarodowej leninowskiej lewicy”). W efekcie – został usunięty z redakcji „Świtu”, dzięki małostkowym zabiegom Adolfa Warszawskiego-Warskiego uniemożliwiono mu wstąpienie do prestiżowego Stowarzyszenia Starych Bolszewików (o co usilnie zabiegał), wreszcie został wykluczony z WKP(b), aresztowany i w maju 1929 r. zesłany do łagru w Kraju Dolnowożańskim. W sierpniu tegoż roku wraz z grupą politycznych współwięźniów zadeklarował odejście od opozycji i został zwolniony z obozu, w kwietniu 1930 r. przywrócono mu członkostwo partii.

Po zwolnieniu zamieszkał w Moskwie. Zarzucał już konsekwentnie wszelką działalność polityczną, choć, jak wynika ze wspomnień, nie zatraciłszy bynajmniej krytycyzmu wobec przynajmniej niektórych radzieckich realiów, skoncentrował się wyłącznie na pracy literacko-kulturalnej oraz przekładowej. Został współpracownikiem ukazującego się od r. 1929 w Moskwie wielotomowego wydawnictwa naukowego *Literaturnaja encyklopedia*, opracowując do niego część haseł z zakresu literatury polskiej (niektóre z nich ukazywały się wszakże w druku w postaci znacznie zmienionej, przeciwko czemu energicznie, acz bezskutecznie protestował publicznie), pisał też hasła dotyczące Polski do pierwszego wydania *Bolszaj sowietskaj encyklopedii*.

Był nieetatowym redaktorem sekcji polskiej Centralnego Wydawnictwa Ludów ZSRR Centrizdat oraz członkiem redakcji moskiewskiego miesięcznika „Kultura Mas”. W piśmie tym w latach 1930-1934 publikował artykuły o współczesnej literaturze polskiej w kraju (m.in. o Orkanie i Stanisławie Wygodzkim), z życzliwością choć nie bezkrytycznie śledził rozwój twórczości niektórych pisarzy polskich w ZSRR, przede wszystkim prozę Heleny Bobińskiej, ogłaszał też szkice o życiu kulturalnym ZSRR i – sporadycznie – reportaże oraz wiersze satyryczne wymierzone w zjawisko biurokracji. Drukował tłumaczenia prac Bucharina i Lenina, redagował almanachy literackie, antologie poetyckie i czytanki szkolne. W 1931 roku objął przewodnictwo sekcji polskiej Moskiewskiej Asocjacji Pisarzy Proletariackich.

Wyrastając niewątpliwie na najwybitniejszą intelektualnie i bodaj najpracowitszą osobowość ówczesnego życia kulturalno-literackiego Polonii radzieckiej pozostawał jednocześnie w tym środowisku swoiście izolowany. Nie ufano mu jako niedawnemu politycznemu „łagierownikowi” i niepoprawnemu „lewakowi”, a i sam Stein-Kamieński głosił odważne (choć najczęściej nie mógł już tego ujawniać w druku) poglądy na kwestie literacko-artystyczne zdecydowanie odmienne od obiegowych przekonań i wartości charakterystycznych dla w sumie dość zgrzebnych, a nawet prymitywnych mentalnie Polaków radzieckich. Przede wszystkim – wcześniej konsekwentny przecież przeciwnik niepodległego państwa polskiego – zdecydowanie odrzucał koncepcje tzw. „młodych” o potrzebie budowy nowej polskiej kultury socjalistycznej w ZSRR całkowicie od podstaw, bez jakichkolwiek związków z dorobkiem „burżuazyjnej” Polski. Sprzeciwiał się idealizacji postaci Jakuba Szeli w znanym poemacie Brunona Jasieńskiego. Uczestnicząc w I Zjeździe Polskich Pisarzy Proletariackich (Mińsk, 19-20 VIII 1931) w dyskusji uznał za wartościową artystycznie, nawet „obiektywnie rewolucyjną” powieść Kadena-Bandrowskiego *Czarne skrzydła* wywołując tym lawinę obelżywych oskarżeń pod swoim adresem, a nawet uchwałę zjazdową potępiającą go imiennie tym razem za „prawicowo-opportunistsyczny” brak czujności.

Przed wszystkim jednak Henryk Stein-Kamieński pracował nad rozpoczętym natychmiast po przymusowym osiedleniu się na stałe w ZSRR dziełem swego życia: wielotomową syntezą dziejów literatury polskiej dość arbitralnie wyodrębnionego pięćdziesięciolecia 1875-1925 mającą zostać opartą – po raz pierwszy w dziejach polskiej historiografii literackiej – na metodologii marksistowskiej. Był z pewnością jedną w ówczesnym ZSRR indywidualnością polską zdolną podołać temu zadaniu. Przygotowywał się do pracy bardzo starannie, czytał od nowa liczne teksty literackie oraz – w miarę ich dostępności w radzieckich bibliotekach – polskie opracowania historyczne, polityczne i historycznoliterackie, których wykorzystanie, często zresztą polemiczne, kwitował uczciwie w przypisach. Metodologicznie inspirował się przede wszystkim koncepcjami Plechanowa o „równoważniku socjologicznym danego zjawiska literackiego” (sztandarowy cytat rosyjskiego myśliciela na ten temat wybrał jako motto całej swej pracy) i poglądami estetycznymi Róży Luksemburg.

W efekcie powstała książka *Pół wieku literatury polskiej*, t. 1: 1875-1905 (Moskwa 1931, ze wstępem

Karola Radka) będąca – z perspektywy czasu – najwybitniejszym osiągnięciem polskiej emigracyjnej krytyki literackiej w międzywojennym ZSRR, a zarazem jedyną powstałą w tych kręgach syntezą podręcznikową. Stein-Kamieński z werwą niekiedy nadmiernie publicystyczną i emocjonalnie zaangażowaną, nie stroniącą także od retoryki, gryzącej ironii oraz efektów już wręcz z pogranicza obrazowania ściśle literackiego omawiał w niej – na szeroko zarysowanym tle polityczno-społecznym oraz ideologicznym oraz dość obficie cytując utwory – twórczość około 35 pisarzy pozytywistycznych i modernistycznych. Starając się być bardzo sumiennym w warstwie faktograficzno-informacyjnej (nazwiska, tytuły, daty) w omówieniach twórczości poszczególnych literatów natomiast często zbyt natrętnie socjologizował, w ocenach autorów i dzieł preferował bardziej kryteria ideowo-polityczne niż artystyczne, aczkolwiek posługiwał się także porządkującymi kategoriami estetycznymi prądów literackich: realizmem, naturalizmem, symbolizmem i neoklasycyzmem.

Chętnie w konkluzjach rozważań o poszczególnych pisarzach prowadził do efektownych, łatwo zapadających w pamięć zabawnych lub złośliwych syntetyzujących „etykietek” odnoszących się przeważnie do ich – mniej czy bardziej słusznie odtworzonych – poglądów i wymowy ideologicznej dzieł. Właściwie nie było pisarza, który by go całkowicie zadowalał, w którego pismach nie dostrzegłby jakichś wahań, niekonsekwencji czy odstępstw od mocno wirtualnego modelu zaangażowanego twórcy-społecznika i rewolucjonisty, który sam sobie między wierszami i chyba nie w pełni świadomie wykreował. Ale – z drugiej strony – nawet u autorów, abomicii do których bynajmniej nie maskował (zwłaszcza pisarzy zakwalifikowanych do „reakcji narodowej i katolickiej” z Sienkiewiczem, Junoszą i Weyssenhoffem na czele) starał się odnaleźć choćby szczątkowe walory czy elementy zasługujące nie tylko na miażdżącą krytykę.

Stein-Kamieński nie potrafił także zbudować spójnej i przejrzystej konstrukcji całości wyodrębniając poszczególne rozdziały i fazy rozwojowe literatury na podstawie bardzo różnych kryteriów (I: *Na schyłku romantyzmu*, II: *Era pracy organicznej i pozytywizmu*, III: *Pisarze realistyczni*, IV: *Reakcja narodowa i katolicka*, V: *Radikalizm i literatura naturalistyczna*, VI: *Młoda Polska antyspołeczna*, VII: *Młoda Polska społeczna*). W sumie, przy wszystkich wadach i usterkach powstała jednak rzecz na owe czasy nowatorska metodologicznie, polemicznie rewidująca nie zawsze najfortunniej obiegowe i „uleżane” sądy i oceny polskich historyków literatury, a przy tym napisana z nerwem i dużym ładunkiem emocjonalnym, zdecydowanie przewyższająca horyzontami, świadomością warsztatową i zakresem uwzględnionego materiału wszystko, co wcześniej wśród radzieckiej Polonii napisano o literaturze polskiej.

Nie mogła jednak ukazać się w gorszym momencie historycznym, gdyż przypadek sprawił, iż wyszła spod drukarskich pras Centralnego Wydawnictwa Ludów ZSRR (nakład 3000 egz.) dokładnie w momencie rozpętania przez Stalina kampanii propagandowej przeciwko „luksemburgizmowi” i kolejnej akcji wymierzonej w trockizm i trockistów. Komunistyczne środowisko polskie w ZSRR przyjęło więc *Pół wieku literatury polskiej* ze zdumiewającą nawet po tylu latach (organizowaną?)

nienawiścią i agresją. W pełnych inwektyw i usługach wobec nowej „linii generalnej” recenzjach pisanych, a w każdym razie podpisanych przez Henryka Polityrę, Jana Hempla, Z. Rymaszewskiego i J. Witkowskiego – ludzi po części w sprawach literackich i historyczno-literackich niekompetentnych, piszących mało lub zgoła nic – wytoczono oręż najcięższy. Podręcznik został uznany za „jaskrawy przykład kontrabandy trockizmu i zwulgaryzowanego luksemburgizmu” oraz przejaw „nacjonaloportunistycznej apologetyki”, zaś jego autor został pozbawiony możliwości jakiegokolwiek obrony czy polemiki. Żadna możliwość kontynuacji rozpoczętego dzieła nie wchodziła już oczywiście w grę, chociaż, o ile wiadomo, książka nie została wycofana z obiegu czy skonfiskowana; kolejne tomy nigdy się nie ukazały.

Pół wieku literatury polskiej trafiło także do Polski i też doczekało się pewnego odzewu, jakże innego niż w ZSRR. Książka została wprawdzie w felietonowym stylu gruntownie wyśmiana przez Juliusza Kadana-Bandrowskiego, który uznał ją za „stek nonsensów” i dowód „prerażającej manii społecznika usiłującego mierzyć piękno bez miary piękna”. Równocześnie zwróciła uwagę Juliusza Kleina zastrzegającego się, iż nie podziela poglądów społeczno-politycznych piszącego oraz wielu zawartych w podręczniku „irytujących” ocen czy uproszczeń, ale dostrzegającego „nowość i świeżość, wiew energii twórczej”, poważną i pionierską na polskim gruncie – jakkolwiek skażoną zbyt skrajnym klasowym determinizmem i obsesyjną antykatolickością oraz „prokuratorską” postawą samego Steina-Kamieńskiego – propozycję wykorzystania marksizmu w humanistyce. Niektóre fragmenty *Pół wieku...* (zwłaszcza klasowe ujęcie romantyzmu w rozdziale wstępnym, omówienie twórczości Asnyka i Żeromskiego) Kleiner ocenił jako zgoła „rewelacyjne” i „świetne”, choć w sumie na przyszłość przestrzegał przed absolutyzowaniem w literaturoznawstwie wyłącznie metod socjologicznych. Przy wszystkich niemałych zastrzeżeniach szczegółowych nazwał jednak Henryka Steina-Kamieńskiego „wnikliwym krytykiem i historykiem literatury”.

Także w niewolnej od złośliwości i zarzutów „komunistycznego doktrynerstwa” recenzji Karola Irzykowskiego znalazło się przyznanie autorowi *Pół wieku...* „żywego zamiłowania do literatury i wycucia jej uroków większego niżby się według jego sądów klasowych zdawało”. Paradoksalnie więc dzieło literaturoznawcy-marksisty zostało brutalnie „wdeptane w ziemię” w marksistowskim Związku Radzieckim, a z umiarkowaną przychylnością przywitane w Polsce piórami osób najdalej od wszelkiego marksizmu. Czy autor o tym wiedział?

Nie mogąc kontynuować wymarzonego dzieła życia Henryk Stein-Kamieński oddał się przede wszystkim kolejnym pracom redakcyjno-przekładowym oraz przesunął swe literaturoznawcze zainteresowania bardziej w kierunku teorii literatury (podobno w ostatnim okresie życia pracował nad książką na ten temat) i – osamotniony – wypowiadał się już w druku niewiele. Na zamówienie warszawskich „Wiadomości Literackich” jako specjalny korespondent tego tygodnika napisał obszerne sprawozdanie z I Zjazdu Pisarzy Radzieckich (Moskwa, 17 VIII-11 IX 1934) trafnie eksponując przede wszystkim znaczenie wkrótce uznanego za nieprawomyślnie przemówienia Bucharina przeciwko taniej agitacji w literatu-

rze i w obronie poezji typu pasternakowskiego. Niedługo potem sam Stein-Kamieński został przyjęty w skład nowo powstałego Związku Pisarzy Radzieckich. Z roku 1934 pochodzą też jego ostatnie – jakże znamienne – publikacje prasowe. Na łamach polskojęzycznego dziennika moskiewskiego „Trybuna Radziecka” z pasją bronił wartości atakowanej przez polonijnych troglodytów poezji Mickiewicza.

Już w roku następnym spadła na niego lawina kolejnych ciosów. Został powtórnie, ostatecznie i właściwie bez powodu (najprawdopodobniej za dawne powiązania z opozycją trockistowską) usunięty z WKP(b), a w 1936 roku także ze Związku Pisarzy Radzieckich, co jego macierzysta „Kultura Mas” zdążyła odnotować z głęboką satysfakcją.

3 XI 1936 r. przyszło po niego NKWD i wszelki ślad po Steinie-Kamieńskim zaginął. Wielokrotnie wcześniej zsyłany i więziony przez władze carskie, wilhelmowskich Niemiec i odrodzonej Polski a także ZSRR – tym razem w apogeum stalinowskiej nocy nie przeżył. Dziś wiemy, że po rocznym śledztwie z torturami został rozstrzelany 26 X 1937r., a zwłoki wraz z innymi ofiarami zakopano w anonimowej zbiorowej mogile na cmentarzu Dońskim w Moskwie.

Nazwisko jego, oczywiście wraz z całym dorobkiem zostało całkowicie wykreślone z pamięci na długie lata. Formalnie został zrehabilitowany po XX Zjeździe KPZR, ale nie przyczyniło się to bynajmniej do zainteresowania jego osobą i pisarstwem – jako okresowo bliski trockizmowi „lewak”, a także konsekwentny krytyk i oponent linii KPP uosabianej głównie przez Adolfa Warskiego nie nadawał się do eksponowania także w Polsce Ludowej, jakkolwiek zaczęto go ponownie wzmiankować raczej – nie bez racji – krytycznie w publikacjach dotyczących dzieł ruchu robotniczego oraz (nieco szerzej i bardziej życzliwie) lewicy literackiej z lat 60. ubiegłego wieku.

Nie zamieramy tu bronić i rehabilitować Steina-Kamieńskiego jako polityka i publicysty politycznego, w niejednym po prostu drastycznie mylącego się, służącego – niewątpliwie najszczerzej i bez oglądania się na koszty własne – ideom i koncepcjom podlegającym dzisiaj najskrajniejszym i nie zawsze sprawiedliwym przewartościowaniom. Ale chciałoby się choćby po części ocenić od niepamięci (przynajmniej wśród literaturoznawców) jego dorobek krytycznoliteracki z lat 1908-1934, będący przecież ciekawą i niebłahą kartą dzieł tej samej kultury polskiej, która tak niegdyś zafascynowała zbuntowanego syna żydowskiego kupca z Warszawy. Autor niniejszego szkicu zebrał wszystko, co z dorobku krytycznego Henryka Steina-Kamieńskiego zasługuje na uwagę i nie traci nadziei, iż może nadejść czas, kiedy uda się wydać jego rozproszone, trudno dostępne i wciąż rzetelnie nieprzebadane szkice i recenzje w formie książkowej

KRZYSZTOF WOŹNIAKOWSKI

W artykule wykorzystano częściowo opracowane przez autora obszerne biogramy Henryka Steina-Kamieńskiego ogłoszone w *Polskim Słowniku Biograficznym*, t. XLIII/2 (2005), z. 177, s. 298-304 oraz *Słowniku badaczy literatury polskiej* pod red. J. Starnawskiego, t. IX, Łódź 2007, s. 170-174. Tamże szczegółowa bibliografia przedmiotu.

JANUSZ TAZBIR

BRONIĘ TEODORA WIERZBOWSKIEGO PRZED ŻEROMSKIM

Któż nie pamięta lekcji z *Szyfowych prac*, na której Zygier budzi świadomość patriotyczną „klerykowskich” kolegów deklamując *Redutę Ordona*. Początkowo nic nie zapowiadało, iż okaże się ona aż tak przełomowa i zupełnie odmienna od wielu innych lekcji języka polskiego, na których dręczono uczniów tłumaczeniem przenudnych utworów. Tym razem owym narzędziem „szkolnych tortur” miał być wiersz Czajkowskiego pod tytułem *Pająk* z podręcznika Wierzbowskiego. Nic więc dziwnego, że klasa widząc, że rozpoczynają się zwykle „nudy narodowe” (jak pisze Żeromski) zareagowała na to biernym oporem. Jedni przystąpili do odrabiania lekcji, inni zaczęli jawnie czytać „rzeczy postronne”, „albo wprost układali się jako tako do drzemki”. Tylko nieliczni, lepiej wychowani z grzeczności wlepiali oczy w ów nieszczęsny wiersz.

Żeromski dopuścił się w tym opisie kilku drobnych nieścisłości, dopuszczalnych w literaturze pięknej. Wyrażając własne gusta literackie uznał poczytywy politywistyczny wiersz Antoniego Czajkowskiego (1816–1873) zawierający pochwałę wydajnej pracy za nudny. Jak napisze znany krytyk Kazimierz Czachowski w jego życiorysie, ogłoszonym w r. 1938, wiersz ten współcześnie cieszył się jednak dużą popularnością. Co ważniejsze nie wszedł on nie tylko do dwóch kolejnych wydań wypisów Wierzbowskiego (1884 i 1888), ale i nie znalazł się w żadnym z podręczników do nauki języka polskiego, jakie były używane w szkołach Królestwa. Ponadto Borowicz, który uczęszczał do „klerykowskiego” gimnazjum w latach 1874–1882, nie mógł korzystać z książki Wierzbowskiego, bo ukazała się w dwa lata później. W swoich *Dziennikach* Żeromski pisze zresztą wyraźnie, iż uczył się z wypisów Piotra Dubrowskiego, które w r. 1882 próbował skrytykować w „Gazecie Kieleckiej”, ale mu tej krytyki oczywiście nie wydrukowano. W całych *Dziennikach* nazwisko Wierzbowskiego nie pada ani razu. A jednak jego to właśnie Żeromski napiętnował w *Szyfowych pracach*, co następnie znalazło potwierdzenie i rozwinięcie w komentarzach do powieści.

Jestem głęboko przekonany, iż żaden z autorów tych komentarzy nie zadał sobie trudu zajrzenia do *Wypisów* Wierzbowskiego. Inaczej nie znalazłyby się w nich zwroty całkowicie deprecjonujące ów podręcznik. W edycji *Szyfowych prac* z r. 1973 czytamy, iż *Wypisy* Wierzbowskiego „dostosowane do reakcyjnego programu nauczania, nie dawały uczniom nawet przybliżonego pojęcia o wielkości i bogactwie polskiej literatury”. Co tenże komentator powtórzył wiernie w ich

wydaniu z r. 2000, opuszczając tylko „niemodny” już zwrot mówiący o reakcyjnym programie nauczania.

Trud zapoznania się z *Wypisami* zadał sobie dopiero Lech Słowiński w pracy doktorskiej z r. 1967, opublikowanej w skróconej wersji w osiem lat później. Słowiński zwrócił uwagę, iż Wierzbowski zamieścił w swojej chrestomatii wiele pozycji, nie uwzględnionych przez jego poprzedników. „Udało mu się w wielu przypadkach zmylić cenzurę i włączyć do podręcznika utwory z narodowego punktu widzenia bardzo wartościowe”. Choć więc lekcje polskiego, polegające głównie na tłumaczeniu na rosyjski wybranych utworów literatury polskiej miały być, w myśl intencji carskich władz oświatowych, jeszcze jednym z narzędzi rusyfikacji, Wierzbowski nie poszedł wcale tym torem. Wręcz przeciwnie, jak pisze Słowiński, książka, którą tak skrytykował Żeromski oraz jego liczni komentatorzy, służyła „umacnianiu poczucia narodowego wśród uczniów Polaków”.

Swą „bezczelność” Wierzbowski posunął tak daleko, iż do pierwszego wydania podręcznika chciał włączyć hymn *Z dymem pożarów* Kornela Ujejskiego; udaremniła to jednak oburzona cenzura przypominając, iż pieśń ta była uważana „za hymn narodowy ostatniego powstania polskiego”. W chrestomatii znalazły się jednak najcenniejsze utwory literatury pięknej, w tym również fragmenty dzieł pisarzy zmarłych na emigracji (jak Mickiewicz i Słowacki), bądź tam przebywających (jak Teofil Lenartowicz). A nawet i takich, którzy zginęli w powstaniu styczniowym. O Mieczysławie Romanowskim Wierzbowski napisał *expressis verbis*, iż poległ „w potyczce pod Józefowem 24 stycznia 1863 r.”. W życiorysie Lelewela czytamy, że w r. 1831 opuścił Polskę i od tej pory aż do śmierci mieszkał w Paryżu. O Niemcewiczu, iż wzięty do niewoli pod Maciejowicami i uwolniony przez imperatora Pawła I, udał się do Ameryki, a w r. 1831 wyjechał z kraju i zmarł w Paryżu.

Już w tym miejscu wypada przypomnieć, iż wydawane w PRL podręczniki przez bardzo długi czas pomijały pisarzy emigracyjnych, nie trafiali oni również do różnego rodzaju antologii. Pełno w nich było natomiast autorów sławiących przyjaźń polsko-rosyjską i nasz sojusz ze Związkiem Radzieckim. Tymczasem Wierzbowski do swoich wypisów nie włączył żadnego z utworów sławiących carów i ich dla Polski dobrodziejstwa. A przecież utwory takie pisywały najlepsze pióra, żeby wymienić choćby wiersz Franciszka Karpińskiego *Przeciw pojedynkom*, w którym poeta, jak powiedział Mickiewicz, „na klęczkach błaga Katarzynę o łaskę.

Nie masz w tych słowach uczucia polskiego". A sięgając o parę klas niżej pominięto na przykład wiersze sławiące „pomnik hańby” wzniesiony zabitym generałom, którzy w noc listopadową odmówili przyłączenia się do powstania. Z Henryka Rzewuskiego zamiast fragmentu *Pamiętek Soplicy* do *Wypisów* mógł przecież trafić ultraserwilistyczny fragment *Pamiętników Bartłomieja Michałowskiego*, z aprobatą konfederacji targowickiej czy album na cześć pobytu Aleksandra w Wilnie (1858) zapowiadający moralne odrodzenie Polaków w „szerokiej słowiańskiej rodzinie”. A i z samego Mickiewicza niefortunny wstęp do *Konrada Wallenroda* (Petersburg 1829), w którym czytamy, iż Mikołaj I „będąc zarówno ojcem wszystkich, zapewnia wszystkim wolne posiadanie dóbr ziemskich i droższych jeszcze dóbr moralnych i umysłowych. Nie tylko poddanym swoim istniejącą wiarę, zwyczaj i mowę, ale nawet zatraczone [...] pamiętki dawnych wieków [...] wydobywać i ochraniać rozkazuje”. Przedrukował go skwapliwie niezyciwy poecie „Orzeł Biały” (1845) wychodzący w Paryżu.

Jest rzeczą oczywistą, iż Wierzbowski musiał pominąć teksty mówiące nieprzychylnie o „Moskwie” i Rosjanach, a z *Początku i progresu wojny moskiewskiej* Stanisława Żółkiewskiego uwzględnił tylko ostrą krytykę poparcia udzielonego Dymitrowi I Samozwańcowi, nazywając go wprost „szalbierzem”. Prawdą jest również, iż skupił się na tekstach krytykujących wadliwy ustrój Rzeczypospolitej, a z utworów „trzech wieszczów” dał poezję stosunkowo niewinne i pozbawione kontekstów politycznych. Z wiersza Kaspra Miaszkowskiego ku czci Jana Zamoyskiego opuścił strofę sławiącą jego sukcesy w Inflantach, zdobycie Połocka i „ukrócenie tyrana” (Iwana IV Groźnego), w dość obszernym biogramie Jana Chryzostoma Paska pominął zaś jego walki z Moskwą. Równocześnie jednak do chrestomatii trafiły nawet te fragmenty *Barbary Radziwiłłówny* Alojzego Felińskiego, które ongiś tak bardzo wzburzyły wielkiego księcia Konstantego, w rodzaju: Nigdy przed obcą władzą, przed mieczem tyrana Nie ugięły się wolnych Polaków kolana.

Przypomnijmy, że w r. 1821 władze zakazały dalszego wystawiania tej sztuki. Zakaz ten utrzymał się aż do końca rosyjskiego panowania w Warszawie. Trudno się temu skądinąd dziwić, zważywszy że Polacy są przez Felińskiego stale nazywani „wolnym ludem”, co Wierzbowski z wyraźną satysfakcją przedrukowuje. Nie było też rzeczą przypadku, iż tak wiele miejsca zajęły w *Wypisach* relacje z różnych sejmów, na których monarcha przypomniano: „myśmy cię [...] wolnemi głosami za króla obrali”. W mowach wówczas wygłoszonych stale przewija się przypomnienie o tym, jak „wielkie wolności” ongiś Polacy otrzymali.

W dobie wzmożonej rusyfikacji za niemalże prowokację należy uznać zamieszczenie obszernej pochwały języka narodowego, pióra Karola Libelta (1807-1875). Uczniowie mogli tam przeczytać, iż stanowi on niezbędny warunek istnienia narodu. „Wytocz z człowieka krew, a ubiegnie z nią i żywot jego; wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki język jego żyje”. Libelt powoływał się tam m.in. na opinie Onufrego Kopczyńskiego i Stanisława Potockiego. Kiedy naród popada w chorobę, „przyłóż palce tam, gdzie tętno języka bije, a poznasz stan gorączki, agonii

lub niebezpieczeństwa”. Aby je odwrócić, należy nadać wychowaniu „kierunek narodowy. Tak sobie poczęła sławna w dziejach naszych komisja edukacyjna. Atoli środek za późno już był użyty. Niemoc zanadto już rozmożła się w narodzie i życia jego politycznego już nie można było uratować” – pisał Libelt. Z tekstu wynikało jasno, iż mowa jest tu o wymazaniu Rzeczypospolitej z mapy politycznej Europy. Został on zresztą znacznie okrojony, m.in. musiało wypaść zdanie, iż „z rozbitej nawy narodowej na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować od zupełnego zatracenia”.

Pochwale języka polszczyzny i dzieła Komisji Edukacji Narodowej sekundowała w *Wypisach* chwalba Konstytucji 3 Maja pióra Józefa Szujskiego. Wychowywani na polakożerczych podręcznikach Iłłajskiego uczniowie mogli ze zdumieniem ale i z satysfakcją we fragmencie rozważań Szujskiego (*Dawna Rzeczpospolita a jej pogrobowce*) przeczytać, iż wielkość tej ustawy polegała na tym, że „odstąpiła od ślepego bałwochwalstwa” dla dawnych kształtów Rzeczypospolitej i potrafiła „praktycznie wziąć ze starego, co było dobre, a odrzucić co złe, przyjąć z zagranicy, co było dobre, a nie naśladować jej, że wyszła gotowa, samorodna, praktyczna, jak Minerwa z głowy Jowisza”. I bardzo źle się stało, iż później, kiedy minęły „pierwsze dni Księstwa Warszawskiego i Królestwa” zabrakło generacji „ożywionej twórczym i praktycznym duchem 3-Maja”. W tymże artykule znajdujemy pochwałę galicyjskiej autonomii, a co najważniejsze określenie Rzeczypospolitej czasów saskich jako „zajezdnej karczmy wojsk Fryderyka i Rosyi (!) ”.

Trudno się dziwić, że pierwsze wydanie *Wypisów* wywołało wielkie oburzenie rosyjskich władz oświatowych, które dość szybko poleciły wycofanie ich z użytku szkolnego. W następnej edycji, mocno zresztą odchudzonej (z 600 stron zostało 464) nie mogły się oczywiście ostać przytaczane już wcześniej pochwały Szujskiego pod adresem Majowej Ustawy. Całe rozważania *Dawna Rzeczpospolita a jej pogrobowce*, zostały zresztą usunięte. Niewiele im pomogła, zgodna z poglądami krakowskiej szkoły historycznej, nagana polskiej skłonności do anarchii, która miała doprowadzić Rzeczpospolitą do upadku. Zniknęła też *Dumka wygnańca* pióra Lenartowicza opisująca tęsknotę zesłańca za ojczystym krajem:

„Lud wesół idzie z pracy
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie Polacy?”

zalił się bohater wiersza, w którym łatwo można się było domyśleć jednego z Sybiraków. Wierzbowski zastąpił usunięty utwór pozbawionym politycznego wydźwięku *Złotym kubkiem* tegoż Lenartowicza. I tu autor *Wypisów* wykorzystał naiwność polityczną cenzora, gdyż Lenartowicz stał się głośny już dzięki ostrej odpowiedzi na *Akt łaski cesarza rosyjskiego dla emigracji polskiej*, zatytułowanej *Wygnańce do narodu* (1850), a stanowiącej wyraz patriotycznego protestu przeciwko jakiegokolwiek ugodzie z zaborcą. I w tej jednak edycji *Wypisów* Mickiewicz „zajmował o wiele więcej miejsca niż w jakimkolwiek innym z dotąd używanych w szkołach rosyjskich wypisów” (L. Słowiński).

Nawet w swej okrojonej postaci drugie wydanie *Wypisów* (1888) nie mogło zyskać uznania władz oświatowych. Ponieważ w istocie uwzględniało ono podsta-

wowy kanon literatury polskiej, w którym raz po raz dochodziło do głosu patriotyczne zaangażowanie autorów, kurator Warszawskiego Okręgu Naukowego zażądał wykreślenia szeregu dalszych pozycji. Ewentualne ustępstwa Wierzbowskiego niewiele by pomogły, skoro Apuchtin w piśmie z 15 lipca 1884 r. stwierdził wręcz, iż „podręcznik stara się przemycić historię Polski, budzi dumę i poczucie narodowe”. W *Wypisach* doszukaną się treści nie tylko „obojętnych wobec Rosji, ale wręcz wrogich”. W konsekwencji na dobrych kilkanaście lat musiano powrócić do podręcznika Dąbrowskiego, natomiast wypisy Wierzbowskiego zostały ponownie wycofane z użytku szkolnego.

Na tle tego co powiedzieliśmy poprzednio, nasuwa się pytanie dlaczego Wierzbowski został przez współczesnych uznany niemalże za renegata, a mówiąc dzisiejszym językiem – kolaboranta? I tak dalece, że po rok 1915 nie przyjęto go na odrodzony, polski już uniwersytet w Warszawie. Złożyło się na to kilka powodów. Po pierwsze oprawa edytorska *Wypisów*; były one niestety jedynym z podręczników do nauki języka polskiego, w którym biogramy poszczególnych autorów zostały podane w języku rosyjskim. To samo dotyczyło znajdujących się na końcu książki objaśnień trudniejszych wyrazów i zwrotów staropolskich.

Już przedtem zresztą Wierzbowski naraził się poważnie opinii publicznej przyjmując na „cesarskim uniwersytecie warszawskim”, założonym w r. 1869 na miejsce Szkoły (zamkniętej) Głównej, prowadzenie wykładów z historii literatury polskiej „w języku urzędowym”. Daremnie próbował usprawiedliwić się ze swej decyzji tłumacząc, iż odmowa kolejnego kandydata

albo w ogóle pogrzebie jakiejkolwiek szanse wykładów o literaturze polskiej, albo też sprawi, że obejmie je Rosjanin. Trzecim powodem niepopularności Wierzbowskiego była kariera, jaką zrobił w służbie zaborcy. Wybuch I wojny światowej zastał go na stanowisku naczelnego dyrektora Archiwum Akt Dawnych w Warszawie.

Wszystko to rzucało cień na same *Wypisy*, źle przyjęte zarówno przez władze carskie jak i przez społeczeństwo, na którego opinii autorowi przecież zależało. Kuratorium dopatrzyło się w nich poniekąd słusznie patriotycznych treści, rodacy nie mogli wybaczyć Wierzbowskiemu owych nieszczęsnych rosyjskich wstępów. Do głównych twórców narodowej anatemy należał bez wątpienia Stefan Żeromski, o czym Wierzbowski musiał wiedzieć (nie mógł przecież nie znać *Szyfów prac*).

Spór o autora *Wypisów* stanowi w istocie rzeczy niekończącą się w naszej kulturze debatę na temat granic dopuszczalnego kompromisu. W chwili obecnej oceny dorobku naukowego Wierzbowskiego są bardzo różne. Gdy jedni podnoszą jego zasługi i osiągnięcia jako bibliografa oraz wydawcy, a archiwiści chwalą wkład do powstania i rozwoju Archiwum Głównego Akt Dawnych, to Julian Krzyżanowski zalicza go do „najgorszych wydawców dawnych tekstów”. Nawet tak przyjazna autorowi *Wypisów* Zofia Gaca-Dąbrowska stwierdza, iż bez szczegółowego przebadania źródeł „trudno usunąć cień, który padł na imię Teodora Wierzbowskiego”. Jeśli więc nie z człowieka, to usuńmy go przynajmniej z jego *Wypisów* naprawdę *polskich!*

JANUSZ TAZBIR



Roman Banaszewski, *Wspomnienie*

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

INTELEGENCJA W ODMIENIONYM SPOŁECZEŃSTWIE

Ilekcio w Polsce – a zdarzało się to dość często – toczyła się dyskusja nad stanem czy kondycją socjologii, tylekroć rzeczników tezy o przeżywanym przez tę dyscyplinę kryzysie przekonywali niezgadający się z tą opinią optymiści argumentem wskazującym na dokonania socjologii struktury społecznej. Rzeczywiście problematyka stratyfikacji należała od momentu rehabilitacji socjologii i przywrócenia jej w 1956 roku praw akademickich do najintensywniej i najbardziej nowatorsko uprawianej dziedziny wiedzy o społeczeństwie. Szczególnym powodzeniem cieszyły się badania i rozprawy na temat inteligencji polskiej, z powodzeniem uprawiane zarówno przez socjologów, jak i historyków oraz psychologów i antropologów.

Od pewnego czasu postacią wiodącą w kształtowaniu naszej wiedzy o teraźniejszych strukturach społecznych i metodach ich badania jest Henryk Domański, autor znakomitego podręcznika pt. *Struktura społeczna*, a ostatnio redaktor i współautor dzieła o inteligencji, którym się w tej chwili zajmujemy.

Książka piętnastu autorów oprócz wstępu i artykułu wprowadzającego na temat wielopostaciowości pojęcia „inteligencja” oraz bibliografii publikacji z lat 1989-2007, składa się z pięciu części podzielonych na 16 rozpraw. Tematyka poszczególnych części i pomieszczonych w nich opracowań tworzy łącznie koherentną całość, co dobrze świadczy o kulturze metodologicznej redaktora.

Wprawdzie praca dotyczy współczesnej inteligencji, w szczególności zmian, jakim podlegała w okresie transformacji ustrojowej, jednakże uwzględniono w niej także, jako bardzo znaczący, wymiar historyczny. Magdalena Micińska w rozprawie pt. *Dzieje inteligencji polskiej do odzyskania niepodległości w 1918* sięga do jej początków na przełomie XVIII/XIX wieku i we wczesnym okresie rozbiorów, następnie omawia proces jej dojrzewania w pierwszej połowie XIX stulecia oraz rozkwitu w drugiej połowie, zwłaszcza w zaborze austriackim, po czym przechodzi do analizy zjawiska polaryzacji stanowisk polskiej inteligencji według wzorców socjalistycznego i nacjonalistycznego na przełomie XIX i XX wieku. Nawiasem mówiąc, wkrótce ukaże się pod redakcją Jerzego Jedlickiego z Polskiej Akademii Nauk trzatomowe dzieło *Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918*, w którym M. Micińska jako autorka tomu trzeciego *Inteligencji na rozdrożach* wyczerpująco przedstawia okres dramatycznych podziałów materialnych i konfliktów ideowych inteligencji polskiej w przededniu odzyskania niepodległości.

W części odnoszącej się do dziejów inteligencji polskiej znajdujemy jeszcze studium zasłużonego i niezwykle płodnego badacza tej problematyki Janusza Żarnowskiego o inteligencji w Polsce niepodległej, w epoce

komunizmu i na progu transformacji oraz wymykającą się spod rygorów historyzmu na rzecz socjologii czy filozofii społecznej rozprawę Jerzego Snopka zatytułowaną *Czyścić czy piekło? Miejsce polskiej inteligencji po 1989 roku na tle jej dziejów*. Kolejne części dzieła dotyczą różnych ważnych fragmentów i aspektów sytuacji życiowej i rozwoju inteligencji, jej miejsca w strukturze społecznej, jej aspiracji, oczekiwań i szans przyszłościowych.

Wydać mi się, iż całość wydawnictwa należałoby ocenić z punktu widzenia trzech ciągle przewijających się w nim konstatacji, wątpliwości i pytań odnośnie do następujących kwestii: kontynuacji czy zmięczenia inteligencji jako specyficznej formacji społecznej; trwałych i ulotnych, a także nowonarodzonych cnót i wartości inteligentkich; dezaktualizacji czy odrodzenia się etosu inteligentkiego.

Od momentu zapoczątkowanego w 1989 roku procesu transformacji ustrojowej rozgorzała w Polsce w środowiskach nauk społecznych i w kręgach publicystycznych dyskusja na temat zmian w strukturze odmiennego społeczeństwa. Od początku też szczególnie żywe zainteresowanie budziły losy inteligencji chociażby z uwagi na niebywałe tempo liczebnego wzrostu tej warstwy. W końcu okresu przedwojennego – pisze J. Żarnowski – było w Polsce zapewne około 100 000 osób z wyższym wykształceniem, około 1970 roku ponad 600 000, a około 1988 roku – aż 1 800 000. A przecież dopiero w latach transformacji nastąpił lawinowy wysyp prywatnych szkół wyższych, stanowiących główną bazę rekrutacyjną inteligencji. W latach 1990 – 2005 liczba absolwentów zwiększyła się z 50 100 do 394 000. Wzrost liczby inteligentów i dokonujące się w tonie tej warstwy przemiany profesjonalne oraz przesunięcia układów ról i wzorów społecznych sprawiły, że w „nowej inteligencji” zaczęto upatrywać załazek tak bardzo upragnionej z racji jej funkcji w tworzeniu demokratycznego kapitalizmu i społeczeństwa obywatelskiego tzw. klasy średniej.

Objawy utraty przez inteligencję hegemonii kulturowej postrzegano już przed II wojną światową, ale to co nastąpiło w wyniku ustanowienia w 1989 roku gospodarki wolnorynkowej, liberalizmu politycznego i wyboru prozachodniej orientacji modernizacyjnej uznawano za równoznaczne z nieuchronnym końcem inteligencji. Zmierzch inteligencji traktowano jako dziejową konieczność epoki transformacji, przy czym – zdaniem Magdaleny Gawin – grzebano ją na wiele sposobów: nostalgicznie z łezką w oku, z mściwą satysfakcją i szyderczo.

Z czasem okazało się, iż zapowiedzi końca inteligencji są zbyt pochopne, toteż, jak mówi M. Gawin, „po głośnym odrzuceniu abdykacji inteligencji nastąpiła jej cicha restauracja”. Miarodajną weryfikację tego stwierdzenia

przynosi opracowanie H. Domańskiego i B. W. Macha o inteligencji w strukturze społecznej w latach 1982-2006, w którym tezę o zaniku inteligencji poddano potrójnemu testowi: pierwszy dotyczy stopnia dziedziczenia pozycji inteligentnych, drugi – związku między przynależnością do inteligencji a poziomem wykształcenia, trzeci – wzorów indywidualnej kariery zawodowej. Po gruntownej analizie materiałów empirycznych autorzy dochodzą do wniosku, że nie mają jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy we współczesnej polskiej strukturze społecznej inteligencja „zanika” czy też nie zanika. Niektóre testy wyraziście przeczą istnieniu tendencji obumierania, inne natomiast wskazują na istnienie inklinacji do tracenia przez inteligencję jej strukturalnej odrębności. Na zakończenie swoich wywodów autorzy instruują przyszłych badaczy problemu „zanikania”, aby nie traktowali go jako w szczególności sposobu dotyczącego wyłącznie inteligencji oraz aby dynamikę strukturalnej odrębności wszystkich kategorii społecznych dostrzegali w podwójnej perspektywie zmian w wewnętrznej kompozycji grup społecznych i zmian w relacjach międzygrupowych.

Kontynuując w pewnym sensie rozważania nad upodobnieniem się inteligencji do „klasy średniej” Henryk Domański podejmuje w studium na temat dystansów inteligencji w stosunku do innych kategorii społecznych próbę oceny jej położenia materialnego, pozycji rynkowej, prestiżu, udziału w kulturze oraz uczestnictwa w życiu politycznym. Wynik analizy wskazuje na to, że zmiana ustroju nie zmieniła usytuowania inteligencji w hierarchii społecznej, co jednak nie przesądza o tym, iżby pozostała ona warstwą niezmienną, wyposażoną we wszystkie tradycyjnie przypisywane jej wartości.

Kształtowanie się inteligentnego systemu wartości, przeobrażenia, jakie w nim następowały pod presją zaszłości historycznych oraz zakres i głębia oddziaływania tych wartości na postawy i zachowania ogółu społecznego, to drugi podstawowy problem rozpatrywany przez autorów *Inteligencji w Polsce*. Niewątpliwie rację ma Krzysztof Mrowciewicz stwierdzając, iż inteligencja polska w kształcie dziewiętnastowiecznym była przede wszystkim obciążona misją wobec narodu i społeczeństwa, m.in. musiała rozstrzygać do dziś nie w pełni satysfakcjonujący dylemat: heroistyczno-burzycki czy organiczno-konstruktywistyczny wzorzec patriotyzmu?

W ślad za tym głównym wskaźnikiem powołania inteligencji wymienia się kolejne przysługujące jej cnoty, do których Hanna Palska zalicza: pielęgnowanie wspólnotowości, traktowanie wykształcenia i uczestnictwa w kulturze jako wartości autotelicznych, pogardę dla dorabiania się, przywiązania do tradycji rodzinnych i narodowych, okazywanie skromności w sposobie życia i prezentowaniu własnych osiągnięć. Jerzy Snopek dodaje jeszcze takie przymioty, jak suwerenność duchowa, czystość moralna, otwartość i tolerancja, dążność do samokształcenia, kojarzenie postępu społecznego z pojęciem sprawiedliwości społecznej.

Rzecznicy tezy o zmierzchu inteligencji, sami zresztą z reguły z niej się wywodzący, słusznie podkreślają, iż wymienione wartości jej przypisywane nigdy nie były urzeczywistniane przez ogół członków tej warstwy społecznej, czyli że mamy do czynienia raczej ze sztucznie upiększonym mitem, a nie z realnym stanem rzeczy. Wszelako pamiętać trzeba i o tym, że mity są ważnym

elementem świadomości społecznej i wywierają ogromny wpływ na postawy i zachowania publiczne.

Zdaniem Jerzego Snopka „autorzy opracowań socjologicznych definiują inteligencję posługując się kryteriami zobiektywizowanymi, wyznacznikami konkretnymi i łatwo uchwytymi w toku badań empirycznych. Przeważnie pozostawiają na uboczu kwestię tzw. etosu inteligentnego, który stanowił zawsze cechę konstytutywną inteligencji”. Jest czymś nieuniknionym, że erozja etosu jest równoznaczna z zamieraniem inteligencji i przekształcaniem się jej w grupy profesjonalistów, stanowiących z kolei jeden z trzonów tzw. nowej klasy średniej.

Wielu socjologów, do których sam też się zaliczam, dostrzegając procesy profesjonalizacji współczesnej inteligencji nie traktuje owych zaszłości jako zapowiedzi rychłego kresu znaczenia tej warstwy, a nawet jej zaniku. Faktycznymi nosicielami etosu bezinteresownej służby społecznej pozostanie zapewne tylko część nowej inteligencji, najprawdopodobniej inteligencji humanistycznej, którą tworzą ludzie nauki, kultury i sztuki, w części także ludzie mediów¹. Obok tradycyjnych powinności do swego posłannictwa będą oni musieli zaliczyć przede wszystkim nowe wyzwania, przed którymi stawiany jest dziś naród polski. Na przykład podkreślając wielką pozytywną funkcję prasy polskiej i piśmiennictwa polskiego w opieraniu się inwazji kultury masowej, Andrzej Walicki wzmiankuje: „Naprawdę jest szansa w Polsce, żeby się inteligencja utrzymała”. Tenże uczony stwierdza przy okazji dyskusji nad westernizacją struktury społecznej: „Nadal uważam, że inteligencja w roli zakonu walczącego o emancypację społeczną byłaby dziś anachronizmem, ale bronić chciałbym tradycyjnych wartości inteligentnych przed egoizmem tzw. „klasy średniej”, czyli profesjonalistów pozbawionych refleksji nad własną sytuacją społeczną [...]. Nie chciałbym widzieć inteligencji totalnie upolitycznionej [...]. Dla mnie jest nie do przyjęcia wizja, w której społeczeństwo nie ma własnego mózgu i sumienia, tylko zdaje się na bezosobowe mechanizmy. Dlatego inteligencja jest potrzebna jako korelat i korektura rynkowego mechanizmu”².

Do wyzwań absolutnie nowych należy także tzw. europeizacja Polski, do której społeczeństwo nasze nie jest należycie przygotowane. Tylko inteligencja odpowiednio intelektualnie przysposobiona może zainicjować i przeprowadzić proces przyswajania możliwie najszerzym kręgom społeczeństwa polskiego tożsamości europejskiej. Również w krzewieniu kultury ekologicznej, w czasach teraźniejszych zagrożonej zarówno przez ignorantów, jak i rzekomych sprzedajnych przyjaciół rola subtelnych i znających się na rzeczy kręgów inteligencji wydaje się nie do zastąpienia. Krótka mowa trzeba – jak mówi współautorka *Inteligencji w Polsce* Magdalena Gawin – wierzyć, „że etos i tradycja inteligentna są jednymi z najtrwalszych wartości w polskim życiu publicznym”.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

Inteligencja w Polsce. Specjaliści, twórcy, klerkowie, klasa średnia? Pod red. Henryka Domańskiego, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2008, s. 526.

¹ Zob.: *O polskiej inteligencji (debata nad stanem i perspektywami)*. „Res Humana” nr 5/96. 2008 r.

² Andrzej Walicki, *O inteligencji, liberalizmach i o Rosji*, Kraków 2007, s. 99 i 101.

TOMASZ GOBAN-KLAS

DZIENNIKARZ WŚRÓD SKORPIONÓW¹

Znany, a nawet bardzo znany polski korespondent zagraniczny, reporter i pisarz, a także dyplomata Krzysztof Mroziwicz dwa lata temu opublikował w popularnej serii *Sensacje XX wieku* Bogusława Wołoszańskiego smakowitą książkę o szpiegach, wywiadzie, dziennikarzach i (tak, tak, są momenty!) także o seksie². Jej tytuł *Czas pluskiew*³ jest wieloznaczny, choć autor podkreśla, że ostrzega w niej młodych adeptów dziennikarstwa przed tymi, którzy jak insekty żywią się cudzą krwią. Mniej metaforycznie piętnuje likwidatorów polskiego wywiadu, a bardziej konkretnie – Antoniego Macierewicza. On to bowiem działa jak owa pluskwa, która – wedle encyklopedii – jest „pasożytem, posiada narządy gębowe typu kłująco-ssącego, żywi się krwią ssaków (w tym człowieka). Małe oczy służą pluskwie głównie do sprawdzania, czy jest już wystarczająco ciemno, aby wyruszyć na poszukiwanie ofiary”⁴.

Osobiście wolalbym inną metaforę, na przykład z przypowieści o skorpionie, który błagał żabę, by wyratowała go z powodzi. – A czy nie użądliś mnie, skorpionie? – Ależ skąd, przecież wtedy utonęlibyśmy oboje! – Mimo to na środku rzeki skorpion użądlił żabę. Cóż, taką miał naturę. Jak Macierewicz.

Umberto Eco zwrócił był niegdyś uwagę, że polityczni „reformatorzy” wywiadu, których jak się okazuje nie brakuje i we Włoszech, działają tak, jakby nie rozumieli prostej logiki tajnych służb, iż w nich wszystko jest (i ma być) tajne, a pewien wgląd w ich funkcjonowanie mogą nam dawać jedynie dobre książki szpiegowskie, to znaczy takie, jakie pisał byli agenci, jak William Somerset Maugham, Graham Green, John le Carré (właściwie David Cornwell), i dziesiątki, a raczej setki innych mniej wybitnych pisarzy. Choć tworzą fikcję, to jednak opartą na znajomości rzeczy. Wywiad bowiem to sfera mroczna, poplątana, gdzie nic nie jest jasne, a prawda ma wiele odcieni. Zwerbowani agenci często pracują na dwie strony, a bywają i tacy, co służą kilku mocodawcom. Prawda dokumentów jednego wywiadu nie musi zatem oznaczać prawdy absolutnej. John le Carré w swej powieści *Tajny pielgrzym* prowadzi nas od Londynu przez Berlin, Zurych, Gdańsk, do Bejrutu i Bangkoku przez sferę fałszywych tożsamości, podwójnych agentów, zdrady i samotności. Nie można w niej – jak to pokazuje w *Przyjaźni absolutnej* ufać nawet własnym zwierchnikom. Z wściekłością Le Carré opisuje praktyki ludzi tajnych służb.

Tak można też odczytać książkę Mroziwicza. Jako korespondent pisał co widział, co wiedział, czego się dowiedział – w granicach dopuszczalnej jawności. I wiedział, że w czasach zimnej wojny nadal toczy się w tzw. Trzecim Świecie kiplingowska „wielka gra”. Jako znawca Indii nie mógł przeoczyć „Kima” Rudyarda Kiplinga, tak jak nie przeoczył go oślawiony podwójny agent „Kim” Philby, przyjmując swój pseudonim. Właśnie na pograniczu indyjsko-afgańskim już w czasach kolonialnych mamy do czynienia z maskaradami, szyfrowaniem dokumentów, werbunkiem tubylców, wywiadem i kontrwywiadem. Nic nie jest tym, czym się wydaje.

Nic dziwnego, że korespondent zagraniczny w tej – jak pisze sam Mroziwicz – płataninie wywiadów jest mimowolnym uczestnikiem „wielkich gier”. W Indiach jako wysłannika Polskiej Agencji Prasowej podsłuchiwało go wschodnioniemieckie Stasi, w Afganistanie radziecki wywiad wojskowy przechwytywał depesze dla PAP-u. Do tego dochodzą korespondencje z Kuby, Panamy, Nikaragui, Indii, Sri Lanki, Malediwów, Bangladeszu, Afganistanu, Rosji. Reporter nigdy nie wie, jak i przez kogo jego wiadomości zostaną wykorzystane.

Kapitałna jest tu zasada przez Zdzisława Morawskiego przedstawiona w 1978 roku kandydatowi na korespondenta w Panamie: „Będziemy się z panem łączyć na nasz koszt, skreślimy początek i koniec, dopiszemy coś od siebie i wydrukujemy gdzie się nam spodoba, nie płacąc ani grosza. Czasem też wyrzucimy pana nazwisko. Zgoda?”

Bardziej lapidarna była w październiku 1981 instrukcja prezesa PAP Janusza Roszkowskiego dla swego korespondenta w Azji Południowej: „Proszę przesyłać to, co pan widzi, wie i rozumie. A my się zajmiemy tym, gdzie to drukować”. Prezes nie dodał jednak „lub nie drukować”.

Mroziwicz wie oczywiście, że wiele z jego „nie nadających się do druku” materiałów trafi na ważne biurka w MSZ, a zapewne i MSW. Wie, ale się nie dziwi, są to przecież agendy legalnego i uznanego w świecie własnego państwa. Wprawdzie reporter nie dla nich pisze, gdyż jak każdy rasowy dziennikarz myśli o swym masowym czytelniku, lecz rozumie, jak niegdyś Ujejski, że w PAP-ie „inni szatani byli tam czynni”. A nawet gdy go kusili, to przecież za niego nie pisali. Dlatego oświadcza: „Nie byłem niczym agentem, chociaż mogłem być, za duże pieniądze i przy ryzyku długoletniego więzienia, to prawda. Ale to kwestia wyboru”.

„Dziennikarz nie zawsze wie, do czego i przez kogo wykorzystywane są jego korespondencje. Ponieważ pracuje w sferze informacji, przeto styka się ze specjalistami innych branż, które też się nią zajmują. Mam na myśli wywiad. (...) Tego, że (zdarzenia, w których uczestniczyłem) mogły mieć coś wspólnego z wywiadem, domyśliłem się po latach pracy w ambasadzie, gdzie otworzyły mi się oczy”.

¹ Nieprzypadkowo tytuł recenzji podsunęła mi książka Miłosza o Stanisławie Brzozowskim. Nie wierzył w oskarżenia o współpracę pisarza z carską Ochraną, a przeciwnie, widział w nim ofiarę „polskiego piekła”, wiecznie żywego.

² Są tu naprawdę jedynie momenty; po szczegóły Mroziwicz odsyła do swojej pełnej pikanterii innej książki *Ekstazja. Podróże z Afrodytą*, Branta, Bydgoszcz 2007.

³ Wydawnictwo Wołoszański, Warszawa 2007, s. 354. Jeszcze do nabycia w dobrych księgarniach internetowych.

⁴ http://pl.wikipedia.org/wiki/Pluskwa_domowa

Przesyłając korespondencje wiedział także, że znaczna część (cenzura, cenzura!) pojawić się może jedynie w Biuletynie Specjalnym PAP, rozprawczym w limitowanym nakładzie około 200 egzemplarzy wśród świadomego aktywu partyjnego. No i dobrze, bo towarzysze mogli poczytać kawałek dobrej dziennikarskiej prozy, a autor miał materiał do późniejszej zbiorczej publikacji.

Czas pluskiew – zgodnie z nazwą serii – ujawnia kulisy wielu ciekawych wydarzeń, parę tajemnic, kilka pozorowanych zbiegów okoliczności (włamanie do jego domu przed lub po pewnych informacjach).⁵ Mroziewicz wspomina, że gdy był korespondentem Polskiej Agencji Prasowej w Afganistanie w latach 80. zdarzyło mu się wypić z rosyjskimi oficerami z dowództwa w tym kraju. Kiedy po kilku wódkach zaczęli narzekać, że przegrywają w Afganistanie i woleliby interweniować w Polsce, Mroziewicz uznał tę wiadomość za „informację o kluczowym znaczeniu strategicznym” i postanowił nadać stosowną depeszę do Polski. Ale jak? „Gdybym (...) nadał [ją] z agencji afgańskiej Bachtar, natychmiast przechwyciliby ją Rosjanie” – wyjaśnia. „Tego należało uniknąć. Gdybym ją nadał jako tekst zaszyfrowany ambasady w Kabulu, dotarłaby do centrali służby bezpieczeństwa. Należało jechać do Delhi i szukać trzeciego kanału, wojskowego”. Udało się. Mroziewicz dotarł do polskiej ambasady w Indiach i przekonał attache wojskowego, aby on wysłał depeszę własnym kanałem do Warszawy. „Jak [depesza] została zakwalifikowana w jego centrali?” – zastanawia się Mroziewicz. – „Jak przedstawiono i opisano jej autora? Kto naprawdę został jej adresatem? Nigdzie się nie ukazała. (...) Jak widać z tego przykładu, dziennikarz może stać się ofiarą sytuacji, w której się znalazł. (...) Brak swobody wypowiedzi i wolności prasy czynił z dziennikarzy wbrew ich woli i wiedzy dowolny instrument tajnego systemu pozyskiwania i wykorzystywania wiadomości”.

Inny epizod pochodzi z Antypodów. „[W Australii] prominentny przedstawiciel [tamtejszej Polonii], wybitny dziennikarz miejscowej prasy emigracyjnej Eugeniusz A. zaprosił mnie do klubu prasy na roboczy lunch” – wspomina w książce Mroziewicz. „Gienio interesował się bieżącymi sprawami w Polsce, co uznałem za normalną ciekawość Polonusa, który rzadko bywa w starym kraju. Genio urodził się w Harbinie, mówił i pisał świetnie po chińsku (...) i w miejscowej prasie drukował analizy i komentarze dotyczące rozwoju i wpływu Chin na przyszłość tej części świata, w której leżała Australia. (...) Lunch trwał ze trzy godziny. Następnego dnia milioner polsko-ukraińskiego pochodzenia, mówiący świetnie obydwojema językami, zabrał mnie dwuosobowym helikopterem na przejażdżkę ponad miastem (...). – Po coś ty tyle czasu spędził wczoraj tym australijskim szpiegiem? – zapytał. – Jakim szpiegiem? – wystraszyłem się. – No z tym, z którym jadłeś kangury w klubie prasy. Przecież to jest powszechnie znany informator policji australijskiej”.

We wstępie Mroziewicz pisze wprost: „Właściwie jest to opowieść o styku dziennikarstwa z działalnością osób, które zajmują się pozyskiwaniem informacji dla całkiem

innych celów: państwowych, wojskowych, rewolucyjnych”. Przeto w jego książce znajdziemy wiele informacji o prekursorach donosicielstwa i losach sławnych agentów (Maty Hari czy Józefa Ignacego Kraszewskiego, który za zdradę Prus na rzecz Francji został osadzony w twierdzy magdeburskiej). Daniel Defoe, autor znany z *Robinsona Crusoe*, napisał poradnik, jak ma działać kontrwywiad i nadzór policyjny.

Mroziewicz ze swoich lektur wyciąga podstawowy kanon szpiegostwa: „Wywiad nie zbiera byle czego, musi być selektywny, inaczej centrala zostanie zalana materiałami bez znaczenia, z których nie da się wyciągnąć żadnego wniosku na żaden temat”. I dalej: „Sukces lub klęska systemu wywiadowczego zależy od dyspozycji wydawanych przez centralę”. Zatem dodajmy, że w tym się różni od korespondenta zagranicznego, który jest ogromnie samodzielny w wyborze spraw i tematów, jak i form opisu. Z kolei agent jest w swym działaniu podobny do dyplomaty, który zbierając informacje jest w dużej mierze kierowany przez dyspozycje centrali, tyle że innej.

Wprawdzie były ambasador w Indiach porusza w książce delikatny temat relacji dyplomacja-wywiad, ale nie zdradza tu tajemnic, a problem przedstawia ogólnikowo i także delikatnie. Dlaczego? Mroziewicz wyjaśnia, że jako „ambasador dowiaduje się o rzeczach, o których nie chciał wiedzieć, o których musi zapomnieć, i o czymś, o czym może mówić dopiero po dwudziestu pięciu latach”. Szkoda. Nie mamy tyle czasu, aby czekać.

Nie wiemy zatem, jak układały się te relacje w PRL-u, czy jak obecnie wyglądają. Po przykłady współdziałania należy sięgać do takich książek jak Andrzej Peptowski *Wywiad a dyplomacja II Rzeczypospolitej* opublikowanej w 2005 roku.⁶ Tom o wywiadzie i dyplomacji III Rzeczypospolitej jeszcze jest w zapisany teczkach, ale nie IPN-owskich. Ich opracowanie nie wymaga jednak mrowia historyków. Wartościowe teczki wywiadu są cienkie, gdy archiwa IPN-u są wypasione. Jedne mają treść, drugie tylko zawartość.⁷ Jakby powiedział nieodżałowany ksiądz profesor Tischner, gówno wartą.

Musimy jednak zrozumieć reportera-dyplomata, który w ostatnich słowach swojego tekstu przypomina oczywistą oczywistość: „Wywiad wymaga dyskrecji. Majstrowanie przy nim sprawia, że nikt nie pójdzie tam do pracy. Ujawnianie własnych aktywów to brak rozwagi, a zniszczenie struktur przynosi straty nie do powetowania. Dla tego państwa, które słyną z dobrych wywiadów, budują je przez dziesiątki, a czasem nawet setki lat. I niczego o nich nie mówią”.

Posłuchajmy rady Krzysztofa M. Reszta jest milczeniem.⁸

TOMASZ GOBAN-KLAS

⁶ A. Peptowski, *Wywiad a dyplomacja II Rzeczypospolitej*, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2005.

⁷ Prosty przykład z historii. Gdy oblegano twierdzę, szpiegzy lub zdrajcy ujawniali sekretne przejścia czy słabe strony obrony. Wystarczyła krótka wiadomość, iż tam a tam znajduje się tajna furka, ukryty loch pod murami, itd. Nie była potrzebna rozległa wiedza o krajoznazie, architekturze, warunkach pogodowych, morale załogi, wystarczyło tu ogólne rozpoznanie sytuacji. Ich opisy zostawiano podróżnikom, kupcom i kronikarzom, prekursorom współczesnych reporterów.

⁸ Milczeniem objęto także książkę Mroziewicza. Poza tygodnikiem „Polityka” nie znalazłem w prasie jej recenzji czy omówień. I to mimo popularnej serii, znanego autora, intrygującej i rzadko poruszanej tematyki. Czyżby obawiano się skorpionów?

⁵ Jedno z nich (jesienią 2006) polegało na tym, że „ktoś włamał się, wyważając łucik w kuchnię do wynajmowanego przeze mnie mieszkania przy ulicy braci Pillatich, gdzie znajdowało się moje archiwum. Pozostawiono ubrania, zabrano pamiętki z Indii, przegrzebano teczki z dokumentami. Pozostały autografy Leśmiana, Tuwima i co najmniej setki innych pisarzy oraz ludzi teatru. Archiwum przeglądano kartka po kartce. Czego szukano?”

URSZULA CHOWANIEC

APETYT BADACZA LITERATURY

Okruchy. Szkice o literaturze i kulturze XX wieku Bolesława Faron to zbiór tekstów, dotyczących miejsc, postaci i zdarzeń, które zainteresowały autora na przestrzeni wielu lat jego działalności naukowej i prywatnych podróży. Razem z autorem, który we wszystkich szkicach występuje bardzo wyraźnie stając się częściowo ich bohaterem, „podróżujemy” po literackiej przestrzeni XX wieku zaglądając to do Rydlówki z *Wesela*, to na wiedeńskie polonijne salony z *Fantomów* Marii Kuncewiczowej czy poznając wojenne, legionowe ślady Władysława Orkana. Zamiarem przewodnim tej publikacji było, zdaje się, pokazanie ile pracy i wysiłku wymagają często marginalizowane wydarzenia, teksty, działalność – wedle cytatu Jana Kasprzowicza, który Faron przytacza w miejsce wstępu: „Pocięte żyto, suche rżyska / Świadczą, że przyszedł już czas żniwa; / Spod twardych cepów ziarno pryska / Lecz któż z tych ziaren chleb spożywa / Choć w każdej okruszynie trud się nasz ukrywa?” (s. 7). Stąd zapewne inspiracja do tytułu samego zbioru szkiców.

Książka ta podzielona jest na cztery części. Na pierwszą, najobszerniejszą część składają się szkice, dotyczące „okołoliterackich” fascynacji autora, wśród nich między innymi: szkic porównawczy Wiednia, Krakowa i Lwowa z przełomu wieków XIX i XX, twórczość Juliana Kawałca, działalność K. I. Gałczyńskiego w „Kwadrydze”, proza Adama Zielińskiego. Z warsztatem doświadczonego filologa i jednocześnie z zacięciem fascynata literatury autor prowadzi czytelnika po różnorodnych literackich ścieżkach. Dowiadujemy się na przykład o szczegółach debat, kontrowersyjnych opiniach na temat sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego na Wawel zarówno w pierwszej tego typu inicjatywie pod koniec XIX wieku, jak i w okresie międzywojennym, kiedy to w czerwcu 1927 roku inicjatywa została wreszcie zrealizowana (*Pośmiertny powrót Juliusza Słowackiego do kraju*). Faron, biorąc na warsztat konkretne zjawisko czy postać, analizuje je wnikliwie, jak choćby inkrustowana bogato cytatami rozprawa o poezji Juliana Kawałca i jego koncepcji starości (*Juliana Kawałca pieśń o starości*), w której dochodzi do wniosku, iż autora tomików *Kochany smutek*, *Dom*, *Harfa Gorców* „przed pesymizmem i zgorzknieniem wieku starczego ratuje swoisty antropomorfizm przyrody, zespolenie człowieka z otoczeniem. Prawami natury zdaje się tłumaczyć los człowieka” (s. 125). W innym miejscu Faron podejmuje także debatę z innymi literaturoznawcami i pokazuje, iż krótki okres współpracy z „Kwadrygą” stanowił dla Gałczyńskiego istotny etap twórczy, wbrew opinii choćby Jana Marxa (autora monografii *Grupa poetycka „Kwadryga”*) argumentując, iż był „ważny z kilku powodów: po pierwsze — wkraczając niejako szturmem na łamy „Kwadrygi” wyraźnie określił się on jako poeta, po wtóre — opublikował tutaj kilka (...) ważnych (...) wierszy, po

trzecie — tutaj wydrukował dwa fundamentalne (...) tomiki *Profirion Osielek* i *Koniec świata*” (s. 107).

Druga część *Okruchów* dotyczy biograficznych szkiców trzech postaci, które związane są z Czarnym Potokiem, rodzinną miejscowością Bolesława Faron bądź też z Nowym Sączem, gdzie badacz pobierał licealne nauki. Tu znajdują się: szkic o polskim emisariuszu Michale Lisińskim, bardzo autobiograficzny esej o nauczycielu z liceum mgr Antonim Sitku oraz refleksja o czarnopotańskim rzeźbiarzu Mieczysławie Kałużnym. Wśród tych tekstów na szczególną uwagę zasługuje „dramatyczny życiorys” (s. 159) Lisińskiego, który przetrwał aresztowanie i niewolę radziecką i niemiecką, przebył jako emisariusz od Jugosławii po Norwegię, pracował w Szwecji, długo współpracował z Radiem Wolna Europa. Niepogodzony z ustaleniami jałtańskimi pisze książki *Kamieniec* i *Czarownica*. Faron podkreśla, że „[z] kart obu powieści wyłania się wizerunek autora, który pragnie zapobiegać złu we wszystkich jego wymiarach, który pisarstwo traktuje niejako interwencyjnie, który wierzy w posłannictwo literatury, ale jednocześnie człowieka, który ma wiele wątpliwości, który toczy wewnętrzną walkę światopoglądową” (s. 165/166).

Na część kolejną składają się krótkie recenzje bądź noty o autorach połączone z analizą konkretnej książki. W pierwszym szkicu tej części (*Współczesne refleksje i diagnozy humanisty*) autor podejmuje ważny dialog z tekstami i wypowiedziami Marii Janion jako uważnej uczestniczki debat nad naszym stosunkiem do polskiej tradycji. Faron kibicuje tekstom i wypowiedziom Janion dalekiej od czołobitnego stosunku do polskich literackich i kulturowych kanonów. Kolejno przedstawia krótkie recenzje: książki Morrisa Ekstainsa o roli I wojny światowej w rozwoju cywilizacyjnym XX wieku, *Święta wiosna. Wielka wojna i narodziny nowego wieku* (*Wielka wojna w trzech aktach*) oraz książek w serii Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej (Norberta Eliasa *Rozważania o Niemcach* oraz Waltera Benjamina *Anioł historii*) w szkicu zatytułowanym *Sąsiedztwo zobowiązuje*. Tutaj odnajdziemy także teksty poświęcone postaciom Henryka Markiewicza, Czesława Miłosza oraz Marty Wyki.

Ostatnia, czwarta część *Okruchów* to trzy podróżnicze refleksje, które powstały podczas pobytu autora w trzech różnych krajach: Szwecji, Austrii oraz Australii. Pierwsza to dziennik z tygodniowej wyprawy do Biblioteki Akademii Szwedzkiej i z badań archiwów dotyczących polskich Noblistów. Autor — podróżnik-literaturoznawca — zdradza w lakonicznych zapiskach swoje lektury, oczekiwania, rezultaty badań i spotkania ze szwedzką Polonią. Wśród tych relacji są prawdziwe ciekawostki, czytamy na przykład: „Alfred Jensen napisał czterdziestostronicową charakterystykę wzorczości autorki *Nad Niemnem*, w której stwierdził m. in. »Orzeszkowa jest niewątpliwie

kobietą szlachetną, o gorącym sercu i wielkiej odwadze, kieruje się jednak bardziej sercem niż rozumem». Ot, kobieca szlachetność i dobroć nie mogła rywalizować z „rozumem”.

Jako wadę tej publikacji można by wymienić zbyt dużą różnorodność podejmowanych wątków, zjawisk, rozpiętość czasową zebranych w książce tekstów. Jest to immanentna cecha książek, które są wyborem tekstów publikowanych wcześniej na łamach różnorodnych pism. A jednak tę menażerię tematów spina swoją osobą krytyk, historyk literatury, podróżnik, przyjaciel postaci, o których pisze – Bolesław Faron. Z perspektywy wielu lat pracy naukowej, wielu fascynacji, zbiegów okoliczności pokazuje swoje wycieczki w najrozmaitsze zakamarki literackiej tradycji polskiej minionego stulecia zawsze dając czytelnikowi dokładny kontekst powstania poszczególnych szkiców – czy to jest zaproszenie do Rydlówki przez Marię Rydlową (*Magiczne miejsce*), czy spotkanie polskiej tłumaczki australijskiego pisarza Petera Skrzyneckiego podczas pobytu w Australii (*List z krainy kangurów. Peter Skrzynecki w Sydney*). Ta swoista kontekstualizacja nie ma znamion megalomanii, to raczej charakterystyczna dla autora chęć rzeczowego przekazania doświadczenia i wiedzy dobrze udokumentowanej, takiej, za którą kryje się wieloletnie doświadczenie naukowe i nienaganny warsztat badacza literatury. Autor z wnikliwością kronikarza opisuje przygodę poety Władysława Orkana w Legionach w szkicu *Pisarz chłopski wobec wielkiej wojny*. Jest to wątek często zaniebawiany przez badaczy twórczości tego pisarza. Faron skwapliwie pokazuje przygodę Orkana z legionami, a następnie koncentruje się na swoistym reportażu *Drodze Czwartaków. Od Ostrowca na Litwę* (1915), który – jak zaznacza krytyk – „nie jest arcydziełem”, ale w niezwykle sposób pokazuje jak „na peregrynacje legionistów zostawili rzucone przeżycia pisarza, autentyczne doznania jednostki” (s. 51).

No właśnie – autentyczność! Autentyczność jest ciekawym pojęciem, które współcześnie robi wielką karierę, mimo postmodernistycznych kontestacji o niemożliwości tego co autentyczne, o językowej konstrukcji koncepcji autentyczności. Mimo to, kierując się intuicją, że co odczytamy za autentyczne może być efektem socjalizacji, szukamy zetknięcia się z konkretnymi miejscami, oryginalnymi dziełami sztuki, żywymi ludźmi. Tytuł niniejszej recenzji jest parafrazą tegorocznej książki Anny Wieczorkiewicz *Apetyt turysty*¹. Książka ta opowiada o turystyce jako fenomenie współczesnego społeczeństwa. Podróże stają się sposobem poznawania świata i zarazem rozpoznawania własnej sytuacji w świecie.

Wieczorkiewicz odwołując się do współczesnych krytyków (zwłaszcza Deana MacCannella) pisze, iż „siłą napędową współczesnych podróży stanowi pragnienie dotarcia do rzeczywistości w jej niezapśredniczonej (autentycznej) postaci” (s. 32). Bolesław Faron w swoich szkicach jest po części współczesnym szczególnym turystą, bo profesjonalnie zajmującym się literaturą, a zatem kierującym swoje kroki ku sferom literackim. A jednak element podróżowania i autentyczności (wspomniana dbałość o pokazanie faktycznego kontekstu jako inspiracji dla konkretnego eseju) jest w całej książce bardzo wyraźny i pozytywnie wpływa na jej odbiór, bowiem wszyscy jesteśmy

po trosze podróżnikami, bowiem nikt już chyba nie wierzy w totalną wizję literatury, która jest tak obiektywna, że wyzbyta wszelkiej obecności podmiotu, który ją tworzy.

Każdy literaturoznawca tworzy swoje szkice o literaturze wraz ze swoimi „apetytami”, a czytelnikowi pozostaje porównywać różnorakie opisy, badać je, podziwiać lub odrzucać. Szkice Bolesława Farona to teksty, które choć napisane z elementem prywatnego, autentycznego doświadczenia, są tekstami erudyty, dobrze udokumentowane, wyzbyte jednoznacznych wartościowań, raczej nakreślające przedmiot i dające wiele miejsca czytelnikowi do zajęcia pozycji, jednocześnie napisane dynamicznie i ciekawie. Tak jest choćby w szkicu o kontrowersjach wokół przyznania Nagrody Nobla Reymontowi, który Faron opatruje spokojnym komentarzem: „myślę, że od sygnalizowanych tutaj sporów przyszła pora, by sprawą zająć się spokojnie, bez uprzedzeń i okolicznościowych okazji. Toteż... pragnę przedstawić możliwie dokładnie swoisty fenomen z zakresu kultury literackiej, jakim było przyznanie autorowi *Chłopów* Literackiej Nagrody Nobla” (s. 75).

Swoistą kontynuacją, a raczej przypisem do *Okruchów* jest *stricte* wspomnieniowa książka Bolesława Farona *Z podróży* (Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2007). Tu zresztą niektóre teksty zostaną przedrukowane. „Ta szczególna opowieść jest nie tylko świadectwem wrażeń i doświadczeń z pobytu..., w kontakcie..., z okazji..., w drodze..., ale również formą autobiografii. »Pisanie o« staje się w sposób niezamierzony »pisanie siebie«, dlatego też należą te teksty czytać podwójnie» – pisze we wstępie (*Zapis z podróży jako forma autobiografii*) Agnieszka Ogonowska (s. 6). Trzeba jednak dodać, że poza turystycznym i autobiograficznym charakterem, zdradzają te teksty bardzo rzetelne przygotowanie materiałów, przez co książka chroni się (podobnie jak autobiograficzne fragmenty *Okruchów*) przed nostalgiczną nudą i bynajmniej nie wpisuje się do literatury jako melancholijny zapis przemijania, a raczej jako świadectwo aktywnego uczestniczenia w różnorodnych środowiskach i sytuacjach kulturowych.

Obie książki Farona doskonale pasują do nowoczesnego krajobrazu naukowo-literackiego, w którym poznanie świata, innych miejsc przez znawcę staje się swoistą okazją do doświadczenia innej kultury przez czytelnika. Na marginesie można do nich dopisać z racji niedawnego druku książkę Franciszka Ziejki *Moja Portugalia* (i czekające na wydanie kolejne *Mój Paryż* i *Moja Prowansja*).

Na koniec warto wspomnieć o szczegółowej bibliografii prac Bolesława Farona (*Bolesław Faron. 45 lat pracy naukowej krytycznoliterackiej i publicystycznej. Bibliografia za lata 1960-2006*, Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2007) – znajdziemy tam tekst o samym Bolesławie Faronie autorstwa Jana Pieszczachowicza, który słusznie konstataje, iż „jego biogram mówi o wielkiej ilości pełnionych funkcji i podejmowanych odpowiedzialnych zadań. Wraz z bibliografią obrazuje życie wypełnione po brzegi owocną pracą” (s. 16). Trzeba jeszcze dodać, iż cały dorobek profesora Bolesława Farona, w tym interesująca nas tu szczególnie książka *Okruchy*, obrazują niezwykle literackie apetyty tego badacza.

URSZULA CHOWANIEC

Bolesław Faron, *Okruchy. Szkice o literaturze i kulturze XX wieku*, Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2008.

¹ A. Wieczorkiewicz, *Apetyt turysty. O doświadczeniu świata w podróży*, Kraków, Universitas 2008.

Henryk Halkowski

(1951-2009)

Henryka poznałem w jednym z miejsc, w których bywał najczęściej, czyli w księgarni, konkretnie – w antykwariacie na rogu ulic Sławkowskiej i Św. Marka prowadzonym przez niezapomnianego pana Cieślowskiego. W tamtych czasach krakowskie antykwariaty sprawiały, że w PRL-owskiej rzeczywistości można było czuć się obywatelem świata. Dziś znikły, choć Second Story Book na rondzie Laffayeta w Waszyngtonie czy Labyrinth Books w Nowym Jorku, naprzeciw Columbia University, jakoś się trzymają. Krakowskie antykwariaty, które kiedyś można było porównać z tamtymi znikły, zastąpiły je reklamy, których na ulicy Floriańskiej jest zapewne więcej i są bardziej nachalne niż na V Avenue w Nowym Jorku.

Mamy, na szczęście amerykańską księgarnię przy ulicy Felicjanek, Massolit Books, gdzie w ostatnich latach Henryk zaglądał systematycznie i który wraz z jego śmiercią utracił jednego z najlepszych swoich klientów.

Trzydzieści lat temu na Kazimierz chodziło się, gdy się musiało, Henryk bywał więc wówczas na Kazimierzu tylko w soboty w synagodze Remuh. Kilkanaście lat temu to się zaczęło zmieniać, jakkolwiek nie zawsze się to mu podobało. „Polacy serwują pseudożydowską kuchnię, Ukraińcy grają klezmerskie kawałki, a niemieccy turyści odnoszą wrażenie, że nic aż tak złego się nie stało” – mawiał. Ale mimo wszystko do tego nowego Kazimierza Ignął, stał się częścią i współtwórcą jego legendy.

Nieco starszy od Henryka stałem się powiernikiem jego pierwszych prób pisarskich, które zaskoczyły mnie dojrzałością i całkowitą autonomią myśli i wrażliwości. W zdumiewający sposób potrafił łączyć intelektualną odwagę z brakiem jakiegokolwiek napastliwości. Podam dwa przykłady:

I. O różnicach między Warszawą i Krakowem: „Warszawa była atrakcyjnym miastem dla wszystkich żydowskich komunistów; dlatego większość z nich przeniosła się do stolicy. Począwszy od antysemitkiej kampanii 1968 roku, a tym bardziej po załamaniu się tzw. władzy komunistycznej, ich dzieci wracają do takich czy innych form tożsamości żydowskiej: kulturowej, narodowej czy religijnej. W Krakowie podobne zjawisko też występuje. Ale w znacznie mniejszej skali; sądzę, że przyczyną tego jest fakt, że jak Warszawa była atrakcyjnym miastem dla żydowskich komunistów, tak Kraków był atrakcyjnym miastem dla tych Żydów, którzy przeszli na katolicyzm. Łatwiej jest wrócić do żydowskiej tożsamo-

ści czy też judaizmu dzieciom i wnukom wyznawców wiary w komunizm, niż Żydom-katolikom”.

II. O ostatnich latach Piotra Skrzyneckiego: „Nikt nie da nikomu drugiego życia; a on dawał wielu pocucie, że to wszystko co robili w tych latach (PRL-u) nie było tak całkiem bezsensowne, że lata te nie były tylko pustą plamą między II i III Rzeczpospolitą”.

Formułowanych z tak suwerennej perspektywy myśli w tekstach Henryka, drukowanych m.in. w „Zdaniu”, można znaleźć wiele. Każda mogłaby być tematem książki, które jego zbiór esejów *Żydowskie życie* (Kraków 2003) był zapowiedzią. Dlatego warto do niej wracać, jeśli nie chcemy się ślizgać po ślepych torach stereotypów.

Przegadałem z Henrykiem sporo czasu. Choć jestem starszy, wiele się od niego nauczyłem, przede wszystkim odwagi samotności w myśleniu. Ale nie tylko to, jest coś o czym trudno jest mówić ale czasami należy, zwłaszcza w momencie odejścia kogoś takiego jak Henryk. To Polska, ojczyzna. Jego obecność przywracała pełnię polskości nieamputowanej. Tej Polski którą można poczuć przy zapalonych szabasowych świecach, kiedy po hebrajskiej modlitwie i błogosławieństwach rozmawia się o jej sprawach. Kiedy wraca poczucie przynależności do czegoś większego niż konkretne terytorium czy miejsce, jakiejś entelechii Rzeczypospolitej wielu narodów, wielu religii i różnych obyczajów. Wszystkiego tego, bez czego, nieprzygotowani przez naszą historię do życia w jednonarodowym państwie, popadamy w narodowy solipsyzm i zadufanie, po czym nieuchronnie głupiejemy.

Przydarza się to też innym narodom. Myślę, że Henryk to wiedział i dlatego był z nami. Będzie go bardzo brakowało. Ale jak mawiał jego ukochany Rabi Nachman z Bracławia: „Zrozpaczone serce jest dla Pana szczególnym i bardzo umiłowanym klejnotem. Byłoby wspaniale, gdybyśmy potrafili być przez cały dzień ze zrozpaczonym sercem. Ale dla przeciętnego człowieka oznaczałoby to zbyt wielkie niebezpieczeństwo wylęgnięcia się z rozpacz potworka depresji. Z tego powodu każdy powinien raz dziennie, w odosobnieniu, rozpacz swą zanosić Panu – przeznaczając na to, za każdym razem, tylko określony czas”.

Henryku, obiecuję tego pilnować.

ADAM KOMOROWSKI

KRZYSZTOF KOMORNICKI

PAKIET SUDECKI

czyli przypisy dłuższe od tekstu

Wszyscy ostatnio rozprawiają o pakietach. Ja też poproszę. I powiem tak:

Jest pakiet Obamy. *Stimulus* w wys. 800 miliardów USD. *Stimulus* uruchomił dyskusję, w której można uzyskać certyfikat na lewicowość. W zależności od tego jak się odpowie na pytanie: te 800 mld wpompuwać np. w przemysł samochodowy, by ratować majątek właścicieli, czy po to, by zachować setki tysięcy miejsc pracy?

Według dochodzących do Wójtowic informacji nasza lewica nie uczestniczy w tej rozmowie; ostatnie wieści mówią o udanym balu SLD w Szklarskiej Porębie. Natomiast pytanie to stawia moja córka Zula na pierwszej stronie swej dysertacji, którą właśnie pisze na Uniwersytecie Columbia na temat „kreatywnego kapitalizmu” i „odpowiedzialności korporacyjnej”. Nie wiem jeszcze jak odpowie, ale może łatwo zrobić przykrość Tatusiowi, który niemal 20 lat temu, w sylwestrową noc 1989 r. głosował chóralnie z całym klubem poselskim PZPR za pakietem (tu: mała rymowanka – „już wtedy pakiety”) ustaw Balcerowicza. I który cały czas stara się zneutralizować niesmak mówiąc nawet tym, którzy nie chcą słuchać, że „może portfel poszedł wtedy na prawo, ale serce ciągle górejące bije na lewo”.

Jest też pakiet Czumy. Też chodzi w nim o wspomnienie, ale tego co wcześniej zostało wypompowane. Z gospodarki amerykańskiej, z jej chicagowskiego krwioobiegu. Tu, co prawda chodzi jedynie o trzy zera (000), tam – u Obamy – o dziewięć (000 000 000), a może i o jedenaście (00 000 000 000), ale mimo to przyjemnie się gmera w takiej małej kupie. Ale niestety trzeba, bo to minister sprawiedliwości, który – jak wiadomo – ma być jeszcze większą dziewicą od żony Cezara. Wygmeraliśmy więc rachuneczek za usługi dentystyczne i natychmiast uznaliśmy, że olśniewająco biały uśmiech ministra taki zniewalający jest – bo nieszczerzy i fałszywy, ponieważ niezapłacony. Ufam, że poszukiwacze prawdy nie wystawią sobie certyfikatu na lewicowość. Ta przykra afera przypomniała mi jednak, że od kilku tygodni mam dług w mięsny na Zwierzynieckiej – 12,60 zł za 10 plastrów salcesonu watykańskiego – *excusez le mot!*. Jutro oddam. Ale ja mam znacznie gorszy życiorys od Czumy.

No i dziś, po przerwie, mój pakiet sudecki. Mam dla Państwa w ofercie zestaw lokalnej biżuterii wysa-

dzanej półszlachetnymi kamieniami różnego lotu, które pochodzą z miejsc będących od stuleci rajem dla zbieraczy. Są tu cztery teksty – trzy męskie i jeden przez Olę Tokarczuk ze wsi Krajanów (o 3 rzuty szyszką od Wójtowic). Ola pełni szczególną rolę w naszej małej ojczyźnie. Otacza całość – w każdym razie w tym felietonie i tekstach pozostałej trójki – metafizyczną opieką, niczym oko opatrności w trójkącie mruga często przyjaźnie i mówi nam bez słów, że ziemia i ludzie mają jeszcze dodatkowy wymiar, którego nie można poprawić ani za ONZ-owskie, ani za europejskie pieniądze. Za żadne. Ta pozostała trójka to namaszczeni przez nas na ekspertów sudeckich: Malarski, Najar i Ludwik Lewin. Eksperci, którzy pomagali wydawać te pieniądze i odpowiadają za synergię między różnymi naszymi projektami realizowanymi w Kotlinie Kłodzkiej. W Wójtowicach już dawno zrozumieliśmy, że bez synerгии ani rusz.

I tak na stroniczce sygnowanej **Sergio Najarem** (s. 117) widzieć należy broszkę z chryzoprazem, którą autor spiął czeskie Martinkovice, gdzie niedawno zamieszkał, z mymi Wójtowicami, czeskie Sudety z polskimi, tak jak spinał niegdyś jako wiceminister spraw zagranicznych dwa kawałki drogi otwierając przejście graniczne w sąsiednich Mostowicach. Obiecywał wtedy po polsku i w biegłym czeskim kilku tysiącom spędzonych na graniczny mostek (razem z biskupem Decem) uczestnikom rychłe obalenie granic. Czyli Schengen, w które jako jeden z pierwszych uwierzył. I o tym tu pisze.

Klejnot z krwawnikiem można zobaczyć mrużąc oczy pod koniec lektury utworu nadesłanego z Paryża przez **Ludwika Lewina** (s. 118). Lewin to ekspert naszych programów europejskich, który stawiał się, w zależności od potrzeb, raz – specem od regionalizmów, kiedy indziej – piewcą produktu lokalnego rozumianego jako „lokomotywa rozwoju regionalnego”, czy wreszcie tym, czym jest naprawdę – poetą i pisarzem, dla którego organizowaliśmy spotkania autorskie. Jego słynny *Szyf & Spółka* nie bardzo spodobał się prawdziwym Polakom. Może dlatego tak się dobrze sprzedawał. Na swej stroniczce dla „Zdania” nie napracował się, raczej nas obraził. Idąc swą rue G. Recipon „chyżo pomyka” (zgadnij skąd to, koteczku?), by przyśpieszyć drobiaz przed idealnym trafieniem na belkę tak, że wnioskuje, iż za chwilę znowu uraczy nas jakimś niezwykłym utworem, który poda wraz ze swym niezapomnianym „foi gras plus świeże figi” z patelni. I wtedy – jak nie-



Ekspersi z „pakietu sudeckiego”. Od lewej: Ryszard Malarski, niżej podpisany (czyli KK – red.), Ludwik Lewin i Sergiusz Najar – właśnie opowiedzieli Pani Komisarz Hübner (w środku) o Sudetach – „zapomnianych przez Boga, ludzi i... centralnego planistę”. Rzecz miała się w Chavez (płn. Portugalia). Olga Tokarczuk była w tym momencie z wizytą misyjną w Azji i właśnie skończyła swój wykład na Uniwersytecie Baptistów w Hongkongu.

gdyś – zerwiemy się wiwatując na Jego cześć wraz z Lityńskim i naszymi ojcami w 30. sektorze Stadionu X-lecia w czasie walki „wunderteamu” z reprezentacją USA. Był to najlepszy sektor i dopiero wiele lat później dowiedzieliśmy się, że dlatego zajmowali go głównie syjoniści.

Osobiście podzielał pogląd **Ryszarda Malarskiego** (s. 119), że szczególną sympatią darzyć należy niejaki awenturyn. Ten zagadkowy zielony kamień oprawił w srebro i powiesił na stałe w lewym uchu. Jak GPS prowadzi nas nieomylnie w kierunku najbliższej knajpy rybnej. Mądrość tego kamienia symbolizować ma zbiorową mądrość społeczeństwa obywatelskiego, którego sudecką edycję badał on dla nas jako ekspert w projekcie FAO. I tak zbadał – a Bóg mi świadkiem, że podszedł do zadania solidnie, potraktował je wręcz niczym misję, przeprowadził dziesiątki rozmów w tzw. Terenie, aż mu wyszło, że tegoż społeczeństwa tu prawie nie ma, a jeśli jest, to jakieś kadłubkowe. Wyszło mu też, że tu nie ma wzajemnego zaufania, które jest warunkiem udanego mniej lub bardziej wspólnego działania dla mniej lub bardziej namacalnego wspólnego dobra. A że razem z moją żoną Dorotą od lat pracujemy na rzecz budowy tej nowej międzyludzkiej miłości i zaplanowaliśmy już w podzięce od miejscowych nasz

pomnik na środku kotliny – robotnika i kołchoźnicę czyli Wierę Muchinę II, uznaliśmy się konkluzją Malarskiego głęboko dotknięci.

I wreszcie nasza czarna perła, kiedyś może i sudecka, ale dziś na pewno uniwersalnie piękna. **Olga Tokarczuk** (s. 121), której pilnie strzeżemy i którą bezcennie uważamy za swą własność. O której względy staramy się razem i każdy oddzielnie. Zazdrościmy sobie nawzajem. Gdy odkrywamy, że Malarski spotkał się z Olą gdzieś we Wrocławiu i nic nam nie powiedział – wpadamy w zwykłą furję, która nas od środka rozrywa. Gdy Najar zaprasza na JEJ wieczór autorski do „swojego” czeskiego Broumova, zdzwaniamy się błyskawicznie poza Najarowskimi plecami i knujemy, jakby tu go na przyszłość odciąć. Czarna perła niespotykanej wielkości i szlachetnego kształtu rzuca na nas czary i budzi złe duchy. W oczach pisarza i poety Lewina, gdy raz mówiliśmy sobie o Oldzie i Jej niezwykłym piarstwie, widziałem słabo utajnioną agresję i zimny mord. Uspokajam się jednak, że ten tu – jakby dolnośląski, jakby sudecki ale przecie ogólnoswiatowy tekst mówi nam po prostu o tym, że komunikacja językowa ma swoją etykę. I szlus. I tak niewiele. I tak dużo.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

SERGIUSZ NAJAR

GRANICA I POGRANICZE

Sergiusz Najar, wnuk rozstrzelanego w wieku 28 lat przez denikinowców oficera Armii Czerwonej, b. szef Międzynarodowego Związku Studentów z siedzibą w Pradze, b. prezes City Banku na Europę Środkową, b. wiceminister SZ, a także Infrastruktury oraz b. prezes BOŚ. Uff!! Całkiem nieźle, ale miało mnie to doprowadzić do info najważniejszej: od niedawna właściciel i mieszkaniowiec niezwyklej wprost farmy w Martinkovicach (wszystkie budynki z okresu napoleońskiego – jeszcze sprzed katastrofy pod Lipskiem), gdzie miejscowi mają go i jego piękną i ambitną żonę już za swoich, i gdzie za strzegącym ich szczęścia dębem zaczyna się polowe lotnisko z kilkoma prywatnymi cesnami. Bierze sobie taką jedną, gdy czuje zew, bo znowu odzywa się lewica, którą trzeba na nowo cokolwiek przespachlować. Nie lubię tego lotniska, bo może go nam zabrać na dłużej. Wolę domek inżynierostwa Kotlarka i Kotlarkovej, którzy mają od lat licencję na przerabianie pulpy na nalewki. Najar – pytam – pulpa więc, czy szpachla?. Ja w każdym razie zawiozę tam me pulpy: brzoskwińową (broskvová), jabłczaną (jableczną), no i oczywiście winogronową (hrosnavá). Mirabelkową sam przerobię, bo zaufania w sprawie tej jakoś nie odczuwam do nikogo, tylko do siebie. (KK)

Człowiek odnajduje siebie spoglądając na otaczającą go krainę – widzi tam swoje wnętrze, swoją przeszłość i przyszłość oraz symbole swoich cech charakteru. Dzięki naszym rodakom: Malinowskiemu i Kapuścińskiemu, w odstępie prawie 100 lat poznaliśmy Człowieka naturalnego i globalnego, pierwotnego i egzotycznego. Pozwolili nam, Polakom nieskorym do rozumienia spraw świata – na spojrzenie na siebie w okresach przełomu wieków, w okresach zapowiadających światowe i globalne konflikty i wojny. Pozwoliło to tym, którzy przeczytali i zrozumieli ich przesłanie, na odnalezienie swojego – polskiego miejsca pod słońcem, na ziemi, wśród sąsiadów, na grobach i ruinach wielu wojen i niedobrowolnych tułaczek.

Kiedyś tłumaczyłem Amerykanom, co to jest geopolityka? „Polacy przed II wojną światową zamieszkali Europę Środkową, po II wojnie światowej nasze granice przesunęły się 300 km na zachód i zamieszkaliśmy w Europie Wschodniej”. Tak więc nasze miejsce to kraina, w której się odnaleźliśmy, do której nas skierowano, w której pozwolono opuścić wagony i ciężarówki po wielotygodniowej podróży ale to też miejsce, które z „dziada pradziada” związane było z naszą rodziną i krewnymi na Mazowszu, pod Staszowem czy w Wielkopolsce.

Poszukiwanie „swojego miejsca” przełomu XX i XXI wieku nabrało zupełnie nowych wymiarów. To już nie linearne przemieszczanie się taboru repatriantów ze Wschodu, reemigrantów z Francji, chłoporobotników z Przasnysza, górników spod Olsztyna lub hutników z okolic Przemyśla. Wędrówka Polaków „pobłogosławiona” dwoma wojnami światowymi, rozpadem europejskich i euroazjatyckich imperiów, koszmarem ostatecznego rozwiązania „problemu żydowskiego” i niezliczonymi porozumieniami w Versailles, Rapallo, Triannon, Munich, Jaltie, Potsdamie dobiegła kresu na ziemiach polskich.

Po przełomie 1989 r. owa wędrówka zamieniła się w sieciową wielowymiarową, multimedialną, interakcyjną wibrację Polek i Polaków szukających swojej szansy, uciekających przed strachami i niedostatkami,

mobilizujących swoją odwagę, wyobraźnię i posługujących się „łódkami”, „komórkami”, nocnymi autobusami, starymi vw i oplami aby osiągnąć cel. Zanik kolejek pod wydziałem paszportowym i kasą NBP po promesę dewizową, koniec koników pod konsulatami NRF i Wielkiej Brytanii uruchomienie SkyEurope czy Wizzair pozwoliły na pojawienie się polskiego hydraulika w Paryżu, polskiej analityczki finansowej w City czy polskiego inżyniera w Barcelonie. Na każdy *roaming* pojawił się *skajp*, każdy problem polskich dublińczyków rozwiązywano transgranicznie.

Każdy w każdym wieku postanawia o pokonaniu kolejnej granicy: granicy wyobraźni, wytrzymałości, kompetencji czy marzeń. Niektórzy przestają w ogóle widzieć i odczuwać granice, jakby układ z Schengen dotyczył także otwartej przestrzeni dla pełni szczęścia ludzkiego bez jakichkolwiek ograniczeń lub zagrożeń. Szczególnie pokolenia ograniczone lub wręcz upokorzone granicami chcą granice znieść; żyć przestrzenią, korzystać z dóbr i smaków całego świata, przemieszczać się jak *Bieguni* Olgi Tokarczuk bezproblemowo i bezgrzesznie, bez wiz, paszportów, walut...

Codziennie patrzę na granicę; mieszkam w strefie przygranicznej po dawnej czeskiej stronie Sudetów, czuję granicę wielowiekową pomiędzy państwami, księstwami, hrabstwami, dobrami klaszternymi, posiadłościami możnowładców i... przekraczam ją w dowolnym miejscu i w dowolny sposób. Czynię to pieszo, rowerem lub samochodem, telefonicznie i elektronicznie, listowo i pieniężnie, językowo i kulturowo – co chwilę, co godzinę lub codziennie, stale i okresowo. Pokonuję granicę, nie widzę granicy, nie ma granicy. Zniknęła w sensie realnym pozostawiając głęboką brudę na polu, na duszy, w umyśle...

Gdy byłem dzieckiem, miałem wtedy 5 lat, leciałem samolotem wyobrażając sobie „świat bez granic”. Osiągnę 50. za miesiąc – granica pozostaje pustym dźwiękiem, lecz brzmi złowrogo. Moje miejsce jest na bezgranicznej granicy.

LUDWIK LEWIN

BYSTRZYCKA FIKCJA

Ludwik Lewin (nie żaden Levine!), pisarz i poeta, mieszkający w Paryżu od lat 60., mąż wspaniałej Małgosi, programującej dla nas (Najara, Malarskiego i Komornickiego) raz do roku kilkudniowe i bardzo treściwe wyprawy, które prowadziły nas dotychczas do Wiednia, Granady, Neapolu, Padwy, Triestu. Przez wiele lat korespondent BBC i RFI ze świetnie ustawionym głosem radiowym – od „szepu warg sromowych” do chrapliwego (coraz bardziej zresztą – 60 gitanów dziennie!) *never more!* kruka Edgara Allana Poe, którego wszyscy kochamy. Fascynuje nas fakt, że im starszy, tym bardziej wierzący. Zarówno w życie pozagrobowe, jak i w swe zasługi, które mają go do raju (?) zaprowadzić. Ale mimo to jego poczucie humoru nie tępieje. (KK)

Nie wiem czy była to pora roku, czy epoka. Bystrzyca odkrywana przez okno błękitnej lancii wydawała mi się miasteczkiem brudnym, martwym, bez korzeni, miejscem bez przeszłości, które przyszłość ma za sobą. Wyznaczały ją w drodze na Starą i Nową Bystrycę zlikwidowane fabryki, wykupione wytwórnie, zamknięte zakłady. Pochmurny wieczór nie pozwalał nawet podejrzewać, że rzecz dzieje się w górskim krajobrazie.

Noc przynosi pocieszenie, ale rano nie było lepiej. Gdy o białym świcie wyjeżdżaliśmy z Wójtowic, na poboczach drogi pałętały się niewielkie grupki dobrze już, a może jeszcze („już” – upewnia mnie moja kierowczyni), nawalonych mężczyzn.

Wizyta w kilku placówkach różnorakiej pomocy uświadomiła mi, że były to próbki bardzo reprezentatywne dla męskiej społeczności tych okolic. Z przyczyn technicznych z samochodu nie mogliśmy dojrzeć, że nabuzowani panowie z upodobaniem biją żony. Dowiadujemy się o tym od pań zajmujących się opieką społeczną, dobrze zorientowanych, bo ich klientami są te żony – w charakterze bitych i biednych oraz ich mężowie – w charakterze bezrobotnych, a więc też biednych. Nieszczęścia i małżeństwa chodzą parami.

Runda po sąsiednich wsiach mniej jest tragiczna, ale równie beznadziejna, choć ma na celu przygotowanie radosnej, wieczornej uroczystości z okazji konkursu mini-przedsiębiorczości, czy też po prostu agroturystyki. W chatkach brudnawo, a specjalnie, głównie smalec ze skwarkami i jabłkami, zwyczajnie i nigdzie niezare-

jestrowane. Góry wciąż schowane za chmury, po co by ludzie mieli tu przyjeżdżać?

Święto na wielkim tarasie hotelu, do niedawna ośrodka FWP, jest przecież na cztery fajerki. W wystąpieniach mowa o fundacjach i funduszach, a nad wszystkim lata Europa, która tuż, o mały kroczek.

Przypadkowy sąsiad musiał wyczuć złapaną przeze mnie w dzieciństwie alergię na referaty, bo odciąga mnie na bok i nalewa. To ważny przedsiębiorca, a przedtem szef wydziału w komitecie partii. Tej jedynej. Ale nie on jeden. Pan burmistrz, chyba burmistrz, a może inna szycha też niegdyś sekretarzował i też się z nami napije. – Zobacz, jakie to piękne, wszystko się zmieniło i wszystko jest jak było – cieszą się moi nowi znajomi. Dołącza się do nas pan poseł, ten siedział nie w komitecie, ale w więzieniu, stare to przecież sprawy, w końcu wszyscy jesteśmy Polakami i katolikami.

Nadchodzi bura noc, wciąż nie widziałem Masywu Śnieżnika. Za to kolejna butelka pojawia się na horyzoncie. Patrzę na niebo bezgwiazdne i czuję prawo prawienia morałów. Rano odjadę i nigdy tu nie wrócę.

A przecież wróciłem i wracam. Może dlatego, że przypomniano mi przykrą prawdę o tym, że sprawiedliwych nie szuka się w Edenie, sprawiedliwych szuka się w Sodomie.

Nigdzie indziej nie widziałem tak prawdziwego życia Polski. Z naciskiem na patologie, ale to przecież dlatego, że trafiłem na takich, którzy próbowali je leczyć. A wiadomo, szpital składa się głównie z chorych.

RYSZARD MALARSKI

KOTLINA – OSTRYM PIÓRKIEM

Ryszard Malarski, którego kilku kuźniczan sprzed 1989 r. chętnie by zamknęło, jako że działał w strukturach, a po pogromie 13 grudnia schronił się w spółdzielni pracy czyszcicieli kominów, którą podobno założył. Z lubością komentuje moje jakby lepsze (niż innych) PZPR-owskie papiery lekceważąco machając ręką i cytując B. Sonika: „eee tam, jedni bili, inni inwigilowali, a jeszcze inni (ci z Kuźnicy np., albo ci od Iwanowa, albo ci od 8 Lipca) dyskutowali...”. Łysy, w czarnym berecie, w drucianych okularkach, zapięty kurczowo pod szyją, przypominający w biegu pana Hulota, ma rozległe zainteresowania i kilka miejsc pracy. Podoba mi się jego oficjalny tytuł: Chief of Rural Operations Banku Światowego, Zalatuje on bowiem dużą ilością życiodajnej zieleniny. Intryguje mnie też, co robi dla Warlikowskiego: jeździ przed nim i za nim, a także z nim razem i ogląda co ten wystawia, ostatnio np. Wagnera na Place de la Bastille. Za chwilę, tamże, *Króla Rogera*. (KK)

Kotlina Kłodzka. Hrabstwo Kłodzkie. Zakątek Pana Boga. Wspaniałe krajobrazy. Zima. Mróz. Mężczyzna w średnim wieku wchodzi do kuchni wyposażonej w najnowszy sprzęt najlepszej włoskiej linii, wypija kawę zerkając na zegarek omega, po czym przechodzi do ogrzewanego garażu, w którym czeka na niego ciepły saab. Wyjeżdżając przez automatycznie uchylane drzwi włącza podgrzewanie skórzanego fotela. Czuje przyjemnie rozchodzące się po łędźwiach ciepło. Droga jest słabo odśnieżona, jej nierówności rodzą niepokój o zawieszenie samochodu.

Niewiele jest miejsc, w których mężczyźni w takim komforcie i spokoju zaczynają dzień pracy. A to jeden z najbiedniejszych powiatów w Polsce. Wyludnienie, starzenie się społeczeństwa, praktycznie upadek tradycyjnego rolnictwa, powolona degradacja urbanistyczna krajobrazu. Tak zwane zdarzenia kulturalne praktycznie wymazane z kalendarzy mieszkańców. Najwyższy w kraju wskaźnik samobójstw oraz rozbojów. Zmniejszająca się tradycyjna aktywność gospodarcza, zniszczenia środowiska i mentalne wywołane masową turystyką. Systematycznie zmniejszające się budżety lokalnych samorządów z trudem radzą sobie z utrzymaniem podstawowej infrastruktury. Opieka medyczna oddala się od mieszkańców, jej jakość się pogarsza, a fikcja bezpłatności powiększa. Edukacja przenosi się do miast, których komunikacja publiczna staje się coraz bardziej iluzoryczna. To tylko część plag.

„Starzy chorują, a leki są drogie. Emerytury są niskie w stosunku do cen. Jest mi nielekkko, bo muszę pomagać młodym. U sąsiadów wnuczek zabił babkę, bo mu nie chciała oddać emerytury. Dawniej leki były prawie darmo, a teraz nie starcza na leki i na prywatnego lekarza. Młodzi wyjechali i nie ma kto nam pomóc”. (badanie IRWiR PAN, w: *Ubezpieczenia w rolnictwie*, nr 22/ 2004).

Mężczyzna z saaba jest zatrudniony w lokalnym oddziale firmy mającej siedzibę we Wrocławiu. Część jego podatków wpływa więc do kasy tego miasta, które w najmniejszym stopniu nie interesuje się swoim zapleczem regionalnym. Nie wzbogaca gminy Bystrzyca Kłodzka, która od 20. porewolucyjnych lat nie jest w stanie odświeżyć wspaniałych elewacji swojego Rynku tak, jak zrobił to Wrocław. Nie jest w stanie utrzymać małego szpitala, w którym urodził się kierowca saaba, nie ma nic do zaoferowania turystyce, który zabłąkany w te okolice już po kilku chwilach spostrzeże, że nie ma gdzie zatrzymać się na noc, nie ma gdzie wyjść wieczorem i nie ma restauracji, w której mógłby posiedzieć z przyjaciółmi, a oferta kulturalna jest bliską zeru resztką nieodkurzoną z okresu Gomułki.

Jednocześnie ciągle mieszka tu i napływa nowa intelektualna elita. Ludzie z najwyższych pótek biznesowych, naukowych i artystycznych. Są, ale jakby ich nie było: gdzieś imprezują prywatnie, można czasami ich spotkać na grillach lub w restauracji. Nie istnieją publicznie, nie tworzą grup, których kipienie tworzy dojrzałe społeczeństwo. Są zamknięci mentalnie i społecznie w swoich domach i familiach, ich główną troską są własne dzieci i zaspokajanie własnych potrzeb. Żyją w kotlinie, choć wakacje spędzają daleko, zakupy robią w galeriach, a biznesy w szklanych biurach Wrocławia, Warszawy lub jeszcze dalej. Okazuje się, że można żyć w swoim ciepłym, doskonale funkcjonującym domku stojącym w zdruzgotanej architektonicznie i urbanistycznie przestrzeni. Można spokojnie mieszkać w nieludzkim otoczeniu oglądając *TV lonely planet*. 64 lata po wojnie, dwa pokolenia po wielkiej przeprowadzce ze wschodu i centrum na zachód, a po odzyskaniu wolności nie potrafią ciągle zbudować grupy sąsiadów, wspólnego biznesu. Grupy wspólnie zamieszkującej małe hrabstwo. Kolejne pokolenia powielają wzorce przekazywane im przez rodziców: wartością jest indywidualna konsumpcja, wspólne działania to ciągle wymuszane przez socjalistyczne państwo prace spo-

teczne. I nie ufaj nikomu, bo może cię oszukać albo przynajmniej dobrze obgadać.

W takim środowisku nie powstaje biznes. Więc turysta nie ma gdzie spać i co jeść. Więc młodzi emigrują. Zostają starzy, bo nie wiedzą, co z sobą zrobić. Zbiorowy gust permanentnie obniża się: potworki architektoniczne przykrywa łaskawie nieokiełznana żadnym ludzkim pomysłem przyroda. Rolnictwo górskie transformuje w rodzaj naturalnego muzeum, pełne starego sprzętu i biednych ludzi pozbawionych nadziei, którzy służą jako eksponaty bogatym turystom. Coraz gęściej są otaczani przez ludzi z miast, którzy budują swoje piękne, rozległe domy między nimi. Ci nowi są nazywani „ludzie nikt”. Młodzi ludzie w kotlinie są więc zastępowani przez starców. Witalność, też gospodarcza, jest zastępowana przez emeryckie plany, aby na wsi dobrze umrzeć. Żyją osobno jak pojedyncze atomy bez powiązań z historią, tradycją, sąsiadami, bez intencji włączenia się do lokalnej społeczności. Często bogaci lub przynajmniej bogatsi znacznie od miejscowych, często trochę aroganccy nie tworzą relacji z miejscowymi nie dlatego, że są im niechętni; raczej po prostu są im obojętni. Ludzie tak zamknięci, indywidualiści nie tworzą małych społeczności, więc wstrzymuje to lub nawet czasami zawraca powoli toczący się proces kreowania się społeczeństwa kotliny. Ale jednocześnie takie ludzkie nasadzenia rozsadzają monokulturę, zwiększają różnorodność osobniczą i na pewno stanowią drożdże rozwoju, poprawiając jednocześnie stopniowo sumę kapitału intelektualnego kotliny.

„W Kletnie było kiedyś 200 domów i było ładnie, teraz 20 i jest brzydko. Dlaczego? Każdy z nowych domów mogłby wzbogacić sobą krajobraz, ale tylko pod warunkiem, że byłby z tym krajobrazem sam na sam. Stojąc z innymi domami obok siebie, klóci się z nimi zamiast harmonizować powodując dewastację antropogenicznego krajobrazu. Mam upokarzające uczucie, że mimo upływu lat ciągle jest w Kotlinie brzydziej niż było przed wojną. Dlaczego? Dostaliśmy te ziemie bez instrukcji obsługi. I brak nam skromności we wszystkim, też w budowaniu (prof. Roman Galar, Politechnika Wrocławska).

Trochę historii. Socjotechnika radzieckich stalinistów spowodowała, że Niemcy z kotliny zostali w całości zastąpieni w ich gospodarstwach w części przez dobrze doświadczonych rolników ze wschodnich rejonów byłej Polski, którzy nie byli jednak odpowiednio przygotowani do prowadzenia gospodarstw w górach, a w drugiej części, nieco większej, przez przybyszów z centralnej Polski. Ta grupa była znacznie słabiej przygotowana do prac rolnych, szczególnie w nieznanym sobie technologicznie środowisku i bardziej skłonna do ucieczki, bo miała gdzie wracać. W rezultacie i jedni, i drudzy doprowadzili swoje nowo zajęte gospodarstwa do granic ruiny w ciągu zaledwie kilku lat. Wtedy pojawiły się próby, w dość ograniczonej skali, osiedlania górali. Też bez specjalnych efektów. Polska bieda kontynuowała tradycje niemieckiej biedy w tych samych utrudnionych warunkach gospodarowania górskiego i o wiele trudniejszych zewnętrznych, wynikających z polityki państwa

komunistycznego niechętniej rolnikom posiadającym prywatnie ziemię. 1989 rok jest dopiero kulturowym i mentalnym powrotem do roku 1946. Okres socjalizmu to czarna dziura w kontekście tworzenia się nowego regionalizmu. Skoro więc minęło dopiero nieco ponad dwadzieścia lat od czasu całkowitej wymiany ludności, Kotlina Kłodzka stoi ciągle przed wyzwaniem uporania się z tym zjawiskiem w sensie kulturowym i cywilizacyjnym nie mając żadnych tego typu przykładów we współczesnym świecie, które mogłyby posłużyć za drogowskaz.

A może władza pomoże? Już w czasach powojennych powstało wiele opracowań i strategii dotyczących rozwoju Kotliny Kłodzkiej, jednak rzeczywistość zawsze znacznie kontrastowała z tymi planami stawiając pod znakiem zapytania skuteczność i sens takich prac również w przyszłości. Jedyny element, który nadaje sens przygotowaniom dokumentów strategicznych, jest zbiorowe myślenie o wspólnej przyszłości autorów tych przygotowań. Dokumenty więc tworzone przez wąskie grono specjalistów-akademików nie mają sensu. Ponadto wszystkie tworzone przez państwo i poszczególne poziomy samorządów (regionalny, powiatowy, gminny) dokumenty strategiczne są mało zintegrowane: wydzielone paski polityk czy planów przygotowywane są niezależnie od pozostałych, tak jakby na nich zaczynał się i kończył świat. Przy braku tradycji (samorządy gminne mają nieco ponad 17 lat tradycji, a powiatowe i regionalne tylko dziewięć) i umiejętności, koordynacja tych pasków jest praktycznie niemożliwa. Nie wspominam tutaj o planach/strategiach wymaganych przez UE, które są tzw. listą pobożnych życzeń wepchniętą w skopiowany od sąsiada szablon.

Jednym z podstawowych kryteriów rozwoju gospodarczego w tej najmniejszej skali jest stopień zaufania społecznego. Zaufanie to jedna z kluczowych cech społecznych, która jest definiowana jako „klej” społeczeństwa. Szkodliwe dla wzajemnego zaufania są wysokie różnice majątkowe oraz duży udział chłopów w społeczeństwie. W kotlinie wyraźnie brak zaufania. Być może właśnie z tych samych powodów.

Prostą odpowiedzią na tak postawiony problem powinna być próba wykreowania społeczeństwa. Historycznie, reszta Europejczyków jest winna to przesiedleńcom skrzywdzonym przez stalinowskie manipulacje społeczne. Winna? A może jednak? W praktyce oczywiście proces tworzenia się społeczeństwa jest organiczny i może być dość łatwo zakłócony, ale na pewno niełatwo stymulowany. Warto jednak podjąć próbę zaszczepienia umiejętności komunikacyjnych i kooperacyjnych w skali masowej w kotlinie, co wydaje się być warunkiem wyjściowym wszelkich innych działań.

To wszystko to nie skarga ani szukanie winnego i narzekanie na mieszkających tu ludzi. To tylko moja diagnoza. Zeroemocjonalna; nie wiem, ile potrzeba czasu, aby ludzie z kotliny poczul, że coś razem tworzą. Podejrzewam, że jeszcze bardzo dużo.

RYSZARD MALARSKI

OLGA TOKARCZUK

PALEC, KTÓRY WSKAZUJE NA KSIĘŻYC

Tu może być właściwie dużo pustego miejsca, jako że **Olga Tokarczuk** jest od lat dobrem publicznym. Podajmy więc może fakt nieznany jeszcze szerszej publiczności. Jak Ola zaśpiewa dumkę w oryginale, 100-letni dziad lirnik wali się na kolana. Nawet ten niewidomy. Jak pod jej przewodem wypłynęły z naszej sauny w czasie niegdysiejszego sylwestra trzy nimfy przyobleczone jedynie w skromny frot, w obłoku cedrowej pary i uderzyły w zawodzącą nutę (trenowały chyba przez ponad godzinę w 100°C przy kilku flaszki włoskiego Brut) to nawet dziś, gdy o tym wspominam, zęby mi zgrzytają pod pustą nagle czaszką i mrówki zaczynają chodzić *auf and ab*. Nam, tzn. Nająrom, Malarom, Lewinom, a pewnie i Wam, Drodzy Czytelnicy, wychodzą tylko *Sokoły* i jakieś ruskie marsze w stylu *Artileristie Stalin dał prikaz...* (KK)

Uświadomienie sobie własnego języka ze wszystkimi jego zaletami, pożytkami, jak i ograniczeniami i dziwactwami przypomina efekt długotrwałej psychoanalizy. Ujawnia bagaż, który jako nie tylko jako pisarze niesiemy nie z powodu własnych win i zasług, ale z tego samego powodu, dla którego się urodziliśmy w jakimś miejscu, czasie czy formie. W pewnym sensie więc język jest literackim fatum. Pokazuje też jak dłoni fakt, że w języku tylko do pewnego stopnia możemy być sobą (a „bycie sobą” wydaje się być ważnym postulatem naszej kultury), zaś w dużym stopniu podlegamy temu, co od nas większe, potężniejsze i na co nie mamy wpływu.

Nic dziwnego, że filozofowie porzucili ostatnio Boga, Byt, Dłaczego Raczej Coś Niż Nic, a zajęli się językiem.

Pisarze często popełniają błąd traktując język jako swój własny obszar wolności, jak ten wielki pierwotny ocean, w którym niczym pierwsze aminokwasy formują się nasze indywiduálne myśli i sposoby ekspresji. Jednak wygląda na to, że osie krystalizacji zostały ustalone i nie mamy na nie wpływu. W język jest się wrzuconym.

Ja zostałam wrzucona w polszczyznę. Urodziłam się i wychowałam na zachodnich ziemiach Polski przyłączonych do reszty kraju po wojnie i zasiedlonych przez ogromną powojenną mieszankę polskich kultur i dialektów. W tym tyglu, jak uważają językoznawcy, powstała wzorcowa polszczyzna, podobno mówimy na Dolnym Śląsku polskim standardem. Nie mam żadnych naleciałości gwarowych, żadnego akcentu. Nie znam na tyle dobrze żadnego innego języka, żebym mogła go traktować jako język literatury, którą piszę. Jestem jednojęzyczna. Nie mogłabym pisać w innym języku. Potrafię skomunikować się w dwóch innych, ale jest to komunikacja uproszczona i w pewnym sensie bolesna. Mogłabym być umieszczona w Sevres pod Paryżem, tam, gdzie trzyma się wszelkie wzorce, jako przykład osobnika doskonałego polskojęzycznego. Tkwię w polszczyźnie jak mucha w bursztynie.

Język polski należy do wielkiej grupy języków słowiańskich i – w konsekwencji – indoeuropejskich. W piśmie zaczął kształtować się dosyć późno, bo w XII wieku. Przyjęcie chrześcijaństwa z Rzymu, nie zaś z Bizancjum miało ogromne znaczenie – pozwoliło polszczyźnie wejść w obszar kultury łacińskiej i przyjąć alfabet łaciński (jak wiemy, niektóre języki słowiańskie oparły swój alfabet na grece – np. rosyjski czy bułgarski). Dopiero w 1270 r. w *Księdze Henrykowskiej* powstała zresztą na Dolnym Śląsku zapisano pierwsze zdanie po polsku i to w dość interesującym kontekście. Tekst łaciński opowiadał mianowicie o jakimś Boguchwale, który – co wydało się współczesnym tak niezwykle, że aż domagało się zapisania – pomagał żonie w mieleniu ziarna. To on właśnie wypowiedział pierwsze słynne zdanie: „**Day ut ia pobrusa a ti požiwai**”, co znaczy we współczesnej polszczyźnie: „Pozwól, ja to zrobię, a ty odpoczywaj”.

Położenie geograficzne Polski między silnymi sąsiadami w środku Europy, w bliskości różnych kultur powodowało, że do polszczyzny przesiąkało wiele obcych słów. Jest niezwykle na tle innych języków, że polska leksyka zawiera aż około 70 procent wyrazów zapożyczonych z innych języków. Jest to więc język składak, język *patchwork*, *tygiel* i *miszung*. Braliśmy słowa od sąsiadów – z powodu interesów, jakie z nimi prowadziłyśmy, wojen, podróży, mód i fascynacji. Niemcom zawdzięczamy bogate słownictwo techniczne. Każda nowinka przesiąkała do nas przez naszych zachodnich sąsiadów, z nimi też mieliśmy wiele problemów – osadnicy niemieccy na ziemiach polskich stanowili zawsze silną ekonomicznie i dobrze zorganizowaną grupę. W XIV wieku stanowili na przykład 80 procent patrycjatu krakowskiego, co skłoniło polskiego króla do zastosowania wobec nich swoistego testu językowego – wyszukiwał nielojalnych Niemców, którzy podnieśli bunt w Krakowie, każąc wymawiać im następujące słowa: *soczewica*, *koło* i *miele młyn*. Tych, którzy nie potrafili ich poprawnie wypowiedzieć – karano. Wraz z królo-

wą Boną przybyło do Polski wiele wyrazów włoskich, głównie z dziedziny architektury, muzyki, wojskowości i przede wszystkim – kuchni. W XVII wieku odbył się desant francuszczyzny. Duży wpływ miał także język rosyjski i inne języki wschodnie. Możemy się nawet pochwalić wpływami tureckimi i węgierskimi. Łacina zasilila język polski wyrażeniami związanymi z nauką, pojęciami abstrakcyjnymi i religijnymi. W XV i XVI wieku modna była czeszczyzna i było dobrze widziane popisać się w dobrym towarzystwie znajomością czeskiego. W ciągu wielu lat zaborów prowadzono aktywną i bardzo intensywną germanizację i rusyfikację. Dziś – jak wszędzie na świecie – ofensywę przypuściła angielszczyzna.

Podoba mi się otwartość polszczyzny na obce słowa – nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo; w szalonym wirze, który tworzy, najbardziej obco brzmiące wyrazy zostaną poddane potężnym młynom polskiej gramatyki, doczepione do nich zostaną swojskie końcówki i przemagluje je odmiana przez przypadki. To język, który zasysa wiele ze świata wokół, to język wiecznie głodny.

A jednak ten patchworkowy język pełnił niezwykłą i paradoksalną rolę – w długich latach podległości zaborcom stał się ostoją tożsamości narodowej, a literatura, która w nim powstawała, była jedynym miejscem przetrwania polskiej kultury. O mówienie po polsku walczono, za mówienie po polsku umierano.

Dla pisarza funkcję pomocnych psychoanalitików pełnią często tłumacze – zadają najbardziej zadziwiające pytania. Należałoby je zapisywać, zachowywać i wydawać co jakiś czas w osobnych nakładach, żeby czytelnicy mieli możliwość docenić cud pisania i trud tłumaczenia. I w ogóle cud języka. Dzięki nim to, co wydawało mi się oczywiste i nawet powszechne, nagle traci swą wewnętrzną spójność, staje się nieoczywiste i zupełnie lokalne.

To właśnie oni zwrócili mi uwagę na tych kilka właściwości polszczyzny, które poniżej opisuję. Podobnie jest ze znajomymi obcokrajowcami, tymi odważnymi ludźmi, którzy postanowili nauczyć się polskiego. Często skarżą się, że polska gramatyka składa się głównie z wyjątków, że muszą uczyć się trudnych reguł, które natychmiast zostają zakwestionowane ogromną liczbą wszelkich możliwych wyjątków. To prawda – do polszczyzny lepiej jest chyba podchodzić intuicyjnie albo uczyć się na pamięć. Jest to język, który wielką wagę przywiązuje do tradycji i form historycznych, jest to język-muzeum, pełen skamielin, których nie da się poddać prostym zasadom pragmatyzmu. Skomplikowana odmiana nie tylko dodaje i odejmuje końcówki, ale zmienia same rdzenie słów. Mamy czas przeszły dokonany i niedokonany, co demaskuje nawet najlepiej mówiącego po polsku Niemca. W ortografii istnieje kilka takich samych dźwięków zapisywanych jednakże w inny sposób, ponieważ w przeszłości wymawiano je różnie i zostały w języku jako pamiątka sięjąc panikę wśród uczniów gimnazjów.

Język polski nie jest ani językiem logicznym, ani pragmatycznym. Jego gramatyka jest wymagająca, a nawet szalona, ortografia trudna. Mimo leksykalnej plastyczności, utrzymuje z nielogicznych (może więc

sentymentalnych) względów stare tradycyjne formy gramatyczne i ortograficzne.

Jest to też język tradycyjny jeszcze z innego powodu – jest męskocentryczny. Spośród trzech rodzajów, którymi dysponuje, daje uprzywilejowaną pozycję rodzajowi męskiemu. Rzeczowniki rodzaju męskiego, żeńskiego i niejakiego inaczej odmieniają się przez osoby, przypadki i czasy. Panuje w nich jeszcze oczywiście wiele wyjątków. O mężczyznach powiemy, że *poszli*. O kobietach – że *poszły*, lecz już o grupie mieszanej, składającej się z kobiet i mężczyzn – zawsze trzeba będzie powiedzieć „po męsku” – *poszli*. Zasada ta działa także wtedy, gdy w grupie, powiedzmy, sześćdziesięciu kobiet znajdzie się jeden mężczyzna – jego obecność każe użyć nam męskiej formy dla całej mieszanej grupy – *poszli*. Kobiety, dzieci i zwierzęta będzie dotyczyła w tym przypadku forma żeńska. Dla mężczyzn zarezerwowana jest ta uprzywilejowana – męska. Oczywiście samo słowo człowiek – podobnie jak w innych językach – jest rodzaju męskiego. Mówiąc więc ogólnie o człowieku, będziemy gramatycznie wykluczać żeń kobiety (i dzieci). Ta patriarchalność odbija się także w nazwach zawodów. Jeżeli inne języki dobrze sobie z tym poradziły (na przykład niemiecki), to w polszczyźnie wciąż są kłopoty. Żeńskie nazwy zawodów brzmią po polsku jak zdrobnienia męskich, co często sprawia niepoważne wrażenie i ukrywa zapewne głębokie deprecjonujące znaczenie – kobieta profesor – profesorka – brzmi jak mały profesor mężczyzna (profesorek).

Z męskocentrycznością polszczyzny wiele razy zmagalam się jako pisarka (forma żeńska od „pisarz”). Nie da się bowiem pominąć w polszczyźnie płci piszącego, kiedy używa się pierwszej osoby. Płeć jest natychmiast widoczna w czasownikach czasu przeszłego, a w teraźniejszym dezawuuje ją żeńska forma przymiotników. Nie można od tego uciec. Miała kłopot tłumaczka, która przekładała książkę Jeanette Winterson, gdzie konsekwentnie użyta pierwsza osoba czasu teraźniejszego skutecznie ukrywała płeć narratora/rki, co było istotą tej powieści. Nie można było wybrnąć „z płci” i arbitralnie trzeba było przyporządkować jej/mu rodzaj – w tym przypadku żeński. Na marginesie wspomnę, że po polsku „mother tongue” to – „father tongue”, „język ojczysty”.

Polszczyzna, podobnie jak inne języki słowiańskie ma ogromny potencjał słowotwórczy, w szczególności potrafi stworzyć ogromną wielość zdrobnień, co sprzyja wszelkim językowym grom. Dla mnie to przejaw ciepła języka, kategorii pominiętej w podręcznikach gramatyki. Jest to cecha języka, która w niepowtarzalny i magiczny sposób czyni świat przytulnym i bezpiecznym. Nikogo w Polsce nie dziwią słowa ludowej piosenki o żołnierzu idącym na „wojenkę” z „szabelką” u boku, na ukochanym „koniku”. Sposobów zdrobniania jest wiele i każde ludzkie imię można poddać temu zabiegowi. Podobnie jak prawie każdy rzeczownik i przymiotnik.

Do II wojny światowej Polska była krajem wielokulturowym i wielojęzycznym. Tam gdzie polszczyzna spotykała się z innymi językami, wrażliwościami i mentalnościami – była najbardziej twórcza. Nie jest wcale przypadkiem, że prawdziwi mistrzowie języka polskiego brali się z kresów polszczyzny. To fascynująca i nie-



Roman Banaszewski, *W świetle*

powtarzalna proza Brunona Schulza powstała na styku polsko-żydowsko-ukraińskim. To obrazowa i bogata poezja Czesława Miłosza, który pochodził z Wileńszczyzny; to absolutnie bajkowa i – niestety nieprzetłumaczalna – polszczyzna Bolesława Leśmiana i Juliana Tuwima z pogranicza żydowsko-polskiego.

Giętki, plastyczny, niejasny, niezbyt precyzyjny, tradycyjny i gramatycznie nieobliczalny... Bardziej stworzony chyba dla intuicji niż logosu, bardziej dla poezji niż naukowej rozprawy. Mam wrażenie, że niezbyt dobrze czuje się w intelektualnym dyskursie czy w realistycznym linearnym opowiadaniu zdarzeń. Woli formy otwarte, wieloznaczne. Jest czuły na groteskę i absurd. Podatny na patos. Nic dziwnego, że mamy dobrze znaną i cenioną w świecie poezję. To jest język, w którym wiele wolno, język, który bardziej szkicuje świat niż go opisuje, język-impresjonista zdolny wyrazić wrażenie, nastrój, przeczucie, otwarty na skojarzenia, budujący obrazy. Podobno Flaubert upierał się, że język ponosi fiasko, gdy zaczyna tworzyć obrazy; wtedy bowiem wymyka się sam sobie, wyslizguje się w anachronizm. Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem. Język jest najpotężniejszy tam, gdzie wychodzi poza siebie i staje się twórcą alternatywnego świata, kiedy jak iluzjonista wyciąga z kapelusza rzeczy, o których nie umielibyśmy nawet pomyśleć. Polszczyzna jest dla mnie językiem archaicznym, który odpowiada światu sprzed jego zróżnicowania, kiedy wszystko zdawało się być bardziej zwarte, zmysłowe, kiedy balansowało na przeczuciach i „co” było ważniejsze niż „jak”. Język traktuję jako – weźmy to wschodnie porównanie – palec, który wskazuje na księżyc. Nie zatrzymuję się na języku.

Ciekawe, na ile moja wrażliwość, moja percepcja i myślenie zostały sformatowane przez trudną, mało precyzyjną lecz bardzo obrazową polszczyznę. Czy potrafiłabym wyrazić to, na czym mi tak bardzo zależy w pisaniu – przeczucie, nastrój, niepokój, który czai się pod pozornie stałą i bezpieczną konfiguracją zdarzeń w innym języku. Może powinnam być wdzięczna za to językowe fatum?

Polski należy paradoksalnie do tzw. małych języków, mimo iż mówi nim na świecie jakieś 50 milionów ludzi (licząc z wielką polską emigracją). Jest językiem lokalnym, peryferyjnym, a na dodatek trudnym, odstrasza od siebie wielu. Zaletą takich „małych” języków – zwłaszcza gdy się zna te „duże” – jest możliwość schronienia, ucieczki w język, zamieszkanie małego wydeptanego obszaru niedostępnego dla reszty świata. Znam z przeszłości to doświadczenie schowania się w polszczyźnie na wielkich światowych lotniskach, daleko za granicami kraju, kiedy można było być pewnym, że nikt nas mówiących po polsku nie zrozumie. Dziś jest już inaczej. Ogromna emigracja Polaków w ostatnich latach pozwoliła polszczyźnie rozprzestrzenić się wraz nimi szeroko po świecie, ale nie sądzę, że mogłoby to przyczynić się do ogólnego rozprzestrzenienia się wśród obcokrajowców. Prawdopodobnie będziemy dzielnie uczyć się angielskiego i to będzie nasz sposób komunikacji z resztą świata. Znakiem przekroczenia granicy będzie pobliski bar i pytanie kelnera, czy „kaweczka” ma być z „mleczkiem”. Lub też powitanie polskiego konduktora, który wesoło zawoła: „Bileciki do kontroli!”.

OLGA TOKARCZUK

JERZY PIEKARCZYK

GRABIE A SPRAWA POLSKA

Nie ja wymyśliłem ten tytuł, życie go wymyśliło. Właściwie powstał z inspiracji wicepremiera Waldemara Pawlaka, ale grabie to też nie jego pomysł. Skoro literatura (patrz *Wesele* Stanisława W.) upewnia nas w przekonaniu, że „chłop potęgą jest i basta!”, a politycy z Polskiego Stronnictwa Ludowego z całym przekonaniem twierdzą, że na początku byli chłopci, dopiero potem wynaturzona reszta społeczeństwa, z całą pewnością możemy stwierdzić, że grabie mają włościański rodowód.

Zadaniem historyków jest tylko ustalenie, czy był to racjonalizatorski pomysł Piasta Kołodzieja lub kogoś z jego rodziny, czy też grabie trafiły w nasze strony wraz z cywilizacją zachodnią. W każdym razie instrukcja obsługi tego sprzętu znana była od samego początku: grabi się do siebie, a nie od siebie, a jeśli tego nie rozumiesz, toś kiep. Z czasem okazało się, że grabie to coś więcej niż proste narzędzie rolnicze; to symbol mądrości ludowej, sztuki przetrwania, co ja mówię – przetrwania, to sama esencja sztuki życia. Grab co jeszcze nie zagrabione, bo inaczej zagrabią inni i będzie ci głupio. Przyjęło się, że jeśli grabią – to nas, żadną miarą odwrotnie, ponieważ rolę, w jakiej nas obsadziła historia, jest rola ofiary, której żyć w spokoju nie dają sąsiedzi czyhający na jakąś miedzę. Operowanie grabiami było i jest w takiej sytuacji niezwykle przydatną umiejętnością.

Tyle w kwestii grabi, o których przypomniano sobie w Sejmie III RP, kiedy się okazało, że przywódca PSL przyznał, iż jest czysty jak łaza niemowlęcia, nic na boku nie kombinuje, żadnych udziałów nie posiada, bo te, co je miał w spółce obsługującej Związek Ochotniczych Straży Pożarnych, którego jest prezesem, podarował fundacji Partnerstwo dla Rozwoju i nie ma nic do rzeczy, że fundacją zarządza jego matka – w końcu trzeba się opierać na osobach zaufanych, a kto może być bardziej godny zaufania niż własna rodzina? Starsi Panowie Dwaj śpiewali kiedyś w telewizyjnym kabarecie: „Rodzina nie cieszy, nie cieszy gdy jest, lecz kiedy jej nima, samotnyś jak pies”. Panowie odeszli, kabaret pozostał, tylko tamten był bardziej śmieszny.

„W kryzysie możemy polegać tylko na rodzinie” – powtarza Waldemar P. dodając: „przepraszam, że mam mamę”. Przez kraj przechodzi westchnienie współczucia, już młodzieżówka PSL organizuje ogólnopolską akcję przeprosin. Przepraszają nie tylko za mamę, ale za aktywnych braci, szwagrów, znajomych i pociotków, którzy przecież głosując na PSL coś z tego chcą mieć, gdy ich partia jest istotnym elementem koalicji rządzącej.

Wszyscy mówią o politycznych standardach, tylko każdy je pojmuje po swojemu. Trzeba korzystać z wzorców, które przywracają realia uczciwej gospodarki i szacunek dla pracy. Wszelkiej maści kombinatorom z wielkich zagranicznych korporacji i banków, którzy niby wiedzą lepiej jak należy grabić, mówimy stanowczo: Nie! Rodzina według definicji ludowców to podstawowy element społeczeństwa obywatelskiego, jest zatem rzeczą naturalną, że dążąc do stworzenia takiego właśnie społeczeństwa nie sposób nie spotkać po drodze „krewnych i znajomych Królika”, którym godzi się pomóc. O zaletach dobrze zorganizowanej Rodziny wiedzą też coś niecoś chłopci sycylijscy, ale – nie wiedzieć czemu – nie lubią się dzielić swą wiedzą.

„Na moim życiu w młodości zaciążyła okoliczność, iż Polska pozbawiona była wolności” – pisze w swoich wspomnieniach Kazimierz Duch. Niby historia stara, sięgająca lat międzywojennych, jej uczestnik też już od dawna „po tamtej stronie”. Doktor praw, kawaler Krzyża Niepodległości i Krzyża Walecznych, były starosta nowosądecki, wiceprezydent Krakowa, wicewojewoda krakowski, poseł na Sejm II RP, senator. Co ma wspólnego z Waldemarem P.? – nic. W wojsku wytrwał przez 12 lat, po 1926 roku przeszedł do służby cywilnej nie widząc wielkich szans na wyższe samodzielne stanowisko, takie, by mógł wykazać, że jest bardziej kompetentny od innych, którzy po przewrocie majowym wystartowali do stanowisk.

Nie wytrzymał konkurencji wcale nie dlatego, że mniej umiał. Po latach we wspomnieniach ujawniał swoje grzechy: pochodziłem z Małopolski, gdy lepiej widziane były Kresy Wschodnie; nie wywodziłem się z Legionów, ale ze znienawidzonej przez legionistów armii austriackiej; miałem ukończone studia, podczas gdy inni tylko zaczynali je kiedyś; miałem opinię człowieka pracowitego i dążącego do zupełnego opanowania wyznaczonej mi pracy, co w opinii ówczesnych nieuków mających głos decydujący pozbawiało mnie możliwości zajęcia stanowiska kierowniczego – mogłem być tylko koniem roboczym.

Od 1935 roku stał się niepotrzebny, gdyż na stanowiska dla fachowców zaczęli się wypychać dyletanci szczególnie wtedy, gdy nastąpiła znaczna podwyżka uposażeń na wyższych stanowiskach. Satysfakcji zaczął szukać w działalności poselskiej... A potem wybuchła wojna, po której znowu nie należał do „swoich”. „Dzisiaj siedzę bezrobotny i przypatruję się straszliwej głupocie narzuconych siłą władców Polski” – pisał na początku lat 50. zeszłego wieku, który miał jeszcze nie raz udowodnić, że głupota ludzka, podobnie jak miłosierdzie Boże, granic nie mają.



POLSKA AFERAMI STOI

Życie polityczne w kraju nad Wisłą toczy się od afery do afery. Od początku transformacji ustrojowej nie przytrafił się nam ani jeden rok, w którym nie byłoby jakiegoś przekrętu na wysokim szczeblu, zaś w latach tłustych afery zdarzały się raz na kwartał. Żeby zapobiec tej pladze, która niewątpliwie w ostatnich latach się rozszerza, wymyślono komisje śledcze, wychodząc może i z niegłupiego założenia, że one przynajmniej coś wyjaśnią. Aliści nadzieje okazały się płonne. Co prawda paradująca do dziś w charakterze wzorca tzw. komisja Rywina wskazała jako głównego winowajcę grupę trzymającą władzę, ale dotąd nikt jej – nawet sąd – nie zidentyfikował, choć widziało wielu, a niektórzy na tym jasnowidzeniu próbowali zbić polityczny kapitał. Niestety, nie wyszło. Zgasłe gwiazdy tego spektaklu mogą co najwyżej wspominać dzisiaj minione dni chwały i z uporem godnym lepszej sprawy przekonywać niedowiarków, że wypatrzone ich oczyma wyobraźni polityczne UFO istniało naprawdę.

Dzieje komisji śledczych w III i IV RP potoczyły się jak w bajce: „Miłe złego początki, lecz koniec żalotny...”. Kto nie wierzy, niech obejrzy choć przez chwilę komisję ds. nacisków i posłucha nauczycielki Wróbel. Na jej przykładzie widać, jak przedstawiciel cenionego onegdaj tylko werbalnie – w oficjalnej propagandzie – stanu awansował w IV RP. W głębokim PRL-u felietonista „Współczesności” (późniejszy Hamilton) upatrzył sobie na bohaterkę swoich „Docinków” kierowniczkę szkoły podstawowej o nazwisku Wróbelek, przedstawiając ją jako słodką idiotkę. Za rządów PiS-u nauczycielka Wróbel nie dość, że została postanką, to jeszcze powierzono jej historyczną misję stordedowania prac komisji wszelkimi dostępnymi jej środkami. I choć ów arsenał środków okazał się niezbyt bogaty, postanka wyznaczona jej zadanie realizuje wzorowo. Już ten jeden, ale jakże wymowny przykład, upoważnia do sformułowania tezy o wyższości IV RP nad PRL-em.

Afery, rzecz jasna, nie zaczęły się wraz z transformacją ustrojową, choć jej towarzyszą z różnym nasileniem aż po dzień dzisiejszy. W PRL-u też się zdarzały, jednakowoż zdecydowanie rzadziej. Te najbardziej zapamiętane to afery mięsna, skórzana, „Żelazo” i FOZZ. Ograniczę się do tej, która wróciła w III RP, także na wokandę sądową, za sprawą rodziny i mediów, czyli do przekrętów z mięsem. Za komuny był to towar deficytowy, więc zarazem kryminalogenny. Za różne machlojki w tej branży siedziało wiele osób, ale choć wyroki bywały surowe, bo miały odstraszać, to tylko raz się zdarzyło, że główny winowajca dostał czapę. Działo się to w Warszawie, za rządów tow. Wiesława, którego surowość poglądów w dziedzinie prawa i obyczajów udzieliła się niestety sądowni. W krajach cywilizowanych, jak wiadomo, za przestępstwa gospodarcze nie karze się

śmiercią, natomiast w PRL-u taki fakt zaistniał. Doszło do naruszenia prawa, co potwierdził Sąd Najwyższy po rewizji tamtego wyroku już w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ograniczył się jednak tylko do zakwestionowania wymierzonej kary, nie wdając się w sam przedmiot sprawy, czyli czy doszło do przestępstwa.

Tymczasem zarówno rodzina, jak i część mediów przedstawia ową sprawę tak, jakby nic się nie stało, całą winę zrzucając na zbrodniczy system. Jeżeli przystaniemy na taką wykładnię nie tylko afer, ale także zwykłych przestępstw pospolitych dokonywanych w PRL-u, to się niebawem okaże, że w owym czasie w więzieniach siedzieli sami patrioci skazywani przez okrutny reżim. Sąd RP nie pozostanie zatem nic innego, jak ówczesnych skazańców rehabilitować, najlepiej z urzędu, zaś państwu polskiemu wypłacać odszkodowania.

W 2009 roku mieliśmy wysyp afer. Sejm już nie nadąza z powoływaniem komisji śledczych, a tu wciąż nowych afer przybywa. Na tapecie jest afera hazardowa, w kolejce czeka stoczniowa, ale prawdziwy urodzaj dopiero się szykuje. Farbę bowiem puścił niejaki Peter Vogel, który zaczął karierę w wieku 17 lat jako morderca-sadysta, a skończył jako finansista w szwajcarskim banku, obsługujący tajne konta polskich VIP-ów. Na wieść o tym spocili się ręce kilku polityków i urzędników od lewa do prawa, a zagadnięty przez dziennikarza o przetarg na dostawę wagonów dyrektor warszawskiego metra prawie zaniemógł. Można się więc spodziewać, że po aferze mostowej Warszawa będzie miała igrzyska w metrze, a w innych częściach Polski wróćą mniej lub bardziej głośnie prywatyzacje. Okazało się bowiem, że po komunie zostały nie tylko niesprawiedliwe wyroki, kajdany niewoli i gospodarka w stanie permanentnego niedoboru, ale także – o dziwo – całkiem pokaźny majątek, po który ręce ochoczo wyciągnęli starzy i nowi beneficjenci. Uwłaszczyła się bowiem na narodowym majątku nie tylko stara nomenklatura. Kiedy zaczęła się na dobre prywatyzacja, to w dyrekcjach przedsiębiorstw nie ocalał już żaden komuch, a na drzwiach komitetów widniały tabliczki nowej siły przewodniej. Aż dziw, że do tej pory nikt się nie pokusił o sporządzenie raportu o wyprzedzaży narodowego majątku, zwłaszcza na początku lat 90. Dla niepoznaki nazwano ją prywatyzacją, choć od początku wydawała się ona złodziejską nie tylko Lepperowi, ale także Jackowi Kuroniowi, czemu dał wyraz na tych łamach na kilka lat przed śmiercią.

Gdyby udało się odsłonić całą prawdę o transformacji, zwłaszcza w wymiarze ekonomicznym, to zalałby nas potop afer, a wtedy nawet najbardziej nieposzlakowani i czysti nie wiedzieliby, co z tą wiedzą począć.

SCEPTYK

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ

(1934 – 2009)

„Uważam, że teatr się obroni, tylko zmieni swoje funkcje. Na pewno nie wygra walki o masową publiczność. Teatr będzie coraz bardziej elitarny. Być może w przyszłości będzie tylko tym, czym dzisiaj są sceny awangardowe.[...] Na pewno jednak teatr w Polsce będzie musiał zdobyć się na gruntowną reorganizację, żeby mógł działać bardziej efektywnie i nie utracił kontaktu z widownią. Musi się zmienić geografia i struktura teatru. Te najlepsze powinny ruszyć się ze swoich mateczników i zacząć wędrować po Polsce, ponieważ waganctwo jest naturą teatru. Wierzę bowiem głęboko, że na prawdziwą sztukę teatru będzie zawsze zapotrzebowanie”.

Czuję się przede wszystkim aktorem [w:] Trzech na jednego. Rozmowy „Zdania”, pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, Kraków 1990, s. 279

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; kuznica41@interia.pl

Wydaje Firma Wydawnicza Trans-Krak s.c. na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”

30-134 Kraków, ul. Kunickiego 5

Skład komputerowy i łamanie: Agnieszka Mączka

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



